PONAD SIŁY.*)

POWIEŚĆ.



ROŹDZIAŁ XXI.

Po wielkim mówcy, że lepszego nie było w Europie, obronę budżetu większości w parlamencie wiedeńskim powierzono najmłodszemu wiekiem, również posłowi polskiej narodowości. Obrona budżetu wymagała nie tylko głębokiej znajomości przedmiotu, lecz i szalonej pamięci. Inaczej od obrońcy państwowego budżetu wymagano: krasomówstwa, znajomości filozofii, ekonomii politycznej, skarbowości, handlu i przemysłu, statystyki i dowcipu!.. Czy nie za dużo dla jednej organizacyi? zapytywały się dzienniki, i dlatego ciekawość rosła.

W dniu obrony parlament wypełnił się po brzegi, nikogo z posłów nie brakowało, galerye natłoczone, w lożach dygnitarze.

Do loży dyplomatów ambasador włoski wprowadził księżnę i Marynię.

Dziewczyna blada, uroczysta, chociaż siliła się na uśmiech, patrzała trwożna na groźne, niespokojne tłumy, zdenerwowane oczekiwaniem.

---

*) Ob. „Ateneum“, styczeń — listopad, 1900 r.

W sali nie było Tadeusza.

Prezydent, starzec o wielkich białych wąsach a serdecznem spojrzeniu i szlachetnych rysach, otworzył posiedzenie.

Załatwiono jedną kwestyę formalną, i przyszła kolej na obronę większości budżetu.

Otworzyły się drzwi, wszedł Tadeusz i prosto zwrócił się ku trybunie z nerwowym uśmiechem, błyszczącemi oczyma i zmiętą fantastycznie czupryną. Galerya przywitała go oklaskami. Spojrzał w górę, dziękując ruchem głowy. Spojrzał po lożach, skłonił się księżnie i Maryni, rozłożył papiery, wstrząsnął, jak lew, grzywą i zaczął.

Część posłów z mówcą mniejszości otoczyli go kołem. Dziennikarze i stenografowie zaczęli pisać—w sali zapanowała cisza. Ambasadorowie włoski i niemiecki, jako reprezentanci sprzymierzonych mocarstw, uważnie słuchali. Wszyscy ministrowie zajęli swoje miejsca. Była to uroczystość parlamentarna i inauguracya młodego mówcy, któremu przepowiadano wielką przyszłość.

— Gdyby tylko umiał ugiąć nieco dumnego karku, gdyby się umiał dopasować. Tylko umiejący się dopasowywać zwyciężają. Dęby strzaskane padają, giętkie brzozy zostają.

Tadeusz mówił godzinę. Izba i galerya słuchały z naprężoną uwagą, klaskały lub śmiały się. Szefowie sekcyi marszczyli czoła lub potakiwali głowami. Marszczyli, gdy im się zdawało, że duch mówcy ulata ponad szablon austryackiego fiskalizmu, a potakiwali, gdy przeciwnicy obecnego budżetu zręcznie zostali ukłuci.

Mówił drugą godzinę. Pot z czoła ocierał chustką, pił wodę, nabierał w płuca powietrza i dalej szeregował cyfry, jak armie, ustawiał je, porównywał, sypał iskrami dowcipu, unosił się grozą, wrzał patosem lub rozweselał sarkazmem.

Marynia nie spuszczała go z oczu, biła brawo lub razem z galeryą śmiała się serdecznie.

Izba i galerya słuchały go z natężoną uwagą, mimo, że mówił trzecią godzinę.

Skończył, posypały się oklaski, po oklaskach życzenia. Prezydent zszedł ze swego miejsca, zbliżył się do trybuny i podał Tadeuszowi rękę. Ministrowie poszli za jego przykładem, za ministrami prezydujący klubów z ekscelencyą prezesem „Koła" na czele.

— Rośnij na pociechę Austryi, rzekł uroczyście.

— Już zapóźno, odparł wesoło Tadeusz.

— Rośnij w sławę i uznanie, to miałem na myśli.

— To, czego nam potrzeba,—powtórzyło Koło polskie.

Ostatnim był Suess. Wyciągnął serdecznie rękę.

— Dzisiaj podaję dłoń wrogowi za to, że mnie w zwycięstwie swem olśnił. Wielkie myśli inwestycyjne i wielkie projekty porwały mnie. Gdyby drogami nakładów państwowych poszła Austrya, w dziesięć lat należałaby do najbogatszych państw w Europie. Wszystko posiada, tylko jej brak wielkich głów, wielkich myśli i wielkich wykonawców. Tyś pierwszy wypowiedział wielką myśl— naprzód na wszystkich drogach!... Naprzód, tylko naprzód, reszta się znajdzie!...

Powtórne oklaski na galeryi zagłuszyły Suessa, prezydent sesyę przerwał na godzinę. Tadeusz poszedł do loży dyplomatów przywitać księżnę, Marynię i podziękować im.

— Wynudziłem panie, rzekł wesoło.

— Wyzywasz na komplementa, odparła księżna.

— Czekaj na mnie o szóstej, w głównej alei u wejścia do Prateru, przyjadę—szepnęła Marynia.

Ambasadorowie prosili księżnę o przedstawienie ich Tadeuszowi.

— Odprowadź mnie do powozu, szepnęła Marynia. Kobiety lubią pokazywać się z tryumfatorami. To jest nasz atawizm, i niema na to rady, musimy go słuchać.

Niemiec pożegnał się, odszedł, księżnie podał ramię ambasador włoski.

— Nie jedziesz z nami? spytała Marynia.

— Muszę wysłuchać mówcę mniejszości, krytykę budżetu i w kwestyach formalnych odpowiedzieć.

— A zatem?

— Do widzenia!

Wpadł do bufetu głodny, z gorączką radości w sercu, a uśmiechem na ustach. I znowu musiał wysłuchać stereotypowych pochwał na zimno, powinszowań, znaczących uścisków dłoni. Lecz prócz Suessa nikt się do niego nie zbliżył z sympatyą, z gorączką czynu, z szeptem: „Chodźmy razem, zorganizujemy się i wspólnemi siłami ratujmy państwo, kraj i siebie samych”.

W całym tym tłumie większości nie było nikogo, rozumiejącego doniosłość jego mowy i rzucanych w niej wielkich myśli. Każdy był zajęty swymi, osobistymi interesami, każdy był trybem w kółku maszyny, każdy mełł mąkę dla siebie, myślał o sobie, szukał czegoś dla siebie, kochał siebie.

Czuł się zupełnie obcym w tem zbiorowisku namiętności i krzyżujących się interesów.

Samotność tę odczuł, dręczyła go i smutkiem zaciężyła mu na sercu.

— Więc nikogo, nikogo, nikogo! Gdyby to się działo w Anglii, w parlamencie londyńskim, miałbym do tej chwili dziesięć propozycyi wspólnego działania. Tu jestem sam, odosobniony, nieznany, niemal że odepchnięty. Wszystko to tak wygląda, jak gdybym był chory i z grzeczności rzucano mi bilety wizytowe, lecz, broń Boże, nie zbliżano się do mnie z obawy, aby się nie zarazić. Niosę im zarazę czynu...

Zbliżył się do niego Suess.

— Dumni są z ciebie. Dziś wieczór prasa całego państwa powtórzy twą mowę, jutro znaną będzie w Europie, lecz sprobuj którego z twych kolegów w „Kole", a nawet którego z większości zjednać dla swych celów. Uciekną wszyscy i wszyscy unikać cię będą.

— To samo myślałem, odparł Tadeusz, rozglądając się po krzyżującym się tłumie, i zamyślony, zbolały, smutny, mimo że jego nazwisko, jego myśli, jego wielkie idee tysiąc pras drukarskich w tej chwili odtłaczało, szedł wolno ku Praterowi, jak człowiek bardzo nieszczęśliwy, skazany na zagładę. Nikogo nie widział, nic nie słyszał, szedł w lunatycznym śnie.

— Tryumfatorze, stań i obejrz się, zadźwięczało mu nad głową.

Stanął, obejrzał się, rozradował, wyciągnął ręce i zbliżył się do kasztanów, powożonych przez Marynię.

— Siadaj z drugiej strony przy mnie. Umyślnie przyjechałam sama, aby mieć zupełną swobodę.

— Dziękuję ci, zawołał, wskoczył do powozu, usiadł, pochwycił ręce dziewczęcia, okryte grubemi rękawiczkami, i z dziecięcą radością cisnął do ust.

— Ty, świecie mój cały, dusza twoja mieszka w oczach twoich i patrzy serdecznie. Pod ciepłem tego spojrzenia odzyskuję swobodę i energię—odwagę i chęć do życia...

— Czy ją straciłeś? i to dziś, po wielkich tryumfach?

— Przekonałem się, że jestem niczem, nie mam w sobie żadnej siły, bo nikt za mną nie idzie. Słuchają mnie, jak w teatrze, biją mi brawo i odchodzą, nawet się nie odwrócą, nie pomyślą o mnie.

— Rzesze cię usłyszą dziś wieczór, a odgadnąć nie możesz, jak wielu pójdzie za tobą duchem. Za myślą idą czyny.

— Jestem niedołęgą, człowiekiem bez gorących namiętności, pozbawiony interesów dnia. Nie jestem w ogniu batalii. Walczący słuchają mnie w chwili odpoczynku lub, gdy mowa moja jest im potrzebną, jako broń w dzisiejszej walce. Gdy skończyłem, nagro-

dzili mnie oklaskami i odeszli ode mnie, jak od gladyatora. Już nie jestem im potrzebny. Gladyatorzy odbierali szalone oklaski, lecz nikomu na myśl nie przyszło brać ich do rachunku życia. Za mało mam namiętności, za mało ognia, za mało ambicyi, za mało pragnę, za mało żądam, za mało rozbijam pięściami, za mało walczę. Stoję poza tłumem walczących, i ci, nie widząc mnie w walce, omijają.

Przestał i patrzał w przestrzeń na siwe wody Dunaju i na niebieskie góry, otulone mgłą.

— Skończyłeś? zapytało dziewczę.

— Nie mam nic więcej do powiedzenia wobec faktów.

— Fakta cię biją, bo mówią, że nie jesteś z tych gryzących się o rzuconą kość. Nie jesteś postacią dramatyczną, bo w tobie tragizm tkwi. Nie walczysz o to, co się zdobywa dziś dla siebie, lecz walczysz o to, czego zdobyć nie możesz, co przerasta twoje siły, czego sam udźwignąć nie zdołasz. Walczysz z fatum idei, które się spełni za sto lat. Padniesz w walce, lecz padniesz, jako twórca, padniesz, zgnieciony wielkością idei, padniesz sam, lecz stworzysz zastępy walczących — i ci zwyciężą. Padniesz, przeczuwam, lecz przysięgam ci, ja przy tobie. Kobieta tem jest silna, tem potężna, tem jest kobietą, że bohaterów nie zostawia samych... Stoi przy nim, idzie obok niego i pada z nim. Te, które tego nie robią, czemże są?... Kto one?.. Teraz dopiero zaczynam rozumieć, że dziś ciągła obecność moja przy tobie byłaby ci strapieniem, ciężarem.

— Nie, nie—szepnął serdecznie...

— Proszę nie przerywać. Zadużo chciałbyś poświęcić czasu dla mnie, a nie mógłbyś, i toby cię męczyło, zawstydzało wobec mnie, dręczyło. Zaczekam więc aż do chwili, kiedy zmęczoną głowę będziesz musiał oprzeć o moje ramię—wtedy stanę przy tobie.

— A jeśli przyjdzie chwila tryumfu?

— Niech przychodzi, będę ją dzieliła z tobą. Zasłużę na nią!

— Ty będziesz koroną dzieła, bo jesteś mojem natchnieniem, moją betleemską gwiazdą. Prowadzisz mnie do narodzin ducha idei i zbawienia.

— I może dlatego nie ciągniesz mnie do siebie, abym ci zdala świeciła.

Roześmiała się.

— Gwiazdą nie jestem, mówiła dalej, lecz szukam cię myślą i nią jestem przy tobie. Zżyłam się z tą moją rolą—i dobrze mi. Lecz to się skończy niedługo...

Tadeusz nie śmiał mówić o swych nadziejach po przegranej w Wyżnicy.

-- Jedziesz? przerwała Marynia.

— Jutro, tu już jestem niepotrzebny. W małych utarczkach mam zastępców. Nareszcie nie prowadzę polityki dnia. Rzuciłem kilka myśli, niech błądzą wśród ludzi, dopóki nie zetkną sią z organizmami, które je sobie przyswoją.

— Dobrze powiedziałeś, żywe idee mają twórczość w sobie.

Zamyśliła się.

— Czemuż od samego początku, mówiła wolno, nie zostałam przy tobie, twoją, z tobą — inaczejby roztaczało się życie moje. Lecz jeżeli tęsknota jest stopieniem uczuć ludzkich w ogniu miłości; jeżeli jest jedyną potęgą, dźwigającą serca ludzkie, to czuję, że jest we mnie i rośnie... Tęsknota oswabadza mnie z tej strasznej walki samej z sobą, w której zwykle jesteśmy nieubłaganymi gnębicielami samych siebie. Przyjdę do ciebie, kiedy będziesz mógł oddać się mi takim, jakim byłeś w pierwszych czasach poznania, entuzyasta silny i mężny, uśmiechnięty i pełen wiary w zwycięstwo...

Konie szły wolno, jak zadumane.

— Nauczyłam się tęsknić, mówiło dalej dziewczę, i czekać będę, aż miną burze. Boję się tego rożdźwięku, jaki czyni walka, której podołać nie jest się w stanie, boję się własnych udręczeń, które są najstraszniejszymi naszymi katami.

Uśmiechnęła się smutno.

— Lecz przyjdę i stanę przy tobie w chwili, kiedy dojdę do przeświadczenia, że to powinność mej miłości i zadosyćuczynienie mego przywiązania. Przyjdę i już nie odejdę — zostaniemy razem do końca.

Oparła głowę na jego ramieniu—ujął ją wpół. Konie zahypnotyzowane szły cicho i wolno, księżyc wypłynął z gór, jasny, złotawy, wesoły, chmurki goniły go, on mienił się kolorami tęczy. Na dole wody wielkiej rzeki płynęły w pomrokach westchnień i lubieżnych pluskach, za nimi, na południu, niebieską mgłą otulone góry drzemały. Na sinem niebie srebrne gwiazdy zapalały się jedna po po drugiej—ukazał się wóz—zdawało się, że płynie.

— Jedźmy do kraju—szepnął.

Dziewczę skręciło pod Wagram na wschód, za biegiem rzeki.

ROŹDZIAŁ XXII.

W sali pierwszego piętra hotelu europejskiego zebrał się kwiat lwowskiego stronnictwa postępowego. Wśród zgromadzonych od-

bijała srebrnowłosa postać dyrektora, ze spiżu ulana, z twarzą czerstwą, z płonącym i twardym wzrokiem. Obok siedział Tadeusz, blady, spokojny zmęczeniem raczej, niż równowagą i spokojem ducha. Opodal Władysław, rozmarzony, ciskający z niebieskich oczu zapał, otulony tęsknotą. Wit z subtelnym wyrazem ust i zadumą słowiańską, paru posłów z lewicy, członkowie wydziału krajowego z opozycyi, wybitniejsi mężowie ze świata lwowskiego, wierni przyjaciele dyrektora i paru ludzi pióra.

Dyrektor wstał, poprosił o głos—uciszyło się raptownie.

— „Co tu ,moćdzieju, debatować. Wiemy wszyscy, że nie posiadamy prasy rzetelnej i szerokiej—to ,co jest, służy ludziom swoim i ich interesom. Prywata toczy dobro społeczne, zło, nie karane, podnosi głowę, ludzie tracą zmysł moralny. Upadek ten bije dziś w oczy. Należy raz zabrać się do ratunku, tak dłużej być nie może. Należy stworzyć uczciwą, silną opinię, bo tej dziś tak dobrze, jak niema.

„Opinię wyrabiają dzienniki. Kraszewski powiedział, że Lwów nikogo nie potrafi obniżyć, ale też nikogo podnieść. I miał racyę. Bo żeby tworzyć opinię, na to trzeba samemu mieć poczucie dobra publicznego i uczciwej pracy.

„Ale nie na narzekanie zeszliśmy się tutaj, lecz, aby złemu zaradzić. Potrzeba założyć pismo, a więc do pracy—naprzód".

Było w tych słowach siła ducha, mającego w sobie moc rozkazu. Młodzieńczy zapał starca działał zawsze nieprzeparcie; człowiek ten z błyskawicami w oczach pod brwią siwą, wołający „naprzód" u schyłku swoich lat, porywał swą energią wrzącą.

— „Do tego potrzeba dwu rzeczy, mówił dalej: ludzi i pieniędzy. Dla zdobycia jednych i drugich zgromadzeni zawiązują towarzystwo akcyjne z ograniczoną poręką. Głównymi akcyonaryuszami są dwaj nasi młodzi przyjaciele, właściciele kopalń nafty. Zatem kapitał jest, a ludzie—tu zwrócił się mówca do Tadeusza: — oto jest człowiek.

„W zasadzie wiemy wszyscy, dokąd dążymy i czego nam potrzeba, teraz idzie nam o to, by ogół to samo odczuł. Musimy oprzeć się na najszerszych masach społeczeństwa, jeżeli chcemy, aby się z nami liczono i głos nasz był głosem zdrowej, publicznej opinii. Do masy trafimy przedewszystkiem przez taniość, jeżeli towar, przez nas ofiarowany, będzie tańszy, niż gdzieindziej, to u nas kupować będą. Potrzeba tedy, aby cena prenumeraty była jak najniższa.

— Bardzo słusznie, wołali z sali.

— Pieniędzy żałować nie będziemy, dodał Władysław.

Dyrektor zaczął głośno czytać z notatki.

— Oto przybliżony kosztorys pisma: maszyna rotacyjna, obracana parą lub elektrycznością — sześćdziesiątysięcy guldenów; urządzenie całe wraz z drukarnią około czterdziestu tysięcy, kapitał potrzebny do przeczekania przy tak wielkich nakładach—drugie sto tysięcy. Wreszcie koniecznym jest dom własny do pomieszczenia w nim drukarni, stereotypii, maszyn, redakcyi, administracyi z odpowiedniem urządzeniem, co daje znowu najmniej sto tysięcy. Razem trzykroć sto tysięcy guldenów"...

Odetchnął, jakby pod ciężarem cyfr. Obecni spojrzeli na Wita i Władysława.

— „Dziennik na maszynie rotacyjnej, mówił dalej, powinien wychodzić dwa razy dziennie, zabrał znowu głos dyrektor, a kosztować musi w prenumeracie miesięcznej guldena i opłacać się zacznie po dziesięciu tysiącach prenumeratorów".

„Ogólna cyfra ludzi, prenumerujących dzienniki w Galicyi, przechodzi trzydzieści tysięcy. Tę trzecią część musimy ściągnąć dla siebie w rok, za dwa lata przybędzie połowa, a z samego rozpędu część czwarta, nie licząc tych, których nauczymy czytać dzienniki".

Zatrzymał się. Silny, twardy głos jego, wybijający słowa, jak stempel mennicy, i plan szerokiej akcyi społecznej podziałał elektryzująco na zgromadzenie. Rozległy się oklaski, ożywienie ogrzało wszystkich.

Kilku ze słuchaczy podeszło do dyrektora.

— Ale skąd wziąć taką sumę? zapytał jeden z nich. Czy zdołamy rozprzedać tyle akcyi?

— Bierzemy dziś akcyi za sto tysięcy, przerwał Władysław, wyprzedzając odpowiedź dyrektora, a za rok będziemy mogli dodać jeszcze dwakroć sto tysięcy, a w każdym razie płacić po piętnaście tysięcy gotówką co miesiąc.

— Brawo! krzyknęło kilka głosów, brawo, powtórzyli zebrani.

Wit stał zamyślony, czując całą ważność chwili.

— Kiedy nasz poseł, mówił dalej Władysław, nie miał dotąd ani jednego dziennika, do którego mógłby się zwrócić, to niechże teraz ma swój własny. Niech pisze, niech głos jego rozchodzi się jak najdalej.

— A jakimże będzie program nowego organu? zainterpelował jeden z obecnych. Był to młody człowiek, który dotąd milcząco przysłuchiwał się obradom.

— Poseł nasz starczy za program, odparł z dumą Władysław.

— Więc znowu jeden więcej organ osobisty, odrzekł interpelant głosem spokojnym i cichym. Mamy organ Sapieżyński, organ Namiestnika, organ szlachty podolskiej, organ Länderbanku, organ Lewakowicza, a teraz chcemy powiększyć ich liczbę organem naszego posła.

— Proszę o głos, zwrócił się Tadeusz w tej chwili do dyrektora i równocześnie szepnął mu do ucha słów kilka.

— Udzielam głosu posłowi w sprawie programu pisma, zawołał dyrektor.

Nastała cisza, Tadeusz powstał, oczy zebranych zwróciły się na niego.

— „Obowiązkiem każdego człowieka, powołanego do działań publicznych, jest mieć pełną świadomość swych zadań, a cóż dopiero tych ludzi, co wysuwają się naprzód, aby wieść innych za sobą.

„Dziennik jest bojownikiem, biorącym udział w walce dnia, ale nie dla celów dnia i nie dla celów pojedyńczego człowieka. Bo z chwilą, gdy się zmieni w obrońcę interesów czy to człowieka, czy grupy ludzi, stawiających dobro swoje narówni z dobrem publicznem, przestaje być żołnierzem idei, a często zmienia się w bandytę.

— Tak jest — przeszedł szmer po sali.

— „Mamy tedy ten dziennik poprowadzić w walkę dnia, rzucić się z nim w te prądy współczesne, które są wyrazem nowych potrzeb, rozbudzonych wśród mas.

„Mimo potężnego ogniska rodzimej myśli, skupionego w naszej wielkiej literaturze, społeczeństwo nasze i jego przodownicy grzeją się u ognisk cudzych i czynią z kraju naszego pobojowisko, w którem walkę staczają obce prądy.

„W ostatnich lat dziesiątkach ulegliśmy wpływowi niemieckiej kultury i niemieckiego sposobu myślenia, a wpływ ten wywołał w duszy społeczeństwa — rozdwojenie, zamęt, osłabienie jego pierwiastków twórczych, słowem demoralizacyę. Kiedy chodzi o dzieje nasze, zastosowują do ich wytłómaczenia konieczność naturalną i fatalizm; kiedy o kierowanie społeczeństwem, przyjęto zasadę bezwzględnego rządzenia z jak najmniejszym współudziałem ogółu; kiedy chodzi o kwestyę socyalną, to jedni opierają ją na gorszych instynktach ludzkich na wzór socyalnej demokracyi niemieckiej, inni doradzają rezygnacyę, inni wreszcie odwracają się od niej i odchodzą w dziedzinę kontemplacyi...

„Im bardziej oddalamy się od zasadniczych władz duszy, które są właściwością rasową narodu, tem bardziej albo gubimy się w teoryach, albo narażamy się na działalność zdumiewająco bezpłodną.

Takie również cechy nosiła dotychczasowa nasza działalność społeczna. Zatracono bowiem w życiu główną jego zasadę, na której duch narodowy znajduje najbujniejszą dla siebie siłę wzrostu i rozwoju. Stąd nieporadność i gmatwanina we wszystkich objawach życia, stąd też powszechna lekkomyślność i bezmyślność prawie całej warstwy wykształconej, przygnębienie młodzieży, głębokie wewnętrzne rozdarcie w każdej duszy czującej i myślącej. I gdyby ta nieporadność i apatya i na tem podłożu bujnie krzewiąca się prywata nie miały żadnych głębszych motywów na swe usprawiedliwienie, musielibyśmy z rozpaczy załamać ręce.

„Ale dziesięcioletnie obcowanie ze społeczeństwem naszem jedno mi przyniosło doświadczenie, jedną mi dało otuchę.

„Jakiekolwiek byłyby pozory, gdzieś ukryte, to zawsze w głębi duszy tkwi iskra pod popiołami, jest to drąg Archimedesa, którym można podważyć duszę każdego Polaka i przywrócić ją do wrodzonej szlachetności. I tylko ta iskra jest jego pierwotną siłą twórczą.

„Próbowałem poruszać wszystkie inne sprężyny! Gadałem o dobrobycie i podniesieniu ekonomicznem, brałem udział w polityce parlamentarnej—wszystko są to głosy, wołające na puszczy, żadna głębsza struna duszy nie odpowiada na te głosy, bo na dnie duszy istnieje jedna zasadnicza siła, zdolna każdej chwili odrodzić serce i obudzić duszę —istnieje energia do ideału moralnego, tkwi zdolność do poświęcenia się i bohaterstwa...

„I to jest cała nasza siła twórcza!... Dzisiejsze nasze życie szare, domowe, społeczne, codzienne jest pozbawione tej właśnie siły. Ona jedna tylko zdoła nas podnieść i przetworzyć, ona jedna otwiera wyjście z każdej sytuacyi, daje rozwiązanie każdej kwestyi.

„Moralne pojmowanie świata i cześć dla rzeczy świętych były cechą wszystkich wielkich ludzi historycznych u nas i jest czemś zasadniczem, wrodzonem duchowi rasy... A takie pojmowanie życia i człowieka idzie zawsze przez serce, wychodzi z uczucia i do niego zmierza. Nie uznaje ono fatalizmu i konieczności, nie popada w pesymizm lub filozofię użycia!... Za podstawę wszelkich dążeń społecznych i politycznych bierze ono serce człowieka, duszę indywidualną, rozwija dalej myśl platońską, wyrażoną w jego „Rzeczypospolitej", że społeczeństwo każde jest stworzone podług wizerunku duszy pojedyńczego obywatela.

„Miejmy tedy odwagę przyjąć tę ideę rodzimą, ideę odrodzenia świata przez serce i przez czyn, miejmy tę wiarę w wyższy porządek tego świata, wyższy nad złą wolę i przypadki, przyjmijmy je za na-

czelne pobudki naszego życia, stosując do każdej chwili, do każdej pracy i każdego wypoczynku, do nauki i sztuki, do zabawy i życia codziennego...

„Przed nami niezmierzone pole do działania. Cały obszar wiedzy przyrodniczej, którą trzeba przyswoić, cały obszar historyi, którą trzeba przerobić w myśl idei rodzimych... Cały obszar sztuk pięknych, które trzeba dostroić do naszego ducha, do tonu bohaterskiego. Kult piękna dla piękna — nie nasza to rzecz.

„To są dyrektywy, jakiemi kierować się winien organ opinii publicznej, organ grona ludzi, którzy pragną iść do serca narodu i innych porwać za sobą.

„Cały dalej obszar pracy ekonomicznej, przeniknięty nie gonitwą za złotem, lecz duchem obywatelskim. Całe wreszcie społeczeństwo, które trzeba poruszyć i pociągnąć własnym przykładem!...

„Hasłem tedy naszego dziennika winno być hasło pracy, połączone z hasłem odrodzenia ducha i charakteru. Bez tego wskrzeszenia ducha praca nasza nie przyda się na nic! Wszak pracujemy niby od lat trzydziestu na polu naszych stosunków krajowych i jakież tego mamy rezultaty?!... Po staremu nędza i ciemnota!"

Przerwał—gromkie oklaski zawtórowały jego słowom.

To mówił człowiek, który sam nigdy nie schodził z tej drogi, a z tonu jego głosu przejmującego, rozbudzonej siły ducha, z blasku oczu i rozjaśnionej twarzy biło przekonanie, że pójdzie tą drogą zawsze, do końca życia, choćby przez mękę i beznadzieję... Czuć było, że mówca posiadał wolę słuchaczy i sympatyę, że każdy z obecnych mówił do niego w duchu: — „prowadź"!...

— „Chcąc uniknąć, aby pismo nasze nie było własnością jednostki, nie reprezentowało interesów lub ambicyi prywatnej, zakładamy towarzystwo akcyjne.

„Aby jednak w obozie naszym i w organie naszym panowała zgoda, stowarzyszeni będą przyjmowani większością głosów i, biorąc akcye, muszą się zgodzić na program dziennika. Tym sposobem dziennik staje się organem stronnictwa. Rzucone trzykroć sto tysięcy powinny dać dwadzieścia tysięcy prenumeratorów, te będą reprezentować rocznie brutto dwakroć czterdzieści tysięcy guldenów o nadwyżce czterdziestu tysięcy, prócz inseratów, które powinny rocznie dawać trzydzieści tysięcy. A zatem wówczas wartość dziennika podniesie się do miliona, a jego akcye potroją swój walor. Kapitałem, taniością i rodzajem prowadzenia pisma zdobędziemy, jak sądzę, potrzebną ilość odbiorców, a nawet wytworzymy licznych no-

wych, dziś dla kultury straconych. Tą drogą trafimy do mas, by je podnosić i wieść.

— To się nazywa być Europejczykiem i traktować sprawę szeroko, po amerykańsku, zawołał rozpromieniony dyrektor.

— Tak, tak, szeroko—powtarzano z uznaniem.

Gdy ucichły pierwsze fale entuzyazmu, jaki natchniony poseł swojem przemówieniem wywołał, dyrektor zwrócił się do zgromadzenia.

— Kto z panów życzy sobie przemawiać w tej sprawie?...

— Proszę o głos, odezwał się młody człowiek, jakby z pewnem wahaniem.

Dyrektor wymienił nazwisko, zawiadamiając zgromadzenie i prosząc o ciszę.

Mówca oparł ręce o stół, spojrzał dokoła i z chęcią zapanowania nad wzruszeniem zaczął.

— Słyszeliśmy tu przed chwilą słowa gorące i cenne, padające na dno naszych serc, prawdziwe idee przewodnie. Nie przesadzę, twierdząc. że każda myśl, przez szanownego posła tu rzucona, jest, jak strzała, krwią dymiąca. I dlatego każda z tych myśli jest tak silna, tak w przyszłość płodna, bo wyczerpniętą została z samej głębi narodowego instynktu, a w tem jest ogromna naszego posła zasługa, że w czasach, gdy ten instynkt narodowy został spaczony przez mędrkujących profesorów i magów, on go z wnętrza swej natury napowrót niezmącony wydobył i na światło dzienne pokazał.

Te wielkie idee to idee rasowe i historyczne Polaka, to idee poświęcenia się i bohaterstwa, idee obowiązku dobrowolnego, nie stawiającego sobie granic. Ta wiara Polaka to wiara nie w moc materyalną, lecz w potęgi duchowe wyższe nad wszystko i wszystko przemagające. Cel jego to nie dobrobyt, lecz wyższe życie duchowe, życie Mickiewicza i Słowackiego. Czy dobrze myśli i intencye szanownego posła zrozumiałem?...

— Zupełnie—poświadczył Tadeusz, przypatrując się z uwagą mówiącemu.

— Jeżeli zrozumiałem zamiary, to przyznać muszę, że dróg, jakich pan poseł używa, aby te zamiary wcielić w czyn, w żaden sposób zrozumieć nie mogę.

Słuchacze spojrzeli zdziwieni, dyrektor zmarszczył brwi, Władysław zapytał: cóż tu niejasnego?...

— Te zamiary i te drogi nie przystają do siebie zgoła!... Kto chce dźwigać kraj przez charaktery, przez odrodzenie serca, ten nie może iść w tłum dwudziestotysięczny (bo tam miejsce dla agitatorów), ten musi wypracować wpierw wybraną małą garstkę ludzi, musi przetworzyć ich swoim duchem, podnieść do tego „wyższego życia", o którem szanowny poseł mówił, skuć razem łańcuchem idei i natchnąć do pracy. Niema w dziejach wypadku, aby odrodzenie szło przez tłum.

Dziennik jest i być może ognistem narzędziem ducha ale nie wtedy, gdy jest oparty na tłumie. Wówczas bowiem stać się musi przedsiębiorstwem i prawie niczem więcej, tylko przedsiębiorstwem. Dziennik nasz nie może być ani przedsiębiorstwem, ani interesem. Dziennik, który się zmienia w przedsiębiorstwo, staje się handlem, staje się przemysłem — celem jego zdobycz jak największej ilości odbiorców... Wszystko dla prenumeratorów, wszystko dla tłumu, nic się nie zostaje dla idei, dla prawdy, dla myśli przewodnich społeczeństwa, dla sztuki, dla piękna, dla literatury— nic!...

— Kto nam zabroni? krzyknął Władysław.

— Wy sami, maszyna za sześćdziesiąt tysięcy, sto tysięcy, wyrzucone na oczekiwanie prenumeratorów, sto wyrzucone na dom.

— Jakim sposobem, wytłómacz się, jakim sposobem, wołał gorączkowo wzburzony dyrektor.

— Proszę nie przerywać!...

— Niech mówi, odezwały się głosy.

Młody mówca nabrał w płuca powietrza i dalej ciągnął:

— W przedsiębiorstwie, chcąc zdobyć odbiorców, należy ich pozyskać, schlebiać im, zastosować się do ich gustu, do ich smaku, do ich wymagań. Jeżeli w przedsiębiorstwie naszego dziennika głównym celem zdobycie dwudziestu tysięcy prenumeratorów, musimy wszystkie siły wytężyć, aby liczbę tę zdobyć. Musimy przedewszystkiem służyć tłumowi, chcąc go zdobyć. A jeśli celem naszego dziennika kształcenie społeczeństwa, prowadzenie go do odrodzenia, do ideałów — czyż to jest w waszem założeniu możliwe?... Wy musicie prowadzić walkę zdobywczą na śmierć i życie. Wszystko dla dwudziesto-tysięcznego tłumu, dla jego instynktów i upodobań, aby go tylko pociągnąć i utrzymać. I dlatego tłum będzie dyktował wam wasze zasady, będzie waszą powagą, waszą wartością moralną, zdobycie go w dwudziestu tysięcach głów — waszym ideałem, programem, wytyczną, wszystkiem!...

— Wię cóż? przerwał Władysław.

— Że wy będziecie dla tłumu, a nie tłum dla was. Będziecie grzechotką tłumu, jego echem, jego instynktem. Oscylacya prenumeratorów będzie waszym probierzem i ostrzegaczem, jak prowadzić dziennik...

— Z początku, wyszedł głos ze zgromadzenia.

— „Zawsze! zawołał mówca, codzień trzeba będzie urządzać gonitwę za prenumeratorami, inaczej biada, bo tylko dwadzieścia tysięcy opłacą procent od wielkiego kapitału, rzuconego na dziennik. Będziecie niewolnikami kapitału, a sługami tłumu... Wiemy, czego chce nasz tłum lwowsko-galicyjski, zepsuty na dziennikach wiedeńskich i naszych. Chce przedewszystkiem ciekawej reporterki, sensacyjnych wiadomości, skandali i zakulisowych plotek. Musicie wytężać wszystkie siły, całą energię, aby je mieć z pierwszej ręki, najświeższe, najprędzej podane.

„Im większy skandal, tem większa ciekawość tłumu. Wszystko dla tłumu czyli, inaczej, dla poczytności dziennika... Cóż więc zostanie dla zdrowia społeczeństwa, dla jego wykształcenia?... Wszystko dla rozweselenia tłumu, dla dorożkarzy i kucharek, a cóż dla jego etyki? dla młodzieży i ludzi inteligentnych? Dla nich będzie się pojawiał czasami jakiś oderwany artykuł, który utonie w powodzi banalności dziennika i w potopie jego codziennego tonu. Fejletony wasze muszą podawać kryminalne okropności lub melodramatyczne deklamacye, pełne ckliwości, konwencyonalnego kłamstwa i miłostek! I to będzie wasza sztuka—i to będzie szukanie nowych, niezdobytych dróg i to będzie odrodzenie narodu!

— Może być, że damy z początku grubą strawę masom, ale to pewne, że uczciwą, dorzucił Władysław.

— Uczciwość tej strawy będzie na moralnej wysokości bieżącego skandalu lub plotki i na moralnej wysokości głośnego romansu, który musicie umieścić w fejletonie waszego pisma...

— Dziennik jest zbiorem wiadomości dnia, jest zwierciadłem życia społeczeństwa. Dziennik oprócz tego przeprowadza swoje zasady i swoją politykę! Więc czego pan od nas i od naszego pisma chcesz? mówił rozkazującym tonem dyrektor.

— Mów pan, czego chcesz, wyraźnie, poparł dyrektora Władysław.

— Prosimy o jasne określenie programu, odezwał się Tadeusz.

— Niema nic łatwiejszego na świecie, jak krytykować, trudniej działać, dorzucił ktoś ze zgromadzenia.

— Niema nic trudniejszego na świecie, odparł młodzieniec, jak uczciwie, racyonalnie i dobrze krytykować...

Dyrektor niecierpliwie i lekceważąco machnął ręką. Spostrzegł to młody mówca, i to go jeszcze więcej rozdrażniło.

— Powtarzam, mówił cicho zdławionym głosem, precz z maszyną, precz z wielkim kapitałem, precz z zabijającą konkurencyą! My nie jesteśmy Amerykanami, i nie idzie nam w tem przedsiębiorstwie o „business". Nie chcemy, aby się nas bano, lecz winniśmy pracować, aby nas kochano i wierzono nam. Nie chcemy rozkazywać i narzucać się, chcemy uczyć i prowadzić. Chcemy iść do serca i rzesze za sobą prowadzić.

— Do rzeczy, wołał dyrektor.

— Jakiej pan chcesz rzeczy? Czy iść do serca przestało być dla was rzeczą? Odpowiadajcie! Wielkie to hasło wymówione zostało przed chwilą przez przywódcę waszego.

— Nie cofam się, powiedział Tadeusz.

— Wyrażenie było nowe, artystyczne, dobrze rzecz określające i dlatego posługuję się niem. Postawić dziennik nie dla zdobywania prenumeratorów...

— Więc dla kogóż?

— Dla ludzi. Postawić dziennik dla ludzi — a wtedy ludzie będą go czytać i prenumerować. Rzucić pięćdziesiąt tysięcy i dalej naprzód do światła i prawdy. Dziennik będzie stał, jak sztandar, ludzie będą się do niego garnąć i zwoływać się. To różnica o całe niebo! Wtedy nie robi się obław na prenumeratorów, nie zniżamy się do nich, nie sprzedajemy mu własnej etyki i własnej duszy. Stoimy nieugięci na wysokości naszych zasad, naszych pragnień, naszego smaku i powoli garniemy ludzi do siebie. Nie sprzedajemy się nikomu, tem więcej tłumom, które dźwigać powinniśmy wielkością idei, pięknością myśli, pięknością języka, pięknością formy, — garnąć do siebie sztukę,—tę nieprzepartą siłę, odmładzającą świat!... My pięknością odradzajmy społeczeństwo,—tylko kultura zwycięża, jako rodząca szlachetność, rozum i energię!

„Zacznijmy odbijać pismo nasze na ręcznej maszynie. W miarę wzrostu ludzi, garnących się do nas, będziemy razem z nimi wzrastać i potężnieć.

— I czekać dziesiątki lat, gdy wróg z każdą chwilą się wzmaga i co dzień usuwa nas z naszych stanowisk? przerwał starzec, blady, wystraszony, z wypiekami na twarzy.

— Zdobądźmy najprzód dwadzieścia tysięcy prenumeratorów,

wtedy łatwiej potrafimy ich kształcić, poparł dyrektora z namiętnością w głosie Władysław.

— Wtedy oni będą was kształcić. Gdy nie usłuchacie, biada wam — przeklną was i odejdą.

Nastała cisza, nikt nie zabierał głosu. Siła młodego mówcy podziałała. Zgromadzenie składalo się z ludzi inteligentych, mimowoli odczuwali prawdę. Nie mieli ochoty iść pod bat tłumu, a zawsze radzi byli rozkazywać mu i prowadzić go. Dyrektor zaklinał wzrokiem Tadeusza, aby przemówił i obronił zachwiane stanowisko. Myślą—mówił do niego.

— Broń nas, on nie wie, że my potrzebujemy głosu dwudziestu tysięcy gardzieli, aby zakrzyczeć „tajny kredyt".

— Już w tem może być wielka zasługa nowego dziennika, odezwał się Władysław, jeżeli Żydów odciągnie od „Neue Freie Pressy", a nauczy ich czytać po polsku!

— Czem odciągnie? przerwał gwałtownie młody człowiek, telegrafowanymi kursami, obfitością banalnych telegramów i taniością? Czy oduczać Żydów od wiedeńskich pism jest celem naszego dziennika?... Co nam z tego przyjdzie? Dla Żydów to tylko kwestya oszczędności paru rocznie guldenów. Czyż o to powinniśmy się ubiegać?... Niechaj Żydzi przyjdą do nas, porwani świetnem prowadzeniem naszego pisma, jego etyką, jego kulturą, jego pięknościami, jego sprawiedliwością... Niechaj tem wszystkiem zwabieni przyjdą, — a niezawodnie najlepsi się zjawią... Stara ta rasa żywotność swoją zawdzięcza łatwej zdolności przyswajania sobie zdobyczy cywilizacyi. Z handelesów i giełdziarzy nic nam nie przyjdzie. Jakikolwiek jest tłum, zawsze jest tylko tłumem, niosącym najstraszniejszą niewolę, bo niewolę ducha. A cóż dopiero zależeć od żydowskiego tłumu?... Straszne!...

Spojrzał po zgromadzeniu, odpowiedziano mu ciszą — mówił dalej:

— Jestem pewny, że dziś wnioski moje padną, lecz ich prawda jutro ściskać wam będzie gardła do uduszenia. Nie jestem czyniącym politykę dnia dla dnia; nie walczę ze stronnictwami o prenumeratorów, nie jestem sługą tłumów, nie poświęcam dni moich dla rozweselenia i zabawy kucharek i dorożkarzy - i dlatego odchodzę, życząc wam przyjemności w uściskach z tłumem...

Zatrzymał się.

— Jeszcze jedna uwaga. Jeżeli liczba prenumeratorów pism codziennych wynosi trzydzieści tysięcy, to, odbierając im dwie trzecie, zabijamy życie tych pism lub je niesłychanie ubożymy.

We Lwowie wychodzą cztery codzienne pisma. Zawsze są to cztery ogniska życia umysłowego. Być może, że są słabe, niedołężne, niezgodne z naszemi zasadami... Pojmuję konkurencyę, walkę o byt, wszystko... Lecz gdy zdusimy cztery ogniska życia umysłowego lub byt ich podkopiemy, co damy w zamian za to narodowi? Tańszą bibułę i więcej jej? Skończyłem i żegnam panów...

Skłonił się i wyszedł.

Starzec podniesioną ręką zrobił za nim znak krzyża. Spojrzenie jego w tej chwili skrzyżowało się ze wzrokiem Tadeusza. Z tego starcia, jak błyskawica, oświecił ich: „tajny kredyt”.

Tadeusz przemówił:

— Znam wielkie pisma angielskie, mające po sto tysięcy prenumeratorów, świetnie redagowane w każdym kierunku. Jeżeli do ich utrzymania potrzeba pięćdziesięciu tysięcy prenumeratorów, to za dochody z drugiej połowy mogą robić wielkie nakłady i nie bać się pierwszej połowy swych prenumeratorów. To samo i my, gdy pozyskamy dwadzieścia tysięcy, a potrzeba nam dziesięć do naszego życia, to dochód z drugich dziesięciu tysięcy można oddać na duchowe dźwignięcie organu, o jakiem mówił przed chwilą reprezentant młodzieży. Tymczasem dziś musimy być przedsiębiorstwem, idącem prosto do celu, zdobycia wszelkimi godziwymi środkami dwudziestu tysięcy prenumeratorów. Dwadzieścia tysięcy to armia, jej głos, razem wzniesiony, jest silny. Gdy stanie ramię przy ramieniu to mila, Jej siła to prawo, jej groźba to rozkaz, wywołujący posłuszeństwo.

— Niech żyje dziennik z dwudziestoma tysiącami prenumeratorów, krzyknął Władysław.

— Niech żyje! powtórzono wesoło.

Dwadzieścia tysięcy śmiało się do zgromadzenia.

— Dzisiejsi młodzi, zawyrokował starzec, nie mają wyobrażenia o wychowaniu mas, panując nad ich namiętnościami.

— Należy przedewszystkiem postarać się, aby się nauczono czytać nasze pismo, a my wtedy będziemy go uczyć na pamięć „Ojca zadżumionych”, zabrał głos stary z roku 48-go liberał, dla którego Słowacki w „Ojcu zadżumionych” stworzył niedościgłe arcydzieło. Potem, mówił dalej, nauczymy go muzyki, śpiewu, tańca, malarstwa i tym podobnych sztuk wyzwolonych, ale gdy już dużo innych się rzeczy nauczą.

— Dla ludu, rzekł Władysław, jest jedna wielka nauka: kochać Boga i bliźniego, innej nie potrzebuje.

— Po cóż więc dzienniki? zapytał smutno Wit.

— Po co? aby wielką miłość rozwijać w zastosowaniu i szczegółach, odparł śmiało Władek.

— Nauczyć go rozumu, aby nie dał się stańczykom wodzić za nos, słuchał nas i szedł pod naszą komendą, zawyrokował liberał z 48-go roku, dziś stary dziennikarz.

— A to mądre powiedzenie, oświadczył dyrektor. Przyjmujemy kosztorys dziennika, ułożony przez Tadeusza. Kochanego mego kolegę i przyjaciela zapraszam do objęcia i skompletowania redakcyi!... Od dziś za miesiąc wyrzucimy z rotacyjnej maszyny dwadzieścia tysięcy egzemplarzy pierwszego numeru naszego pisma. Niech poznają nieprzyjaciele naszą siłę! Pierwszy wstępny artykuł napisze Tadeusz. Panowie w sprawach redakcyi i administracyi raczcie się porozumiewać z naszym przyjacielem, dziś redaktorem, w sprawach pieniężnych — z Władysławem, — oni zaś między sobą... Sprawa byłaby skończona w pół godziny, gdyby nie deklamator, który nam tyle czasu zabrał. Lecz przekonaliśmy się, że deklamacye są, jak mgły, które rozbija słońce prawdy. Od dziś za miesiąc zbierzemy się w drukarni wobec pierwszej maszyny rotacyjnej w Galicyi przy narodzinach naszego pisma. Maszyna tworzy cywilizacyę.

— Albo ją zabija, pomyślał w duchu Wit, lecz wobec ogólnego ożywienia i nastroju nie śmiał tego powiedzieć głośno.

Zebrani, rozpromienieni przyszłem panowaniem nad tłumem, wierzący, że każdy przez nich napisany wyraz będzie czytało sto tysięcy oczu, upojeni swą przyszłą władzą i chwałą, rozchodzili się grupami, rozprawiając żywo i wesoło.

— Zdobywamy potęgę po potędze, rzekł cicho dyrektor do Tadeusza. Obronę budżetu w radzie państwa i dwudziesto-tysięczną armię, która będzie mieć te same opinie, co ty, i potrafi ich bronić. Nie będziesz już odosobniony w parlamencie, nie będziesz tam sam, wejdziesz z dwudziesto-tysięczną armią.

ROZDZIAŁ XXIII.

Szyb skończony — nad wejściem do niego wznosiła się szopa, osłaniająca windy. Na powierzchni panował wielki ruch, — bita droga przecinała dolinę kopalni. Po obu jej stronach wznosiły się budynki, mieszkania dla robotników, dom zarządu, wielki komin dźwigał się w górę, kotły, zagłębione w ziemię, jęczały od wrzenia

gotującej się wody, poruszając maszyny do wind i odciągania zbytku z kopalni wody.

Tadeusz, okryty płóciennym kitlem, spuszczał się windą do szybu. Na dole czekali na niego sztygarzy i robotnicy z zapalonemi lampkami. Stanęli w szychcie, ostemplowanej drzewem.

Dwu sztygarów poszło naprzód, za nimi Tadeusz.

— Cóż? zapytał gorączkowo starszego.

W odpowiedzi sztygar podniósł w górę zapaloną lampkę i przysunął do ściany.

Przytłumione westchnienie rozpaczy wydobyło się z piersi Tadeusza.

Ściana przedstawiała dwa metry węgla, lecz w dwu miejscach widać było dwie gliniane przerwy, dwa paski, jeden dziesięć centymetrów szerokości, drugi szesnaście.

— Dyabelnie pasy te utrudniają pracę, mówił sztygar, szerokość nie jest równa, wydobywanie węgla ciężkie i wartość jego nieosobliwa.

Tadeusz wpatrywał się w ścianę, jak w fatum, które miało go zgruchotać.

— Panie dyrektorze, szepnął stary sztygar, sprowadzony z polskiej Ostrawy, co się stało, już się nie odstanie, cofać się i uciekać niema co. W jednej szychcie ostrawskiej było to samo. Szliśmy jednak. Po trzydziestu metrach środkowy pasek zaczął się zwężać, po czterdziestu zmienił się we wstążkę, a po pięćdziesięciu znikł zupełnie. Węgiel w jednej bryle o dwa i pół metra grubości był twardy i połyskliwy, jak dyament. A nuż i tu?...

— Dwa przedziały, dwa pasy gliny, szepnął Tadeusz.

— To gorzej, poświadczył sztygar, ale mogą prędzej zniknąć,

— W Ostrawie nie było tego wypadku, aby zniknęły dwa.

— Bo nie spotkaliśmy się z dwoma. Widocznie są rzadsze lecz zato może i krótsze.

— Pytanie, w którą stronę iść.

— Na wschód panie dyrektorze, ku wschodowi się pogłębia, a więc i w grubości urośnie.

— Praca ciężka?

— Ba! trzy razy cięższa. Glinę kopać, odwalać, wywozić lub się w niej ryć. Panie dyrektorze, dojdźmy do samego węgla, a jesteśmy takimi panami, jak barony w Ostrawie. Staną tu zaraz koleje na cztery części świata, tysiące robotników. Miasto powstanie, fabryki, zakłady, młyny, Bóg wie nie co. Tak samo, jak w Ostra-

wiel... Te dwa paski gliny to może po to tylko zesłane przez Boga, aby nas doświadczyć, aby wypróbować naszą wytrwałość.

— Cobyś robił, stary, gdybyś był na mojem miejscu?

— Kopałbym, bo nic innego nie umiem. Tem więcej, że i z wodą dajemy sobie radę,

— A gdybyś umiał jeszcze co innego?

— Kopałbym, dyrektorze, bo wierzę, że Bóg nas doświadcza. Gliniane paski znikną, a węgiel sam zostanie.

— Może próbować wiercić w innem miejscu?

— A gdy będą paski, a przy wierceniu węgiel je w świdrze zasypie? Próżne koszta i szkoda czasu. Czas tu więcej znaczy, niż pieniądz. Wodę trzeba tu pompować ciągle, czyż mało to kosztuje?

— Radzicie więc?

— Kopać, kopać — głośnym szmerem odezwali się robotnicy. Kopać, a Bóg nas doprowadzi do czystego węgla!

— Paski się zmniejszają, odezwał się jeden z robotników. Wyjął z cholewy metr, rozłożył go i pokazał na nim.

— Górny pasek z szesnastu zeszedł na czternaście, dolny na siedem centymetrów.

Tadeusz pochwycił metr i poszedł szybko, poprzedzany przez sztygarów, oświecających mu drogę.

— Tu, tu, wołał robotnik, wysuwając się naprzód, tu moja szychta.

Ukląkł na ziemi i oświecił na dolę ścianę. Tadeusz pochylił się, zmierzył na dole, zmierzył na górze. Szerokości, podane przez robotnika, były prawdziwe.

— Niechże dyrektor spojrzy z pewnej odległości, a my poświecimy.

Robotnicy kucnęli, przybliżając lampki do ściany — żółte smugi gliny w czarnej masie zmniejszały się widocznie. Tadeuszowi wargi drżały, oczy mu świeciły, oddychał powoli, głęboko. Serce rozsadzała mu radość, nadzieja zapierała oddech. Miał ochotę chwytać w objęcia robotników, ściskać ich i całować.

— Starzec mój rozpogodzi czoło, „tajny kredyt" odleci, jak dusząca zmora, Podkarpacie uratowane, dziennik, wielkie inwestycye, on na czele, — Marynia! Miał ochotę klęknąć, objąć jej kolana i całować!

— Mówię, że glina powoli zniknie, odezwał się sztygar.

— Musi, za wolą Boga, rzekli chórem robotnicy.

— Musi, musi! powtarzali.

— To chyba, panie dyrektorze, nie chwilowy przypadek, ginie, bo takie jej prawo, ginie, zgnieciona przez węgiel.

Tadeusz, wzruszony, wyciągnął do niego rękę.

— Kochany kolego, rzekł, oby słowa twoje były prorocze! Może duch, co widzi w ciemnościach, mówi przez ciebie.

— Bóg da, że mówi, powtórzyli robotnicy.

— A więc naprzód — rzekł Tadeusz, podnosząc w górę rękę..

— Idziemy, bo musimy, dokończył sztygar. Jeżeliby gliniane pasy nie skończyły się, to widocznie Bóg nas przeklął.

— Za co? za co? głośnym szmerem pytali robotnicy. Czy nie pracujemy uczciwie, czy nie kochamy tej świętej ziemi i dzieci naszych, czy bijemy nasze baby, czy się upijamy i marnujemy ciężko zapracowany grosz? Bóg jest sprawiedliwy!...

— A może, chłopcy, ja jestem grzesznik, i mnie Bóg karze, bo, jeśli paski nie zginą, ja będę najwięcej ukarany.

— Jeśli tak, to powinny piorunem zniknąć, odpowiedzieli. O ile słychamy od ludzi w Wyżnicy, to panoczka ino do rany przyłóż, a zaraz się zgoi. Krzywdy panoczek nie robi, a nieba radby przychylić. Robotnicy wiedzą o swoich panach z poza dziesiątej granicy. I, jeśli idzie ino o grzechy pańskie, to glina dziś powinna się skończyć.

Podnieśli w górę lampki i zawołali:

— Na szczęście, na zdrowie — no i naprzód, hura!!

Tadeusz obejrzał stemple, kolejkę, idącą środkiem, przyglądał się szychtom, pracy robotników, ważył w rękach węgiel i klął w duchu pasy gliny, odbijające się wśród czarnej masy, migocącej od światła lampek.

Kilofy, zapadając się w węgiel, głucho jęczały, tłumiąc odgłos, praca szła z namiętnością i energią młodych muskułów. Była ciężka i trudna, grube masy gliny, wtłoczone w węgiel, przeszkadzały. Górnicy, biegli w swym zawodzie, ryli się w głąb, jak krety.

Tadeusz z drżeniem serca wpatrywał się w ciężką pracę, w zmarnowaną energię i stracony czas robotników. Smutek i ciężkie przeczucie obsiadły mu serce i mózg. Myśli rozbijały się o szklistą ścianę węgla i żółte pasy gliny, patrzące na niego, jak przekleństwo.

— Zaco mnie przeklinacie, czego stoicie na mej drodze i zabijacie mnie w sile mej młodości? Za co? za co? powtarzał. Kilometr jednolitego węgla i nic więcej od losu nie wymagam. Boże, czyż to tak wiele? Skąd się te pasy gliny wzięły, dlaczego ich nie zobaczyłem w świdrze?...

Oczy przecierał, zdawało mu się, że śni — i znowu patrzał na grube pasy gliny i ciężką pracę robotników.

Wyładowano wózek węglem, pchając go po żelaznej kolejce do szybu.

Tadeusz nie chciał się dłużej torturować ciężką pracą robotników, świdrowało mu w mózgu: a może się nie opłaci! Na tę myśl czuł, jak mu włosy dźwigają się w górę, oddech staje się krótszy i dreszcze przebiegają mu ciało. Łańcuchy zabrzęczały, stanął na windzie, w parę minut wydobył się na świat.

Dyrektor niespokojny, z oczyma, świecącemi, jak fosfor, przyskoczył do Tadeusza.

— Co? szepnął, więcej mówić nie mógł.

— Są, odparł Tadeusz, dwa pasy gliny. Gdyby był jeden!

— I cóż?

— Gdybym je odkrył na świdrze, nie kopalibyśmy tutaj.

Starzec blady milczał, wargi mu drżały.

— Dlaczegom ich nie odkrył, to już fatalizm, to tajemnica, której odgadnąć nie mogę.

— Może to podłość drugich?

— Nie wierzę w tak wysoki stopień nikczemności — nie widzę interesu i nie widzę możności. Nie oczerniajmy tak ludzi, bo dla kogóżbyśmy pracowali?

— Stało się i co dalej?... Tylko ostrożnie ze starym, Tadziu, bo mu może odrazu serce pęknąć, a jakżebyś ty sam dał sobie radę?

Tadeusz zaplótł palce u rąk i milczał. Stali długą chwilę.

— Mów — bo chwila ta tak ciężka, jak chwila przed rozstrzelaniem.

— Wiele dotąd wydaliśmy tajnego na drugi milion?

— Połowę. Kotły, maszyna do pompowania wody, windy, kolej konna do Kołomyi.

— Dwie są drogi — albo się cofnąć i zostać z półtora milionem tajnego.

— Albo, szepnął starzec.

— Iść naprzód w nadziei, że niedługo skończy się glina.

— Czy to możliwe?

— Możliwe — lecz i możliwe, że węgiel zacznie znikać, a powiększać się glina. Robotnicy dostrzegli zmniejszanie się pasów gliny. Sprawdziłem zmniejszanie, lecz jutro mogą się rozszerzać.

— Straszne! nie masz litości nade mną!

— Łudzić cię byłoby straszniejsze. Musisz sam zdecydować, co dalej robić. Urwać lub iść dalej?

— Co mówią sztygarzy i robotnicy?

— Kopalnia jest ich życiem, pozostaniem w kraju i, jak wszyscy górnicy wierzą w szczęście, przyszłość, cud, w to, że dziś jeszcze glina się skończy.

— Szczęśliwsi od nas!...

— Nie mają na barkach „tajnego".

Obejrzał się, szepcąc:

— Cicho! wiatr szpieg, może wyraz złapać i zanieść go. Nie powiesz żadnej pociechy, żadnego ciepłego wyrazu. Ty, optymista, nic nie masz, ani jednej kropli balsamu na rozpalone nerwy starca.

— Starcze, daj mi tę kroplę, a rzucę się do twych nóg!

— Są, lecz musisz mi powiedzieć jedno: czy masz nadzieję w tę kopalnię?

— Mnie nie wolno mieć nadziei, musimy mieć pewność, a tej pewności niema dotąd.

— Lecz może być za miesiąc?

— Nie wiem.

— Musi być, rzekł z dyszącą namiętnością w głosie. Musi, inaczej palmy sobie w łby obydwa. Jeżeli jest nadzieja, można jechać. Największa dziś władza w Wiedniu w rękach, które pragną wydrzeć Austryę z pod panowania Niemców. Póki on u władzy, nie boję się, nic mi nie będzie, jestem absolutnym panem w kasie.

Tadeuszowi błyskawica rozjaśniła mózg, zrozumiał wszystko, wstrząsnął nim wewnętrzny dreszcz. Oczy rozwarł szeroko i patrzał na dyrektora.

— Czuję, żeś odgadł tajemnicę, szepnął.

— Widzę ją w twoich oczach. Póki on nie padnie, jesteśmy bezpieczni. W tych warunkach iść czy się cofać, ratować się czy padać. Upadek straszny dla ciebie — bom ja stary, ratunek może przyjść jutro, za miesiąc lub dziesięć miesięcy. Zawsze węgla dziś kopią tyle, że większą połowę produkcyi opłaci. Wielkich wydatków nie będzie. A wisieć czy za jedną nogę, czy za dwie, wszystko jedno. Decyduj, lecz ci radzę nie maltretować siebie, Maryni i mnie. Co myśmy ci winni? Kochamy cię, to cała nasza zbrodnia. Oddajemy ci wszystko, co mamy, ona—serce i przyszłość, ja—życie i hańbę. Zerwiesz — padamy: ty, ona i ja. Siebie zmaltretujesz, a dziewczynę i mnie zabijesz. Ze mnie niewiele pociechy — lecz ty i dziewczę? Pomyśl: ty i dziewczę. Czyś ty wypełnił zadanie życia? Zerwiesz, przyszłość twa zmarnowana, a Marynia? Biedne narzeczone bohaterów, cofających się z połowy drogi!

Tadeusz, dręczony, nie odpowiadał.

— Tadziu, milczysz? A nuż za tydzień glina zniknie, przecież się zmniejsza. Nie chcesz dalej iść? Sprzedaj kopalnię!

— Z dwoma pasami gliny nie znajdziemy nabywcy.

— A więc kopmy, póki pasy nie znikną.

Tadeusz pochwycił go za rękę nerwowo.

— A jeżeli „tajny kredyt" urośnie do pięciu milionów, a pasy gliny się nie skończą?

— To się skończą na szóstym i wszystko odda się razem. Inaczej zostajemy z „tajnym", który z procentami urośnie niedługo do dwu — i śmierć. Ja sobie w łeb nie strzelę, bo przecież ciebie bronić muszę. Nie chciałem być psem na łańcuchu, obrożę zdjąłem, a ty czemże mnie chcesz uczynić?

Tadeusz położył mu ręce na ramieniu i patrzał w twarz.

— Tragizm nas złączył i prowadzi swoją fatalnością...

— Tragizm to narodowy, społeczny, a nie nasz osobisty, odparł starzec. W innem społeczeństwie takie jednostki, jak my, nie potrzebowałyby kraść, aby coś robić. Mielibyśmy już własne miliony i miliony jawnego kredytu. W społeczeństwie niewyrobionem bohaterowie jego trzodę pasą lub kradną. My nie kradniemy dla siebie, my dla siebie nic nie mamy, nawet słowa uznania. Inaczej nie wisiałby nad nami tragizm naszej doli... Niema wyboru, jazda dalej aż do miejsca, gdzie się skończą gliniane pasy.

Tadeusz walczył z sobą.

— Inaczej nie wolno ci! zawołał dyrektor, za tobą stoją: starzec, który ma prawo czegoś od ciebie żądać, i dziewczyna, która ma prawo wszystkiego żądać od ciebie. Zabiłem cię i pragnę wskrzesić, choćbym miał głową i hańbą nadłożyć. Zabójstwo jest strasznem uczuciem. Czyż się dziwisz, że drżę na samą myśl możności wskrzeszenia cię! Ja, biedak, obdarłem kraj na dwadzieścia milionów, sam nie mając nic!

Schwycił się za włosy i targał je....

Tadeusz, zwyciężony, uściskał go.

Celestyn, strzygąc uszami, a twarz krasząc dobrodusznym uśmiechem, podszedł do dyrektora.

— Cóż postanowiono? spytał. Glina, przepoławiająca węgiel, nie przestraszyła pana posła. Idziemy dalej?

— Musimy, rzekł spokojnie starzec.

Celestyn pochylił na zgodę głowę.

— Lecz co się stało, rzucił dyrektor pytanie, że w próbnym świdrze nie było gliny? Wpatrywał się piorunująco w twarz Celestyna.

Młody człowiek zniósł badawczość spojrzenia spokojnie. Ani jeden muskuł nie zadrgał mu na twarzy. Wytrawny był to gracz i przygotowany.

— Nie jestem do tyla górnikiem, odpowiedział z godnością, aby tę zagadkę rozwiązać.

— Szkoda, rzekł dyrektor sucho.

— Wysokość mej wiedzy określiłem przed przyjęciem służby.

— Nie lubię tego wyrazu „służba". Nie lubię sług. Ja pragnę, aby ludzie, nas otaczający, byli przyjaciółmi naszymi i razem z nami, pod jedną chorągwią pracowali Wszystko to — dyrektor powiódł ręką po całym obszarze — sumy kosztuje. Tadeusz nie ma czasu wglądać w szczegóły i mnie zamianował na generalnego buchaltera kopalni.

— Bardzo szczęśliwy wybór, dziś złożę rachunki.

— Co niedziela będę przyjeżdżał przeglądać księgi.

— Serdecznie i z radością przez nas widziany.

— Trzeba oszczędzać — pasy gliny mordują nas. Musimy wytrwałością zwyciężyć je, póki się nie skończą. Za dużo się wydało.

Tadeusz pracował dwie godziny w kancelaryi, lecz nie był w stanie objąć ogromu wydatków i sprawdzić ich. Zresztą jego optymistyczne usposobienie nie pozwalało mu przypuszczać, że ludzie, otaczający go, mogą być łotrami. Wszystkich miał za żyjących dla idei i sprawy.

— Przecież to prawdziwa rozkosz i jedyna pociecha żyć dla idei. Czyż warto żyć bez niej? Bał się pasów gliny, przecinającej węgiel.

— Jeśli się prędko nie skończą, powtarzał.

Dreszcze zgrozy przechodziły po jego ciele, i ból serca coraz go więcej przejmował.

Wieczorem, po odjeździe dyrektora i Tadeusza Celestyn przyniósł z piwnicy na zakończenie wieczerzy „butelczynę szampitra". Odkorkował i nalał dla siebie i młodego inżyniera.

— Panie Janie, wielkim jest dzień dzisiejszy dla nas. Primo: kopią dalej—secundo: muszą; rozumiesz, co to znaczy: muszą?

— Jak kopią, to muszą.

Celestyn podniósł kieliszek do góry.

— Na cześć twej głupoty, a mówiąc wytwornie, naiwności!

Trącił o kieliszek inżyniera, wypili duszkiem.

— Muszą, to znaczy, że za późno się cofać... Zadużo wzięli z kasy i, aby odbić, muszą iść dalej, do zaniku gliny w węglu albo na

śmierć. Janie, my nie umrzemy, my uczciwie wyzyskamy życie, zjadając z niego kożuszek. Lubisz delikatne kożuszki życia—co?... A teraz nie powiesz, czym nie mądrze zrobił, przywożąc parę kawałków węgla pod świder! Czy teraz wierzysz w mój rozum?

— Jak w ewangelię, zawołał Jaś. Na cześć twego, mistrzu, rozumu — będzie mi przyświecał w życiu, jak słońce!

Wypili duszkiem.

— A jakby ośmielili się być dla nas niegrzeczni? spytał Jaś.

— Sami biorą miliony, jakże mogą karać nas za to, że bierzemy tysiące? Niech tylko mnie nie przyprowadzają do ostateczności.

— Kochajmy się, zawołał rozczulony Jaś.

— Kochajmy ludzkość, a w niej najpiękniejszy kwiat — kobietę. Na cześć naszych boskich kobiet...

Celestyn był poetyczny i górnolotny. Jaś, wychylając toast, miał łzy w oczach.

Rozgrzany mistrz wyciągnął drugą „butelczynę szampitra” Przy niej śpiewali piosenki, zapamiętane z wesołych zebrań.

ROZDZIAŁ XXIV.

Wyżnica, d...

Kochany Tadziu!

„Rozwijamy się gorączkowo, rośniemy z każdą chwilą. Nasz „Kasper”, szyb, zbudowany tuż przy „Jakóbie”, bucha ropą. Niestety, nie daje dwudziestu wagonów dziennie—lecz zaczął od ośmiu, a teraz się unormował na pięć i już drugi miesiąc nie omylił się w liczbie wydajności ani o jedną beczkę. Inne szyby, pogłębione, powiększyły ilość ropy. Co za szczęście, że poczciwy „stary” podał nam rękę kredytem, że mogliśmy dla siebie zbudować rurociągi.

„Kopalnia nasza w wartości dojdzie od ośmiu do dziesięciu milionów, jeżeli (zawsze to przeklęte jeżeli) znajdziemy w przeciągu miesiąca osiemkroć sto tysięcy guldenów pożyczki.

„Już więcej z kasy czerpać nie możemy. Nie chcemy, nawet nie śmiemy nic już więcej żądać od „starego”. Liczymy na ciebie, że nam tę pożyczkę w Wiedniu, w Niemczech, w Europie wyrobisz. „Wyżnica” czarodziejska nazwa dla świata bankierskiego, w której za milion zdobywa się dwadzieścia!...

„Tadziu, znajdź nam osiem razy po sto tysięcy, a wtedy staniemy na dziesięciu milionach. Idzie o kupno kawała przepysznego terenu i odrazu zbudowania na nim ośmiu do dwunastu szybów.

Jeśli się nie pośpieszymy, mogą nas ubiedz Niemcy z anglo-niemieckiego banku.

„Mając osiem razy po sto tysięcy, nie boimy się samego Lucypera! Stoimy silnie, że nas nikt nie będzie mógł podważyć.

„Projektujemy, aby we Lwowie zakupić dwa domy i wolne place, między nimi zbudować i założyć jeden wspaniały dom, w którym służbę będzie pełnić elektryczność. W domu tym pomieścimy drukarnię i redakcyę naszego pisma i redakcyę „Nafty" — stowarzyszenia przemysłowe, na górze biura naszych przedsiębiorstw i wiele, wiele innych... Wszystko to będzie się dziać po zdobyciu przez ciebie pożyczki.

„Tadziu, jak zawsze, tak i dziś, los nasz i przyszłość w twoich rękach. My osobiście nie mamy ani czasu, ani możności zdobycia tej sumy zagranicą. Ty jeden jedyny z Polaków możesz to zrobić. Nie krępuj się procentami. Możesz dociągnąć do dwunastu od sta. Pożyczka niedługo będzie trwać — idzie o pośpiech. A czy się zapłaci procentu osiemdziesiąt tysięcy czy sto, to już mała różnica.

„Jakże pragnęlibyśmy uściskać cię! Telegrafuj, bo pisać nie masz czasu".

Twoi na wieki
Wit i Władek.

Po przeczytaniu listu Tadeusz zerwał się, jakgdyby wstrząśnięty iskrą elektryczną. Pomagać, dać możność wypłynięcia na szerokie wody było zawsze dla niego uczuciem przyjaźni, obowiązkiem, koniecznością, lecz jeszcze w tej chwili jakaś myśl nowozrodzona w nim szeptała, że to jedyna jego nadzieja. Nadzieja ta dla zmęczonego umysłu była w tej chwili rozkoszną, upajającą wonią, kojącą wzburzone jego nerwy.

— Wydobyć ich na szeroką widownię, zawołał, jak się wybili nowem pismem. Dać im odetchnąć, któż wie, może się zjawią i u nich dwa lub trzy „Jakóby".

Gdyby, myślał nieśmiało, jak przez mgłę, pasy gliny w naszej kopalni nie skończyły się, mogliby ją nabyć za cenę „tajnego kredytu" i wyratować nas.

— Nie bądź egoistą, zawołał głośno, uczucie przyjaźni i wiara, że to są ludzie idei, powinna ci wystarczyć.

A jednak, a jednak, szeptało mu pragnienie duszy, wyciągającej ramiona do nadziei w imię młodości, gdy będą mieli dosyć, nie opuszczą mnie, nie dadzą mnie na hańbę, a starca na sromotną śmierć.

Nie, nie, powtarzał coraz głośniej, pochwycił papier i pisał wielkiemi literami telegram:

„Przysłać oszacowanie kopalni, ilość szybów i ich głębokość, wydajność każdego szybu od początku istnienia...”

Zerwał się, pióro rzucił.

Treść telegramu mego dziś jeszcze mogą znać dyrektorzy banku anglo-niemieckiego. W tej chwili się domyślą, że idzie o pożyczkę i w tej chwili poślą tę wiadomość do Wiednia.

Pisał dalej drobnemi literami.

„Przysłać dochód poszczególny każdego szybu i ogólny dochód kopalni; wartość fabryki, narzędzi wiertniczych, wydatki i dochód netto. Wszystkie te dokumenta odesłać mi wprost do Wiednia — dziś na noc wyjeżdżam.

Miałem pisać wstępny wielki artykuł do naszego pisma, lecz cóż znaczy słowo wobec czynu... Najnowsi filozofowie mówią, że słowo to najpotężniejszy czyn!... Być może, że słowo, jak iskra Boża, zapładnia czyn, lecz czynem nie jest. Do czynu więc!... Wytężę siły — inaczej się szuka pieniędzy nie dla siebie.

Pismo nasze ciągle jest w stadyum zdobywania szturmem prenumeratorów. Na dokończenie jego dzieła dosyć tych sił, któremi dziś rozporządza. My możemy przyjść wtedy i pewno przyjdziemy, gdy się zacznie kultura zdobytego tłumu.

Tymczasem zdobywajmy grunt pod nogami. Czekajcie mego telegramu, może wpaść, jak błyskawica”.

Wasz oddany
Tadeusz.

Po przybyciu do Wiednia wpadł do ojca Ketti. Poczciwy bankier nabył od Tadeusza wszystkie jego udziały rafineryi w chwili, gdy mu Marynia naznaczyła sześciotygodniowy termin zabrania jej do Wyżnicy, za te pieniądze stawiał dom na przyjęcie oblubienicy. Bankier zrobił świetny interes, serdeczność między nimi została, Ketti, przekonawszy się, że młody szlachcic polski nie posiada milionów, z giętkością zdrowego rozsądku, z którego słyną Niemki, a przedewszystkiem córki bankierskie, przyrzekła swą rękę synowi jednemu z kolegów swego ojca. Nie był szlachcicem, tem więcej polskim, nie był posłem do parlamentu, nie był przyjacielem polskich książąt, nie bronił austryackiego budżetu, nie słynął z wymowy, lecz za to był wesołym chłopcem, śmiał się głośno, ładnie tańczył i zdradzał spryt, że majątku nie tylko nie straci, lecz go podwoi. Ketti

była zadowolona, bawiła się z narzeczonym, jak z wesołym chłopcem, i wesoło w przyszłość patrzała.

— Wyżnica—czarodziejskie słowo w Wiedniu od czasu, kiedy Otto, zrobił w niej interes dwudziesto-miliónowy, mówił bankier. Idzie o pożyczkę ośmiukroć —zostaw, kochany panie Tadeuszu, wykazy kopalni panów Witolda i Władysława, przejrzę je dziś w nocy — a jutro na giełdzie poszukam chętnych. Jaki procent?

— Osiem, dziesięć, do dwunastu najwyżej, rzekł Tadeusz, przy wszelkiej gwarancyi i pewności.

— Trochę zamało, bo to widzisz, robota w przemyśle, mogą zajść nieprzewidziane wypadki.

— Ja ich nie widzę.

— I ja nie, rzekł bankier, lecz je zobaczy ten, kto będzie pożyczał.

Nazajutrz przed otwarciem giełdy ruch był wielki w salonach, na kurytarzach i gabinetach bankierów.

W południe przyjechał Tadeusz, czekał na niego ojciec Ketti— wziął go pod ramię.

— Mam trzech gotowych. Po poznaniu sprawy pierwszy żąda dwadzieścia procentów zgóry, drugi dziewiętnaście, ostatni osiemnaście i, jak się domyślasz, zahypotekowania sumy na kopalni z prawem pierwszeństwa jej nabycia.

— Wszystko dobrze, odparł Tadeusz, i na wszystkie obostrzenia zgoda, lecz mam pełnomocnictwo brać pożyczkę najwyżej na trzynaście procentów.

— Chodźmy do ostatniego raz jeszcze spróbować.

Bankier, zimny, jak lód, starał się być tak wielkim panem, jak Rotszyld — nie ustąpił ani jednego procentu.

W chwili, gdy Tadeusz odchodził, młody człowiek, pracujący u bankiera, spojrzał znacząco na niego i zwrócił na siebie uwagę.

—No, kochany przyjacielu, mówił w bufecie ojciec Ketti, kończąc przy ostrygach butelkę Chabli, na którą go zaprosił Tadeusz. Powiem ci tajemnicę, którą i ty pewno umiesz na pamięć. Ketti się w tobie kochała! Wiedziałeś o tem, jestem pewny. I, gdyby, nie ta piękna i dystyngowana panna, krewna księżny — pokazała mi ją Ketti w operze—gdyby nie ona, ożeniłbyś się z Ketti. Mybyśmy cię potrafili ocenić, potrafili podać ci rękę, pomódz ci i iść razem z tobą. Gdybyś był z nami, nie sprzedałbyś „Wyżnicy”, nie sprzedałbyś największej w Astryi rafineryi. Nie żebrałbyś głupich osiemkroć stu tysięcy na osiemnaście procentów. Dziś, kochanku, jako mąż Ketti, wart byłbyś tyle tu na tej giełdzie, że weksel z twoim podpisem

wystarczyłby na pięć milionów. I ten, ktoby go miał, spałby spokojnie. Ty, jako mąż Ketti — dziś pan Wyżnicy, oparty na trzydziestu milionach, w perspektywie mający sto, inaczejbyś chodził po naszej giełdzie i innebyś hołdy odbierał, a tylko dlatego, że byłbyś z nami, a my wspieramy swoich i bronimy swoich...

I kazał podać butelkę szampana i, pijąc ją z Tadeuszem, podochocony, mówił dalej:

— Wzgardziłeś Ketti, a pomijając, że to moja córka, mówię ci, spryt i rozum u tej dziewczyny wielki! Pokaż mi piękniejsze ramiona w całym Wiedniu! Widziałeś je i nie dałeś się złapać!... A teraz powiedz, co ci dali, co dla ciebie zrobili twoi towarzysze, koledzy, przyjaciele? Przecież ty dla nich dziś jesteś gwiazdą! Co ci oni dali?... Dali ci sprzedać za milion Wyżnicę, a tyś już wtedy wiedział, że ona warta dwadzieścia!... Odarli cię o dziewiętnaście milionów, a potem ci kazali bronić swego w Austryi budżetu. Tyś go bronił i obronił, ale i pokazał, co można u nas w państwie i jego krajach dokonać, gdyby reprezentacya tych krajów rozum miała. Kochany Tadeuszu, gdybyś ty był z nami, to może ja dziś, twój teść, nie śmiałbym przy tobie usiąść. Ha, zostałeś z nimi, i co będzie dalej? Dlaczego ty się nie żenisz? co? Może po sprzedaży Wyżnicy już ci jej nie chcą dać?... Nie chciała Podiebrada, a wart on dla nas trzydzieści milionów. Wolała ciebie, ale teraz po Wyżnicy może Podiebrad wróci. Polki, podobno, są górne, po niebie latające, ale i dyabelnie umieją liczyć. Gdy się po niebie do syta nalatają, z radością siadają w kojcu i gdaczą na te, które choćby na łokieć od ziemi wyfrunęły. Ja to znam! Trzymaj się ostro, bo kto wie, Podiebrad gotów zastukać do bramy, a ma on kojce — ze szczerego złota! Ładny chłop, mówią, że mądry jak rabin. Szkoda mi Ketti, ale i ciebie mi żal...

Młodzieniec, pracujący u bankiera, przechodząc, zatrzymał się chwilkę za plecami ojca Ketti, dając znać wzrokiem Tadeuszowi, aby za nim poszedł. Na zakręcie kurytarza stanął i zdaleka patrzał na Tadeusza, aż go przyzwał do siebie.

— Dziś u pana o piątej w hotelu.

— Dobrze, szepnął Tadeusz, nie zatrzymując się.

Giełda zawrzała, ojciec Ketti oprzytomniał i, jak stary żołnierz, stanął do szeregu.

Podczas gorączki giełdowej Tadeusz jeszcze jedną otrzymał propozycyę pożyczki, lecz na dwadzieścia cztery procenty. Domyślał się, że to robota bankiera, żądającego osiemnaście.

Wrócił do siebie. Księżny Izabelli i Maryni nie było w Wiedniu, parlament zamknięty. O piątej stawił się tajemniczy młodzieniec.

— Telegrafowałem, rzekł, do Düsseldorfu nad Renem.

Tadeusz się zerwał.

— Odpowiedzieli?

— Że, jeżeli gwarancye pewne, dadzą na trzynaście procentów. Za pośrednictwo żądam tylko jedną trzecią procentu dla siebie i zachowanie tajemnicy. Interesa, które tu przepadają, posyłam do Düsseldorfu. Lecz w biurze nie dozwoliliby mi tego.

— Domyślam się. Czy dać panu na piśmie zgodę na procent dla pana?

— Słowo pana posła wystarczy.

— A więc, oto moja ręka. A teraz?

— Zatelegrafujesz pan poseł sam i stosownie do odpowiedzi w drogę z papierami. Kuryer na Frankfurt nad Menem odchodzi w nocy. Oto moja karta, stawię się na każde zawołanie.

Tadeusz najprzód zatelegrafował do Wyżnicy.

„Sprawa na dobrej drodze", a w nocy wyjechał nad piękny Ren do miasta fabryk, milionów i sztuki niemieckiej...

W Düsseldorfie nazwisko Tadeusza było znane i szanowane z waluty złotej i obrony budżetu w parlamencie austryackim. Ufano mu, wierzono przedstawionym papierom. Wyżnicę znano, jako interes świetny, na telegraficzne zapytanie w Wiedniu otrzymano bardzo dobrą odpowiedź. Zgodę zawarto, pożyczkę na trzynaście procentów dano, hypotekując się na kopalni.

Tadeusz przywiózł z sobą polecenia wypłaty do dwu banków po trzykroć sto tysięcy i do jednego na dwakroć. Jednym z płacących był blady, o czarnych oczach pan Schaff, który ofiarował pożyczkę na osiemnaście.

Spojrzał uważnie na Tadeusza.

— Dostałeś pan na trzynaście? zapytał.

— Zdarto nas aż na trzynaście, wziętych zgóry.

— Dawałeś im pan?

— Osiem z powodu niezwykłego bogactwa tej kopalni. Kapitał z łatwością w jeden rok zwrócić się da z dochodów.

— Gdyby nie inne zobowiązania, ciążące na kopalni.

— Przy tak obfitym wydatku ropy ciężary prawie nic nie znaczące.

— Słyszałem, że są, że dużo znaczą i mocno ciężą.

Bankier się uśmiechnął słodko i dobrodusznie.

— Lecz mniejsza o to, dokończył, to już rzecz tych, którzy dali — Prusacy bogaci. Dokąd pan każe telegrafować o wypłatę gotówki?

— Do filii banku państwowego we Lwowie.

— Za godzinę!

— Zgoda, będą mieli czas przygotować gotówkę, odbiorą ją pojutrze rano.

— Niema pan poseł jakiego interesu? byle nie kopalnię węgla pod Kołomyją.

Tadeusz niezmiernie się zdziwił, że już w Wiedniu wiedzą, że kopie węgiel, a co więcej, znają słabe strony jego kopalni.

— Kopalnia, odparł, dopiero w zaczątku.

— Gdy się rozwinie, a będziesz ją pan poseł musiał sprzedać, jak się to stało z Wyżnicą, mnie powiedz — Otto Bayer dosyć już zarobił i zdarł pana posła kapitalnie. Co do mnie, dałbym odrazu dwa.

Po odejściu Tadeusza bankier napisał do filii banku państwa we Lwowie telegram i pełen dobrych nadziei pojechał do domu.

— Żeby mi przyszło całą Galicyę zburzyć, to druga połowa Wyżnicy musi być moją!... Ten przeklęty Düsseldorf już trzeci raz mnie okrada ze świetnych interesów. Musi być w tem coś, trzeba się mieć na baczności.

U dwu innych bankierów wypłata sum düsseldorfskich obudziła również łakomstwo na Wyżnicę.

———

Tadeusz, ożywiony przeczuciami nadziei, rad, że mu się udało tak szybko pomódz serdecznym swym przyjaciołom, których kochał, jako najbliższych sercu po Maryni i Urszuli, wracał do Lwowa wesół.

Prosto z kolei kazał się zawieźć do gmachu kasy, wszedł do dyrektora. Starzec, zmęczony, przywitał go nerwowo.

— Co przywozisz nowego z Wiednia? zapytał. Jak stoi nasz prowodyr?

— U cesarza i na prawicy silnie. Niemcy z wściekłością czekają otwarcia parlamentu, będzie szalona burza. Może się cofnąć i zawiesić roboty w kopalni?

— Zapóźno! Sumy pochłonęła. Póki on jest, korzystajmy i idźmy naprzód... W połowie batalii uciekać to niemożliwe — ani dla mnie, ani dla ciebie.

— Przywiozłem blizko milion dla Wita i Władysława na Wyżnicę.

Starzec się przestraszył.

— Kupują nowe tereny, mówił dalej Tadeusz, i biją na nich odrazu dziesięć szybów — kopalnia ich urasta do siedmiu, ośmiu, dziesięciu milionów.

Twarz starca rozjaśniła się.

— Gdyby oddali dług, szepnął — a mogliby nam dopożyczyć z milion.

— Jakim sposobem, przerwał Tadeusz, gdy jeszcze pożyczki nie odebrali na kupno terenów?

— Tak, tak, prawda, mówił żywo, zwracając się na inny przedmiot. Dziennik, chociaż jeszcze chłonie dużo gotówki, rośnie w prenumeratorów zadziwiająco. Co miesiąc można liczyć nowych paruset — w kilka miesięcy dojdziemy do dziesięciu tysięcy!... Dlaczego nie piszesz do niego?

— Czekam, odparł Tadeusz, aż dojdzie do dziesięciu tysięcy, i wtedy przestanie być reporterem ciekawych wiadomości, a zmieni się w dziennik nasz!... Wtedy ludzie dobrej woli, kwiat narodu będą się rwać do pracy w tem piśmie — i ja z nimi.

— Widzę, opozycyonista z pierwszego posiedzenia zawrócił ci głowę.

— Dużo ma on racyi.

— Żadnej, zawołał dyrektor. Dziennik powinien być grzechotką, dzwonkiem, powtarzać ciągle swoje, walczyć za swoje.

— Póki będzie takim, po cóż mam występować, aby prace moje były zagłuszone grzechotką. Co ja tam jeden zrobię?...

— To już tak! Ty jesteś sam jeden? A trybun, a ja, a cała redakcya? Źle, mój drogi, gdy już tak zaczynasz.

— Ależ, dyrektorze, cenię pracę i pracowników dziennika...

— Już jest ci banalny, jest reporterski, jest wszystkiem, tylko nie tem, czem ty chcesz go mieć.

— Pragnę, aby dziennik nie służył tłumowi, ale go wychowywał i na wyżyny prowadził.

— Jeszcze nie czas!...

— Właśnie czekam na to przyjście.

— Zaczynamy się nie rozumieć.

— Ale zato jeszcze więcej kochać, dokończył Tadeusz, całując starca w ramię.

— Mówiłeś z trybunem, zapytał dyrektor, sprobuj go przekonać.

— Jeśli ma wielkość twego serca, jasność twych myśli i twą siłę miłości, łatwo mi to przyjdzie.

Starzec nerwowo pociągnął go ku sobie i, obejrzawszy się, szeptał drżącym głosem.

— Czy nie wiesz, że potrzeba siły i powagi, któreby, jak płaszcz, okryły tajny kredyt? Zrozum to raz, że wszystko, co w naszych ręku, powinno służyć do tego jedynego celu. Niech w Galicyi i Wiedniu wiedzą, że dziennik jest twoim, że ty w nim rozkazujesz. Co to nas obchodzi, czy jest banalny, czy nie, niech tylko będzie nasz, naszych zasad, niech stoi na tysiącach czytelników i naprzód! Niech dziennik ten będzie maczugą dla naszej obrony i „tajnego"...

— Ach, ten „tajny", zawołał Tadeusz, i chwycił się za głowę.

— Cicho, cicho, nie tak głośno. Starzec wyciągnął rękę, jakby mu chciał usta zamknąć.

— To nasze przekleństwo, dokończył szeptem Tadeusz. To sęp, co nam wyjada i mózgi, i serca.

— Gdy pasy gliny znikną w kopalni, powiesz, że „tajny" był rosą, zapładniającą nasz wschód, był manną na naszej pustyni, był wszystkiem — siłą, energią, zbawieniem. Wtedy zapłaczesz na mych piersiach i zawołasz: Starcze, tyś był twórcą, boś dał nam broń w rękę.

Wzruszony Tadeusz pochwycił go w objęcia.

— Możemy paść, ale zawsze coś po nas zostanie: wspomnienie walki, która również zapładnia i tworzy bohaterów. Musisz wejść do sejmu — zbudzisz to śpiące ciało, pokazując horyzonty pracy i inicyatywy inwestycyi. Czemże my z naszym „tajnym" jesteśmy, jeśli nie inwestycyą, jeśli nie wyręczycielami sejmu? Ty go odmłodzisz!

— Wszędzie „tajny".

— Wszędzie, szepnął stary, — to przekleństwo, ale i odrodzenie. Kołomyja cię wybierze, a nie, to lwowska Izba handlowa. Musisz być w sejmie.

— Pragnę, odparł Tadeusz, bo to jedyna rzetelna arena naszych prac.

ROZDZIAŁ XXV.

Kołomyja wybrała wielką większością głosów Tadeusza do sejmu, dziennik rósł w prenumeratorów, lecz jeszcze dużo kosztował. Kopalnia w Wyżnicy, wzmocniona ośmioma setkami tysięcy,

rozwijała się gwałtownie. Dziesięć szybów stanęło w nowo-nabytym terenie lasku gminnego. Dzień i noc dziesięć świdrów wierciło dziesięć otworów. Na czterechsetnym metrze buchnęła ropa, lecz podobnego wybuchu, jak w szybie Jakóba, nie było.

Dochody duże, wydatki rosły olbrzymio. Należało w nowej kopalni wybudować żelazny zbiornik na pięćset wagonów ropy, który pochłonął sto dwadzieścia tysięcy gnldenów.

Nastał sezon martwy, trwający w nafciarstwie od maja do sierpnia. Ceny ropy spadają wówczas niżej kosztów produkcyi. Młodzi właściciele kopalni nie mieli w tym czasie gotówki, nie mogli zapłacić przypadających procentów w kasie. Dyrektor rzucił myśl sprzedaży kopalni.

— Wiele warta kopalnia? zapytał ich.

— Dla nas dziesięć milionów.

— Za wiele ją możecie sprzedać?

— Za pięć i wtedy zostanie nam czysto gotówki przeszło dwa i pół miliona.

— Düsseldorfowi osiemkroć, mnie milion sześćkroć pięćdziesiąt siedem tysięcy. Gotówka w kasie gwałtownie potrzebna i, gdy oddacie dług, zrobicie mi dobrodziejstwo, a sami wychodzicie panami. Znajdziecie jeszcze lepsze tereny naftowe. Dziś stworzyliście jedno wielkie ognisko, które zawsze będzie żywić parę tysięcy robotników. Zawsze większa połowa dochodów z kopalni waszych zostanie w kraju.

— Połowa dochodów będzie tuczyć Niemców i Żydów wiedeńskich, szepnął Władek.

— To prawda, lecz pomyślcie, ceny surowca naftowego mogą w tej samej mierze trwać jeszcze lat parę, kopalnia wasza będzie rozwijać się i rosnąć w cenie, lecz i wasze długi na konieczne nakłady rosną. Zacznie się walka dochodów z długami i kto zwycięży — łatwo odgadnąć. „Jakóby" jakoś nie pojawiają się... Pomyślcie.

— Myślimy i przychodzimy do tego samego wniosku, rzekł stanowczo Wit. Rachunki nasze wykazują, że przy dzisiejszych dochodach za lat sześć lub osiem najdalej możemy spłacić długi, jeżeli przez sześć lat nic się nadzwyczajnego nie stanie i zawsze będziemy mieli na zawołanie gotowy u dyrektora bieżący kredyt i pewną cierpliwość z jego strony w odbiorze kapitału.

— Za Radę nadzorczą nie ręczę, odparł dyrektor, i nie wiem, jaki da rozkaz jutro?

— A zatem rozkaz Rady może nas zniszczyć. Któż zarę-

czy, że cena surowca jeszcze nie spadnie?... Nie wiemy, jakie atuty naftowe mają w rękach Wagenmanny i Rotszyldy.

— Cena ropy spadnie, poświadczył dyrektor, i nie mając czem przeczekać nieszczęścia — padniecie i kasa z wami.

— Na kasę zawsze wystarczy, odparł z pewną dumą i spokojem Władysław.

— Możemy się bronić, trwać i wybrnąć, lecz szkoda naszych lat na tę straszną walkę z kapitałem, z tym najstraszniejszym wrogiem zapału, nieugiętym, jak fatum.

— Szkoda, zawołał dyrektor. Mając na głowę po milionie przeszło gotówki wolno wam będzie wtedy robić eksperymenta, bujać i pchać przemysł naprzód.

— Tem więcej, dodał Wit, że dziś jesteśmy na łasce Rady nadzorczej kasy, może nas unicestwić każdej chwili.

Dyrektor zrobił rozpaczliwy ruch rękoma.

— A więc postanawiacie sprzedać? zapytał, hipnotyzując ich wzrokiem.

— Za pięć milionów, dodał Wit. Drugi raz nie damy się obedrzeć. Nikt nas za gardło nie ściska, możemy czekać.

— Dziękuję wam za waszą decyzyę, bo i mnie skóra cierpnie. Jakżebym rad przed Radą nadzorczą powiedzieć: półtora milionowy dług: „Wit—Władysław" — zapłacony!...

Rozstali się. W sercu dyrektora tworzyło się ciepło. Jakoś mu błogo było, serdecznie, dobrze, jasno patrzał na świat.

— Dzielni, dobrzy, nasi—i kwita, machnął ręką na znak, że sąd ten nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Z pięciu milionów za kopalnię zapłacą długu blizko dwa, a drugie dwa mogą na krótki termin pożyczyć, a może i więcej, gdy będzie potrzeba! Wtedy zrobię skontro kasy wspaniałe, drobiazgowe— i znowu spokój na dziesięć lat!... Wieleż przez dziesięć lat będzie można zrobić milionów, jeśli oni przez półtrzecia zrobili dziesięć, a do ręki biorą pięć. A my czem będziemy, jeśli się skończą te wściekłe pasy gliny w naszej kopalni? Jeszcze nie zginęła nadzieja choćby tem, że żyjemy i działamy!

W hotelu francuskim we Lwowie już od dwu godzin trwała narada. Pan Schaff, znany nam bankier z Wiednia, jego wspólnik pan Brumer, sekretarz ich i rzeczoznawca, inżynier Weiss, układa się z Witem i Władysławem o nabycie kopalni wyżnickiej. Młodzi ludzie ze swej strony wezwali Tadeusza i dyrektora.

Po wyczerpujących układach, po wypowiedzeniu wszystkiego przeciw i za, po dokładnem zbadaniu rachunków, po dlugich i nużących targach powstał pan Schaff i podniesionym głosem powiedział:

— Dwa miliony siedemkroć to ostatnia cena, za jaką nabywam kopalnię.

Pan Brumer i Weiss również powstali.

Cisza — przerwał ją homeryczny śmiech Władysława, za nim zaczął się śmiać nerwowo dyrektor.

— Prosimy bez śmiechu o ostatnie słowo, rzekł poważnie Brumer.

— Pięć milionów, powtórzyliśmy już razy pięć, odrzekł Wit.

— I nie ustąpicie?...

— Ani grosza!

— W takim razie wyjeżdżamy za godzinę.

— Nie chcemy panów zatrzymywać, powiedział Tadeusz.

— Czy panowie pozwolicie na jedną uwagę? zwrócił się Schaff.

— Prosimy!

— Jeżeli będziecie tak dalej trwać w swym uporze, to może przyjść czas, że będziecie zmuszeni wziąć mniej od sumy, dziś wam ofiarowanej przez nas.

— Dziękujemy za przestrogę, lecz i my liczyć umiemy i znamy swe interesa, odparł ostro Wit.

— A więc dlaczego sprzedajecie?

— Bo mamy lepszy jeszcze interes, na który potrzebujemy dużo gotówki.

— Myśmy zrobili swoje, rzekł Schaff filozoficznie.

— A my swoje, — dodał Władysław.

— W tym wypadku, odezwał się Tadeusz, nie jest to moja sprawa z panem Ottonem Bayerem.

— Pod jakim względem? spytał Brumer.

— Że ja nie chciałem czekać, a może i nie mogłem, a moi przyjaciele czekać chcą i mogą.

— Mo — gą... powtórzył przeciągle Schaff. To i my możemy czekać, aż do granic możności tych panów.

— A więc, walka na przeczekanie, zabrał głos Tadeusz. Tylko, że u moich przyjaciół oczekiwanie może się niedługo skończyć i skończy się z pewnością. Przejścia moje z Ottonem Bayerem niepowrotnie skończone. Jeśliście, panowie, przyjechali dalej taką samą akcyę prowadzić, toście się omylili.

— Omylili! zawołał wyzywająco dyrektor.

— Lecz mogą przyjść czasy jeszcze straszniejsze, odparł ze

słodką miną dystyngowany i elegancki Schaff, w głębiach serca wściekły za tak bezwzględną odprawę młodych właścicieli kopalń w Wyżnicy.

Rozstali się.

— A teraz co? spytał dyrektor.

— Wracamy do siebie, odparł Wit, i już więcej nie damy się w biały dzień mordować bankierom wiedeńskim. Nikt nam nie kładzie noża na gardła.

— A choćby położył, dodał Władek, to niech rżnie, a nie ustąpimy. Lepsza śmierć, niż życie z hańbą głupoty na czole

Dyrektor zrozumiał, że sprawa przegrana.

— Byle wytrwałości rok, dwa, a wybrniemy z kłopotów, długi popłacimy. Surowiec nasz musi pójść w górę.

W hotelu Zorza rozmawiali półgłosem bankier Schaff z redaktorem jednego z pism lwowskich.

— Pański pan jest i naszym wspólnikiem, mówił cicho Schaff.

— Wiem o tem, odparł redaktor, i dlatego oddaję się pod pańskie rozkazy.

— Lecz może pan o tem nie wie, że pańskiego pana bank jest w tej sprawie zaangażowany. Nie chce występować otwarcie, aby nie wywoływać krzyku w kraju. Pan co innego.

— Myśmy dali dowody, że się nie boimy krzyków.

— Słyszałem, odparł bankier ze złośliwym uśmiechem.

— Nie w tem rzecz, odparł z odcieniem obrazy redaktor, tylko, żeśmy wydawanem pismem potrafili ułagodzić drażliwości tromtadrackie i uśpić szowinizm moralności publicznej.

— Cieszę się i winszuję. A zatem, proszę, uważaj pan.

— Słucham.

— Układy zerwane. Wyśrubowaliśmy cenę aż do dwu milionów siedemkroć, a ci głupcy żądają pięć i myślą, że my je im damy!!...

— Szaleńcy! albo idyoci! zawołał redaktor z udanym patosem.

— Nie — broń Boże, twardzi, bo mają oparcie w „kasie". Dyrektor kasy odgrywa rolę ich agenta.

— Stary liberał z 48-go roku, a jego towarzysze—to frankmasony, radykały, socyaliści. Z rzemieślnikami za pan brat, w pyski się całują.

— To im u nas przy naszej konstytucyi wolno.

— A u nas, w Galicyi — nie! U nas sama opinia, zręcznie prowadzona, wyrzuca za nawias takie indywidua.

— Ci jeszcze nie wyrzuceni. Jak przywódca, broni budżetu w parlamencie i cieszy się opinią nieskazitelnego.

— U nas może być inaczej, szepnął redaktor z tajonym gniewem.

Na ustach bankiera Schaffa ukazał się, jak błyskawica, uśmiech.

— Odebrałeś pan instrukcye od swoich panów?

— Zrobić wszystko, aby przyśpieszyć kupno kopalni. Lecz jeżeli układy zerwane?...

— To właśnie otwiera się pole działania dla pana.

— Słucham.

— Młodzi ludzie z kopalni wyżnickiej wykopali trzydzieści szybów. Założenie każdego szybu to wydatek dwudziestu tysięcy prócz roboty — dalej wielkie rezerwoary z kutej blachy po pięćset wagonów objętości, rurociągi, fabryka maszyn wiertniczych, elektryczność, sprowadzenie wody — razem miliony. Z jakim kapitałem zaczęli?

— Sami się chwalą, że z piętnastoma tysiącami guldenów.

— Aby dokonać tak potężnego dzieła potrzebowali wielkiego kredytu. Skąd go wzięli? jeżeli zaledwo dostali osiemkroć sto tysięcy w Düsseldorfie? Skąd poprzednio brali? Dlaczego i ostatnich ośmiukroć nie wzięli z poprzedniego źródła? Źródło to widocznie musi już być wyczerpane lub zachwiane!...

— Nie ulega wątpliwości, że wielka nasza kasa jest źródłem, z którego czerpią, zawołał, jakby oświecony błyskawicą prawdy, redaktor.

Bankier zniżył głos.

— Czy pan ma dokładne wiadomości, jak stoi kopalnia węgla pod Kołomyją.

— Nie mam żadnych.

— A zatem, racz się dowiedzieć: czy kopalnia ta opłaca się, jaką w niej odgrywa rolę dyrektor „wielkiej kasy", czy jest wspólnikiem, czy tylko daje kredyt. Czy o udzielonym kredycie wie Rada nadzorcza kasy i czy go potwierdza?... To samo odnosi się do kredytu kopalni młodych ludzi w Wyżnicy. Czy jest dozwolony i odpowiednio pokryty, jeśli pożyczkę düsseldorfską umieszczono na pierwszej hypotece całej kopalni?... O rozjaśnienie tych kwestyi prosimy pana.

— Trudne zadanie, szepnął redaktor.

— Nie przeczę, nie żałuj pan monety. Mamona otwiera serca, rozwiązuje języki. Wiadomości te są dla nas konieczne do rozpoczęcia akcyi.

— Do jakiej sumy można iść w rozwiązywaniu języków?...

— Nie jestem w stanie oznaczyć. Dwa do trzech tysięcy, mam nadzieję, że wystarczy. Wiadomości pańskie muszą być pewne i jak najszybciej podane!... Dziś trudno walczyć — instytucye wasze mają silną opiekę w Wiedniu, nie można przeciw nim występować, nie pozwolą. Lecz któż wie, co jutro będzie?

Bankier Schaff wyciągnął rękę do redaktora z protekcyonalnym uśmiechem i pożegnał go, przechodząc do swych towarzyszy, rozmawiających w drugim pokoju.

— Co dalej? zapytał ich.

— Kopalnia warta, licząc bardzo oględnie, dziesięć milionów, rzekł inżynier.

— Niezawodnie, poświadczył Brumer.

— Cóżby to był za lichy dla nas interes, gdybyśmy tylko zarabiali sto za sto. Za dziesięć milionów chcą nam wziąć pięć — głupcy!!... Bayer dał milion, a wziął dwadzieścia, to interes!...

— Zmądrzeli — szepnął inżynier.

— Ale i my jeszcze nie zgłupieliśmy i potrafimy się bronić przed ździerstwem!

— Ciężko — rzekł Brumer spokojnie.

— Nie przeczę — praca ciężka, lecz za to, co za świetne zwycięstwo? Kopalnię nabędziemy za ich długi.

— Jakim sposobem?

— To moja tajemnica!

— W takim razie nic nam nie zostaje, jak zerwać układy i z tą wiarą wracać do Wiednia.

Bankier Schaff spojrzał na zegarek.

— O jedenastej pociąg odchodzi. Na rachunek szczęśliwej idei, która wyda w nasze ręce kopalnię za półtora miliona, zapraszam panów na wieczerzę.

. . . .

— Cóż?... odezwał się drżącym głosem dyrektor do towarzyszy.

— Dziś poszli, zawołał Władysław, żeby wrócić za miesiąc z gotowymi pieniędzmi!...

— Ustąpić, choćby jednego guldena, nie wolno nam — dodał Wit.

— I nie ustąpimy. Samobójstwa nie popełnimy, dorzucił zgorączkowany Władysław.

— Nie możecie, — poświadczył Tadeusz.

— A Rada nadzorcza kasy? rzucił pytanie dyrektor.

— Wolimy paść pod nożem Rady, niż być zduszonymi przez Niemców. Tymczasem walczmy, ponieważ jeszcze nie czujemy noża na gardle.

— Tem więcej, że cena surowca musi się unormować, dodał Tadeusz.

– I jeżeli to nastąpi rychło, nie damy się,—kopalni nie sprzedamy, oświadczył Wit.

Dyrektor spojrzał na Tadeusza błagalnie, aby ratował kasę i kredyt, a zarazem piorunująco. Lecz ten nie odczuł ani błagań, ani piorunów. Nie miał pojęcia, jak można wodę cudzych interesów nachylać na swoje koło.

Redaktor wracał do domu głęboko zamyślony.

— Dziś niewolno, instytucye mają opiekę i obronę, rozważał. A moja instytucya dlaczego nie ma opieki i obrony, chociaż dotąd tak wiernie służy?... Dlaczego pozwalają, aby pismo moje traciło co dzień po kilkudziesięciu prenumeratorów i ubytku tego nie zwracają mi? Dlaczego? bo wiedzą, że muszę służyć, muszę być wiernym, muszę szczekać na tego, kogo mi wskażą, a nawet, gdy poszczują, rzucać się i kąsać. Wiedzą i dlatego pozwalają okradać mnie swym nieprzyjaciołom, którzy czerpią siłę do walki z instytucyi, któremi się oni opiekują, które oni osłaniają. Ja bronię moich panów, a oni mnie zostawiają samego, chociaż jestem rozbijany na publicznej drodze...

Dreszcze nerwowe go przeszły.

Położenie okropne, straciłem tysiąc prenumeratorów i zato żadnej kompensaty. Szesnaście tysięcy odpada mi z dochodów, a oni nie chcą o tem wiedzieć?!... Czyż oddałem wam siebie dla waszych pięknych oczu, dla waszych słodkich uśmiechów, dla czułych uścisków. Idyotą nie jestem, porachujemy się!..

Ach, jeśli sprawdzę, że jestem mordowany kapitałem „kasy”, choćby najlegalniej pożyczonym — ha--ha!... Ukrzyżuję was! Dla mnie „wielka kasa” zamknięta!... Z jakąż rozkoszą będę was piekł na wolnym ogniu, węgle rozdmuchiwał?!.. Obrońco austryackiego

budżetu, przede mną się nie obronisz!... Ja ci wnętrzności będę pruł!

A ty, wielki, co rządzisz w Wiedniu, słyszysz, — musisz kark skręcić... Wszyscy, co rozpoczynali wojnę z Niemcami na rzecz austryackiej Słowiańszczyzny, — padali. Padniesz i ty — a wtedy ja głowę podniosę i stanę ci na piersiach z rozkoszą niewolnika, który za długo czołgał się przed twoją potęgą. Płaciłeś, ale mało... Dziś pozwalasz mnie obdzierać, bo ci się podoba mieć opinię obrońcy instytucyi...

ROZDZIAŁ XXVI.

Prawo Falkenhaina wśród piekielnych wrzasków opozycyi przeszło głosami prawicy. Nazajutrz wrzeszczących Niemców policya wyniosła z parlamentu — mimo że się bronili zażarcie.

Drugiego dnia, a było to w niedzielę, trzydzieści tysięcy Niemców wiedeńskich stanęło przed parlamentem. Studenci, bursze niemieccy prowadzili tłum. Powietrze drżało okrzykami na cześć Bismarcka, przekleństwami na Polaków, Czechów i rządzącego ministeryum.

Przed parlamentem wypędzeni, a nieprzejednani pruscy Niemcy, zbici w gromadkę, wrzeszczeli, jakgdyby ich obdzierano ze skóry.

Na ulicy dla tłumów byli bohaterami... Przemowy ich i wrzaski rosły w burzę, burza w huragan. Odgłosy, jak rozhukane fale, uderzały o mury Burgu.

Na placu Opery ukazał się szwadron huzarów węgierskich z dobytymi pałaszami, posuwał się wolno, groźny w swym spokoju, w zbitej kolumnie. Tłumy się rozstąpiły — masy opanowało przerażenie. Strach je popychał. Na chodnikach powstał ścisk i zamęt. Szwadron przejechał przez środek Ringu wolno, a znowu tłumy, jak morze, zalały wolne miejsca i jeszcze głośniej ciskały przekleństwa Polakom i Czechom.

Poza pierwszym ukazał się drugi szwadron z dobytymi pałaszami, jechał truchta. Łby koni dotykały karków tłumu — krzyki strachu wypełniały powietrze, rozsuwano się z nerwową gwałtownością.

Z za gmachu opery wysunął się trzeci szwadron, kolumna na szerokość plutonu, jechał kłusa. Panika rzucała się na Niemców i dusiła ich, a po minięciu niebezpieczeństwa wściekłość wzrastała. Coraz większe tłumy się zbiegały, wrzeszczące, zdenerwowane, złe, zalewając ulice.

— Śmierć Słowianom, wołał tłum...

I znowu kłusujący szwadron przerwał mowy, przeraził, przestraszył i wzbudził wściekłość!

W okazałym powozie, z miną uroczyście tajemniczą, przejeżdżał piękny burmistrz miasta, a wróg ubogich Żydów, przyjaciel Rotszyldów — nowy trybun.

— Stawaj na naszem czele, wołano do niego, robimy barykady — rozdaj broń — nie damy się ujarzmić Czechom i Polakom. Niech nasza krew spadnie na ich głowy! Powiedz to w Burgu, — słyszysz, inaczej nie wracaj, bo biada ci!...

— Niech żyje nasz obrońca, nasz człowiek, śmierć Żydom i ministrom! Polakom i Czechom!

— Śmierć Żydom i Czechom! ryczał tłum.

Burmistrz stanął w powozie, kłaniał się kapeluszem, lecz powozu nie kazał zatrzymać.

— Przemów, wołał tłum.

— Ratuj nas od barbarzyńców, ratuj Wiedeń przed dziczą słowiańską. Jesteśmy Niemcami!...

Szwadron huzarów zmusił powóz burmistrza do gwałtownego usunięcia się z drogi. Woźnica, korzystając z miejsca, zrobionego przez biegnącą kawaleryę, popędził za szwadronem do Burgu.

Po swym gabinecie chodził cesarz chmurny i stroskany.

Burmistrz stanął przy drzwiach z miną zrozpaczoną i ponurą.

— Burdy, awantury! — przemówił cesarz groźnie.

— Może, najjaśniejszy panie, w tej chwili leje się krew twego ludu.

Cesarz stanął, patrząc w twarz burmistrza.

— Zakazałem użyć broni.

— Lecz napadnięci muszą się bronić, odparł burmistrz, pochylając głowę.

— Śmiałby lud napadać na moją armię?...

— Lud jest przekonany, że broni tronu, że broni tradycyi, broni swej niemieckości, to jest cywilizacyi przed inwazyą barbarzyńskich Słowian. A że gotów krew przelać za swego cesarza i swą narodowość, czyż można go zato karać?...

— Nikt na niego nie napada, rzekł cesarz łagodniej.

— Policya siłą wyrzuca posłów niemieckich z parlamentu, a węgierscy huzarzy szarżują na lud niemiecki. Lud gotów przelać krew w obronie majestatu i tradycyi. Lud kocha swych monarchów i swoją przeszłość niemiecką.

— A ja kocham mój lud, szepnął wzruszony starzec.

— Najjaśniejszy panie, co mam powiedzieć twemu ludowi, aby go uspokoić?...

— Czy przyjdzie do rozlewu krwi? spytał cesarz.

— Musi przyjść, jeśli się krew już nie leje. Lud, rozszalały bólem, sprowokuje wojsko — a armia twoja, najjaśniejszy panie, cofać się przed nim nie może.

— Czem się da lud uspokoić?

— Upadkiem ministeryum!

Cesarz patrzał w piękną twarz nowego burmistrza, panującego nad ludem budzeniem namiętności szowinizmu.

— Nie chcę ostatnich lat mego panowania mazać krwią mego ludu, toczoną na ulicach mej stolicy, powiedział cicho, prawie do siebie wzruszony.

Burmistrz się skłonił i wyszedł.

W przyległych salonach otoczyli go dygnitarze państwa.

Burmistrz odetchnął całą piersią, uśmiechnął się i rzekł wesoło:

— Dałem rewanż „premierowi", on padł, a ja zostałem.

— Co? co? pytali podnieceni ciekawością.

— Powiedziałem prawdę. Mam odwagę mówić prawdę nawet koronowanym głowom.

— Jaką powiedziałeś pan prawdę? spytał magnat czeski.

— Że krew ludu w obronie tronu i niemieckości zabroczy bruki Wiednia, jeżeli „*ten*" zostanie u władzy.

Minister wojny w tej chwili zatelegrafował do komendy placu, aby szwadrony huzarów pochowały pałasze do pochew i jechały stępa...

Przy wyjeździe burmistrza z bramy Burgu otoczyło go kilku przywódców, rzucając gorączkowo pytania...

— Pohulacie, a włos wam z głowy nie spadnie, zawołał burmistrz.

— Kto pozwala?

— Ja i cesarz, dodał. Niechaj każda przelana kropla krwi spadnie na moją głowę.

— Niech żyje cesarz! niech żyje burmistrz! krzyczano, pędząc w stronę stłoczonych tłumów.

Burmistrz kazał wstrzymać konie, stanął w powozie, patrzał na zbitą masę.

Z miną dorobkiewicza i małego tyrana greckiego, panującego z łaski tłumu, uśmiechał się rozradowany.

— Trzy razy wypędzałeś mnie, szlachcicu polski (myślał o pre-

mierze), z burmistrzowskiego fotelu, a ja zawsze wracałem. Teraz ja ciebie raz, ale nie wrócisz!

— Do domu bokami, zawołał na woźnicę.

Usiadł i zaśmiał się wesoło.

— No i znowu stałem się, jak zawsze, zbawcą ludu!

. . . .

W ministeryum spraw wewnętrznych gromadka wiernych otaczała „premiera". Wszyscy w wybornych humorach, jeden „premier", chociaż zdenerwowany, lecz był ożywiony i podniecony.

Domownik i najbliższy z przyjaciół „premiera" spojrzał na zegarek:

— Już wpół do dwunastej. Jeszcze półtorej godziny burzy w szklance wody i sprawa wygrana. Zgłodniali Wiedeńczycy rozejdą się do domów na obiad. Wypiją więcej o tysiąc wiader piwa, aby zalać złość, i położą się spać. I znowu będziemy mieć cały tydzień przed sobą! Zwycięstwo przy nas, Prusacy w Wiedniu pokonani, Austrya uratowana!

— I ja jestem pewny, powtórzył swobodnie premier, że o drugiej tłum się rozpłynie z przed parlamentu.

— A zatem, losy nasze, jak Napoleona pod Waterloo, zawisły od półtorej godziny, dodał jeden z obecnych..

— Porównanie trafne, lecz nieszczęśliwie do chwili dobrane, odpowiedziano mu.

— Dlatego użyłem tego porównania, tłómaczył się, bo niema prawdopodobieństwa, aby Waterloo przyszło. Jesteśmy silni zaufaniem korony.

Do salonu wszedł adjutant cesarza, po służbie, w kasku na głowie.

— Najjaśniejszy pan wzywa cię, ekscelencyo, bezzwłocznie do siebie. Zasalutował, zrobił zwrot i wyszedł. Kamerdyner stał przy drzwiach.

— Konie — rzekł premier.

Towarzystwo spojrzało po sobie, cisza zaległa.

— No, zawołał, siląc się na wesołość, premier. Czy czasem Waterloo nie w porę przypomniane?

— Niepodobna!

— Przeczuwam katastrofę, szepnął premier.

— Po wczorajszym entuzyazmie?...

— Lecz co się stanie, mówił dalej, z Austryą, z nami, z wal-

czącymi Czechami, ze Słowiańszczyzną austryacką? Postawiony gmach może runąć...

— Nie, nie może, przerwał chory na nogi wynalazca trójlojalizmu, legitymizm ma jeszcze sto lat życia w Europie.

— Konie czekają, rzekł, ukazując się we drzwiach, kamerdyner.

— Jeśli idę na Golgotę, podajcie mi do uścisku wasze dłonie.

Premier wyciągnął ręce.

— Wrócisz zwycięzcą, mówili wesoło, chociaż żal zapierał im w piersiach oddechy.

Premier, siląc się na uśmiech dla tłumów, pędził wyciągniętym kłusem. Zobaczył pierwszy szwadron huzarów z pałaszami w pochwach, odgadł wszystko i zrozumiał wszystko. Wezwał oficera do siebie, prosząc go, aby rozkazał utorować mu drogę do Burgu. Pierwszy pluton otoczył powóz — ruszyli.

Wściekłość rozzuchwalonego tłumu kipiała, wyrzucając pianę obelg na przejeżdżającego. Gdyby miał kamienie, rzucałby na jego powóz. Wył z bezsilnego gniewu. Doprowadzony mowami trybunów do szału był pewien, że jest mordowany przez Polaków i Czechów. Tłum ten, chciwy chleba i złota, wierzył, że dzicy Słowianie ssą jego krew. Rozbudzone namiętności posiadania urojonych zdobyczy piętrzyły się.

W gabinecie swym zmęczony i skłopotany cesarz siedział w fotelu z twarzą, ukrytą w dłoniach. Przed nim stał magnat czeski.

— Położenie jest groźne, mówił sucho. Radykałowie niemieccy, poparci przez lud i szowinizm wiedeński, rozzuchwalili się do ostateczności. Śpiewy „Wacht am Rhein” dolatują pod mury Burgu. Czesi, co im dano, trzymają silnie i nie zechcą oddać... Cały ich naród za nimi. Dziwić się nie można. Sytuacya mocno naprężona!... Chcąc naprawić, co się zepsuło, i nawie państwa przywrócić silny ster...

— Steruj, przerwał boleśnie cesarz. Nie chcę rozlewu krwi. Za mojego panowania krew nie lała się na ulicach Wiednia!...

— Najjaśniejszy panie, tylko Niemiec może uspokoić wzburzony lud wiedeński. Na mnie jeszcze czas. Jeśli twoja wola będzie, przyjdę, gdy namiętności przycichną, a praca się zacznie. Wtedy będę spełniał twoje, najjaśniejszy panie, rozkazy, o ile sił mi starczy.

— Kogo masz w tej ciężkiej chwili na myśli? zapytał cesarz.

— Proszę o godzinę czasu do namysłu, skłonił się i opuścił gabinet cesarski.

Wszedł „premier” z rozjaśnioną twarzą, którą zawsze witał swego pana.

Cesarz chodził wzruszony. Na widok wiernego przyjaciela, którego kochał, jak syna, wyciągnął ręce.

— Przegraliśmy, szepnął.

— O dwunastej, aby o drugiej zwyciężyć, dokończył premier z wesołym uśmiechem.

-- Nie chcę rozlewać krwi ludu mego za jego niemieckość i wierność do tronu.

Premier zrozumiał, że upadek jego nieodwołalny.

Wyprostował się, spoważniał.

— Najjaśniejszy panie, oddałem wszystko, a nawet więcej, niż wszystko, aby ratować dynastyę i państwo. Każesz, abym odszedł— odchodzę. To jedno pozwól mi dodać. — Kochałem cię, jak mego króla i ojca — szczerze, pragnąc jasności dni żywota twego. Odchodzę z żalem na losy—lecz z miłością do ciebie!...

Ze wzruszenia nie mógł dalej mówić, w oczach cesarza zaświeciły łzy.

— Wierzę w prawdę twych słów, powiedział cicho monarcha. Myślałem, że do końca życia będziesz przy mnie. Kocham cię, jak syna.

Nie mógł więcej mówić, wzruszenie zatamowało mu mowę — odwrócił się.

Wrzaski tłumów odbijały się o szyby okien Burgu. Premier stał chwilę—patrzał na posiwiałego w pracy monarchę i na palcach, nie chcąc przedłużać ciężkich chwil rozstania, wysunął się za portyerę...

Siadł do powozu. Na „Ringu” ajenci „Nowej Pressy” obwoływali nadzwyczajny dodatek upadku ministeryum. Tłumy wrzały radością i upojeniem.

— Pragnę żyć, mówił do siebie premier, aby zobaczyć, jak sobie radzić będziecie, wy, coście mnie w przepaść zepchnęli!... Albo moje prawa zwyciężą, albo wy, łamiąc je, możecie w gruzy zawalić monarchię!... Biedny tłumie, wyjesz z radości, że przybliżyłeś czas, kiedy ci Prusak włoży na głowy pikielhauby, a na nogi kajdany państwowości pruskiej. Tak samo, najwolniejszy lud na świecie, lud grecki, witał Filipa Macedońskiego!... Biedny tłumie!

Zasunął firanki u karety, zagłębił się w jej róg, patrzał oczyma duszy.

— Przegrałem o dwie godziny!... Napoleon pod Waterloo potrzebował trzech do przyjścia Gruchy'ego. Padam, lecz duma moja poi

się tem, że po mnie nie znajdzie się prędko wódz, któryby stanął przy sterze i nawą państwa kierował. Ja lub po mnie potop. Ze mną Austrya, idąca drogami autonomii do federalizmu, beze mnie pada pod razami pruskich Niemców. Ja, lub bankructwo i powolna suchotnicza śmierć!

Znienawidzony przez Niemców i austryackich panów—padam i już się nie podźwignę. Do dźwigania się potrzeba środków — jestem bankrutem, nie mam nic—nic! Oddałem wszystko,—cały majątek...

W Wiedniu nie mogę żyć. Nie mam po co wracać do kraju. Tam mnie także nie kochają!!. Taki los półbohaterów i tych, co z połowy swej drogi zepchnięci zostali.

Chcąc zmartwychwstać, trzeba być zamordowanym, zawołał w nerwowem rozdrażnieniu.

Odsunął firanki, otworzył okno i patrzał dumnie. Kareta mijała operę, przerzedzone tłumy zobaczyły go, poznały, zaczęły krzyczeć, grozić, miotać obelgi, wyć...

Premier się uśmiechał pogardliwie.

— To za piątą kuryę, szeptał. Gdyby nie ja, nie mielibyście jej do dziś, stanąłem po waszej stronie wbrew memu własnemu w kraju stronnictwu, które mnie również zato nienawidzi!... Ono także tłum!...

— Co za wrzask, zawołał w duchu — słyszę—„zbójca", „morderca praw".

Co za wrzask, czy też będą mieli odwagę napaść i rozszarpać mnie!... Więc to jest lud i tak wygląda rewolucya uliczna! Dziwna rzecz — ani jeden dotąd kamieniem, ani jeden! Cóż, żaden nie zatrzyma koni?!... Wrzeszczą i rozstępują się! Ile tu błyszczących oczu! Po co natura stwarza tylu krzyczących głupców? Co oni wykrzykują? „Morderca praw". Kto widzi przyszłość, ten musi łamać prawa dnia. Tworzyłem przyszłość, cóż dziwnego, że dzień bieżący zbuntował się przeciwko mnie! Wrzask tłumu to dzień bieżący. Ten wrzask obalił mnie, ale dzieło moje żyć będzie i nic go zabić nie zdoła, nawet Prusacy. Cesarz mnie poświęcił tłumowi, ale czy przez to nie zachwiała się korona?!...

Krzycz, Wiedniu!... Na tej drodze wykrzyczysz sobie los miasta prowincyonalnego pod berłem Prusaków! . . . . .

. . . .

A co teraz ze mną, co ze mną? Mniejsza o Wiedeń, co ze mną?

Poświęciłem siebie, życie swoje, i jak tu teraz żyć, nie będąc niczem— nie pojmuję!?!... Czuję w sobie tyle sił, tyle rozpierającej mocy w piersiach — i czyż już mam zamknąć księgę mego życia?!...

Moja żona — moje dzieci — zrujnowałem je!... Jakże mi ciężko!... A jeżeli — jeżeli mogło być inaczej?... Jeżeli upadłem tylko przez własną niezręczność? Czy niema tu nikogo, ktoby się zlitował nade mną?!... Jeden strzał, jedno uderzenie pałką! Nędzny, wrzeszczący tłumie, nie masz siły popełnić zbrodni, nie stać cię na siłę zbrodniarza!

Myśl zagłębił w serce i słuchał. Mówiło:

— Czyż zato mordowałeś biedny swój lud, co się rwie do słońca, aby tak skończyć?!...

Wstrząsnął się, szarpnął na szyi koszulę z całych sił.

— Powietrza, krew ludu mego dusi mnie! — Powietrza! krzyczał.

Miłości na jedno odetchnienie... Krew, krew braci moich, spieczona, czarna, zasłania mi świat — uciekaj!...

Konie, jak szalone, wpadły w bramę ministeryum.

ROŻDZIAŁ XXVII.

Od samego rana telegramy wlatywały do redakcyi dziennika o sytuacyi wewnętrznej i rewolucyi na ulicach miasta. Redaktor drżał z niecierpliwości, oczekując upadku ministeryum! Wszystkie w nim wrzały namiętności gniewu, strachu i zemsty, ręce się trzęsły pot kroplami spływał z czoła.

Godzina trzecia, odgłos dzwonka, nowy telegram. Redaktor rozerwał gorączkowo fioletową pieczątkę — czytał i śmiał się nerwowo.

— Nareszcie, szepnął, skończone, oddycham!

Z telegramem pobiegł na dół do drukarni.

— Ministeryum runęło — zawołał.

— Szkoda, odezwał się smutno młody metrampage.

Surowy, wylękniony wzrok redaktora padł na jego twarz.

— Jaka, zawołał, czy zamało was mordował?

— Niemcy gotowi wrócić do władzy, odparł drukarz.

— To woda na wasz radykalny młyn.

— Nie chcemy radykalizmu niemieckiego i od Niemców z pokrzywdzeniem sił naszego rozwoju.

— Dodatek złożony? przerwał ostro redaktor.

— Czekamy na dokończenie.

— Oto macie!

Rzucił na stół telegram.

— Kiedy dodatek będzie się mógł ukazać na ulicach?

— Za godzinę — odpowiedziano. Maszyna do odbijania czeka.

Redaktor wyszedł, po schodach pędził, przeskakując po trzy stopnie, wpadł do swego gabinetu, ręce wyciągnął, wołał przyciszonym głosem:

— Zemsto, przybywaj, daj mi siłę piorunu, daj mi jad żmii, daj wymowę Demostenesa, daj mi przebiegłość Żyda, energię i zręczność rozpastwionego kota.

Przestał, położył rękę na piersiach, chodził, głęboko oddychał, serdeczne myśli z przeszłości tuliły się do niego...

— Kiedy za młodu, ja, tłómacz Darwina, przywódca gorącej i szlachetnej młodzieży, dwadzieścia lat temu prosiłem wielkich w owe czasy demokratów lwowskich, wyciągałem do nich ręce, błagając o pożyczkę marnych piętnastu tysięcy, a za nie przyrzekałem dać dziennik z ideami odrodzenia, w którymby ta pełna zapału młodzież mogła składać przędzę swych myśli i swych pragnień, — odepchnęli mnie i ją—odwrócili się ode mnie, nie dali nic, powiedzieli— zdychaj z twoją młodzieżą i jej ideami... Prosiłem o dziesięć tysięcy, śmieli się. Nareszcie żądałem nędznych pięciu — nic!... Podłość wasza była wielka, głupota, przewyższająca podłość!... Dla mnie, naczelnika rzetelnego postępu, dla tej ciepłej młodzieży nie mieliście dobrego słowa, ręki do uścisku i, jak psa lub żebraka, od pychali od drzwi — wy, luminarze deklamującego postępu, a w głębi serc wstrętne łyki, szukający w patryotyzmie nędznego zarobku dla siebie — pokażę ja wam!..

To dla mnie nie było nic, nawet słowa współczucia, a dla „niego”, co nie pracował i nie cierpiał z nami, na jego wymowę, na jego kopalnię macie miliony! Żeby „on” mógł pisać u siebie, rzucacie setki tysięcy i zabijacie nas!... Jeśli wiecie o tem, to kradniecie, żeby mu dawać, a jeśli nie wiecie, to jesteście okradani!... Ja was nauczę! Będę wam, jak żabom, nerwy wycinał. Będę się mścił za moją podłość, za moją zdradę, za me spełnione nikczemności... za odbierane policzki!...

Stał zasłuchany, zapatrzony w głąb swej duszy i szeptał.

— Niosłem zapaloną pochodnię postępu, wyście ją zgasili. Leciałem do was z ukradzionym ogniem z nieba, odwracaliście się... A teraz?... Teraz pokazałem wam, że umiem prowadzić dziennik! Gdybym nie potrzebował kłamać, oszukiwać, spotwarzać i dalej

mógł świecić ogniem, ukradzionym z nieba, jakieżby łuny z mego pisma na was biły! To wy, demokraci, ogień ten głupotą swą zdusiliście, i dlatego lanie wam co dzień sprawiam, jak nikt przede mną i po mnie nie będzie. Uczę was rozumu, kołtuny, i będę jeszcze uczył. Myślałem, że mi już dziś pióro wytrącicie z ręki!... Nie, jeszcze nie, jeszcze poczekacie!...

Zadzwoniono, serce mu w biegu stanęło na mgnienie oka — telegram!...

„Premier" nie wróci — kampanię przeciw wielkiej kasie zaczynać od jutra. Z początku powoli, potem coraz śmielej. Zatrąbimy na alarm, a wtedy i ja z sukursem przyjdę. Do dzieła...

Schaff".

Ręce mu się trzęsły, w oczach świeciły ognie, na twarz wystąpiły wypieki, oddychał krótko, radość go dusiła, wodził oczyma, szukając kogoś, z kimby się mógł dzielić nowiną, rozsadzającą mu serce. Wzrok jego padł na drzwi, chwycił telegram, otworzył je z rozmachem...

W wytwornie urządzonym saloniku, przykrytym dywanem, na kozetce siedziała pani redaktorowa z książką w ręku:

— Austrya padła?... spytała, patrząc na podniecenie męża.

— Nie, tylko się „premier" przewrócił i już się nie podniesie!?..

— Szkoda — energiczniejszego zwierzchnika, oryentującego się szybko, odrazu nie znajdziesz...

— On mnie mordował, chwała Bogu, już nie jest moim zwierzchnikiem!... bankructwo wisiało nad nami.. słyszysz?!!... Dosyć już nędzy, odwykliśmy od niej!...

— Co się stało? zawołała przerażona.

— Kryłem do tej chwili przed tobą całą okropność położenia.

Patrzała na męża szeroko rozwartemi oczyma — zbladł, oczy krwią mu zaszły, nozdrza odchylały się, jak gdyby czuł ulatującą w powietrzu — woń krwi.

— Chcieli mnie zabić, szeptał, wyrzucić, wygnać, unicestwić, zrobić żebrakiem! Słyszysz?!...

Milczała — opamiętał się i powoli opanowywał rozdrażnienie.

— Sprzedałem się, mówił, wciągając w płuca powietrze, za te dywany, za ten komfort, za twoją jedwabną suknię, którą masz na sobie, za ciszę, która cię otacza, za zbytek, który tu panuje, za państwo, jakie mamy — my, dawniej nędzarze...

— Wiem, powiedziała sucho.

— Chcą mnie wygnać z mojej twierdzy, z tego raju! „Premier"

im pomagał, aby mnie jak najprędzej zagryźli. Zrobił jedno wielkie głupstwo, policyę sprowadził do parlamentu, i za to taż sama niemiecka policya jego wygnała. Rozumiesz teraz moją radość?...

— Nie, nie rozumiem.

— Dziesięć lat ciężko pracowałem, aby zdeprawować społeczeństwo, obniżyć we własnych oczach jego wartość moralną, a potem karmić go moją strawą. Znasz ją, była smaczna — co?... piekielnie zręczna, ale i piekielnie podła.

Ciałem kobiety wstrząsnął dreszcz.

— Wzdrygasz się, zawołał, natura twoja i kultura twoja otrząsają się, a łyki gałicyjskie nie wzdrygały się, jadły z apetytem — a wiesz dlaczego? Dlatego, że przy subwencyi możnych obniżyłem im cenę strawy o kilkadziesiąt centów na miesiąc, a i możni swoim służalcom kazali moją płachtę czytać... Zdeprawowani przeze mnie, ogłupiali przeze mnie, cisnęły się łyki do żłobu, prenumerata rosła z dwu tysięcy na cztery, pięć, sześć... Plułem na ich świętości, a za to dawałem im anegdotki, wesołe pornografie i dużo wiadomości, wszystko o osiemdziesiąt centów taniej na miesiąc. Czytali, śmiali się, bawili, przyswajali sobie moją moralność, inaczej, moją kupioną podłość brali za swoją i basta. Wszystko to za osiemdziesiąt centów mniej w prenumeracie na miesiąc. Taka jest siła moralności łyków galicyjskich! Ideały ich można kupić za osiemdziesiąt centów oszczędności miesięcznej!...

— Do rzeczy — szepnęła przerażona.

— Przyszli „ci”, wspierani znalezioną trafem, jak wygraną na loteryi, naftą i wielkim kredytem „kasy”, założyli swoje pismo, jeszcze więcej obniżyli cenę, jeszcze więcej dostosowali się do tłumów w kierunku szowinistyczno - tromtadrackim — i odbierają mi moich prenumeratorów. Nie mogę dać taniej, oni mogą. Mają rotacyjną maszynę i nią zabijają mnie!... Straciłem dwa tysiące prenumeratorów i co dzień ich tracę. Musiałem milczeć i znosić ciosy. „Premier” stał na czele państwa i roztaczał opiekę nad „kasą”, która hula kredytami lub daje je cicho, bez wiedzy wielkiej rady. Tym kredytem mordują mnie!... Dziś w Wiedniu przewrócili „premiera” Niemcy, a ja zaczynam od jutra hulać!... Zacznę, gawiedź pójdzie za mną. Przerażę, wywołam taką panikę, że „kasa” musi paść, a oni z nią — i jestem uratowany.

— Pierwsza instytucya w kraju, milionami rządzi, szeptała kobieta, i miliony łez ociera.

— I te miliony padną...

— Okropne, okropne, powtarzała, boję się przekleństwa, boję się pomsty i kary Bożej na dziecko nasze...

— Czy się czasem nie boisz piekła?

Zaśmiał się, bijąc z całych sił dłonią w stół.

— Ten „starzec”, przechodząc, rzuca na mnie z czarnych swych ślepi takie snopy pogardy, że mimowoli wzrok mi przykuwa do ziemi. Drżę przed nim!... Dziś zobaczymy!...

— Bój się Boga. ludzie ci są nieskazitelni, starzec stoi, jak posąg, jego młody towarzysz—postać idealna, czysta, zdaje się, że promienie z niego idą. Jak śmiesz rzucać się na nich, nie boisz się samego społeczeństwa? ono cię ukamienuje...

Nie słyszał skarg żony.

— Wyście mi wydarli, wyrzucał z siebie zdławione wyrazy, dwa tysiące prenumeratorów, a ja was za to wpakuję do kryminału! Wszyscy wasi prenumeratorowie przyjdą potem do mnie, a wtedy i ja im dam waszą cenę!...

Groził. Męczennicy, bohaterzy — do kryminału! Za odbierane policzki, za pogardę waszą, za znęcanie się nade mną—do kryminału! Nienawidzę was, jak szatan, jak złe dobrego!

Ciężko oddychał, wyrzucając urywane frazesa.

— Byłem lepszy od was, rozumniejszy, o szerszych poglądach, o wielkiej ambicyi. Moje widnokręgi nie kończyły się na Lwowie i Wiedniu!... Mając wasze kopalnie i wasz kredyt, dziennik mój nie uganiałby się za prenumeratorami, dziennik mój miałby trąbę archanioła, co śpiących budzi, umarłych wskrzesza. Rzesze garnęłyby się do mnie, nie wabione taniością i pochlebstwem, lecz wielkością, przed którą tłumy zawsze się korzą. Dziś co?... Gdzie wy? A ja czem jestem, dokąd zaszedłem?!...

— Za podłość moją, szeptał, za nędzę moją, za zdradę mych idei, za zgaszone przez was, demokraty, ognie mego serca—do kryminału!... Chciałem być waszym Prometeuszem, czem mnie zrobiliście?

Padł na fotel, zakrył twarz rękoma.

— Do kryminału, do kryminału, powtarzał cicho.. Za moją cześć, za zmarnowane życie, za nędzę tego życia, za szpik moich kości, co, zdradą mej wiary zjadany, schnie we mnie...

Mówił cichutko do siebie. Po chwili zerwał się i krzyczał:

— Szaleją kredytem, żeby się wydobyć z matni... Może za pół roku wyszliby cali, dumni, tryumfujący, uśmiechnięci i wtedy, przechodząc obok mnie, pluliby mi w twarz. Pół roku to wieczność dla nich, lecz ja czuwam i w miesiąc ich zgniotę. Gdy ich będą

prowadzić do kryminału, stać będę wtedy na ulicy i patrzeć im w oczy. Niech się skończą pasy gliny, ciągnące się w węglu ich kopalni, za pół roku są bogaci, szczęśliwi. Lecz ja czuwam i za miesiąc wpakuję ich do kryminału!... Za pół roku ukradliby mi jeszcze dwa tysiące prenumeratorów i gotowi wygnać z miasta o żebraczym kiju, gdybym nie miał własnych oszczędności... Walka o byt, walka dobrego ze złem. Że na dobre jeszcze zawcześnie, dowiodę wam, kochankowie nieba!

Kobieta, wyprężona rozpaczą, powstała, wlepiając osłupiały wzrok w męża.

— Nie dorosłaś jeszcze, zwrócił się ku niej, do rozkoszy zemsty i nie rozumiesz jej czarów!...

Wyszedł, kobieta runęła na dywan.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Następnych dni dzienniki, przepełnione upadkiem ministeryum prawicy austryackiego parlamentu, nie zwróciły uwagi na pierwszy artykuł lwowskiego pisma bankierów wiedeńskich, zatytułowany: „Źle się dzieje w wielkiej kasie", a pisany wyzywająco i prowokacyjnie.

Publiczność, przyzwyczajona do rzucania przez ten dziennik obelg i potwarzy na wszystko, co nie odpowiadało jego interesom, nic sobie nie robiła z napaści, myśląc, że to zwykła zemsta lub ukryty polityczny kawał.

Ze strony „kasy" odpowiedziało pismo Władysława i Wita z wyniosłością i lekceważeniem. Lwów, znając nieskazitelność dyrektora i jego ubóstwo, bijące w oczy, był pewny, że napaść bankierskiego dziennika to szczekanie psa na księżyc.

Wśród ciągłej zmiany ministeryów i niespodzianek, które poświadczały że po upadku polskiego premiera niepodobna rządzić w Austryi, bez jego postulatów i danych Czechom praw, ukazał się w dzienniku lwowskim bankierów wiedeńskich drugi artykuł wstępny, napadający z niesłychaną bezczelnością na wielką galicyjską kasę i jej dyrektora — na młodego posła, na jego przyjaciół, dwu właścicieli nowego pisma i kopalni w Wyżnicy.

„Nowe pismo" ciężyło również i na innych dziennikach lwowskich, redagowanych wodniście i banalnie. Walkę o prenumerato-

rów zrozumieli wszyscy, a że dziennik lwowski bankierów wiedeńskich był wyrocznią dla arystokratycznych konserwatystów galicyjskich, pisma ich naśladowały go w napaści na „wielką kasę" również i w interesie swych prenumeratorów.

Zaczął się hałas, strzały padały coraz częstsze i z coraz mniejszej odległości.

Starzec stał dumny, spokojny, zimny, jak gdyby w ogniu dział i karabinów. Pytany przez przyjaciół odpowiadał z pogardą i dumą.

Wpadł do niego Tadeusz blady, z oczami fosforycznie błyszczącemi.

— Tajemnica „tajnego" odkryta — szepnął.

— Nie, odrzekł, zaledwo przewąchana. Premier padł, psy, trzymane dotąd na łańcuchu, tem głośniej ujadają.

— Do jakich rozmiarów doszedł tajny?

— Nie pytaj! Dwa nowe szyby zbudowałem, dwa nowe kotły, dwie wielkie maszyny na wodę.

— Węgiel?

— Jest, lecz tak samo, jak w pierwszym szybie, przerośnięty pasami gliny.

Tadeuszowi na skroniach biły pulsa, jak młotem, oddychał szybko a krótko.

— Wydatki rosną, mówił dalej dyrektor, ale i nadzieje potężnieją. Muszą się skończyć pasy gliny — dajcie mi tylko czas! Trochę czasu za królestwo, za wiele królestw!?! Walka wre — to mój żywioł, żyję w nim i rozpieram się!... Spotkałem tego łotra, patrzałem mu w twarz uśmiechnięty, tryumfujący, z tą pogardą, co wypala na czołach znamiona. Skulił się pod promieniami mego wzroku, jak pies, którego ćwiczą, i uciekał. Oczy moje pisały na jego skórze ognisty wyraz: zdrajca — straszny i nieubłagany, jak niestarte znamię jego podłości. Czasu mi dajcie, czasu na odetchnięcie — szeptał.

— Z czyjego rozkazu napada na nas, zapytał żywo Tadeusz.

— Czyż może być jeden rozkaz? Rozkazują ci, co chcą zająć moje miejsce, i ci, coby radzi odwrócić oczy ludzkie od swych szacherstw, i ci, co mogą zyskać na zawieruchach, i ci, co chcą gwałtownie zabić nasze pismo... Wszystko miernoty, małostki, gnidy społeczeństwa. Cały świat zjadaczy chleba!... Wszyscy, których dziąsła swędzą, że kąsać nie mogą, a pragną z potrzeby duszy i wrodzonej podłości serca. Ci rozkazują, klaszczą napastnikom, popierają ich głośno lub wymownem milczeniem.

Zniżył głos.

— W kasie mojej odczuwają wszystko, mają węch. Nie masz pojęcia, jakie sumy płacę za milczenie...

Zerwał się gwałtownie i mówił szybko, gorączkowo, jak gdyby chciał zakrzyczeć własne sumienie.

— Ale to nic, to nic, to drobnostka w porównaniu z tem, co będzie, gdy pasy gliny skończą się w naszych kopalniach. Gdy się skończą, znajdziemy wspólnika, który wypełni tajny kredyt i będzie spokój, spokój, spokój!...

Wciągnął w płuca głęboko powietrze i wolno je wyrzucał.

— Czujesz, co to za uroczy będzie dla nas wypoczynek — ten sen cichy, spokojny, długi, myśl płynąca gdzie się jej podoba, do dobrych uczynków i miłości ludzkiej. Odpoczynek bez strachu, praca nie żeby ratować siebie, lecz działać i czynić dobrze!... Ty to wszystko odczuwasz — nieprawdaż?!

Tadeusz rzucił się starcowi w objęcia i zapłakał cicho.

— Ty to odczuwasz, mówił pieszczotliwie starzec, że to wszystko dla ciebie. Ja, stary, mogę skończyć, jak mi się podoba, lecz ty musisz żyć, musisz! powinieneś! i dalej rozpoczęte dzieło prowadzić. Tadziu, to wszystko dla ciebie i przysięgam ci, że nie zostaniesz sam! Do końca razem!

Tadeusz wyrwał się z objęć starca, wypadł na schody. Schodził wolno, w głowie mu szumiało.

— A więc już tak blizko katastrofa, a tajny kredyt tak olbrzymio rośnie, tak strasznie rośnie, że starzec boi się wymówić jego cyfry... Przekleństwo tajnego kredytu!... Tyle wysiłków, tyle pracy, tyle bezsennych nocy, tyle szamotań się i tyle walk — pada...

Zatrzymał się w otwartem oknie. Tłum przeciągał zwartym szeregiem, szybko, nerwowo, zajęty żerem powszedniego dnia. Pogroził mu.

— Jeśli my padamy, cośmy ci nieśli naszą wiedzę, bogactwa, siłę odrodzenia, a tyś nas głupotą odepchnął, głupotą maltretujesz i głupotą zabijasz, to ty, tłumie, winien jesteś naszego upadku za to, że byłeś za głupi, abyś mógł i umiał podnieść to, co ci dawaliśmy.

Szedł szybko w nerwowem podnieceniu.

U ciotki Urszuli zastał list Maryni. „Wytrwałości, pisała, dziś jestem z wami, całą mą duszą, co jutro będzie, zobaczymy... Mój Tadziu, na pocieszenie przesyłam ci list Podiebrada. My jesteśmy dający światło, wytwarza się ono w naszem zetknięciu z naturami szlachetnemi i dobremi. Czytaj”.

Tadeusz rozwinął ćwiartkę papieru.

„Ubóstwiana moja Aryo!

„Wróciłem na zamek mych przodków, do mych czeskich gór, do szerokich horyzontów, ciemnych lasów, złocistych pól, do mego ludu... Gnieciony przez nas przez tyle setek lat nie chowa w swem sercu przekleństw ani nawet nie ma do nas żalu! Przywitał się ze mną z niekłamaną radością: ciepło i serdecznie. Gromada prosiła mnie, abym z nią został, dziewczęta pokazywały mi z poza uśmiechów wiśniowych ust białe, jak śnieg, zęby.

— „Zostań z nami, mówił stary chłop czeski, patrząc mi w twarz mądremi oczyma. Zostań ze swym ludem, na ziemi ojców, wśród swej braci jednej krwi i „ne dajmy se"...

„Nie dokończył, spłonąłem ze wstydu. W milczeniu jego czytałem wyrzut bolesny:

— „Odeszliście od nas do Niemców, wrogów naszych, opuściliście ojczyznę i lud. A przecie daliśmy sobie bez was radę. Dwieście lat gnębiła nas ręka Niemców, ciął ich miecz, wypierała ich chytrość i zaciekłość... Wszystko to przeszło, a myśmy ostali. Wy dziś wracacie do nas od stołów niemieckich, czekamy was bez gniewu i bez niechęci, z otwartemi rękoma, byleście z nami zostali.

„Tak myślał ten starzec, patrząc na mnie. Jego wzrok palił mnie wyrzutem. Dlaczego ja się zaprzedałem Niemcom? za co? Co mi Niemcy dali?... swoją kulturę? wszakże mogłem mieć własną.

— „Zostanę z wami, odpowiedziałem wzruszony, jam wasz, jam z tych starych Podiebradów, co przed wiekami zasłaniali ziemię czeską przed zniszczeniem mieczy niemieckich. Oni padli, ja staję dziś na ich miejscu!... Czechem jestem, jako i wy, i takim mnie do grobu poniesiecie!... Podaj, stary, rękę, zawołałem, wyciągając dłoń do starca gromady -- niech ją uścisnę na wieczną czeską zgodę — a na strach wrogom naszego narodu. „Ne dajmy se!"

— „Ne dajmy se, na zdar!" poczęli krzyczeć wszyscy i przypadli mi do kolan w uniesieniu. O jakże czułem, żem to ja raczej powinien być u ich kolan, jakże chciałem gorąco dziękować tobie, Aryo niemoja, żeś mi wróciła serce ludu i moje ku niemu skłoniła!...

„Zaskrzypiały zawiasy drzwi moich piwnic, wytoczono beczki miodu, z gór zeszły kobzy, flety i skrzypce! Śpiewy, wesołość, tańce i wielka radość ludu rozweseliła dolinę. Cieszyli się powrotem marnotrawnego syna. Mózg mój oświecały błyskawice, żal serce ściskał, że przychodzę tak późno. Lud mój sam się obronił bezemnie i wytrwał. Coraz częściej gęby odrywa od trawy i patrzy na błękit i Boga — coraz częściej i coraz dłużej. Lud ten czuje się

Czechem, duma rozpiera mu piersi. Zrobił to sam beze mnie, przychodzę patrzeć i cieszyć się, a nie pracować z nim.

„Lecz zupełniebym nie przyszedł, gdyby nie ty, Aryo. Zstąpiłaś na ziemię, jak zjawisko, odgadłaś moją dolę sierocą, pokazałaś mi drogę i mój cel. Cześć ci!

„Czemuż cię w tę wesołą, gwiaździstą noc, udekorowaną szczytami naszych gór, nie było przy mnie? Czemuż dłoń twoja nie spoczęła na mem czole, a promienie twych oczu”...

Nie mógł dalej czytać, zerwał się. Urszula, znając list Podiebrada, cicho płakała.

— Marynia dziś, szeptał Tadeusz, roznosząc światło wśród ludu czeskiego, czczona i kochana, byłaby szczęśliwą.

— Milcz, zawołała ciotka. Marynia może ciebie jednego kochać, być Polką, żyć na swej ziemi i tulić do siebie własny lud. Rozumiesz, co to własny?...

Tadeusz uciekł z mieszkania Urszuli.

— „Własny”, powtarzał, własny. A tu na własnych śmieciach przy mnie, własnym moim ludem rządzą Niemcy i ssą go... Połowę mojej hańby, pół przekleństwa, wiszącego nade mną, połowę mojej nędzy, mych boleści i smutków Marynia ma dźwigać? za co?... Uciekał od ludzi, gwaru miasta, chciał się stoczyć w przepaść, skryć pod ziemię...

Stanął.

— A jednak ja mam czyste sumienie, nie obraziłem go niczem. Przekleństwo ludzi będzie spadać na moją głowę, ale Bóg weźmie moje sumienie, przyjaciele serce me owiną w liście aloesu, powtarzał za Słowackim, i spalą czyste. Czyste me serce w liściach aloesu spali się, jak kadzidło, na cześć Boga miłości. Kochało ono lud, kochało i naród. Mózg pracował, a serce mu moje błogosławiło.

ROZDZIAŁ XXIX.

Wiedeń.

„Panie Redaktorze,

„Winszuję panu akcyi, śmiała, bardzo śmiała i energiczna, może za energiczna, jak na galicyjskie stosunki, wygląda nieco na napaść, na potwarz, na paszkwil!... Dobrze panu wtórują dzienniki wiedeńskie, mimo to starzec ten stoi, jak posąg, kasa niezachwiana, walory jej nie straciły centa na wartości.

„Czy nie za ostra była napaść, że aż jej nie uwierzono!?...

„Racz pan przyjąć wyrazy pozdrowienia.

Schaff".

Lwów.

„Szanowny i Czcigodny panie Radco Izby handlowej,

„Nie za ostra, i nie zdają sobie sprawy, aby to był paszkwil, tylko starzec ten stoi w mieście siłą trzydziestu lat nieskązitelnej pracy, zaufaniem i wiarą w niego mas. Każdy mieszczanin położy głowę za niego! Wieluż jest tych, co zawdzięczają mu swój byt i przyszłość swych dzieci?... Starzec stoi, jak posąg, na piedestale, który sam sobie wykuwał przez lat trzydzieści. Takich w jednym dniu zwalić nie można. Lecz czekaj pan radca jeszcze parę miesięcy, znam ja mój lud i moje miasto. Znam mój naród i umiem go prowadzić... Należy go przestraszyć, że to o jego kieszeń idzie, a potem wzbudzić w nim zazdrość, po zazdrości chciwość, reszta sama się znajdzie.

„Prosząc o cierpliwość, zostaję z głębokim szacunkiem

powolny sługa Redaktor".

Wiedeń.

„Panie Redaktorze!

„Nie mamy czasu czekać. Z toku naszych interesów wypada, aby kopalnia wyżnicka, była w moich rękach na wiosnę. Koniecznie, koniecznie! Mogę do tego dojść szybkim krachem waszej „wielkiej kasy", i ten krach trzeba urządzić, wywołać, poprowadzić... Pan redaktor jesteś jeszcze nowicyuszem, lecz ja w tych sprawach, praktykiem. Wysyłam do Galicyi dziesięciu moich Żydków, każdy z nich dostanie trzysta papierków, razem trzy tysiące. Dalej mamy na usługi kahały lwowski, stanisławowski, przemyski, nowosandecki — te wystarczą... Żydkowie moi będą spędzać powiatami z prowincyi przy pomocy kahałów przerażony tłum żydowski do Lwowa. Przywiezieni Żydkowie przelecą z książeczkami kasy przez dzielnice żydowskie do samego gmachu kasy, oblegną go i cisnąć się będą, krzyczeć: oddawajcie nam nasze pieniądze, oddawajcie zaoszczędzony nasz grosz!... Zrobią wielki alarm. Wystraszeni Żydzi lwowscy przylecą przed kasę w liczbie czterdziestu tysięcy!...

„Operacya ta powtarzać się będzie co parę dni dziesięć razy!... Wezwany przez rząd kahał, aby uspokoił Żydów, odpowie: dobrze, ale po przeprowadzeniu skontra kasy!... Reszta wiadoma. Gdyby to było u nas, gdyby była sprawa o utrącenie jednego z naszych, pieniądze na ratunek odrazuby się znalazły! U was nie, wy, chrze-

ścijanie, z waszą religią miłości bliźniego lubicie swych bliźnich za życia ogryzać do kości i ssać ich ciepłą krew. Kultura miłości tkwi w was od dwu tysięcy lat...

„Sądzę, że w pracy swej pan nie ustaniesz, za panem cała wasza konserwatywna prasa wraz z antysemitami. Ten antysemityzm to dobry dla nas wynalazek. Musiał go wymyślić jakiś bardzo sprytny Żyd i wielka głowa...

„Nie bądźmy liszkami, chwalącemi własne ogony, raczej niechaj czyny nasze mówią za nas...

„Przywódca wysłanych przeze mnie dziesięciorga dzieci Izraela przedstawi się panu, proszę mu udzielić potrzebnych informacyi i szczegóły z nim omówić. Sprytne to dziecko, zna ludzi i słyszy, jak trawa rośnie.

„Nie potrzebuję dodawać, że całą akcyę należy pokryć do chwili wybuchu wielką tajemnicą.

„Po krachu zjawię się na ruinach kasy i na nich podamy sobie ręce.

przychylny
bankier Schaff".

Redaktor ze wstrętem list odsunął od siebie.

— Ten przeklęty Żyd urąga mi i policzkuje mnie „chrześcijaństwem". Ja cię nauczę!... Niechaj chrześcijaństwo zniesie walkę o byt i da jeść ludziom, to dopiero wtedy wolno mu będzie mówić o wpływie swej kultury i patrzeć na swe podboje!... Dopóki zmieniać praw natury nie jest w stanie, musi milczeć. Ja, tłómacz Darwina, rozumiem to lepiej od was wszystkich. A ty, Żydzie, nie baw się w szyderstwa z mojej religii, bo o wiele jesteś podlejszy ode mnie i może mi Bóg pozwoli, że i ciebie potrafię zdusić...

ROŻDZIAŁ XXX.

Na wałach hetmańskich przed gmachem „wielkiej kasy" wrzało! Tysiące Żydów z prowincyi i Lwowa szturmowało do wielkich jej drzwi, wrzeszcząc przeraźliwie.

— Moje pieniądze, nasze pieniądze! oddawaj, gwałt—rabunek!... Płacze i lamenty roździerały powietrze. Ruch konny został wstrzymany, zaledwo kolej elektryczna, dzwoniąc, mogła się powoli posuwać. Wejścia do kasy pilnowała policya, puszczając szturmujących w miarę zrobionego miejsca. Przekleństwa i wrzaski wznosiły się,

jak bałwany na morzu; cichły na chwilę, aby się dźwigać z większą jeszcze siłą.

W wielkiej sieni kasy ustawiono czterdzieści stołów, przy każdym dwu urzędników odbierało książeczki i płaciło gotówkę. Jednocześnie mogło się wewnątrz znajdować czterdziestu odbiorców, a do drzwi szturmowało pięć tysięcy.

Żydzi lwowscy, odznaczający się wschodnim sprytem, robili na ulicach interesa —kupowali od wystraszonych książeczki, wyzyskując ich nielitościwie. Lecz również zdarzało się, że byli oszukiwani. Udający przerażenie sprzedawali im swe oszczędności z dopisanemi zerami.

Gromadka Rusinów stanęła na placu, patrząc na wspaniały gmach. Jeden z nich spytał: Czyja to sadyba?

— Nie wiesz, głupcze? to kasa!...

Rusini spojrzeli na siebie i splunęli.

— Jeśli kasę stać na wybudowanie takiej sadyby, to ją stać na zapłacenie i naszych parszywych papierków...

— Do domu, zakomenderował najstarszy — odeszli.

Żydzi czekali na rozkaz kahału, a kahał milczał, jak zaklęty.

Szturm trwał, gdy jednego dnia przycichł, drugiego, zasilony przybyszami z prowincyi, podnosił się zdwojoną siłą i energią.

Banki przysłały dyrektorowi kasy po parę kroć gotówką, wypłaty trwały nieprzerwanie — rząd i kahał lwowski milczeli, jak zaklęci.

Zebrana wielka rada kasy postanowiła zrobić skontro, powołała do tej czynności komisyę ze swego łona i dyrektorów niektórych banków.

Pierwszy stanął do apelu mąż, nazwany grabarzem instytucyi finansowych, zawsze i nieustannie alarmujący, aby tylko przedłużać kontrolę, rachunki i sute dyety dla siebie.

Tego samego dnia reporterowi jednego z postępowych dzienników zwierzył się tajemniczo:

— Wielkie nieporządki, brak paru milionów, bilansy sztucznie zestawiane. Trzeba wielkiej głowy i wielkiej wytrwałości, aby zrobić porządek.

Reporter poleciał do redakcyi, „grabarz" zatarł ręce.

— Jutro, szepnął, zrobi się potop, kasę wezmą szturmem, a ja, bo któżby inny, będę ją ratował. Dyety grube i długo trwające...

Odgadł, tego samego dnia zjawiło się w dzienniku postępowym wyznanie grabarza, a nazajutrz rano potop. Wezbrane tłumy, jak rozhukane fale, szturmowały do drzwi kasy. Zdwojona policya

i oddział wojska strzegły gmachu przed naporem Żydów i wrzaskiem Żydówek...

Dyrektor stał w oknie z miną żołnierza na murach fortecy.

— Jeśli nie zrewidują depozytów, nic mi nie zrobią, a tobie za cenę nędznych dyet, grabarzu instytucyi, napluję w twarz...

Patrzał na tłum wyzywająco, z uśmiechem litości...

— Rycz, klnij, rzucaj się, pięście twe nie rozbijają murów. W kasie gotówki osiem kroć sto tysięcy, wystarczy na osiem dni. Przez osiem dni zmęczysz się, sił ci zabraknie! Nie wiedział że prowincya dostarczała codzień świeżych posiłków...

Tłum go zobaczył, groził mu, złorzeczył:

— Oddawaj pieniądze naszych dzieci — wrzeszczał.

Pokazał im na drzwi kasy i pogroził.

Tłum na chwilę oniemiał, jakby dla nabrania sił, i z tem większą wściekłością wrzeszczał i złorzeczył, cisnąc się do drzwi.

W tej chwili Marynia z Koczalską jechała z kolei. Konie wpadły w tłum, zestraszone stawały dęba i rwały się. Zrobił się popłoch. Dwóch policyantów wpadło, ujęli konie za cugle i powoli wśród krzyków tłumu przeprowadzili je.

Dziewczę z powozu zobaczyło starca w oknie. Uśmiechał się, witając ją ukłonem. Odetchnęła, promyk nadziei ratunku ogrzał jej serce.

— Straszna rewolucya, szeptała Koczalska. Co za wrzask, jak gdyby świat się zapadał!

Powóz skręcił na ulicę Kopernika i stanął. Ciotka Urszula wyjrzała, zobaczyła Marynię, zbiegła ze schodów.

— To ty, dziecko, ty — nie wierzę póki się ciebie nie dotknę. I poczciwa Koczalska!... Jesteście — jesteście!... Łzy cicho dużemi kroplami spadały jej z oczu. Marynia wbiegła do bramy.

— Tadeusz? szepnęła.

— A gdzieżby, jeśli nie u starej ciotki. Zniżyła głos.

— Z początku bałam się o niego. Rozpaczał nad zmarnowanem życiem.

— On? którego wszystkie dnie żywota były pracą i walką. On?...

— Cicho, dziecko, cicho, spokojnie — tylko spokojnie. Chodź, u mnie odpoczniesz.

— Dlaczego niema go tu? nie wyszedł, nie wita się?...

— Po trzech bezsennych nocach usnął pierwszy raz.

Marynia zamilkła, szły cicho na górę. Przywieziono kufry, znoszenia ich pilnowała Koczalska.

W saloniku dziewczę padło w objęcia Urszuli, i cicho obie płakały...

— Nie są to, tłómaczyła się, łzy żalu. Jeśli muszę płakać, to z radości, że nareszcie jestem z wami i że już mnie nikt i nic nie rozdzieli, nie wydrze od was.

Zaczęła nasłuchiwać.

— Żal mi Tadzia, szepnęła i znowu zalała się łzami.

— Dziecko, przed nim dobra mina, zaklinam cię, bo mu może serce pęknąć. Jak to dobrze, że śpi, gdy się zbudzi, przyjmiemy go uśmiechem. Ustami zbierała z oczu Maryni łzy i ocierała je chusteczką.

— Uciekłaś, dodała.

— Nie, wyjechałam z Koczalską. Napisałam do ojca, że jadę do mego narzeczonego. List kazałam mu wręczyć dziś rano, aby nie mógł telegrafem wstrzymać mej podróży.

— Kocham cię za to!

— Ciociu, nie oczekiwałaś mnie.

— Nie śmiałam o tem marzyć, chociaż serce mi mówiło, że cię zobaczę.

Rozpłakała się serdecznie. Marynia z obawy, aby nie zbudzić Tadeusza, przyciskała twarz ciotki do swych piersi i tuliła ją.

— Odpoczniemy zdala od Lwowa, od jego wrzasków i jego nędzy.

— Starzec, szepnęła ciotka, z białym włosem i z utkwionym w nas wzrokiem pójdzie za nami wszędzie. Przed nim nie uciekniemy. Przepaści nie zasypiemy.

Obie załamały ręce.

— Widziałam go w oknie gmachu kasy, witał mnie serdecznie, z uśmiechem.

— W walce jest niezwyciężony, przytomny, spokojny, jak stary wódz...

Zaszeleściało, ucichły, wlepiając trwożnie wzrok w drzwi. Otworzyły się, na progu stanął Tadeusz, patrzał, patrzał — dał krok i padł u nóg Maryni.

Urszula wysunęła się z pokoju, przymykając drzwi.

— Dwa młode serca same zostawić, myślała, a porozumieją się błyskawicami uczuć, nawet mówić nie potrzebują!... Po co im rozmowa?!

Koczalska, ocierając oczy, gospodarowała, lokując swą panią i siebie w mieszkaniu Urszuli.

— Jak przyjedzie „on”, to znaczyło Edward, będzie sądny dzień, mówiła, samą myślą wystraszona.

— Bądź spokojna, damy mu radę, odparła stara panna, pewna siebie.

— Ja się nie pokażę, umarłabym ze strachu.

— Dobrze, dobrze, schowasz się w moim pokoju.

Po chwili Urszula zajrzała do salonu. Tadeusz siedział na kozetce, przytulona z głową opartą na jego ramieniu — Marynia. Marzyli oboje. Była to chwila głębokiego nastroju, patrzeli w głąb swych dusz i spowiadali się Bogu wichrem swych uczuć, poniesieni w nieskończoność.

— Jeżeli tak, to już dobrze, myślało poczciwe ciotczysko — oddają sumienia Panu, rozpacz odeszła.

O dziesiątej godzinie wieczór dzwonek w przedpokoju Urszuli zadźwięczał złowrogo. Koczalska uciekła do kuchni, Marynia wystraszona stanęła na środku salonu, ciotka otworzyła drzwi.

Wszedł czerwony, z piorunami w oczach pan Edward, za nim domniemany ajent policyjny.

— Jesteś pani oskarżoną, zaczął groźnie Edward, że ukrywasz w swym domu zbiegłą nieletnią moją córkę.

— Ojcze, zapomniałeś, że jestem pełnoletnią od czterech tygodni.

— Nieprawda, krzyknął.

— Cicho, zawołała ciotka, bo cię każę wyprowadzić policyantowi, co przyszedł z tobą.

Pan Edward osłupiał.

— Przyjęłam w dom córkę mej rodzonej siostry, która przyjechała odwiedzić mnie, rozumiesz, mówiła ciotka, siląc się na spokój.

— Uciekła, zawołał.

— To nie bardzo pochlebnie mówi o tobie, jeżeli musiała uciekać z twego domu.

— Nie, ojcze, przerwała Marynia, przyjechałam do ciotki mej, aby się połączyć z mym mężem.

— Tymczasem wrócisz do domu.

— Pójdę do domu mego męża, rzekło z godnością dziewczę.

— Brać ją, zawołał pan Edward do urzędnika policyi.

Ciotka ujęła się pod boki.

— A ty skądeś się wziął? z Azyi czy Afryki?

— Panie, odparł urzędnik wesoło, sam dwom damom nie dam rady.

— Sprowadź policyę.

— Dobrze, lecz na to muszę mieć doręczony wyrok.

— Dostaniesz!

— Zaczekam na niego w biurze policyi.

Skłonił się i wyszedł. Koczalska, płacząc, modliła się w kuchni.

Pan Edward stał, patrzał na Marynię, ręce mu drżały, trzymany kapelusz rzucił z całych sił na ziemię, padł na fotel i zakrył twarz rękoma.

— Słyszysz, niedobór w kasie wynosi pięć milionów, całe pięć! Czy ty wiesz, co to znaczy? to ruina kasy i kraju.

— Gdybyś, ojcze, pożyczył w swoim czasie memu mężowi milion, dziś kasa byłaby pełna, a ty panem dziesięciu milionów.

Pan Edward się zerwał.

— Całe miasto woła, że kraj okradziony, ludzie poważni ręce łamią i płaczą ze wstydu, jaki spadł na naród.

Chciał i on koniecznie zapłakać, lecz nie mógł. Marynia dumna, z podniesionem czołem stała na środku pokoju.

— Niech raczej ręce łamią nad sobą, powiedziała, to może ten piekący wstyd weżre się do ich serc i mózgów i przeobrazi je.

Pan Edward powstał, chciał krzyczeć, lecz nie mógł, dusiło go w gardle.

— Gdyby, mówiło dalej dziewczę ze wzrastającą grozą spokoju, znalazł się jeden człowiek w Galicyi, jeden jedyny, którypy podał wtedy rękę... Nie znalazł się, i to jest wstydem całego społeczeństwa. Ani jednego, słyszysz? ojcze, ani jednego, któryby umiał za wydany milion zarobić dziesięć pewnych. Ty, ojcze, gdy do ciebie przyszedł niedawny twój wspólnik, spoliczkowałeś go z cynizmem, którego sam nie rozumiałeś... Odesłałeś go do Podiebrada, sądząc, że mnie sprzeda mu za milion guldenów. Tak z nim postąpił mój ojciec, zawdzięczający mu cały swój majątek.

— Kłamiesz! krzyknął Edward.

— Ojcze, umiesz rachować i wiesz, że nie kłamię. A jeżeli ten wyraz, którym mi cisnąłeś w twarz, jest wynikiem budzącego się wstydu, to się cieszę, bo jest zapowiedzią odrodzenia.

Pan Edward powstał, wyciągnął rękę, patrzał chwilę i, nie mogąc się utrzymać na nogach, siadł.

— Ojcze, tyś wiedział od dnia wybuchu nafty w Swobodzie, że „on" jest moim narzeczonym, wiedziałeś, że jeździłam do niego z ciotką i dyrektorem. Wiedziałeś, że go obwoziłam po ulicach i, jako narzeczonego, pokazywałam ludziom. A mimo to radziłeś mu,

ojcze, sprzedać mnie Podiebradowi za milion guldenów i, myśląc, że on się zdecyduje na tę nikczemność, odmówiłeś mu pożyczki.

— Milcz! krzyknął czerwony z gniewu i oburzenia.

— Dobrze, lecz proszę cię, nie zapominaj, że jestem w domu mego męża!

-- Nie rozkazuję, odkąd mnie policya odstąpiła, mogę cię tylko prosić. Nikt nie wie, że tu jesteś, porzuć te przeklęte progi i wróć do domu ojca. Tam cię czekają dobrobyt, cisza i szacunek ludzki.

— Cisza, w której sumienie moje mówiłoby głośno o mej zdradzie i mej podłości. Nie chcę w takiej ciszy podsłuchiwać szeptów mego sumienia.

— Tu, nad tym domem zawisło przekleństwo milionów! krzyczał Edward.

— Dlatego powinnam zostać, bo ja nie przeklinam, lecz kocham. Tłum idzie z przekleństwem, ja staję mu w poprzek i zasłaniam męczennika miłością. Gdyby nikogo nie było w całym kraju, to ja pierwsza zwątpiłabym o społeczeństwie! Może ja jedna bronię godności społeczeństwa mego, ja jedna.

— Czy wiesz, czem oni są w oczach narodu i Europy?

— Wiem, odpowiedziała spokojnie, czem są w oczach gawiedzi. W tych samych oczach Chrystus był gorszy od Barabasza.

— Czy wiesz, gdzie ich zaprowadzą?...

— Do więzienia, dodała. Rzeczy moje nieodpakowane, pójdę z nimi, pójdę z mym mężem z podniesionem czołem i uśmiechem przebaczenia dla tych, którzy go będą prowadzić...

— Ty? moja córka, z mojem nazwiskiem? Ty?

— Przedewszystkiem, ojcze, z jego nazwiskiem!

— Jak śmiesz tak strasznie znęcać się nade mną!

— Mówię prawdę! Kocham go za jego odwagę. Nie wahał się wszystko zaryzykować dla wielkiego dzieła, dla dźwignięcia kraju i dania sposobności do życia i rozwoju milionom...

— Wszystkie zbrodnie w ten sposób wytłómaczysz.

— Wszystkie, jeśli będą podobne do tej. To nie zbrodnia, to tragedya walki jednostki z nędzą społeczeństwa! Tragedyami dźwigają ludzie narody, chociaż idą na rusztowanie przeklęci przez ludzi dnia dzisiejszego i obowiązujące prawa.

Pan Edward załamał ręce. Urszula dopadła do dziewczęcia i, całując je, mówiła przez łzy.

— On zasłużył na taką obronę. Tą obroną jest wynagrodzony za wszystkie udręczenia życia.

Pan Edward spojrzał na Urszulę, jak sęp.

— Teraz widzę jasno, kto mi ukradł i zmarnował dziecko!

— Uratowałam je od twego egoizmu, płytkości, braku powietrza! zawołała Urszula rozgorączkowana i dumna.

— I takie herezye i takie zbrodnie przechodzą przez ich usta?! Boże, Boże! za co mnie karzesz?! Drżałem, gdy ta czarownica zbliżała się do mego dziecka. Sumienie ostrzegało: chroń dziecko twe, bo ci je ukradnie. I ukradła!... Dziś byłaby panią, wszystkie pałace królewskie stałyby przed nią otworem, miałaby własne zamki i ziemie wielkie, jak królestwa... Byłaby dumą ojca, a dziś, dziś jest na drodze do więzienia.

Chciał płakać, lecz nie mógł.

— I pójdę nią, rzekła Marynia spokojnie, pójdę, jako zadośćuczynienie obowiązku i miłości... Nie ciotka mnie ukradła, lecz matka moja upomniała się o swe dziecko i przysłała siostrę, aby wzięła ducha mego i jej oddała. Nie ciotka prowadzi mnie za nim do więzienia, lecz duch mej matki świeci mi w ciemnościach i mówi mi — idź!...

— Cicho, przestań! Wszystko dla mrzonek i fantazyi, a dla ojca wstyd i upokorzenie, dla ojca pociecha, że córka jego w więzieniu u boku przestępcy!...

— Fatalizm, rzekła poważnie Marynia. Gdybyś chciał, dziś córka twoja byłaby panią dwudziestu milionów i żoną jednego z najdzielniejszych ludzi w Galicyi. Nie obwiniam cię, boś moim ojcem, wina twoja w tem leży, że nie umiałeś przerość swego otoczenia, byłeś, jak inni, jak wielu, jak twe otoczenie — i to wszystko!...

Zamyśliła się i mówiła powoli i cicho:

— A przecież pracowałam, aby cię przerobić ze zjadacza chleba w anioła!...

— Hola, krzyknął pan Edward, nie prosiłem cię o to, i Bóg strzegł, że ci się to nie udało. Nie chcę ponosić losu białej wrony w stadzie. Bóg mnie uchował od tego nieszczęścia. Czarne wrony zadziobują białą. Nie chcę być uduszony przez ludzi, nie chcę być aniołem, jestem człowiekiem i nim zostanę—Bóg da, do śmierci! Praca twoja była nadaremna, i szkoda było wysiłków. Trzeźwość moja wyratowała mnie!... Ty pozujesz na anioła, a brzydzisz się chlebem powszednim, chociaż o niego codzień się modlisz. Gdzie cię prowadzi twoje anielstwo? — do więzienia!... Taki to los dziewczyn,

którym przeklęci poeci przewracają głowy — i wszelką świętość: przykazania, religię, posłuszeństwo zabijają...

Patrzał chwilę na Marynię.

— Wracasz do ojca?

— Czekam na mego męża, odparła spokojnie, lecz stanowczo.

— A więc nie mam już dziecka, córka mi umarła.

— Córce twojej białe skrzydła urosły, powiedziała Urszula. Mając skrzydła, musiała odlecieć i odleciała.

— Nie chcę nic wspólnego mieć z aniołami. Pójdę szukać nowej rodziny!

— Domyślam się, zawołała Urszula, pójdziesz tam, gdzie oczekują twych milionów! — własne swe dziecko ograbisz.

— Idę tam, gdzie mi dadzą serce i cześć na siwiejące me włosy położą. Córka moja wzgardziła milionami.

— I nie chcę ich, dodała Marynia. A jak ci będzie bardzo ciężko, wróć do nas, zastaniesz otwarte drzwi i serca.

Pan Edward spojrzał raz jeszcze na córkę, schwycił kapelusz i wybiegł.

Marynia, łkając, wpadła w objęcia Urszuli. Pan Edward zbiegł ze schodów, jak kula, skoczył do powozu i zawołał:

— Do pałacu księżny Pawłowej.

Konie pomknęły wyciągniętym kłusem, rozszalałe myśli tworzyły w mózgu szlachcica dziwnie fantastyczne obrazy... Widział się białą wroną, czarne kruki ździerały z niego żywe mięso. Drżał ze strachu na całem ciele.

Wbiegł do salonu, czekała go Anulka.

— Nie mam córki, zawołał, zabili mi ją poeci, zabił ją Słowacki, padł na fotel i dopiero wtedy szczerze zapłakał.

— Ale masz wierną towarzyszkę, szeptała Anulka, kładąc malutką, chudą, zimną rękę na jego czole. Masz pokrewną sobie duszę, pocieszycielkę i anioła stróża. U mnie nie znajdziesz Słowackiego, nie rozumiem go i nie cierpię. Mój kuzyn, hrabia Rudolf, mówi, że go rozumie i dla tego nie cierpi...

ROŹDZIAŁ XXXI.

O godzinie dwunastej w nocy w salach biura kopalni Wyżnickiej, oświeconych elektrycznością, znajdowała się garstka ludzi. Mil-

czeli wszyscy, jak zaklęci. Starsi siedzieli, młodzi chodzili nerwowo a cicho, jak duchy, depcząc dywany. Nikt nie miał odwagi zabrać głosu. Wit co chwila zbliżał się do okna, nasłuchiwał:

Naczelnik spółki naftowej mówił półgłosem.

— Skontro kasy do dziś wykazało deficytu pięć milionów. Wobec takiej sumy jesteśmy bezradni — rozpacz...

Zdenerwowane postacie milczały. Ruchy ich stały się szybsze i więcej niespokojne. Dzwonki elektryczne zadrżały, oczy wszystkich zwróciły się na drzwi. Otworzyły się szeroko, wszedł Władysław z torbą podróżną w ręku. Grzywa nastroszona, uśmiech rozbrajający, oczy błękitne, patrzące natchnieniem i miłością.

Po salonie przeszedł szmer radości i nadziei.

— Ile? zapytał.

— Pięć milionów, odpowiedział naczelnik kopalni Wyżnickiej.

— Tylko?

Patrzano na niego z zapartym oddechem.

— Jeżeli tylko pięć, Tadeusz i dyrektor są uratowani. Kopalnie nasze w Wyżnicy, Borysławiu i inne wraz z tym domem naftowym, warte są dziesięć milionów...

Przestał dla nabrania w płuca powietrza.

Słuchano go z utkwionym w twarz jego wzrokiem.

— Oddajemy wszystkie nasze kopalnie i dom za pięciomilionowy deficyt w kasie!...

Piorun był zbyt nieprzewidziany, zagłuszył wszystkich — milczano!...

— Przed sześciu miesiącami, mówił dalej cicho, nerwowo Władysław, żądaliśmy za nasze kopalnie bez naftowego domu pięć milionów, dziś nie sprzedalibyśmy ich za siedem!... Na rzecz długu w kasie oddajemy wszystko wraz z domem za pięć!...

Zwrócił się do Witolda.

— Kochany Wicie, jesteśmy młodzi i silni, mamy przed sobą do zdobycia świat — przyrzekliśmy ratować przyjaciela, który nas stworzył, i dał nam miliony, które posiadamy. Oddajmy mu je, bo to przecie jego są!...

Wit rzucił się w objęcia Władka. Zebrani płakali. Naczelnik kopalni wyżnickiej szeptał:

— Jeszcze nie zginęła. Tym czynem, zawołał z oczami pełnemi łez, zmazaliście zbrodnie tysiąca nikczemników. Czyn ten świeci, jak słońce.

Nie mógł więcej mówić.

— My tylko wykonywamy stary ślub, spełniamy powinność, oddajemy dług, sprawiamy radość naszym znękanym duszom i wracamy trochę zdrowia naszemu biednemu społeczeństwu, powiedział spokojnie Wit.

— Po notaryusza, wołał z entuzyazmem Władysław. Wszystko, co posiadamy, oddajemy bez zastrzeżeń, wszystko do ostatniego guzika składamy w ręce Wydziału krajowego... Kraj nie sprzeda naszych kopalni Niemcom, a my w sześć lat oddamy cały dług w kasie z procentami!...

— Nie sprzeda, wołali z przekonaniem obecni.

— A więc bez zastrzeżeń oddajemy wszystko, co mamy.

Dwaj spólnicy podali sobie ręce.

— Przed chwilą milionerzy, rzekł naczelnik, w tej chwili macie tylko tyle, co na sobie.

— I radość w sercu, która więcej warta, niż miliony. Z radością tą pójdziemy znowu w bój do pracy.

— I przez tę radość stworzymy znowu nowe miliony.

— I znowu je oddamy — Wit, co?!...

— Oddamy, poświadczył Wit.

Przyjaciele padli sobie w objęcia.

Czar wzruszeń unosił się nad zebraną gromadką, z oczu biły promienie, wytwarzające ognie uczuć. Od młodych bohaterów szły w tej chwili uroki na cały kraj, kryjąc w swych skrzydłach nikczemność głupich i nędznych.

Bohaterstwo to sztandar, który trwa wieki...

Rano w saloniku Urszuli na kanapie siedziała Marynia, obok niej Tadeusz.

Po wzruszeniu i wyczerpaniu nerwowem przyszła na nią niemoc i obezwładnienie. Świecącemi oczyma patrzała daleko przed siebie, trzymając dłoń na twarzy Tadeusza.

— Tyle pracy, szeptała, wysileń, przejść, udręczeń, zawodów, upokorzeń — i za to... Nie śmiała kończyć, dreszcze ją przeszły.

Tadeusz przycisnął dłoń jej do swej twarzy.

— Nie lepiej byłoby, gdybym wtedy, pamiętasz... Wiosna, maj, stokrocie i podróżniki, dokoła zieloność, niebo błękitne, wody

jasne, w sercach młodość i jej raj, raj życia — miłości... Nie lepiej byłoby nam, gdybym wtedy już nie wracała do domu?...

Nie szkoda zmarnowanych lat, zmarnowanego życia?... Oddaliśmy wszystko naszej idei, a ona nam zakłada powrozy na szyje i ciągnie do więzienia.. Nie szkoda wiosny życia i jej uroków?... Stokrotki wtedy kwitły, złote podróżniki śmiały się do nas, wielkie przezroczyste niebo i niebieskie wody!...

Oddaliśmy młodość naszą, marzenia szczęścia, które zmieniają się w samo szczęście... Bezsenne noce, troski i prace dnia, wysiłki tytanów, a za to zakładają nam powrozy i ciągną do więzienia. Nie szkoda wiosny życia, poszarpanych nerwów, bólów serc i ciężkich prac mózgu...

Zmęczona, wyczerpana pragnę umrzeć, trzymając dłoń na twej twarzy. Ach, jak wtedy leciał do mnie z wiośnianym wietrzykiem zapach białej lilii i leśnej macierzanki!...

Dlaczego wtedy nie zostaliśmy razem, bylibyśmy mniej głośni, mniej znani, lecz dziś nie szalałaby nad naszemi głowami burza przekleństw... Gdzież się podziejemy?... Nikogo obok nas — nikogo!... W tej pustce więcej cię jeszcze kocham, biedaku mój. Jedna ja ją zapełniam. Na tym obszarze ziemi nikogo już nie masz prócz mnie i Urszuli — wszyscy odlecieli... Kobieta jest jedyną towarzyszką — ona jedna ma zdolność czytania w sercu ukochanego, za nią — noc. Czarne mrowisko ludzi to także pustka...

— Jakże mi smutno — szkoda wiosny naszego życia, zapachu bzów i białych lilii, niesionych gorącym wiatrem południa. Jakże mi żal wiosny naszego — życia...

Szarpnięcie dzwonka przeraźliwie zahuczało, do pokoju wpadła zdyszana Urszula.

— Powietrza, szeptała, oddychając gwałtownie. Boże, Boże! serce mi pęknie.

— Idą! zawołała przerażona Marynia, zerwała się, objęła rękoma za szyję Tadeusza i tuliła się do niego.

— Cicho! krzyknęła ciotka, więcej mówić nie mogła.

Nastała cisza, służąca przyniosła szklankę wody, sekundy długie, jak wieczność, mijały.

— Pięć milionów, wszystko, co mieli, wszystko do ostatniej kropli oddali Władysław i Witold na rzecz długu wielkiej kasie!... Oddali!...

Rozpłakała sią, uklękła, wzniosła w górę ręce — wołała:

— Uratowani jesteście! — Bóg! a ja, głupia, myślałam, że Go niema!... płacząc, śmiała się.

Marynia padła na kanapę, Tadeusz mówił natchniony:

— Spodziewałem się tego, czekałem na ostatnie słowo mych przyjaciół — przyszli!!

Marynia ręką przywołała go do siebie.

— Za tę jedną chwilę, szeptała, nie żałuję zmarnowanego życia, bo ta chwila to życie. Jeśli udręczenia dają taką nagrodę, niech przychodzą. Objęła rękoma twarz Tadeusza, rozchylając swe usta.

— Ty ludzi tworzysz, wołało wniebowzięte ciotczysko. Dzieci błogosławię wam!...

Załkała.

Sewer.

KONIEC.



Wspólna własność ziemska

W GMINIE WIELKOROSYJSKIEJ *).

CZĘŚC III.

Pierwotna własność ziemi i „mir."

IV.

Historya państwa rosyjskiego rozpada się na wyraźne trzy okresy; najlepiej oznaczyć je nazwą miasta, które z kolei było stolicą państwa. Są to okresy Kijowski, Moskiewski i Petersburski.

Okres Moskiewski rozdzielić można jeszcze na dwa podokresy, na których granicy na początku XVII w. stoją t. z. „czasy zamieszki" (smutnoje wremia) i zmiana dynastyi.

Już w pierwszym kijowskim okresie na Rusi ledwie ślady organizacyi rodowej pozostały. Czy organizacya ta zanikła w wędrówce z pierwotnych, przykarpackich siedzib nad brzegi Dniepru, czy upadła przy organizacyi księstw waregskich, czy nakoniec wytępiło ją chrześcijaństwo, to rzecz dla nas obojętna. Ślady rodów zachowały się w organizacyi „włości", która była jednostką admini-

*) Ob. „Ateneum", styczeń—marzec, lipiec—sierpień, październik—listopad, 1900 r.

stracyjno-podatkową, miała jakieś stanowisko autonomiczne i władze, jak się zdaje, wyborcze, reprezentujące ludność wobec władzy państwowej księcia. Był „wołostiel" — i wybrani starostowie. Obok nich organizacya państwowo-wojenna miała tysięczników (wojewodów), setników i dziesiętników. Włość sama rozkłada powinności i daniny. O ile zaś jest ona pozostałością rodu, o ile uważa się za właściciela ziemi, o ile sobie i swoim członkom przypisuje prawo wyłącznego użytkowania z ziemi, o tem nie można nic stanowczego orzec. Pomiędzy włościami a plemionami, wymienionemi u Nestora, niema żadnego związku. Centrum włości stanowi miasto, od którego nazwy idzie miano całej włości. Ziemia naokoło miasta „wołost" uważa się za należącą do miasta — miasto uważa się za obowiązane bronić jej.

Prof. Siergiejewicz twierdzi, że „ziemia włości była własnością mieszkańców miasta", że posiadanie ziemi było ważnym warunkiem politycznej siły, że ilość posiadanej własności ziemskiej może być uważaną za miarę ich politycznego znaczenia; że znaczenie Nowogrodu opierało się na kolosalnej własności ziemskiej, jaką posiadali jego mieszkańcy. Była zaś ona ich własnością, bo jej bronili i od książąt domagali się obrony tej ziemi. Jeśli książę włości nie bronił, wyganiano go tak samo z Nowogrodu, jak i z Kijowa [1]).

Ziemia Nowogrodzka obejmowała całą północ dzisiejszej Rosyi: gubernie Petersburską, Pskowską, Nowogrodzką, Ołonecką, Archangielską, prawie całą Wołogodzką, sięgała Permskiej i Wiackiej; i to miała być „własność mieszkańców Nowogrodu"? Sądzić raczej wypada, że Nowogród uważał się za panującego w tym kraju i że Nowogrodzianie, czerpiąc z tego kraju dochody, mając tam „sioła i żywoty", starali się bronić ich od ruiny i zniszczenia, choć mogli nie być bezpośrednimi „właścicielami ziemi."

Władza panującego była naówczas tak słabą, że z wyjątkiem książąt, którym osobista energia dawała wyjątkową osobistą powagę, rządzili oni tylko w porozumieniu z wiecem — zebraniem ludu — a w Nowogrodzie zawierali z nim wprost umowę. Bronili oni włość od napadów, sądzili, pobierali za to pewne wynagrodzenie — a jeśli rządzili źle i z wiecem pogodzić się nie mogli, wypędzano ich i wzywano na ich miejsce innych. Jeźli zaś latopisy mówią o tem, że Ruryk rozdawał swym mężom włości, to należy sądzić, że dawał nie

---

[1]) Siergiejewicz: „Lekcyi i izsliedowanja po istorii ruskawo prawa". StPtg. 1883, str. 187.

własność ziemi, ale ustępował część swoich obowiązków i praw książęcych, jak to było i w Polsce i w krajach z organizacyą feodalną. Około XIII i XIV w. w miejsce włości, która była zbyt obszerną terytoryalną jednostką, występuje „stan" [1]). Wogóle niesłychanie jest trudno określić, co jest jednostką samorządu w tej epoce.

Podług „Ruskiej Prawdy", za przestępcę odpowiada nie włość, ale „werw". Leszkow próbował opisać szczegółowo organizacyę werwi, ale opis ten jest tylko hypotezą, pozbawioną wszelkich dokumentalnych podstaw [2]).

Badanie pomników prawa ruskiego nie daje też żadnych wskazówek co do form własności ziemskiej. Ruska Prawda zawiera bardzo szczegółowe przepisy o karach za zabójstwo i skaleczenie, o procentach i nawet o bankructwach — ale nie mówi nic o prawie własności ziemi. W przepisach o dziedziczeniu wspominają się, jako części majątku: towary, ruchomości, niewolnicy, bydło i dom — o ziemi niema wzmianki. O żadnej niepodzielności rodzinnej między braćmi mowy niema: po śmierci ojca dzieci dzielą się spadkiem, a wpływ prawa kanonicznego bizantyjskiego widać już w tem, że i kobiety — nawet żona — do spadku po zmarłym mają prawo [3]). Ruska Prawda zna testamenty, każe je spełniać — nie wyłączając żadnych części majątku zmarłego (§ 87 Troic. sp.). Niepodzielność rodzinna spotyka się w Pskowskiej Ustawie sądowej, pomniku nieustalonej epoki — XIII-go i XIV-go w. Władający wspólnie majątkiem noszą nazwę „siabrow". Z wyrazem tym spotkamy się jeszcze później [4]).

Dlatego też zupełnie słusznem jest zdanie, że w prawie ruskiem XII w. niema żadnych śladów ani własności rodowej, ani własności gminnej, ani gminnego użytkowania ziemią [5]). Resztki plemiennego samorządu przechowywały się we włości czy werwi — do niej też, a nie do księcia, należało prawo terytoryalnego władania.

Wyrazu „własność" nie spotyka się ani w Ruskiej Prawdzie, ani w znacznie późniejszych pomnikach XVI i XVII w. „Kupić"

---

[1]) Siergiejewicz, l. c. str. 360.
[2]) Siergiejewicz, l. c. str. 365.
[3]) Siergiejewicz: „Lekcye i studya nad historyą prawa ruskiego". StPtbg. 1883, str. 521 i 557.
[4]) Siergiejewicz, l. c. 539.
[5]) Siergiejewicz, l. c. 535.

oznacza: i kupić, i nająć — a przy kupnie na własność akty XVI i XVII w. używają terminu „kupić trwale" (kupit' w prok) [1]).

Zauważymy tu jeszcze, że w tej epoce jednostką podatkową był dwór. Podatki książę pobierał z „włości". Włość rozkładała je sama i sama dostawiała na dwór księcia. Włość sądziła, nakładała podatki i, jak się zdaje, czuwała nad porządkiem i spokojem między ludnością; wybierała starostów, którzy sądy sprawiali; przestępstwa ważniejsze sądził książę, lub jego namiestnik (posadnik). Wogóle zakres i kompetencya władzy wołostiela i autonomia wołosti są bardzo ciemne [2]).

Jeśli więc mowa jest o tem, kto był właścicielem ziemi w tym okresie historycznym, to prawdopodobnie zwierzchność terytoryalna należała do włości — pod nadzorem księcia — prawo zaś ekonomicznego używania roli było podobnem do późniejszego prawa „zaimki". Głównem bogactwem kraju była hodowla bydła i polowanie; lasy i pastwiska były we wspólnem używaniu osiadłych we włości, a z roli użytkowano na prawie „zaimki" — „wolnicy".

* * *

Tak zwany kijowski okres historyi Rosyi kończy się straszną dziejową katastrofą: najściem Tatarów. Kraj złupiony, spalony, opustoszał, ludność szuka przytułku na północy. Ale i tu szybko wzrastać nie może. Prócz Tatarów łupią ją inni, swoi i obcy. Sołowjew liczy, że w epoce od 1228 do 1462 roku było 90 wojen domowych między książętami ruskimi, 48 napadów tatarskich i 83 wojen z sąsiadami. Głody i epidemie nie należały też do rzadkości [3]).

W związku z upadkiem państwa Kijowskiego i skupianiem się ludności ku północy wzrosło księstwo Moskiewskie. Tu od samego początku podstawa władzy księcia była silniejsza i trwalsza, niż w księstwach udzielnych okresu kijowskiego. W kraju, zamieszkałym pierwotnie przez plemiona pochodzenia fińskiego, resztki organizacyi rodowej śród ruskich kolonistów zniknęły zupełnie. Historyczne i geograficzne warunki sprzyjały wzrostowi władzy państwowej, która, poparta wpływami kościoła i tradycyi wschodniego cesarstwa, za panowania Iwana III i Iwana IV krystalizuje się w państwo samowładne „wszech Rosyi."

---

[1]) Siergiejewicz, l. c. str. 519.

[2]) Siergiejewicz, l. c. str. 397 i nast.

[3]) Sołowjew. Historya Rosyi. Wyd. Obszcz. Polszy, t. IV, Roż. 3, str. 1218.

Charakterystyką tego państwa — wedle Siergiejewicza jest to, że rządzi się ono nie prawem, ale poglądem władzy (usmotrieniem); że praktyka rozporządzeń zawsze prawo wyprzedza i że wskutek tego żaden kodeks, żadna ustawa nie wyraża dokładnie rzeczywistego stanu prawa [1]). W początkach epoki prawem jest tradycya i obyczaj; w końcu, za Piotra W., wola monarchy. Epoka państwa Moskiewskiego jest powolną ewolucyą od jednego do drugiego poglądu.

Dążenie do zrzucenia jarzma tatarskiego od połowy XIII w. daje państwu Moskiewskiemu charakter militarny. Wypędzenie Tatarów i odzyskanie, „zebranie ziemi ruskiej", było świadomym celem państwa od XV w. Cała organizacya społeczna i państwowa przystosowała się do tego zasadniczego celu. Studyując historyę cywilizacyi któregokolwiek z państw zachodnio-europejskich — mówi Milukow [2]) — należy zaczynać od organizacyi ekonomicznej, iść od niej do budowy społecznej, a potem dopiero do organizacyi państwowej. Co do Rosyi bardziej właściwem jest przyjąć porządek odwrotny: należy obznajmić się z organizacyą państwa wprzód, nim z organizacyą społeczeństwa dlatego, że tu organizacya państwa miała wpływ na organizacyę społeczną, kiedy na Zachodzie organizacya społeczna warunkowała organizacyę państwa.

Moskwa — mówi tenże autor — od środka XVI w. staje się obozem wojennym, opartym o północ i działającym na zachód, południe i wschód. Wszystkie kwestye wewnętrznego zarządu pochłania jedno pytanie: jak dostarczyć środków na utrzymanie wojska: wojsko i finanse zaprzątają wyłącznie całą uwagę rządu. Od końca XV w. do Piotra W. rząd przeprowadza 5 razy w latach 1490, 1550, 1620, 1680 i 1700 reformy administracyjne, wywołane koniecznością reorganizacyi finansów, wskutek zmian w organizacyi i uzbrojeniu armii.

Podatki wzrastały w sposób gwałtowny. Włość — miasto z okolicą — była dla państwa jednostką podatkową — i dzieliła nałożoną na nią sumę podatków na miasta, wsie, sotnie i rodziny, stosownie do majątku i zajęcia (po „żiwotam i promysłam") t. j. proporcyonalnie do zamożności. Odpowiedzialność włości za całą sumę podatkową była jedyną skuteczną metodą opodatkowania, bez której podatki nie byłyby nigdy regularnie do skarbu wpływały. Wysłańcy W. Księcia, a później Cara, „dańszczyki" z pisarzem objeżdżali włości i spisywali wsie, dwory i ziemię, do nich należącą. Stąd

[1]) Siergiejewicz, l. c. str. 592.
[2]) Milukow, l. c. t. I, str. 115.

powstały „księgi dańskie", potem „piscowe", w które zapisywano „piśmiennych", t. j. „tiagłych" ludzi, i niektóre z tych ksiąg przechowały się do naszych czasów. Włość rozdzielano na stany i „sotnie", z których każdą zawiadywał setnik. Tak samo opisywano miasta, które także odpowiadały za sumę ogólną podatku. „Tiagłyje" albo „czornyje liudi" byli to wolni włościanie i mieszczanie, ulegający podatkom na rzecz państwa. Włościanie na ziemiach prywatnych, kościelnych i bojarskich płacili stosunkowo mniej, ale płacili zawsze. Nie płacił tylko ten, który służył kościołowi i monarsze: w cerkwi, klasztorze, wojsku i prikazach, t. j. w służbie administracyjnej; nie płaciło duchowieństwo i „służiłyje ludi." Reszta byli ludzie opodatkowani — „ciągli". Nie płacili też niewolnicy (kabalnyje) i ci, którzy za długi byli w niewoli (zakupy), i dlatego też państwo dość wcześnie ograniczyło swobodę sprzedawania się w niewolę i zastawiania dożywotnio osoby własnej.

Wszystkie, jak się zdaje, podatki i powinności aż do napadu Tatarów włości płaciły w naturze. Prócz ziarna i bydła dostarczano jeszcze miodu, wosku, a przedewszystkiem skór, t. j. futer — „kun", które stanowiły pieniądz obiegowy wewnątrz kraju. „Dań tatarska" była pierwszym podatkiem pieniężnym. Zbierali ją urzędnicy tatarscy, baskakowie z „sochy", która odpowiadała 2—3 robotnikom ciągłym, t. j. dworom. W dwadzieścia sześć lat, t. j. już w r. 1266, Wielki Książę Moskiewski sam zbiera ten podatek, sam dostarcza go chanowi, sam spisuje ludność. „Socha" ma mniej więcej 32 robotników. Przy Iwanie IV socha ma już inne znaczenie: odpowiada ona 300 do 600 dziesięcinom, a na przestrzeni całego państwa opisują się wsie i miasta, sporządza się coś w rodzaju kadastru i, jak się zdaje, określenie sumy, należnej skarbowi z włości, czy też z części włości, sotni, opiera się na obliczeniu gruntów ornych. W miastach przemysł i handel obliczają się też na sochy. W r. 1630 już „służiłyje liudi" wyjednali sobie prawo liczenia się ze skarbem na dwory — a w 1646/8 opodatkowanie z dworu ustaliło się w całem państwie Moskiewskiem dla nowych w tym czasie nałożonych podatków. W r. 1718 Piotr W. wprowadza poduszne, które płacili włościanie i mieszczanie; lecz i ten podatek był pogłównym tylko w rozrachunku skarbu z okręgami podatkowymi — wewnątrz okręgów podatek rozkładał się z uwzględnieniem majątków i zarobków (po żiwotam i promysłam) [1]).

---

[1]) Janżuł: „Główne zasady nauki finansów", str. 357. Siergiejewicz, l. c. str. 881. Milukow sądzi, że podatek rozkładał się wedle ilości uprawnej ziemi — l. c. t. 1, str. 140.

Wzrost podatków w społeczeństwie dopiero na pół rolniczem, w stanie, jak mówi Sołowjew, płynnym, wzmacniał jeszcze ten prąd kolonizacyjny, od środka ku krańcom państwa, który, jakeśmy to wspomnieli poprzednio, był szczególniej silny w drugiej połowie XVI w. Rząd sam dla osłony kraju od południa budował linie obronne, osadzał na ziemi kolonistów z obowiązkiem służby wojskowej i brał ich, skąd mógł: z pośród „ludzi służiłych", potomków drużyny i wojskowych — ludzi czarnych — t. j. opodatkowanych — i „chłopów", t. j. niewolników prywatnych. Zwalniał ich przytem od podatków, byleby bronili granic od napadu Tatarów. Osadnicy ci, posiadający ziemię na podstawie często piśmiennych dokumentów i przywilejów, rządzili się na niej tak, jakby była ona prywatną ich własnością każdego. Prawo ich władania, t. z. „czetwiertnoje prawo" przechowało się do połowy bieżącego stulecia, w części aż do dni dzisiejszych.

Z ksiąg podatkowych XV i XVI w. wynika, że wsie ówczesne mają 1—4 dworów, a każdy dwór włościański 1—4 dusz męskich we dworze [1]). Dwór ma we wsi udział w polu ornem w 1/2, 1/4, 1/8, 1/16, 1/3, 1/6, 1/12, 2/3, 3/4, 7/8 „wici" (witij) roli, ale udziały dworów nie są równe. Czy udziały te były idealne czy realne, t. j. czy dwór miał w używaniu stałem te, a nie inne kawałki gruntu, czy też co roku brał inne, w ilości ogólnej tylko określone, to jasnem nie jest. Simchowicz jest zdania, że były to części idealne [2]). Kto wie, czy kwestya ta nie zależy od sposobu gospodarowania — czy części te nie są idealnemi tam, gdzie prowadzi się gospodarstwo ugorowe z coroczną lub częstą zmianą gruntów ornych, i nie stają się realnemi wszędzie tam, gdzie ze zjawiającym się brakiem gruntów (a w centrum państwa brak ten musiał najpierw nastąpić) ludność przechodzi do trójpolówki i zaczyna nawozić grunty orne.

Faktem niezbitym jest i to, że w tych wsiach w XVI w. mieszkali, jak ich dokumenty nazywają, lepsi, średni i młodsi ludzie — t. j. bogatsi, średni i biedni, że było dużo zagrodników i wyrobników bezrolnych [3]) (bobyli, kozacy, zahrebietniki, podworniki). Im bliżej Moskwy, tem procent bezrolnych jest większy. W lustracyach końca XVI w. stosunek włościan do bezrolnych wyraża się cyframi: 477 : 13, 60 : 5, 917 : 40, 473 : 50, 809 : 60, 540 : 38, 217 : 17,

---

[1]) Sołowjew, l. c. t. V, str. 1533.
[2]) Simchowitsch: „Die Feldgemeinschaft im Russland", str. 41.
[3]) Sołowjew, t. XIII, str. 727.

483:23, 94:29 i t. d. W początkach XVII w. w bardzo wielu wsiach liczba bezrolnych równa się prawie ilości włościan osiadłych na gruncie [1]).

Te same formy własności, które panowały w centrum państwa w XV i XVI w., znajdujemy na północy w XVII i XVIII wiekach. W epoce niezależności Nowogrodu wieś ma zwykle jeden dwór (w 66%; — 26% wsi ma 2 dwory), w XVI w. jest we wsi po parę dworów, w XVII w. zwykle kilka. W księgach „piscowych" oznaczona jest ilość podatków, płacona ze wsi, jako całości. Księgi „wierwnyje" wyliczają szczegółowo każdy dwór i grunta, do dworu tego należące, i grunta te różnią się między sobą przestrzenią — ale przestrzenie, należące do pojedyńczych dworów, znajdują się do siebie w pewnym stałym i właściwym stosunku tak co do ogólnej swej sumy, jak i w pojedyńczych działach każdego pola. Wskazuje to, że kiedyś należały one do jednego właściciela, z którego śmiercią dzieliły się między jego spadkobierców. Oprócz gospodarzy pełnych we wsiach są i zagrodnicy (bobyle), którzy posiadają tylko chałupy z małymi ogrodami. W księgach obok każdego dworu wskazany jest jego właściciel.

Dwór jest zadrugą — wielką rodziną. Doszły do czasów obecnych akty podziałów takich wielkich rodzin między 12-ma stryjeczno-stryjecznymi braćmi, pochodzącymi od jednego prapradziada, którzy, dzieląc się gruntami, dzielą je na trzy części, i tworzą trzy nowe gospodarstwa, trzy wielkie rodziny — zadrugi.

Z dokumentów widać także, że samo wykonanie podziału dawało powód do zarzutów; że żądano sprostowań, sprawdzeń, obliczeń, czy grunta są ściśle rozgraniczone, i z tego powodu w dokumentach XVII w. zastrzega się czasami, że podziału już dokonano w naturze i strony zrzekają się poprawek, sprawdzań i sprostowań (lata 1663 i 1683) [2]). Zastrzeżenia takie przy zwyczaju peryodycznych podziałów „mirem" byłyby bezcelowe.

Dzielono się przytem ruchomościami i gruntami ornymi — łąki, pastwiska i rybołówstwa pozostawiano we wspólnem użytkowaniu. Ale zarówno pola, jak i prawo wspólnego użytkowania, były przedmiotem kupna i sprzedaży, z zastrzeżeniem prawa wykupu przez pozostałych członków wsi. Doszedł akt, w którym kobieta sprzedaje: dwie części dworu i budynków, dwie części we wsi pola i łąk i dwie

---

[1]) Simchowicz, l. c. 42.
[2]) Simchowicz, l. c. str. 9.

części wszelkich użytków, które sama posiada; ale zastrzega, że nie sprzedaje 1/3 tegoż dworu, budynków, wsi, pola i użytków, jakie tamże posiada (1655). Są wypadki zastawu i sprzedaży gruntów faktycznie nieoddzielonych.

W razie wątpliwości co do granic posiadania, podają się skargi do cara i następuje sprawdzenie i wyrównanie granic — ale nie podział gruntów na nowo (Wieś Nastasino, za małoletności Piotra W.).

Niewątpliwem też jest, że wielka rodzina lub pojedyńczy człowiek są właścicielami gruntu, a czy własność ta odnosi się do danych kawałków ziemi, czy do pewnego udziału (ułamku) w gruntach danej wsi, zawsze posiada wszelkie cechy własności prywatnej, dziedzicznej, zbywalnej, w której o żadnych podziałach stosownie do ilości głów w rodzinie między już podzielonemi rodzinami mowy być nie może.

Porównanie ksiąg lustracyjnych danej wsi w dwu różnych okresach pozwala wyjaśnić kwestyę rozwoju stosunków agrarczych na przełomie XVII i XVIII w. Wieś Sofuszkino w Archangielskiej gub. miała w 1657 r. 4 dwory — 644 sznurowych sążni roli, z których należało do I-go dworu 170, do II-go — 148, do III-go — 149 do IV-go — 177 sążni; wskazuje to na pierwotnie równy podział między braćmi, z których niektórzy czy rolę powiększyli sami, czy dokupili kawałki. W 1710 r. we wsi tej jest już 15 dworów — roli 779 sznuro-sążni, które dzielą się między dworami w następny sposób

1)	25	4)	90	7)	219	10)	24	13)	44
2)	26	5)	52	8)	41	11)	34	14)	77
3)	44	6)	35	9)	25	12)	48	15)	5

W podobny też sposób rozwija się własność ziemi w innych wsiach i włościach. Własność prywatna zjawia się sama, jak tylko, związek rodzinny rozpada się [1]).

W postanowieniach obu Sudiebników (kodeksów praw) znajdujemy przepisy, każące się domyślać, że włościanin lub rodzina włościańska była właścicielem ziemi. W Sudiebniku Iwana III (1497) znajdujemy ustęp „o miedzach": za rozoranie miedzy i woranie się w grunty W. Księcia, bojarzyna, klasztoru: knut i rubel, „a włościanie (kristjanie) między sobą w jednej włości lub wsi, kto komu

[1]) Simchowicz, l. c. str. 17. Wszystkie te dane, odnoszące się do własności włościańskiej na północy Rosyi, oparte są na pracach pani Jefimienko, ogłoszonych drukiem w latach 1882 do 1884.

się worze, albo kto komu przekosi, tego wołostiel (starszy włości) albo starosta ma imać i karać wedle okoliczności (po usmotrienju).

W następnym zaś ustępie „Sąd o ziemi" Sudiebnik ustanawia dla dochodzenia własności ziemi przedawnienie 3-letnie dla ziemi bojarskiej i klasztornej: „a jeśli dochodzi czarny od czarnego [1]) albo pomieszczyk od pomieszczyka, który trzyma ziemię Wielkiego Księcia, albo czarny lub wiejski (sielski) na pomieszczyku, lub pomieszczyk na czarnym lub wiejskim, to sądzić tylko za trzy lata, a dalej trzech lat nie sądzić." Granic włości zatem rozorać nie można, bo ich niema i nie przewiduje się ze strony włości skarga o własność ziemi. Stawać do sądu o własność ziemi może bojarzyn, klasztor, pomieszczyk i włościanin (czarny i sielski).

Oba te paragrafy powtórzone są w Sudiebniku Iwana IV z r. 1550 (87 i 84) [2]).

Nie ulega też wątpliwości, że w końcu XVI w. carowie moskiewscy uważali się za absolutnych panów majątków i życia swoich poddanych i że teoretycznie cała ziemia w państwie do nich należała.

Ludność miejska wynosiła podług Milukowa w 1724 r. ledwie 3% ludności kraju, w wieku więc XVI nie była stosunkowo liczniejsza; miasta mało czem różniły się od wsi, rzemiosła i handel były bardzo słabo rozwinięte; istniało gospodarstwo przeważnie naturalne. Przy wielkiem obciążeniu podatkowem i tę miejską ludność trudno było na miejscu utrzymać. W XVI w. zdarzają się wypadki, że w ciągu krótkiego stosunkowo czasu w mieście znikają wszyscy dawni właściciele opodatkowanych (tiagłych) dworów, a ich miejsce zajmują nowi. Ponieważ domy w mieście, należące do dworian (służiłych ludzi), podatków nie płacą, więc już w XVI w. wydano przepisy, zabraniające sprzedaży domów nie mieszczanom i opuszczania miasta. Mieszczanie odpowiedzialni za ogólną sumę podatków nieraz sami o takie rozporządzenia prosili [3]). Wsie narzekały, że przy repartycyi podatków miasta krzywdzą ich, i dlatego w ciągu XVII w. w wielu okręgach podatkowych oddzielano wsie od miast. Kodeks Cara Aleksieja (Ułożenje 1649) nakazuje powrócić do miast wszystkim tym, którzy je opuścili; włączyć do miast przedmieścia, a domy,

---

[1]) „Czarny" oznacza tu płacącego podatki, zarówno włościanina, jak mieszczanina.

[2]) Zbiór ważniejszych zabytków do historyi dawnego prawa rosyjskiego (po rosyjsku). Ptbg. 1859. Wydanie Łazarewskiego i Utina.

[3]) Siergiejewicz, l. c. str. 660.

sprzedane ludziom „nie tiagłym", zwrócić. W ciągu lat 1649 do 1652 powrócono 21,000 ludzi, a 10,000 domów oddano mieszczanom. Nakoniec w 1658 r. wydano ukaz, ustanawiający karę śmierci na mieszczan, przesiedlających się z miasta do miasta i oddających córki do innego miasta za mąż bez pozwolenia władzy. Dopiero Piotr W., ustanawiając magistraty, zniósł przytwierdzenie do ziemi mieszczan, którzy w XVII w. byli tak samo przytwierdzeni do ziemi, jak włościanie do 1861 r. [1])

Wojna wymagała nietylko pieniędzy, ale jeszcze i ludzi. Bojarska wolność odjazdu upadła z upadkiem dzielnic, i wolny drużynnik przerodził się w „służiławo" (żołnierza), lub „podjaczego", pracującego w „prikazie". Wskazać etapy, którymi szła ta ewolucya, bardzo trudno. W 1474 r. już wzięto od jednego z bojarów (ks. Daniela Chołmskiego) skrypt, że nie odjedzie. W XVI w. wszyscy bojarzy, mający dobra dziedziczne (wotczynniki), obowiązani są służyć. Potomkom książąt udzielnych zabraniano się żenić, tępiono ich i wzamian za posiadłości rodowe dawano ziemie w innych okręgach państwa. Przy rewersach o „niewyjeździe" wymagano poręczenia na kolosalne sumy. Przy określeniu obowiązków wojennych z posiadanej ziemi zrównano dobra dziedziczne z dobrami danemi z warunkiem służby wojskowej „w pomiestje", tak, że w końcu XVII w. różnica między „wotczyną" a „pomiestjem" znikła zupełnie [2]). W 1684 r. zrównano prawo spadkowe dóbr dziedzicznych i pomiestnych [3]).

W miarę jak wzrastało państwo, utrzymanie wojska — drużyny — w stolicy księcia stało się niemożliwe; część jej osadzono w miastach i na granicach państwa, a gdy i to nie rozwiązało kwestyi, użyto środka, stosowanego we wszystkich społeczeństwach pierwotnych: rozdawano klasie wojennej ziemię i ludzi z obowiązkiem służenia zbrojno. Tak nadana ziemia zwie się „pomiestje." Pierwszy raz terminu tego użyto w testamencie Iwana Kality w 1340 r. Po zdobyciu Nowogrodu nowogrodzkie wsie i dobra kościelne w r. 1500 rozdano w „pomiestja" [4]). Od Iwana IV przy coraz większej potrzebie wojska rząd oddaje w pomiestja włościan wolnych (czernososznych-tiagłych), a dla pilnowania porządku w tem rozdawnictwie ustanowionem zostaje osobne bióro „pomiestnyj prikaz" [5]). Sama służba

---

[1]) Milukow, l. c. str. 186 i 187. Sołowjew, l. c. t. XIII, str. 703, 706 i 728/9.

[2]) Milukow, l. c. t. I, str. 170 i 171.

[3]) Siergiejewicz, l. c. str. 1689.

[4]) Sołowjew, t. V, str. 1516.

[5]) Siergiejewicz, l. c. str. 685/7.

wojenna zależy od wielkości nadania, jest prawem określona, a wybrani przez pomieszczyków na zjazdach powiatowych „okładczyki" pilnują pełnienia służby [1]). Początkowo, jak się zdaje, powinności włościan względem pomieszczyka były ściśle określone carskim ukazem — istnieje bowiem dokument, skarga, zaniesiona do cara na ks. Szejdakowa, że wziął obrok wbrew „twemu carskiemu ukazowi" [2]).

Początkowo takie „pomiestje" nie było nawet dożywotniem. Odbierano je, gdy kto na wojnę się nie stawił, zmniejszano gdy do służby stawał się niezdatny. Zwiększano za odznaczenie się i odniesione rany. Syn, zdolny do służby wojennej, dostawał pomiestje za życia ojca. Wdowa i córki dostawały po śmierci męża, resp. ojca drobną część „na prożitok, prokormlenie" [3]). Powoli weszły w zwyczaj zamiany i sprzedaże pomiestij, w końcu i dziedziczenie (1684). Piotr W. zrównał prawa wotczynnika i pomieszczyka zupełnie.

Przytem zauważyć musimy, że w celach scentralizowania wojska „pomiestja" dawano przedewszystkiem około stolicy — tem więcej że ziemie na północy i wschodzie nie tylko, jako oddalone, ale i jako niezaludnione nie nadawały się do osadzania w nich pomieszczyków [4]). W końcu XVII w. prawie wszyscy włościanie wolni w centrum państwa byli już oddanymi „w pomiestje."

Jeśli jednak za czasów Haxthausena sprzedawano majątek, a liczono na dusze, zaś ziemię dawano w dodatku, to tem bardziej w XV i XVI w. dawana w pomiestja ziemia miała tylko wtedy wartość, gdy na niej siedział robotnik. A robotnik ten, gdy nawet pana nie miał nad sobą, zmykał, gdy go oddano w pomiestje — znikał. Powszechne przywiązanie do ziemi — mówi Czyczeryn — było koniecznym skutkiem tych warunków, w których wytwarzało się państwo Moskiewskie [5]).

Historya jednak przytwierdzenia włościanina do ziemi w Rosyi jest do dziś dnia co do pojedyńczych faktów sporna i niepewna. Początek jej, podług Siergiejewicza, sięga XIII w. W umowach książąt z Nowogrodem książę obowiązuje się nie przeprowadzać ludności z włości do włości [6]).

---

[1]) Milukow, l. c. str. 170.
[2]) Sołowjew, l. c. tom IX, str. 1349.
[3]) Siergiejewicz, l. c. str. 683 i 950. Milukow, str. 167/9.
[4]) Sołowjew, l. c. tom XIII, str. 660.
[5]) Czyczeryn: Kurs Nauki Państwowej, Część III. Polityka, str. 52.
[6]) Siergiejewicz, l. c. str. 635/6.

Pierwsze ślady przytwierdzania włościanina do ziemi, podług Sołowjewa, mają charakter przywilejów, udzielanych pewnym osobom i instytucyom za ich pracę kolonizacyjną. Wielki książę Bazyli III (1425—1462) zabronił włościanom, mieszkającym dawno (starozиłym) w siole Prysieku i okolicznych wsiach, należących do Troicko-Siergiejewskiego klasztoru, opuszczać wsie klasztorne i pozwolił temuż klasztorowi włościan, zbiegłych ze wsi klasztoru w powiecie Uglickim, odszukiwać i siłą sprowadzać napowrót. W następstwie zabroniono właścicielom prywatnym, których ziemie były wolne od sądu książęcego i opłat sądowych, przyjmować do siebie włościan opodatkowanych (tiagłych), ulegających sądowi W. Księcia, i dozwolono im tylko przyjmować do siebie „inokniażcew", t. j. włościan z innych księstw. W tymże czasie ustalił się zwyczaj, że prawnie włościanin może pana opuścić tylko w czasie dwu tygodni na Św. Jerzy i to za specyalną opłatą zwaną „pożiłoje". Sudiebnik Iwana III (1497) zawiera ścisłe przepisy o „odejściu włościan" [1]).

Przywilej, dany w 1524 r. ziemi Dzwińskiej, pozwala na sprowadzanie osadników, byle nie „tiagłych i piśmiennych", t. j. zapisanych do ksiąg podatkowych. Przywilej ziemi Ważskiej — 1552 r. pozwala odszukiwać zbiegłych z tej ziemi „tiagłych" we wsiach klasztornych, do których się schronili. Ziemie klasztorne były wolne od „wjazdu urzędników księcia", i dlatego najczęściej do nich chroniła się zbiegła ludność [2]). Przy określonej z góry ogólnej sumie podatków z włości, stanu i sotni, w terytoryach złupionych i wyludnionych, suma podatkowa cięższej padała na pojedyńcze głowy, co wywoływało jeszcze silniejsze zbiegostwo.

Rozszerzanie się granic państwa, coraz silniejsze prądy kolonizacyjne, wzrastające ciężary podatkowe i rozwijający się system pomiestij, wywołały w końcu XVI w. potrzebę ogólnego prawa w tej mierze. Władze zarzucone były sprawami o zbiegłych włościanach wbrew umowie, nie w terminie i bez opłaty. W 1580 r. kniaź Symeon Bekbułatow miał 20 siół i 473 wsi (dierewień), w których było 2,217 włościan (wypada około 4 dwory na sioło i wieś). Do r. 1585, t. j. w ciągu lat 5, ubyło 305 ludzi, t. j. 13%, z których: odeszło, uregulowawszy rachunki, 53; uciekło, niewiadomo dokąd, 65; „wywieziono" do innych właścicieli prywatnych 188 [3]).

---

[1]) Sołowjew, l. c. tom IV, str. 1213.

[2]) Siergiejewicz, l. c. str. 635 i 636.

[3]) Milukow, l. c. t. I, str. 200.

Ustanowiono więc przedewszystkiem w 1597 r. termin przedawnienia dla spraw o zbiegostwo włościan na lat 5. Termin ten w 1642 r. przedłużono do lat 10, w kodeksie cara Aleksieja (Ułożenie) w 1649 zniesiono go, uważając, że zawsze i wszędzie pan może odszukiwać i siłą sprowadzić zbiegłego włościanina, zapisanego w jego majątku, podług ostatniego spisu w 1646/8 r. dokonanego. Między 1590 a 1650 r. włościanin został ostatecznie do ziemi przytwierdzonym.

Ułożenie rozróżnia jeszcze włościan od niewolników osobistych (chłopów) i ogranicza pana w braniu włościan na służbę do dworu, ale zrobiło to przytwierdzenie do ziemi dziedzicznem, a upoważniając pana do stawania w sądzie za włościanina, wyjmuje go już z pod opieki i władz praw ogólnych [1]).

Sprawa przytwierdzenia włościanina do ziemi była dla rządu tem drażliwszą, że była ona przedmiotem zaciętej walki między drobnem dworzaństwem a bojarami i klasztorami. Włościanin chętnie uciekał z dóbr pomieszczyka do dóbr bogatych bojarów, którzy często swymi pieniądzmi regulowali jego rachunki z pomieszczykiem. Przez cały wiek XVII (a zaczęło się to już w XVI w.) — mówi Sołowjew — słychać skargi pomieszczyków na bojarstwo i klasztory o wywożenie włościan; gonitwa za chłopem stanowi w czasie pokoju najważniejsze zajęcie pomieszczyka, a archiwa są zawalone odnośnemi sprawami. Trzydzieści cztery artykuły Ułożenja Cara Michała Aleksiejewicza (1649) poświęcono przepisom o włościanach [2]). W ukazie Wasila Szujskiego z 1607 r. (podejrzanej autentyczności) jest mowa o tem, że Car Fiedor Iwanowicz (syn Iwana Groźnego) za namową Borysa Godunowa i „nie słuchając się najstarszych bojarów”, zabronił odejścia (wychoda) włościanom. Kwestya pozostaje sporną — chociaż za prawdą słów tych przemawia to, że Borys Godunow w 1601 i 1602 wydawał ukazy, zawieszające czasowo ten zakaz na rok jeden, normujące przytem to prawo odejścia tak, aby na niem skorzystali tylko mali właściciele (pomieszczyki) [3]). W związku z przepisem o 5-letniem przedawnieniu z r. 1597 przypuszczają, że ukaz Cara Fiedora o zakazie „wychoda” włościan wydanym był w 1592 roku. Tatiszczew, Kostomarow i Bielajew byli tego zdania.

Data ścisła niewiele tu stanowi. Ustanowienie poddaństwa włościanina nastąpiło w epoce silnych zaburzeń w państwie między

---

[1]) Siergiejewicz, l. c. str. 638/9. Simchowicz, l. c. str. 50.

[2]) Sołowjew, l. c. t. XIII, str. 661 i 689 — t. IX, str. 1348.

[3]) Siergiejewicz, l. c. str. 636/7. Milukow, l. c. tom I, str. 200/1.

1590 a 1620, a Kodeks 1649 r. stwierdził je ostatecznie. Dotyczyło ono początkowo tylko włościan, zapisanych do ksiąg podatkowych, poza którymi była cała masa wolnych robotników. Tych wpisano do ksiąg podatkowych, a tem samem przytwierdzono do ziemi na mocy rozporządzeń Piotra W. o pierwszej rewizyi i podatku pogłównym (1718, 1719 i 1720). Jednocześnie zrobiono pomieszczyka odpowiedzialnym za regularną wypłatę skarbowi podatków i powinności w 1723 r., a na włościan państwowych, nie oddanych w pomiestje, nałożono 1724 r. obrok, t. j. czynsz, stwierdzając tem ostatecznie, że ziemia, na której osiadł i której używa, jest własnością skarbu.

Piotr III i Katarzyna II, zwalniając szlachtę od obowiązkowej służby i dając jej prawa stanowe, przyznali jej własność ziemi, wotczyny i pomiestja, i w ten sposób w końcu XVIII w. zjawia się i utrwala przekonanie, że właścicielem ziemi w państwie rosyjskiem może być tylko szlachcic i państwo.

Nie będziemy tu zajmować się wyjaśnieniem, jak z biegiem czasu wzrastała władza pomieszczyka nad włościaninem. Kulminacyjnym punktem tych praw jest rok 1767, w którym, jakeśmy to już wspomnieli, zakazano pod karą cielesną włościanom skarżyć się na pana, wyjąwszy w wypadkach, prawem przepisanych.

Jednocześnie z tem w połowie XVIII w. w dobrach prywatnych peryodyczny podział gruntów ornych w równych częściach na wszystkie dwory wieśniacze jest już powszechnie przyjętym zwyczajem i w komisyi celem ułożenia nowego kodeksu (1767) podniesionem zostało pytanie (Baron Wolff), o ile takie podziały są zgodne z wymaganiami postępowej kultury rolnej.

V.

Na gruncie tych faktów i danych historycznych stawia się pytanie: kiedy powstała gmina wiejska w Wielkorosyi? i na tak postawione pytanie, rozumie się, dawano wszelkie odpowiedzi możliwe. Podatkowa autonomia ludności, zarówno wiejskiej, jak i miejskiej, w Rosyi sięga czasów epoki kijowskiej, i dla tego możliwą jest odpowiedź, że gmina ruska jest czcigodnym zabytkiem przed historycznej przeszłości.

Niemożliwą też jest ścisła odpowiedź na pytanie, odkąd włościanin czy gmina wiejska uważa się za właściciela ziemi włościańskiej. Pojęcie o tem, kto jest „właścicielem ziemi", zależy od pojęć o stosunku jednostki do państwa lub społeczeństwa i pojęć o stano-

wisku monarchy w państwie, i dlatego kwestyę tę, jako czysto abstrakcyjną, też usunąć należy. W epoce kijowskiej — prawdopodobnie włość, w epoce Moskiewskiej — monarcha uważali się za teoretycznych właścicieli ziemi. Nałożenie obroku w 1724 r. stwierdziło drogą prawodawczą pogląd, że ziemia jest własnością państwa; od 1785 r., i dworzaństwo ma przywilej właścicieli ziemi.

Pytanie musi być sformułowane ściślej. Charakterystyką „miru" jest to, że ziemia oddaje się na użytkowanie czasowe w równych częściach wszystkim dorosłym robotnikom męskim i co pewien przeciąg czasu dzieli się i losuje nanowo. Idzie więc o to: czy śród ludności włościańskiej w Wielkorosyi zwyczaj peryodycznego dzielenia ziemi ornej we wsi między wszystkich zapisanych do list podatkowych mężczyzn dorosłych w równych częściach powstał przed przytwierdzeniem włościan do ziemi, t. j. przed końcem XVI w.? Na tak postawione pytanie tylko przeczącą można dać odpowiedź. Obyczaj peryodycznych podziałów, t. z. mirska własność ziemi ornej mogła powstać, jako ogólny tryb użytkowania ziemi tylko w XVII i XVIII w.

Podział ziemi między członkami gminy, mogącymi w każdej chwili gminę opuścić i mającymi w niedalekiej odległości niezmierzone przestrzenie i bogatych w zwierzynę lasów, i nienaruszonych nieskończenie urodzajnych stepów, jest rzeczą logicznie nie do pojęcia. Dopóki włościanin jest istotnie wolnym, dopóty zmusić go, aby uprawiał ziemię w ilości, jaką mu pan lub gmina wskaże, w ilości, stale zmniejszającej się, i w miejscu, które mu losem wypadnie, jest rzeczą, przeciwną naturze ludzkiej i sprzeczną z wszystkiem, co o pierwotnem osadnictwie w Rosyi wiemy. W tych warunkach najsilniejsza „heimathsliebe" włościanina we wsi nie zatrzyma, a „heimathsliebe" nie jest i nie była nigdy przymiotem Wielkorosyanina [1]).

Jaki charakter miała własność rolna włościańska w centralnej

---

[1]) Najnowsza praca nad własnością gminną w Rosyi (dotąd nawet nieukończona) K. R. Kaczorowskiego: „Gmina Ruska" (r. 1900), zdaje się potwierdzać powyższe zapatrywanie. „Walka o ziemię" — mówi autor (t. I, str. 164) — „prowadząca gminę od zaimkowego, rodzinnego, nieograniczonego władania ziemią do władania ograniczonego, określonego ilościowo przez gminę („otwodno obszczinnawo)", zjawia się — rzecz prawie oczywista, jako skutek zmniejszania się ilośc swobodnej ziemi; jest to zrozumiałem a priori, że walka o ziemię jest niepotrzebna, a tem samem niemożliwa, przy zupełnej swobodzie zajmowania ziemi, a tem samem, że, jeśli ta walka się zjawia, to właśnie wskutek zmniejszenia się przestrzeni ziemi swobodnej."

Rosyi w środku XVI w., czy była własnością indywidualną, czy rodzinną, o tem dziś wyrokować trudno. Bielajew w dziele p. t. „Włościanie na Rusi“ cytuje testamenty włościan i akty sprzedaży pomiędzy włościanami z lat 1534, 1550, 1568, 1573, a dowodzenie, że właściwym właścicielem gruntów była „wołost”—jako przedstawiciel znikłego „rodu” ma bardzo słabe poparcie. Interwencya „włości” w sprawach własności gminnej zjawiała się tylko w wypadkach porzucenia gruntu (dokument 1571) tam, gdzie podatki przenosiły dochód z ziemi. Wtedy włość, jako odpowiedzialna za całość ogólnej sumy wnoszonych podatków i zainteresowana w powiększeniu ilości płacących je, umawiała się z nowym osadnikiem o to, jakie zwolnienie podatkowe mu przyzna, jeśli on na gruncie osiądzie, ale nie brała od niego nic za prawo używania gruntu, bo grunt ten dochodu nie dawał. Owszem musiała mu przyrzekać pewną ilość lat wolnych od powinności i podatków. W końcu XVI w. przykłady takich umów były bardzo liczne, bo włościanie gromadnie uciekali na południe, północ, wschód i zachód, i mówią, że w Rosyi środkowej w ostatnich latach XVI w. więcej było osad opuszczonych, aniżeli zamieszkałych.[1])

Na przełomie między XVI a XVII w. państwo Moskiewskie, jakieśmy to już zaznaczyli, rozszerza znacznie swe granice na południe i wschód; w ciężkich zawichrzeniach wewnętrznych traci część swej ludności, a po przejściu tej burzy organizuje armię i finanse, zwiększa ciężary podatkowe, rozdaje ziemię wojennym ludziom na utrzymanie i, aby to utrzymanie wobec uciekającej z centrum na ukrainy ludności włościańskiej zapewnić, szeregiem aktów prawodawczych, a ostatecznie nowym kodeksem „Ułożenje“—1649 r. ludność tę do ziemi przytwierdza. I prawie jednocześnie w tym czasie zjawia się obyczaj dzielenia ziemi na równe części między włościan wsi— najprzód na gruntach klasztornych, potem na gruntach pomieszczyków, w końcu na gruntach skarbowych.

W dobrach prywatnych, „wotczynach i pomiestjach”, pan zwykle dostawał daniny w naturze; często stosunek ten był zwykłym „połownictwem.“ W końcu XVI w. zjawiają się „obroki” t. j. daniny stałe, naturalne, rzadziej pieniężne—bez względu na urodzaj. Tylko w dobrach klasztornych—tak, jak i na zachodzie, istnieją folwarki i pańszczyzna; na tym też gruncie wyrosły pierwsze podziały grun-

---

1) Simchowicz. Feldgemeinschaft in Russland str. 37, 49.

tu już w końcu XV w. (1490—1510). Zachowało się do dziś pismo Metropolity Szymona, polecające przeprowadzić podział gruntów—po 5 dziesięcin w każdem polu we wsiach, należących do Konstantino-Jeleńskiego klasztoru.

Od chwili wydania Ułożenja (1649), a jeszcze więcej od chwili włożenia na obywatela odpowiedzialności za podatki włościańskie (1724), wewnętrzny ustrój własności gminnej we wsiach klasztornych, bojarskich i pomiestnych—jest już rzeczą właściciela, do której rząd się nie wtrąca. To też w epoce reformy wszystkie one były zorganizowane na zasadzie podziału ziemi między gospodarstwa—tiagła—w równych częściach. Była to organizacya, dla pana najdogodniejsza, która rozwijała się zwolna, w miarę tego, jak wzrastała władza patrymonialna pomieszczyka, i okazywało się, że ziemi jest zamało na to, aby włościanin uprawiał możliwe maximum roli. „Pomieszczyk", odpowiedzialny za regularne wnoszenie podatku, czuł się uprawnionym do takiego zarządzania gruntami ornymi, jaki najlepiej zapewniał łatwy wpływ podusznego do skarbu i obroku do jego kieszeni.

Stwierdzone dokumentami prawo sprzedawania osady włościańskiej, nierówny podział gruntów we wsi, istnienie bezrolnych, a co najważniejsza, brak środka, któryby zmusił włościanina pozostawać we wsi, w której co lat kilkanaście zmniejszała się ilość gruntów, które mu wolno obrabiać, są argumentami tak silnymi, że w obec nich nieprawdopodobnem jest peryodyczne losowanie i dzielenie ziemi włościańskiej między wszystkimi członkami „miru."

Podziały ziemi nawet peryodyczne były możliwe tylko między braćmi „niedzielnymi", członkami rozpadającej się wielkiej rodziny. W epoce między postanowieniem podziału gospodarstwa wspólnego a ostatecznem rozgraniczeniem ziemi, szczególniej przy gospodarstwie ugorowem, przenoszącem się z miejsca na miejsce, przy ówczesnym stanie miernictwa, nie mogącem sobie dać rady z podziałem dużych przestrzeni różnej dobroci ziemi— coroczna zmiana „losów", „żrebiów" między potomkami jednego spadkodawcy była bardzo możliwa. Spadkobiercy mieli wtedy prawo własności do pewnej części z ogólnej sumy roli—części idealnej— a nie do danych, określonych kawałków gruntu.

Ten rodzaj własności ziemi przechował się na południu w zadnieprzańskiej Małorosyi do XVIII wieku; stwierdzono też dokumentami istnienie jego na północy, w Pskowie.

Na podstawie dochowanych do dziś dnia resztek Rumiancowskiego opisu Ukrainy Zadnieprzańskiej (1766/68) i dokumentów sądowych, prof. Uniw. w Kijowie, J. Łuczycki opisał [1]) szczegółowo organizacyę wsi małorosyjskich w XVIII w. (Gub. Półtawskiej.) We wsi jest kilka dworów, w których mieszkają wielkie rodziny (zadrugi) złożone z kilku lub kilkunastu robotników dorosłych, z jednej rodziny pochodzących: braci rodzonych, stryjecznych, wujów, siostrzeńców etc. Zadrugi z czasem rozpadają się na kilka dworów— ale role pozostają wspólne; dwór każdy ma w roli pewien w ułamkach określony udział, zależny od blizkości pokrewieństwa z pierwotnym ojcem rodu i od dokonanych z biegiem czasu umów kupna i sprzedaży. Członkowie rodzin zwą się „siabrami". Mają prawo sprzedawać swój udział w roli i w innych użytkach rolnych osobom obcym—nie inaczej, jak za zgodą pozostałych „siabrów." Udziały w roli są nierówne. Z 3-ch dworów w Gałkowie posiadały: I—6, II—6, III—18 równych sobie części. We wsi Niedańczyce jest 6 dworów, które mają I—12, II—7, III—4, IV—16, V—12, VI—2 części. Rolę całą dzielono na pola, i w każdym polu dwór dostawał ilość gruntu, proporcyonalną do jego udziału (prowadzono gospodarstwo ugorowe, „zależne"). W końcu XVIII w. wielkie rodziny rozpadły się, rozgraniczono grunta, organizacya siabrów znikła, i własność ziemi stała się indywidualną. Pskowska „Sudnaja gramota" stwierdza istnienie „siabrów", istnienie „braci niedzielnych" w Pskowie w XIII do XV wieku.*) Stosunki małoruskie dowodzą, jak kształtowała slę własność ziemi w tych krajach, które weszły w skład państwa po 1650 r., które do czasów Katarzyny II posiadały pewną autonomię i w których pomiestja i wotczyny zjawiły się dopiero w drugiej połowie XVIII w. Organizacya ta nie tylko dowodzi, że przy innym systemie podatkowym i innej organizacyi wojennej podziały peryodyczne we wsi małoruskiej nie istniały, ale dowodzi tego jeszcze, że tam, gdzie podziały istniały, mogły mieć charakter inny, nie gminny, ale rodzinny. W tem oświetleniu i zacytowany dokument Szymona może mieć inne znaczenie, jak mu pospolicie dają. Może on być działem między synami jednego ojca, może być podziałem ziemi między „chłopami" klasztoru, t. j. mię-

---

[1]) Revue Internationale de Sociologie. La popriete paysanne dans la petite Russie, rok 1895, str. 464 i rok 1898, str. 886.

*) W Polsce organizacya własności „niedzielna" istniała jeszcze w XV do XVI w. vide Szelągowski „Chłopi dziedzice". Studya nad historyą prawa Polskiego t. I z. 2.—1899 r.

dzy dożywotnimi niewolnikami, jakich naówczas w państwie Moskiewskiem było bardzo dużo, a nakoniec może być i podziałem we wsi, z której włościaninowi odejść nie wolno na mocy specyalnego przywileju monarchy, wydanego w XV lub XVI w.

Nie możemy też pominąć milczeniem, że w końcu XVI w. niewiadomo nawet, co uważać można za autonomiczną gminę podatkową. Włość naówczas rozpadała się na części. Wchodzące w jej skład gminy wiejskie narzekały na miasta, że je krzywdzą przy rozkładzie podatków, a zarówno wsie, jak i miasta, skarżyły się na nadużycia i gwałty ze strony namiestników i wojewodów.

Skargi te w XVI w. były tak częste, narzekania tak słuszne, że władza centralna postanowiła rozszerzyć autonomię włości. Osobnymi przywilejami (pierwszy pochodzi jeszcze z r. 1497), zwanymi „gubnyje gramoty", ustanowione zostały we włościach i stanach, czasem dla samych mieszczan, czasem dla samych włościan, a czasem dla mieszczan i włościan razem—autonomiczne władze sądowe i administracyjne—„gubnyje starosty" i „sudiejki", których władza usuwała władzę wojewodów i namiestników. Po ustaniu zamieszek w kraju ukaz 1629 r. nakazał wybór gubnych starostów w całym kraju; ale już w 1649 r. zniesiono ich w znacznej mierze na żądanie samej ludności, która bardzo często na wybory się nie zjawiała, w skutek czego starostów nieraz rząd musiał wyznaczać, a zarówno wybrani, jak i wyznaczeni starostowie do spółki z wojewodami ludność grabili. Instytucye te, mówi Sołowjew, upadły przez brak pojęć obywatelskich, wstręt do pełnienia obywatelskich obowiązków i trudność w znalezieniu odpowiednich ludzi. [1])

Piotr W. próbował zaprowadzić autonomiczne zarządy miejskie i ustanowił t. zw. magistraty. – Zmarniały one, i wybory zniesiono za panowania cesarzowej Elżbiety w 1761 r. Zasada wybieralności urzędników, mówi przy tem Sołowjew, nie dała spodziewanego pożytku dla braku poczucia solidarności i umiejętności trzymania na wodzy wybranych rządców miasta.

Brak tendencyi autonomicznych dowodzi słabości gminy, tej gminy, która, według słowianofilów, była siłą niespożytą, na której jakoby opierało się państwo rosyjskie. Podług ich teoryi, aby jej tę siłę zachować, nie należało jej w 1861 r. prawa własności ziemi odbierać.—Teorya zupełnie prawdziwa, jako teorya, ale spraw-

---

[1]) Sołowjew l. c.—t. IV, 377, porównać tom IV str. 374, IX—1325—7, t. XIII 658 i 659, XXIV—1235. Siergiejewicz l. c.—str. 859.

dzająca się tylko negatywnie w odniesieniu do gminy wielkorosyjskiej. Gmina ta była bardzo słabą—i własności ziemi nie miała.

VI.

Jeśli mir, mówi książę Wasilczykow, nie jest instytucyą prastarą i powstałą w epoce przedhistorycznej—to nie dosyć zaprzeczyć jego starożytności, należy dowieść, gdzie i jak powstał.

Wskazanie i dowiedzenie, kiedy i jak mir powstał, nie leży w zadaniu naszej pracy. Poczuwamy się tylko do obowiązku wykazania, jak powstał zwyczaj peryodycznych podziałów ziemi ornej po wsiach wielkorosyjskich.

Przedewszystkiem musimy zwrócić uwagę na jeden szczegół, co do którego zachodzi różnica pomiędzy obrońcami miru. Książę Wasilczykow utrzymuje, że pierwotnym podziałem w gminie był podział „*na tiagła*“, t. j. pańszczyźniane dwory, a twierdzenie to jest u niego w związku z poglądem na „tiagły” charakter całej organizacyi państwa Moskiewskiego, w którem bojarzyn i dworzanin, mieszczanin i włościanin każdy ciągnął swoje „tiagło.”—Inaczej prof. Iwaniukow; dla niego pierwotnym jest podział „*na dusze*”, na robotnika—co znów jest w związku z ogólnym poglądem profesora na prawo robotnika do całkowitego owocu jego pracy, z przekonaniem, że przedewszystkiem praca tworzy wartość.—Haxthausen, który, opisywał i opisywał z małą jeszcze dozą tendencyjności, zauważył, a tę obserwacyę potwierdziła późniejsza statystyka, że podział na tiagła miał miejsce w dobrach prywatnych pańszczyźnianych, a podział na dusze w dobrach skarbowych, płacących poduszne i obrok wprost do skarbu, bez wpływu, opieki i odpowiedzialności „pomieszczyka.”

Prowadzi nas to na drogę, właściwą w wyjaśnieniu powstania podziałów gruntu. Powstały one w dobrach prywatnych i w dobrach skarbowych, nie jednocześnie i nie jednakowo.

W „pomiestjach” podziały wprowadzone zostały wprzód — w sposób, od władzy państwowej niezależny, bez jej wiadomości i wpływu, przyczem prawdopodobnie ukazy Piotra W. o płaceniu podatku podusznego z bezrolnych (1720) i odpowiedzialności „pomieszczyka” za całość podusznego (1724) musiały grać ważną rolę. Pan, który mógł chłopa sprzedać z ziemią i bez ziemi, oddać w rekruty i decydował o tem, z kim i gdzie ma się żenić, sam decydował o najracyonalniejszym sposobie podzielenia roli między chłopów,

i jeśli, jak to się często zdarzalo, mało siedział na wsi, a głównie pracował w „prikazie" lub służył w „armii", bardzo chętnie umawiał się z całą wsią o całość czynszu i obroku i pozwalał im urządzać się, jak zechcą, byle podatki i obrok były w całości i regularnie płacone. Wieś sama dzieliła podatki i obrok, jak dawniej, „według majątku i zajęć przemysłem" za zezwoleniem pana i dysponowała, jak ma być ziemia podzielona. Każdy, kto płacił poduszne—a płacili wszyscy,—miał prawo żądać, żądał i dostawał roczny udział w ziemi.

Organizacya nie „własności ziemskiej", ale „użytkowania z roli" w dobrach prywatnych, „pomiestjach" a „wotczynach" w XVII i XVIII w. była sprawą wewnętrzną między panem a gromadą, i sposób załatwienia tej kwestyi wyraźnych śladów urzędowych nie pozostawił.

Co się tycze dóbr rządowych, i wogóle co się tycze włościan w dobrach nieprywatnych, klasztornych (ekonomicznych), t. zw. czetwiertnych, i wolnych nie poddanych włościan, to historya rozszerzania się śród nich podziałów roli pozostawiła ślady wyraźne w aktach urzędowych XVIII i XIX w., o których zbyt wcześnie zapomniano.

Po ukazie Piotra W. z r. 1724 (7 stycznia), w którym po raz pierwszy kazano włościanom w dobrach rządowych płacić „obrok", nastąpił cały szereg ukazów, które, wypływając raz z zasady, że ziemia, w używaniu włościan będąca, jest własnością państwa, coraz głębiej interweniowały w organizacyi własności wiejskiej i coraz wyraźniej zdradzały zamiar władzy zaprowadzenia peryodycznych podziałów ziemi włościan skarbowych w celu lepszego zapewnienia wpływu podatków i obroku. Obrok wzrastał stale: w 1761 wynosił on 1 rubla z duszy, do 1783 podniesiono go 3 razy, w ostatnich czasach przed zniesieniem wynosił on 3 ruble z duszy.

Już w 1726 r. powstała kwestya, jak zapobiedz usuwaniu się od płacenia podusznego przez „połowników", którzy na północy przechodzili swobodnie ze wsi do wsi; senat ograniczył swobodę ich przechodzenia do granic jednego powiatu. W 1728 r. zabroniono jednodworcom (osadnikom wojennym) sprzedawać ziemię obcym, a dozwolono im sprzedawać między sobą o tyle, o ile mają jej więcej, niż 60 dziesięcin.

Jednocześnie (początek tej sprawy sięga Piotra W.) myślano ciągle o uregulowaniu własności ziemskiej w całym kraju i przeprowadzeniu pomiarów. Za incyatywą hr. P. Szuwałowa cesarzowa Elżbieta ustanawia „Główną Kancelaryę mierniczą", którą cesarzowa Katarzyna II reorganizuje na „Komisyę pomiarów", i obie cesa-

rzowe wydają Instrukcye miernicze (1759 i 1766). Podług obu tych instrukcyi, ulegająca opodatkowaniu ziemia włościańska, podarowana kościołom lub klasztorom albo kupiona przez urzędników, ma wrócić do opodatkowanych, zostać na nowo własnością włościańską bez zwrotu ceny; tak samo i grunta, sprzedane lub zastawione osobom innych nieopodatkowanych stanów; włościanom zabrania się w przyszłości grunta sprzedawać lub zastawiać zarównonie włościanom, jak i między sobą; włościanin, żeniący się w innej wsi i biorący za żonę grunt w tej wsi, nie ma prawa brać gruntu po ojcu we wsi z której pochodzi [1]).

Ukazy z 1760 i 1761 r. porządkują zarząd gmin wiejskich a w 1769 wychodzi ukaz, stanowiący, że, jeśli gmina dopuści zaległości w opłacie podusznego, starszy gminy ma być oddany do ciężkich robót aż do czasu umorzenia zaległości.

W 1765 r. vice-prezydent Kamerkollegii, Koźmin, proponuje Cesarzowej zaprowadzić w Archangielskiej i Wielkoustjużskiej prowincyach wspólność gruntów taką samą, jaka istnieje w dobrach prywatnych. Anonimowy memoryał z r. 1767 dowodzi, że w miarę wzrostu ludności podziały gruntu śród włościan skarbowych staną się koniecznością.

W r. 1770 wydanym zostaje ukaz o włościanach „ekonomicznych" (w dobrach po-klasztornych, sekularyzowanych jeszcze przez Piotra W.), który zaleca dzielić grunta według ilości dusz rzeczywistych, a nie wedle ilości dusz, zapisanych przy rewizyi.

W 1788 r. dyrektor Kurskiej Komissyi Ekonomicznej oświadcza, że dziedziczna własność jednodworców jest bardzo dla nich niedogodną, i prosi Senat o polecenie przeprowadzenia podziałów na dusze męskie, zapisane przy rewizyi; rodowody, genealogie i prawo dziedziczenia ziemią powinny być zniesione, akty kupna, wymiany i zastawu unieważnione.

Zaprowadzenie podziałów gruntów śród włościan skarbowych nie obeszło się bez protestów. Siergiejewicz cytuje podanie z 1767 r., w którem włościanie wsi Rożdiestwienskoje, w powiecie Ważskim, w podaniu, złożonem do komisyi, zwołanej w celu ułożenia nowego kodeksu, piszą, że pracowitsi włościanie nawożą rolę i karczują nowe grunta, a leniwcy i próżniacy chcą się teraz tą ziemią dzielić; proszą więc podpisani, aby pozwolono im władać tą ziemią „dziedzicznie" według ksiąg lustracyjnych (piscowych). Jeśli ta ziemia po-

---

[1]) Simchowitsch, l. c. str. 20 na podstawie Jefimenko i Niewolina, str. 61.

dzieloną zostanie na równe działy, to i działy te wypadną niewielkie, i w przyszłości nie będzie już takiego starania w rolnictwie, jak obecnie. Włościanie zaś pałacowi ze wsi Wierchoważskiej i Szenkurskiej tegoż powiatu skarżą się w 1767 r. na zarządzającego tymi majątkami, ks. Gorczakowa, który w r. 1766 odebrał wielu z nich unawożoną i zasianą rolę i oddał ją takim włościanom, którzy tej ziemi nie orali, a część wziął sobie pod pastwisko [1]).

Północ Rosyi (gub. Archangielska) nie znała ani Tatarów, ani poddaństwa — w epoce reform było w niej trzech właścicieli ziemskich prywatnych. Istnienie w niej silnej „gminy" miało dowodzić — np. dla ks. Wasilczykowa — pierwotności wspólnego posiadania gminnego. Kolonizacya brzegów północnej Dźwiny (zawołoczje) zaczęła się jeszcze za respubliki Nowogrodzkiej, której wołost obejmowała całą północ — sięgała prawie Uralu. Nowogrodzcy bojarzy i kupcy osadzali tam „połowników" (których Haxthausen brał za Finnów) — a obok tych osadników na cudzym gruncie osiadali też i wolni włościanie na własnych gruntach. Z upadkiem rzeczypospolitej Nowogrodzkiej grunta i tych i tamtych zaczęto uważać za własność carską, i różnica między nimi znikła.

Wspomnieliśmy, że już 1727 r. ograniczono swobodę przenoszenia się „połowników" do granic jednego powiatu.

Przepisy instrukcyi mierniczych z 1759 i 1767 r. były początkowo martwą literą, ale przy zaleganiu gmin w podatkach władze miejscowe zaczęły interweniować w celu udzielenia ziemi bezrolnym włościanom. W 1786 r. dyrektor ekonomii w Archangielsku wydaje polecenie do starosty i włościan z Nikołajewo-Matigorskiej włości, w którem mówi: „sprawiedliwość wymaga, aby włościanie, jeśli ponoszą równe ciężary podatkowe, mieli równy udział w ziemi, i należy uważać za konieczność nieuniknioną wyrównanie udziałów w gruncie, szczególniej w okolicach, w których włościanie żyją wyłącznie z rolnictwa, aby w ten sposób z jednej strony umożliwić wnoszenie podatków bez zaległości, z drugiej zaś chłopów uspokoić posiadaniem ziemi [2]). Ten sam dyrektor poleca potem gminom i włościom dokonać sprawiedliwego podziału gruntów, a tam, gdzie roli brakuje, wspólnie przez gminę karczować lasy. Wywołało to wielkie zamieszanie, włościanie zanosili skargi do władzy wyższej, która raz zgadzała się na to, że każdy włościanin powinien mieć do 15 dziesięcin

---

[1]) Siergiejewicz, l. c. str. 538.
[2]) Simchowitsch, l. c. str. 20 i nast.

ziemi, drugi raz przyznawała, że prawo własności do ziemi, nabytej na podstawie dokumentów, niewątpliwie ważnych, powinno być ważne.

Wiemy dziś, że we wzmiankowanej Nikołajewo-Matigorskiej włości w 1784 r. 56 dusz miało więcej ziemi, niż po 15 dziesięcin, — 375 dusz mniej, niż po 15 dziesięcin, a 16 było bezrolnych. Niektórzy mieli 15 razy tyle ziemi, co inni. Gdy atoli raz władze wyraziły zamiar wyrównania, zaczął się silny ruch, a większość była za podziałem. Rząd pozwolił ilość gruntów brakujących do 15 dziesięcin na duszę dać włościanom z przestrzeni gruntów skarbowych, i w ten sposób włościanie mieli część gruntów na własność, a drugą część we władaniu gminnem. W r. 1829 wyszło rozporządzenie ministra finansów, polecające przeprowadzić podział gruntów proporcyonalnie do płaconych podatków. Gubernator Archangielski cyrkularzem z d. 6 marca 1830 r. polecił władzom miejscowym wykonanie tego rozporządzenia, i w ciągu lat 1830 i 1831 mimo protestów i oporu zamożniejszych włościan podziały zostały przeprowadzone [1]).

Gminna własność ziemi na północy powstała zatem dopiero w 1830/1 roku.

Badania statystyków ziemskich dowodzą, że w dobrach skarbowych nie inaczej weszły w życie podziały ziemi i w innych okolicach państwa. W powiecie Surażskim (gub. Czernihowskiej) w XVIII w. ziemia włościańska w gminach skarbowych (dawniej klasztornych) była dziedziczoną i sprzedawaną członkom gminy i obcym; kiedyś panowało tamprawo o „zaimki". Lustracya, dokonana przez Rumiancewa (XVII w.), zastaje uprawę trójpolową i raz na zawsze ustanowione udziały gospodarzy w ziemi ornej, niezależnie od postanowień gminy. Dziś ziemie te dzielą się „mirem." Odkąd, niewiadomo. Prawdopodobnie zaczęło się to w XVIII w., a skończyło 20 lat temu. Myśl o podziale powstała razem z brakiem ziemi, popierało ją przeniesienie odpowiedzialności za podatki z ziemi na dusze (czyli zaprowadzenie solidarnej odpowiedzialności za podatki), ale przyczyną ostateczną było ściąganie niedoborów skarbowych [2]).

Przejście od dziedziczności do podziałów śród t. z. „czetwiertników", t. j. potomków osadzanej na granicach państwa Moskiewskiego straży wojennej, zasługuje na szczególną uwagę. Wiemy, że

---

[1]) Simchowitsch, l. c. str. 22.

[2]) Rezultaty Badań Ekonomicznych, str. 20.

nadawano im ziemię na mocy osobnych przywilejów, osobiście, na prawie dziedzicznem; że w 1719 r. Piotr W. kazał zaliczyć ich potomków, „służiłych liudej". t. j. ludzi wolnych, do klasy podatkowej, brać z nich poduszne; że w 1727 r. zabroniono im sprzedawać ziemię obcym, a między sobą o tyle, o ile mają więcej nad 60 dziesięcin; że z biegiem czasu zrównano ich prawa i obowiązki z włościanami skarbowymi.

Wiemy też, że już w 1788 r. władza chciała śród nich zaprowadzić podziały ziemi ornej. Ostateczny porządek zrobiło w nich Ministeryum dóbr państwa przy pierwszym ministrze, hr. Kisielewie, który, jako słowianofil, wierzył, że gminne władanie ziemi jest czcigodnym zabytkiem zamierzchłej przeszłości, a jako minister dóbr państwa, sądził, że solidarna odpowiedzialność gminy za podatki jest najlepszą rękojmią ich regularnego wpływu. W latach 40-ych pozbawiono jednodworców prawa posiadania „poddanych", ziemię ich opodatkowano na równi z ziemią włościańską, poddano solidarnej odpowiedzialności za płacenie podatków, i wtedy „dobrowolnie" większa ich część przeszła od własności dziedzicznej do własności gminnej. Nawet lasami i pastwiskami władali oni dziedzicznie. Tam, gdzie przedtem dzielono się rolą, pastwiskami i lasem, tam dzielono się nierówno — jak się zdaje, działy robiono proporcyonalnie do stopni pokrewieństwa. Działy te początkowo były sprzedawane, zapisywane testamentem i zastawiane. Była to zupełna własność, jeśli nie danego kawałka ziemi, to własność pewnego udziału w tej ziemi, oznaczonego przez prawo dziedziczenia. W wielu z tych gmin panują do dziś dnia stosunki dziwne: połączenia obu sposobów władania ziemi, gminnego i osobistego, — przyczem należy przypuszczać, że ziemia, która jest własnością gminną i dzieli się na równe części, była dawniej wspólnem pastwiskiem lub lasem wspólnym.

Gminy te czetwiertników czyli jednodworców ciągną się od wschodu do zachodu — od Wołgi i Oki do Dniepru — przez gubernie Symbirską, Penzeńską, Orłowską, Tambowską, Woroneżską, Kurską, Charkowską aż do Ekaterinosławskiej, w jednej — późniejszej z XVII w. bardziej południowej linii, i w drugiej — starszej z XVI w., bardziej północnej linii, przez gubernie Riazańską, Tulską, Kałużską, Orłowską i Czernihowską.

Woroncow sądzi [1]), że główną przyczyną przejścia jednodworców od prywatnej własności do wł. gminnej, były pomiary generalne,

---

[1]) „Rezultaty badań ekonomicznych", str. 31.

wykonane w XVIII w., przy których odgraniczano włości, rzadko wsie, a całkiem nie wyznaczono granic własności prywatnej, pozostawiając właścicielom załatwienie tej sprawy między sobą, i—reforma stosunków włościan państwowych przy hr. Kisielewie. Agitacya śród jednodworców za podziałem ziemi na dusze zaczęła się jeszcze w XVIII w. W czasie obrad w Komisyi Ustawodawczej Katarzyny II deputaci od niektórych jednodworców prosili o zarządzenie podziałów ziemi według dusz, płacących podatek.

Źródło nasze nazywa pomiary generalne i rządy hr. Kisielewa „okolicznościami, sprzyjającemi" rozwojowi idei gminnego władania ziemią, które działały nawet wtedy, gdy same istnieć przestały. Sam zaś w ten sposób charakteryzuje interwencyę władz w tej kwestyi w epoce, w której hr. Kisielew był ministrem dóbr państwa (r. 1838—1856). Mowa jest o powiecie Obojańskiem Kurskiej gubernii: do 1839/40 wszyscy włościanie w powiecie—z wyjątkiem kilku wsi skarbowych i włościan w dobrach prywatnych—żyli w gminach, płacili podatki pod solidarną odpowiedzialnością i władali ziemią *dworami* (dziedzicznie). We wzmiankowanym roku (zaraz więc po objęciu przez hr. Kisielewa ministeryum) urzędnicy zaczynają jeździć po powiecie w towarzystwie naczelników włości i *proponują* (predłagajut) właścicielom dworów podział wszystkich ich działów na rewizyjne dusze. Wskutek wielkiego i nierównomiernego rozdrobnienia działków z jednej strony, i z drugiej—w nadziei, że do tego podziału włączone zostaną działy większych gospodarstw, większość ludności chętnie zgadzała się na propozycyę, i w krótkim czasie (1839/40) prawie wszystkie ziemie jednodworców zamieniono na gminne. Mimo to sprawa nie przeszła bez oporu ze strony zamożniejszych włościan, którzy bardzo często siłą opierali się włączeniu ich ziemi do repartycyi, podawali skargi do sądu i prośby o zwrócenie im ziemi, już rozdzielonej na dusze. Z początku w walce tej dzięki interwencyi władz administracyjnych[1]) otrzymywali przewagę zwolennicy władania „duszami" (t. j. zwolennicy repartycyi), ale wkrótce weszło w praktykę, że w razie niezgadzania się mniejszości na zamianę własności prywatnej na gminną, zwracano uwagę na podane prośby i przyznawano prawo własności osobistej tym włościanom, którzy składali „carskie przywileje" (żałowannyja gramoty) na ziemię.

[1]) Sądy i administracja w tej epoce oddzielonemi nie były. Rozdział ten nastąpił dopiero w r. 1864.

Takim też *przywilejem* cieszyły się ziemie „piscowe" (ziemia, wymieniona w księgach podatkowych, jeśli te ziemię na mocy aktów sądowych przeszły w trzecie ręce.

Setki tysięcy dziesięcin przechodziły w ten sposób rocznie z władania prywatnego na władanie gminne, a jak sądzi p. Woroncow, tylko tem to tłómaczyć można, że „propozycya rządu zbiegła się z myślą większości ludu." —„Robiąc tę propozycyę, mówi on dalej, rząd nie wprowadzał do samowiedzy włościan żadnej nowej idei, ale tylko oświadczał zwolennikom „wyrównania" (urawnienja), że w walce ich z przeciwnikami będzie po ich stronie."

Nie ulega też wątpliwości, że wiele gmin jednodworców przeszło do własności gminnej dlatego, że widziało w tem ratunek przeciw szachownicom i rozbiciu się gruntów na zbyt małe parcele; a szczególniej tam, gdzie podział taki dzięki dość równemu podziałowi własności nie wywoływał wielkich zmian w realnem, faktycznem posiadaniu, a zaprowadzał pewne scałkowanie gruntów włościańskich.

Niewątpliwe są też wypadki przystąpienia do podziału pod wpływem naczelnika okręgowego (władzy bezpośredniej włościan skarbowych przed 1861 r.) i pod naciskiem zaległości podatkowych, ciążących solidarnie na gruncie (str. 39).

W każdym razie nacisk władz administracyjnych na przejście od własności prywatnej ziemi do własności gminnej w epoce 1840—1860 r. jest faktem, historycznie stwierdzonym. Przytem nie mamy prawa sądzić, że hr. Kisielew był wynalazcą tej zasady, iż gminne władanie ziemią odpowiada interesom skarbu.—Tę ideę wypiastowali już średniowieczni właściciele ziemscy we Francyi i Włoszech, i jest ona tak naturalną i jasną, że nie mamy powodu przypuszczać, iż była ona obcą władzom fiskalnym państwa Moskiewskiego i Cesarstwa Rosyjskiego przed hr. Kisielewym.

Historya powstania własności gminnej w później skolonizowanych guberniach stepowych południowych jest jeszcze bliższa i jeszcze lepiej znana.

W miarę wzrostu ludności rozorywano łąki i pastwiska, a łąki i kośne stepy odsuwały się ku krańcom gminy. Ziemie, orane dawniej i ugorujące od szeregu lat, brano pod zasiew prędzej, bez względu na to, kto je przedtem uprawiał.

Podział zjawił się, jako rezultat braku ziemi, jako rezultat—zapewnia Woroncow—chęci dopomożenia biednym do ciągnięcia dochodów z ziemi przez wydzierżawienie jej bogatym; często zaś, jako spełnienie rady władzy, której chodziło o opłatę niedoboru podatkowego.

Im mniej było ziemi, tem częściej mówiono o podziale. Ze strony upośledzonych przez los zaczynała się agitacya przeciw gospodarzom, mającym dużo gruntu i bydła, agitacya, całkiem nie pokojowa, lecz połączona często z bijatykami na śmierć (kułacznym, śmiertelnym bojem) i niszczeniem budynków na chutorach. Taka agitacya kończyła się podziałem ziemi na dusze.

Są wsie pochodzenia wielkorosyjskiego, które od samego początku założenia praktykowały podział gruntów według „obyczajów rosyjskich", albo, mając do karczowania gęste bory, karczowały je wspólnie i odrazu dzieliły się ziemią. Ale w ogromnej większości gmin okręgu stepowego przed peryodem regulowania użytkowania ziemi przez peryodyczną ogólną repartycyę istniał okres swobodnej okupacyi ziemi bez żadnego lub ze słabem jej ograniczeniem. Okres ten wogóle był tem krótszy, im później założona była wieś, gdyż, im bliżej stajemy czasów naszych, tem gęstszą jest ludność, tem mniej jest miejsca na kolonizacyę i tem prędzej zjawia się konieczność regulowana użytkowana ziemi przez gminę.

Przytem źródło nasze zaznacza, że nieodrazu dzielono się całą ziemią gminną. Bardzo często działy obejmowały tylko grunta koło wsi, na gruntach zaś odległych trwało dalej prawo „zaimki."—Miejscami te odległe pola do dziś dnia są w posiadaniu i użytkowaniu „zaimocznikow", i gmina stara się ich stamtąd wyparować.

Nakoniec i w centrum państwa są okolice, gdzie prawo „zaimki" trwa w rzeczywistości albo w tradycyi ludności. W niektórych gminach p-tu Trubczewskiego (gub. Orłowska) użytkowanie na prawie „zaimki" skończyło się za żyjącego pokolenia: na gruntach, należących do włościan prywatnych, skończyło się dopiero z zaprowadzeniem reformy, a czasem już po reformie. W Ust'Sławiankie (pt. Petersburgski) pierwszy podział miał miejsce w 1881 r., w wołości Koltuszskiej p-tu Szliselburgskiego prawo „zaimki" trwa dotąd; w Smoleńskiej słobodzie pod Petersburgiem pierwszy podział miał miejsce w 1881, a przedtem działy ziemi dziedziczył syn po ojcu.

Nie ulega też wątpliwości, że, im bardziej cofamy się od 1861 r. w głąb historyi, tem bardziej prawo zaimki t. j. dziedzicznego rodzinnego użytkowania znajdujemy rozpowszechnione we wsi wielkorosyjskiej.

Wobec tych faktów i danych należy przyznać słuszność prof. Siergiejewiczowi, kiedy mówi, że „gmina rosyjska jest gminą pod„dańczą; wydzielanie ziemi dorastającym robotnikom (dla tiagłych „członow) nie z rezerw ziemi swobodnej, ale przez zmniejszanie tych

„działów roli, która już jest w użytkowaniu gminy, wskazuje, że ta „forma użytkowania ziemi powstała w epoce, w której ludność była „przytwierdzona do pewnych części terytoryum i nie mogła ro- „zejść się dalej. Stąd wynika, że powstania obecnej gminy nie „można cofać do bardzo głębokiej starożytności. Nie mogła ona pow- „stać w pierwszym — Kijowskim — okresie, kiedy powinności na- „rodu obliczały się nie według ilości ludności, ale z domów, dworów „i soch. Ziemi było wtedy dużo, a prawo swobodnego przechodzenia „czyniło podział ziemi, już przez innego użytkowanej, zbytecznym. „Pierwsze zarodki tej gminy nie mogą się odnosić do epoki, poprze- „dzającej przytwierdzenie włościan do ziemi. Nie powstała ona „drogą rozporządzeń władzy, ale to nie ulega wątpliwości, że została „przez nie wywołana[1]).“

Wywołana—odpowiedzialnością za podatki, powinności i obrok i działalnością władz, pilnujących terminowego i całkowitego wpływu podatków do skarbu państwa—dodamy od siebie. Do związku podziałów ziemi z tą odpowiedzialnością będziemy musieli nieraz jeszcze powrócić, nie zatrzymamy się więc tu nad nią, w zakończeniu jednak tej części naszej pracy czujemy się w obowiązku zastanowić się nad pytaniem, w wskutek jakich zasadniczych błędów mogła tak długo utrzymać się opinia starożytności peryodycznych podziałów ziemi i wspólności pól ornych w gminie rosyjskiej.

Błędem zasadniczym—pierwotnym—jest pominięcie lub zbyt małe uwzględnienie zmian historycznych w stosunku liczebnym ludności do ziemi i wszystkich skutków, z tych zmian wynikających, jak zmiany w systemach uprawy, w intensywności rolnictwa i wzrastającym związku psychologicznym pomiędzy danem indywiduum a danym kawałkiem gruntu. Błąd ten jest tem poważniejszy, że prowadzi on nie tylko do fałszywych poglądów na przeszłość, ale też i do fałszywych wniosków co do przyszłości „miru.” Rosya daleką jest jeszcze od tego ludnościowego stadyum, do którego zbliża się dopiero jedna Francya: zatrzymania wzrostu ludności. Długie jeszcze lata ludność Rosyi wzrastać będzie, i to wzrastać silniej, niż w innych krajach Europy, i wszelki pogląd na przyszłość miru, któryby tej elementarnej tendencyi nie uwzględnił—będzie z gruntu fałszywym.

Drugim błędem—błędem, którego wzór mieliśmy u Laveleya—jest nierozróżnienie rodu od gminy, własności rolnej rodzinnej—od

---

[1]) Siergiejewicz—l. c. str. 337.

własności miru, nieuwzględnienie ewolucyi w subjekcie prawa własności. Stąd pochodzi, że jednocześnie dowodzi się istnienia miru w starożytności i uparcie odrzuca się teoryę bytu rodowego. Haxthausen lepiej tę sprawę rozumiał, dowodząc, że mir jest rozszerzoną rodziną—i rozpada się z rozpadnięciem patryarchalnych pojęć w społeczeństwie rosyjskiem. Pojęcia patryarchalności nie pasowały jednak do przekonań ludowców (narodników), odrzucono je, i tem samem musiano dla filozoficznego ugruntowania mirskiej własności odwołać się do niesprawdzonych pojęć „ludu" o stosunku własności do pracy i prawa do pracy, które, jak się zdaje, nie istnieją poza umysłem obrońców miru.

Trzecim nakoniec błędem—błędem, o którym (przyznajemy się) mówić jest rzeczą bardzo delikatną, jest serdeczne uganianie się słowianofilów za „samobytnością" ewolucyi historycznej państwa rosyjskiego, uganianie się, które ich skłoniło do zapożyczenia od Haxthausena (może też Haxthausen zapożyczył to od słowianofilów) tezy, że przyczyną odmiennego ukształtowania się organizacyi własności ziemi włościańskiej w Rosyi, jak na zachodzie Europy, była okoliczność, że w Rosyi państwo powstało nie w drodze podboju, a tem samem, że w Rosyi nie było feudalizmu. Teza ta stanowi teoryę, ogólnie dziś w Rosyi przyjętą[1]).

Mimo powszechności tej teoryi jest ona nieścisłą. Prawda, że w Rosyi państwo nie powstało drogą podboju: mimo całej wyjątkowości faktu—„wezwanie książąt" waregskich dopóty za fakt uchodzić musi, dopóki przeciwne dowiedzionem nie zostanie; wyjątkowość, sama przez się, nieistnienia faktu dowodzić nie może. Brak podboju jednak nie dowodzi nieistnienia feudalizmu. Niemcy podbitemi nie były, a feudalizm powstał w Niemczech.

Kwestyę feudalizmu w Rosyi podnosił już Polewoj, ale szukał go fałszywie w epoce kijowskiej i widział „normandzki feudalizm" w zarządzie państwa przez drużynników, a „feudalizm książąt dzielnicowych" uważał za epokę przejściową do monarchii. Już Pogodin teoryę tę usunął. —Feudalizm jednak w Rosyi istniał, tylko nie w XI i XII, ale w XVII wieku.

Rozbierając treść organizacyi „pomiestij", tworzącą związek pomiędzy stanami wyższymi a monarchą, oparty na ziemi, prof. Siergiejewicz [2]) stwierdza, że jest to związek, który spotykamy i na za-

---

[1]) Haxthausen. t. 1. str. VI.

[2]) Siergiejewicz, l. c. str. 683.

chodzie Europy, gdzie związek ten powstał też z pierwotnego związku, opartego na stosunkach osobistych monarchy do „antrustyonów" — członków królewskiej „trustis" — zupełnie takiego samego, jak osobisty związek waregskich książąt z „drużynnikami" — członkami książęcej „drużyny". Na zachodzie monarcha swym antrustyonom dawał ziemię najprzód w nagrodę, potem z obowiązkiem służby. Pomiędzy systemem pomiestij a feudalizmem zachodzi, zdaniem Siergiejewicza, tylko pewna analogia; i mniemanie to byłoby zupełnie słusznem, gdybyśmy, idąc za naszym autorem, przyznali, że charakterystyczną cechą feudalizmu jest „hierarchia" stopni wojennych, przeniesiona na stosunki własności ziemskiej, „drabina", na której najwyżej stoi monarcha, pod nim wielcy wasale korony, pod nimi lennicy wasali, potem lennicy lenników etc. Hierarchia ta ograniczała władzę królewską, odbijała się w prawach własności ziemskiej i w zakresie tej własności i może interesować i naukę prawa państwowego, i prawo cywilne. Ekonomista jednak może i musi mieć inny punkt widzenia.

Z ekonomicznego punktu widzenia feudalizm jest to taka organizacya służby wojennej i niższego sądownictwa, przy której stan wojenny różniczkuje się od reszty społeczeństwa w osobną dziedziczną klasę społeczną, zajmuje się wyłącznie sztuką wojowania i pełni funkcye sądowo-policyjne, a utrzymanie swoje czerpie nie z pracy rąk własnych, ale z własności ziemskiej, którą daje mu monarcha pod warunkiem służby wojennej, dając mu jednocześnie pewne prawa zwierzchnicze i nad ludnością, na tej ziemi osiadłą, upoważniając go do brania od tej ludności pewnych danin i wymagania od niej pewnej pracy. Taką jest ekonomiczna charakterystyka i feudalizmu, i pomiestja — i z tego punktu widzenia „pomiestje" jest ekonomicznym feudalizmem. I feudalizm i pomiestje doprowadziły do poddaństwa, przytwierdzenia rolnika do ziemi.

Sołowjew, który też odrzuca istnienie feudalizmu w Rosyi [1]), bardzo słuszną robi uwagę, że pierwotną formą stosunku między orężną a nieorężną klasą ludności jest taki stosunek, w którym mężowie bezpośrednio żyją na rachunek włościan (mużyków) [2]). Na tym pierwotnym stosunku opierała się i cała gotycka struktura feudalizmu i o wiele prostsza organizacya armii rosyjskiej w XVI i XVII w. Podstawy ekonomiczne obu ich były te same.

---

[1]) Sołowjew, l. c. tom IV, str. 1342 i tom XIII. str. 635.

[2]) Sołowjew, l. c. tom XIII. str. 660.

Zapewne pomiędzy systemem feudalnym a systemem pomiestnym zachodzą bardzo poważne różnice, ale różnice té są nie ekonomicznego, tylko politycznego charakteru. Pomiędzy rycerzem, lennikiem a monarchą na zachodzie stoi szereg wasalów korony, którzy, ograniczając władzę królewską często (Niemcy) znoszą ją w końcu zupełnie, nie zostawiając monarsze nic prócz tytułu. W Rosyi „pomiestje" powstało w epoce, w której władza monarsza była już tak silną, że zniosła wszelkie przywileje i prawa bojarów i dumy bojarskiej, a między sobą a lennikiem „pomieszczykiem" postawiła „prikaz", biurokratyczną administracyę, od woli monarszej absolutnie zależną. Na wielkich wasalów zabrakło tu miejsca; wojewodowie XVII w. nie utrwalili nigdy swej władzy w województwach, byli duces — bez terytoryów dziedzicznych (ducatus), a pierwsze zarody praw hierarchicznych, t. zw. „miestniczestwo" — prawo do zajmowania miejsca w służbie wojennej lub dworskiej stosownie do dostojeństw przodków stłumione były w zarodku postanowieniami woli monarszej (byt' biez miest) i w 1682 r. zniesione. W chwili powstania systemu „pomiestij" władza monarsza była w Rosyi tak silna, że polityczny rozwój „beneficyów" na wzór zachodnio-europejski był niemożliwym, co jednak nie usuwa skutków ekonomicznych „pomiestja" i nie może go pozbawić charakteru „ekonomicznego feudalizmu."

Dlatego też sądzimy, że objaśniać powstanie „miru", t. j. podziałów wspólnej własności ziemskiej włościańskiej w Rosyi, brakiem feudalizmu jest zupełnie fałszywem. „Mir" ma swoje przyczyny powstania, ale nie w braku feudalizmu. Przeciwnie „pomiestje", system feudalny— t. j. wynagrodzenie za służbę wojskową ziemią z poddanymi rolnikami, było jedną z przyczyn powstania w Rosyi „miru"; tak, jak na Zachodzie, bardzo często wywoływało ono powstawanie związków gminnych lub opóźniało rozkład związków rodowych — i właściwie należy postawić pytanie, dlaczego mimo tak analogicznych warunków, jak upadek organizacyi rodowej i zaprowadzenie wynagrodzenia za służbę wojenną w ziemi i poddanych, własność włościańska w Rosyi ukształtowała się inaczej, jak na zachodzie Europy?

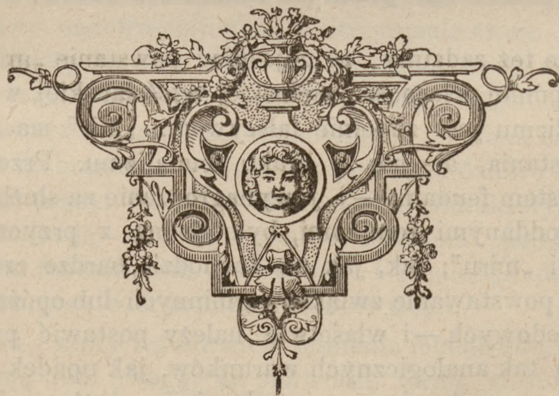
Odpowiedź daliśmy z góry: 20 głów ludności na wiorstę kwadratową. Jest to przyczyna zasadnicza — obok której stoją przyczyny drugorzędne: całość historycznego rozwoju, wpływy rasy i sąsiadów, system finansowy i kultura rolna. Stosunek jednak człowieka do ziemi jest tym stosunkiem, który — jak sądzi Ra-

tzel — dotąd zbyt mało w socyologii uwzględniony wywołuje błędy w badaniach nie tylko nad powstaniem miru.

Cokolwiek przyjmiemy za charakterystykę rolnictwa w Rosyi, czy brak przywiązania do parafii (Heimathsliebe) Haxthausena, czy trwanie aż dotąd epoki kolonizacyjnej Milukowa, czy płynność społeczną Sołowjewa, zawsze na dnie tych objawów szczególnych leży jeden fakt elementarny, ogólny — 20 głów ludności na wiorstę kwadratową terytoryum.

Organizacya nie własności, ale użytkowania z ziemi w dobrach prywatnych w XVII i XVIII w., była sprawą wewnętrzną do załatwienia między panem a jego włościanami, i z załatwienia tej sprawy żadnych śladów urzędowych nie pozostało.

St. Piotrowski.



FRANCISZEK PRESZERN,

POETA SŁOWIEŃSKI.

Sto lat upływa, jak w małej wsi kraińskiej przybył na świat poeta słowieński Preszern, który miał stworzyć poezyę narodową, który literaturę ojczystą miał podnieść do przynależnej jej godności, którego rymy miały zachwycić cały naród i wcisnąć się aż pod strzechę ludową. Zna zasługi jego naród słowieński i obchodzi uroczyście stuletnią rocznicę jego urodzin. Hołdy, składane mu przez ziomków, przekroczą zapewne granice ziemi słowieńskiej i znajdą oddźwięk w całej Słowiańszczyznie. Do tych oznak uznania zasług pobratymczego poety dorzućmy i naszą cząstkę! Uczynimy to najodpowiedniej, jeżeli poznamy życie i działalność jego.

W końcu XVIII wieku, a jeszcze bardziej na początku XIX-o, rozpoczął się w świecie słowiańskim żywy ruch, polegający na rozbudzeniu i uświadomieniu narodowości. Idea narodowa, zrodzona po rewolucyi francuskiej, dojrzewająca podczas wojen napoleńskich, nie mogła nie wpłynąć na ludy słowiańskie. Wojny Napoleona różne wprawdzie wywoływały uczucia w narodach słowiańskich; w jednych budziły otuchę i nadzieję blizkiej wolności, w innych — obawę

o jej przyszłość; jedne witały Napoleona, jako oswobodziciela, inne, jako wroga: we wszystkich jednak obudził on poczucie patryotyzmu i dążność do zachowania swej narodowości.

Jakże zachowują się Słowieńcy wobec Napoleona? Panuje u nich, zwłaszcza w Krainie, ogromny zapał dla Francuzów, którzy od roku 1809 byli panami ziem słowieńskich. Jak wiadomo, musiała Austrya po nieszczęśliwej bitwie pod Wagram ustąpić, mocą pokoju wiedeńskiego, Napoleonowi między innemi także swe posiadłości z tamtej strony Sawy i okręg Bielaku (Villach); z tych ziem cesarz Francuzów w połączeniu z Dalmacyą, Istryą, Dubrownikiem i wyspami greckiemi utworzył siedem prowincyi królestwa Illirskiego. W zabranym kraju umieli sobie Francuzi jużto przez zaprowadzenie sprężystej administracyi i poprawienie prawa, jużto przez przedsiębranie różnych robót publicznych zjednać miłość. Uczono się z zapałem języka francuskiego; Napoleona i jego urzędników otaczano czcią. Uwielbieniu dla Francyi dali wyraz i poeci w swych wierszach, z których najbardziej był głośny wiersz poety Wodnika: „Illirya ożywiona". Lecz w bitwie pod Lipskiem runęła potęga Napoleona, a założone przez niego państwa istnieć przestały. Karyntya i Kraina wróciły pod rządy austryackie. Wpływ francuski jednak i obudzone poczucie patryotyczne nie zaginęło i przyczyniło się, choć może tylko pośrednio, do ożywienia literatury.

Pierwsze odrodzenie literatury słowieńskiej nastąpiło już w w. XVIII. Przyczynili się do tego tacy mężowie, jak Marek Pohlin (1735—1801), Jerzy Jappel (1744—1807), Antoni Linhart (1758—1795), Leopold Volkmar (1741—1816), a głównie wspomniany Walenty Wodnik (1758 — 1819), ksiądz, profesor, dziennikarz i poeta. Odrodzenie to postępowało jednak powoli. Lud mówił po słowieńsku, ale intelligencya, kształcona w szkołach niemieckich, posługiwała się niemczyzną. Stan ten trwał dość długo. Charakterystyczne są w tym względzie słowa Stanka Wraza (1810 — 1851), poety chorwacko-słowieńskiego, który jeszcze w roku 1838 pisze do Jarnika po niemiecku: „Listy słowiańskie kosztują dużo słowiańskiej krwi; wiem o tem, bo po każdym liście słowiańskim czuję się, jak zbity. Przebacz pan jednak, że nie składam panu tej niewinnej ofiary. Nie jestem do tego dziś zdolny" (por. Diela Stanka Vraza, tom V, str. 171). Na to odpisuje Jarnik także po niemiecku: „Znowu piszę *tudjim jezikom* (obcym językiem), co pochodzi z przyzwyczajenia, które z nami wzrosło, podobnie jak u tych, którzy przed naszym okresem woleli pisać w języku łacińskim, niż ojczystym. I jeżeli pan na sobie zrobił spostrzeżenie, że pan po każdym po illirsku (słowieńsku)

pisanym liście czuje się, jak zbity, natenczas nie weźmiesz mi pan tego za złe".

Nawet Preszern używa w korespondencyi języka niemieckiego. Świadczy to i o nizkim poziomie języka, któremu brakło wyrażenia dla oddania różnych odcieni uczuć ludzkich, i o niedbałości i niedołęstwie piszących, nie mających dosyć siły do walki z przyzwyczajeniem. Jedynem lekarstwem na tę niemoc języka mógł być tylko zwrot do języka ludowego i studyowanie innych języków słowiańskich. Uznali to też Słowieńcy; liczne gramatyki, z których najlepszą wówczas była gramatyka Bartłomieja Kopitara, i słowniki świadczą o szlachetnej chęci poznania i podniesienia języka ojczystego.

Drugim czynnikiem, który wpłynął na odrodzenie poezyi słowieńskiej, był zwrot do poezyi ludowej. Za przykładem Niemców, a głównie Herdera, którego dzieło „Stimmen der Völker in Liedern" i u Słowian szerokie znalazło uznanie, wzięto się do zbierania pieśni ludowych i tworzenia na jej wzór własnych utworów [1]). Pieśni ludowe wzbudziły zapał w Słowieńcach, i prawie każdy z ówczesnych poetów naśladuje nutę ludową w swych utworach [2]).

Zwrot ten do poezyi ludowej i dążność wydoskonalenia języka miały ten skutek, że język stawał się coraz giętszym i zdolniejszym do oddawania różnych pojęć i subtelnych nawet odcieni uczucia; obudzony zaś patryotyzm popychał pisarzów do zarzucenia języka niemieckiego. Potrzeba było tylko człowieka, któryby, obdarzony talentem poetycznym, umiał się wznieść ponad innych, któryby stanął na czele pracowników narodowych, natchnął ich zapałem i wytknął im drogę do pracy. Człowiekiem takim był Franciszek Preszern.

Urodził się on 3 grudnia 1800 r. w małej wiosce Krainy Górnej, nazwiskiem Vrba, z rodziców stanu wieśniaczego. Ojciec jego,

---

1) Wielkie pod tym względem zasługi położył Polak, *Emil Korytko.* Po powstaniu listopadowem był internowany w Grązu. Uwolniony przeniósł się do Lublany, gdzie umarł w r. 1839. Poznawszy dokładnie język słowieński, brał czynny udział w życiu literackiem Słowieńców. Zebrał 5 tomów pieśni ludowych, które wyszły w latach 1839—1844, pod tytułem: *Slovenske pesni krajńskega narodu.* Pozostawił po sobie u pobratymców bardzo miłe wspomnienie, tak, że imię jego jeszcze dziś ze czcią bywa wspominane.

2) Najlepsze wydanie pieśni ludowych słowieńskich sporządził dr. K. Sztreklja, p. t.: *Slovenske narodne pesni,* których tom I, obejmujący pieśni epiczne w 4 zeszytach, wydawany został nakładem Maticy słowieńskiej w Lublanie 1895—1898.

Szymon Preszern, przydomku Ribicz, zamożny gospodarz, miał oprócz niego jeszcze pięć córek i dwu synów. Lata dziecinne przepędził poeta we wsi rodzinnej, której wspomnienie zachował do śmierci. Piękna to miejscowość, położona na stokach Alp julijskich, otoczona wzgórzami, pełnemi winnic i pól żyznych, w sąsiedztwie wartkich fal modrej Sawy. Wryła się też dziecku w pamięć tak, że poeta po latach wielu, nie znalazłszy nigdzie piękniejszego ustronia, nazwał je „podoba raja" (obrazem raju). Bujał tu sobie chłopczyna swobodnie po debrzach, winnicach, lasach i łąkach. Nie trwało to jednak długo. Gdy skończył 7 lat, zabrał go do siebie brat babki (ze strony ojca), proboszcz w Kopaniu pod Szmarjem w Dolnej Krainie, Józef Preszern. Był to poczciwy staruszek, który rodzinie świadczył liczne dobrodziejstwa. Ponieważ jednak w tej wsi nie było szkoły, oddał go do szkoły w Rybnicy. Uczył się dobrze, lecz nie wyniósł stamtąd miłych wspomnień; w późniejszych latach wyznaje nawet, że możeby lepiej było dla niego, gdyby do szkoły tej nie był wcale uczęszczał. W roku 1813 oddany został do gimnazyum w Lublanie, gdzie często odbierał nagrody za pilność i dobre postępy. Niestety, nie wiemy prawie nic o wpływie, jaki nauka gimnazyalna wywierała na jego ducha. Nazwiska nauczycieli jego, jak Jerina, Tuszka, Debeljaka, Hladnika, mało nam dają wskazówek w tym względzie, bo żaden z nich nie zajął wybitniejszego stanowiska w literaturze słowieńskiej; wogóle trudno przypuścić, aby oni się przyczynili do obudzenia w nim talentu poetyckiego. Natomiast nie bez wpływu była zapewne znajomość jego z Maciejem Czopem, późniejszym wybitnym literatem słowieńskim, który był o trzy lata starszy od niego. Był charakteru energicznego i rzutkiego, mógł więc na młodego kolegę wpływać pobudzająco. Stosunek ten przyjacielski nie trwał jednak długo, bo Czop już w r. 1816 skończył gimnazyum. Pozbawiony przyjaciela ślęczał poeta teraz osamotniony nad książką aż do roku 1821. Nie odrazu zdecydował się na kierunek dalszych studyów; rok upłynął, nim się zapisał na wydział prawniczy w Wiedniu na jesieni r. 1822. Zdaje się, że czuł już wtenczas w sobie powołanie poetyckie i nie wiedział, jaki zawód praktyczny najlepiejby odpowiadał jego zamiłowaniu poezyi. Chodziło jednak o przyszłość, i względ na zabezpieczenie jej sobie zmusił go wreszcie po długiem wahaniu do obrania zawodu prawnika. Studya ukończył w ciągu lat czterech; egzamin doktorski złożył jednak dopiero w roku 1828.

Pobyt jego w Wiedniu jest ważny z wielu względów. Pomijając, że miał tu sposobność wzbogacenia swych wiadomości, wydo-

skonalenia poczucia estetycznego i poznania dzieł wybitnych pisarzy świata, znalazł tu nadto przyjaciela, którego zapał do wszystkiego, co słowiańskie, mógł go natchnąć do pokochania Słowiańszczyzny i podnieść wogóle w sfery ideałów. Był nim poeta Władysław Czelakowski, jeden z odrodzicieli literatury czeskiej. Już wtenczas zażywał pewnej sławy z powodu wydania „Różnych poezyi" (1822) i „Słowiańskich pieśni ludowych" (1821). Czytał z zapałem Herdera, zwłaszcza jego dzieło: „Ideen zur Geschichte der Philosophie der Menschheit" i marzył o tem, aby zdziałać dla Słowian to samo, co Herder dla Niemców. Z zamiłowaniem rzucił się do studyowania pieśni ludowych słowiańskich, a pięknym owocem tej pracy był „Ohlas (echo) písní ruských" (1829). Przyjaźń z takim człowiekiem, który z najznakomitszymi uczonymi słowiańskimi w przyjacielskich żył stosunkach, nie mogła pozostać bez wpływu na Preszerna. Wpływ ten widoczny jest w poezyach poety, który zawsze z miłością o Słowianach się odzywa. Czelakowski to skłonił prawdopodobnie przyjaciela do pisania po słowieńsku.

Nie bez znaczenia dla Preszerna była także jego znajomość z Antonim hr. Auerspergiem, znanym w poezyi niemieckiej pod pseudonimem: Anastazy Grün. Znajomość zawiązała się stąd, że Preszern uczył historyi w zakładzie Klinkowströma (w Wiedniu), w którym uczył się Auersperg. Otóż pomiędzy nauczycielem a uczniem zawiązała się przyjaźń, która pod tym względem mogła dobroczynny wpływ na poetę słowieńskiego wywrzeć, że Anastazy Grün był zapalonym wielbicielem poezyi ludowej.

W Wiedniu zaczęła się twórczość Preszerna, jak o tem świadczą własne jego słowa w liście do Macieja Czopa z dnia 13 lutego r. 1832 (pisanym po niemiecku): „Jako prawnik czwartego roku, pokazałem tekę *Carminium carniolicorum* swym przyjaciołom, z których jeden, Frenz, namówił mnie, abym je dał do czytania *Formulario* (Kopitarowi). *Formularius* dał mi radę, abym je na kilka lat odłożył, a potem zabrał się do nich z pilnikiem. *Quod exemplum secutus, omnia incendio tradidi exceptis:* „Powodnji mož", „Lenora et Lažnjiwi pratikarji", z których pierwsze jeszcze teraz pod względem rymu i rytmu *documenta dant, quo sint tempore nata, licens limae non impatiens fuissem.* Wszystkie inne, jako niemożliwe do poprawienia, przeszłego roku spaliłem" (por. Ljublj. Zvon V, 37). Z powyższych słów dowiadujemy się, że wierszy było dużo, bo cała teka, i że pisał po słowieńsku, czyli, jak się wyraża po kraińsku (*carmina carniolica*), to znaczy, że stanął odrazu na gruncie narodowym. Jak widzimy, miał dosyć zmysłu krytycznego, bo pokonał próżność autorską i spalił

prawie wszystkie. Zachowane zaś wiersze są ważne dlatego, że dają nam poznać wzory, na których się kształcił. „Lenora”, tłómaczona z Bürgera, dowodzi, że poeta ulegał wpływowi romantyzmu niemieckiego. Drugi utwór młodzieńczy „Powodnji mož” (Wodnik) ma swe źródło w poezyi ludowej (por. zbiór pieśni prof. Sztreklja, Nr. 81 i 82). Zmienił jednak nieco poeta treść pieśni ludowej i nadał jej formę ballady. „Dziewczyna zalotna, opowiada poeta, która wszystkich mężczyzn za nos wodziła, spotyka na tańcach pięknego młodzieńca, którego pragnie zaprządz także do swego rydwanu. Udaje się jej ten zamiar, bo chłopiec bierze ją do tańca. Taniec jego szalony przeraża wszystkich, przeraża dziewczynę samą. Muzykanci przestają grać ze strachu, ale oni tańczą dalej, bo za muzykę służą im teraz wichry i grzmoty, aż w końcu obejmuje oboje chmura, która ich zanosi do miejsca, gdzie Sawa wpada do Dunaju. Tutaj zanurza się Wodnik w rzekę z dziewczyną, która, ginąc, w ten sposób zostaje ukarana za swą zalotność”. Jest to temat stary, bo już Walwazor, kronikarz kraiński z XVII wieku, podał go w swem dziele: „Ehre des Herzogthums Krain”.

Dwa więc wpływy działały na początkującego poetę: romantyzm niemiecki i pieśń ludowa. Trwają one dość długo.

Z czasów akademickich pochodzi też pierwszy drukowany jego wiersz w redakcyi słowieńskiej i niemieckiej: „Dekelcam — An die Mädchen” (r. 1827). Jest to sobie wesoły wierszyk, zwrócony do dziewcząt, w którym poeta rozwija myśl, że z życia za młodu korzystać należy, bo manna na puszczy, niedość rychło zebrana, topniała, a róża na wiosnę tylko jest piękna.

Opuszczał więc Preszern stolicę austryacką, już jako poeta. Dokąd się udał narazie, niewiadomo. W maju roku 1829 został tymczasowym, a w lipcu tegoż roku rzeczywistym, ale bezpłatnym praktykantem w namiestnictwie w Lublanie. Nędzne to było stanowisko, a stosunki materyalne poety były smutne. Dwukrotnie prosi o płatną posadę praktykanta w Celowcu, ale bezskutecznie. Nie mając widoków w służbie rządowej, powziął zamiar zostania adwokatem. Bierze więc najpierw urlop dwutygodniowy, potem sześciotygodniowy, a przed jego upływem dymisyę. W lutym r. 1832 znajdujemy Preszerna w Celowcu, gdzie się przygotowuje do egzaminu adwokackiego. Czas dzieli między pracę a przyjaciół. Zdawszy egzamin, wraca do Lublany i wstępuje, jako koncypient, do biura przyjaciela swego, adwokata Chrobata, u którego zostaje aż do roku 1845.

Wobec opłakanych stosunków materyalnych i walki o chleb

powszedni tworzył niewiele. Dopiero po powrocie do Lublany, mając byt skromny, ale zapewniony, wrócił do pracy poetyckiej. Przyczyniły się do tego stosunki literackie w Lublanie. Około r. 1830 znalazło się w Lublanie kilkunastu młodych ludzi, ożywionych szczerą chęcią podniesienia literatury ojczystej. Był tam między innymi Czop, który skutkiem ciągłych przerzucań do Zadru, Dubrownika, Rjeki i Lwowa poznał bardzo dokładnie Słowiańszczyznę i który z tęsknoty za ojczyzną wolał zamienić profesurę uniwersytecką we Lwowie na profesurę gimnazyalną w Lublanie; był tam Michał Kastelic, skryptor biblioteki licealnej, i dr. Jakób Zupan, profesor egzegezy biblijnej i języków wschodnich w liceum, człowiek szerokiej nauki. Usiłowania ich znalazły echo na prowincyi. Podobnym duchem ożywieni są w Karyntyi Slomszek, późniejszy biskup, i Jarnik; w Styryi zwracają na siebie uwagę Dańko i Murko pracami gramatycznemi, w Gorycyi tworzy proste, dla ludu i młodzieży przeznaczone wiersze Stanik. Potrzeba było tylko ogniska, któreby złączyło rozstrzelone siły, potrzeba było pisma, w któremby młodzi poeci swe utwory pomieszczać mogli. Brakowi temu postanowiono zaradzić przez założenie małego pisemka, które nazwano: „Kranjska Czbelica" (Kraińska pszczółka). Niepokaźne to było pismo o kilku arkuszach, raz na rok wydawane, a jednak ma ono wielkie znaczenie w literaturze słowieńskiej, — prawie takie samo, jak dwa pierwsze tomiki poezyi Mickiewicza w literaturze polskiej. Właściwym redaktorem i duszą tego pisemka był Czop; wobec władzy odpowiedzialny był Kastelic, jako jedyny z grona współpracowników, na dobrej stopie żyjący z władzami. Tomików wyszło do roku 1843 cztery, piąty i ostatni pojawił się dopiero w r. 1848. „Czbelica" skupia teraz około siebie wszystkich wybitniejszych poetów ówczesnych. Znajdujemy w niej tylko poezye (bo tylko dla poezyi była przeznaczona), i to utwory Józefa Żemlji, Błażeja Potocznika, Ign. Holzapfla, Jerzego Kosmacza, Jana Zieglera, Bartł. Lewicznika, Mich. Tuszka, Czopa i Mac. Sznajdra. Główną ozdobą pisemka były jednak poezye Presznera, a więc najprzód pełne rzewnego uczucia, *Slowo od mladosti* (Pożegnanie mlodości); poeta, skończywszy lat trzydzieści, rzuca okiem smutnem na minioną młodość, która w części zawiodła jego marzenia i obfita była w gorycze i smutki. W drugim tomiku mamy cztery jego sonety, wierszyk w tonie pieśni ludowej *Hczere svet* (Córki rada) i *Nowa pisarija* (Nowa pisownia), wiersz humorystyczny, wymierzony przeciw nowatorom pisowni. W tomiku trzecim umieścił romancę *Turjaszka Rozamunda* (Rozamunda z Auersbergu), *Soldaszka* (Pieśń żołnierska), *Prwa Giebezen* (Pierwsza mi-

łość), *Astrologam*, *Srszeni* (Szerszenie) i cztery *sonety*. „Rozamunda" powstała pod wpływem serbskich pieśni ludowych, które przypomina tonem i wierszem białym. „Z pomiędzy licznych wielbicieli Rozamundy, opowiada poeta, wybrał ojciec jednego i wyprawia ucztę z powodu zaślubin córki. Na uczcie nie brak śpiewaka, który na zapytanie ciotki narzeczonej, czy jest piękniejsza dziewica od panny młodej, odpowiada, że Lejla, córka bośniackiego baszy, przewyższa Rozamundę pięknością. Zmartwiona tem narzeczona żąda od narzeczonego, aby jej dostawił tę sławioną piękność, bo inaczej nie pójdzie do ślubu. Narzeczony zbiera swą drużynę, udaje się do Bośni, zwycięża baszę i zabiera Lejlę w niewolę. Jest ona rzeczywiście bardzo piękną, tak piękną, że zwycięzca zapomina o Rozamundzie i bierze Lejlę (po ochrzczeniu jej) za żonę. Rozamundzie, ukaranej w ten sposób za swą pychę, nie pozostaje nic innego, jak wstąpić do klasztoru". Romanca ta wykazuje znaczny postęp w twórczości poety.

W „Pieśni żołnierskiej", zaczynającej się od słów „Pięć stóp mam miary, cali pięć" brzmi ton wesoły, humorystyczny. W pieśni „Pierwsza miłość" poeta po raz pierwszy uderza w strunę miłosną. Opowiada nam, że długo opierał się miłości, aż w końcu znalazł dziewicę, której wzrok zranił mu serce. Wyraz jednak uczucia nie jest jeszcze silny: siłę odbiera mu ton moralizujący. Do poezyi miłosnej należy także wiersz „Astrologom", w którym żartobliwie powiada, iż nie wierzy astrologom, twierdzącym, iż znają wszystkie gwiazdy i dają sobie z nimi radę, bo on odkrył tylko dwie gwiazdki, dwoje oczu swej lubej, a już głowę stracił i poradzić sobie z nimi nie może. „Szerszenie" to dwuwiersze, rzadziej czterowiersze, o treści satyrycznej, w których poeta wyśmiewa różne osoby. Oto np. dwuwiersz, p. t. „Wpierw poecie, potem homeopacie": „Wprzód poezyą, dziś się homeopatyą chlubisz, Wprzód czas, dziś ludzkie życie gubisz". O sonetach pomówię później.

Oprócz tego ogłosił równocześnie Preszern (w „Illyrisches Blatt") tłómaczenie Koernera: „Lützows wilde Jagd", jeden sonet i romancę *Uczenec* („Uczeń"), w której uczeń narzeka na karnawał nie tyle z powodu, że kieszeń jego wypróżnił i odciągnął go od nauk, ile dlatego, że pozbawił go ukochanej, która wyszła zamąż.

Jak też zostały przyjęte pierwsze poezye Preszerna? Czelakowski wyraża się o nich bardzo pochlebne tak w recenzyi „Czbelicy" („Czasopis czeského muzeum" 1832, zeszyt 4), jak i w liście do poety. Innego zdania byli Kopitar i niektórzy starsi w Lublanie, którzy jednak, mówiąc prawdę, nie mieli żadnego poczucia piękna

w poezyi. Zarzucali oni poecie niemoralność, a rewizor książek, Pawszek, żądał nawet od władzy, aby zakazała wydawania „Czbelicy". Bolały te niesłuszne, bezsensowne zarzuty poetę. Odpowiedział krytykom wierszem uszczypliwym: „Des Sängers Klage", (w „Illyrisches Blatt"). Ostrzej jeszcze wystąpił przeciw Kopitarowi (polska forma brzmiałaby Kopyciarz) w jednym z sonetów, gdzie mówi: „Trzewiki niech sądzi Kopyciarz!"

Szerszy ogół zajął stanowisko wyczekujące. Tymczasem talent poety rozwijał się coraz bardziej. Jak u Mickiewicza, tak i u Preszerna przyczyniła się do tego miłość nieszczęśliwa. Wybraną przez poetę dziewicą była 17-to-letnia Julia Primicówna, córka bogatego kupca lublańskiego; obdarzona niezwykłą urodą, wykształcona, ale dumna, zimna i wyrachowana, zwracała ogólną uwagę na siebie. Poznał ją poeta przy grobie Chrystusa w wielki piątek roku 1833. Zmrok kościelny, świece jarzące na ołtarzu, cisza i urok miejsca podniosły jeszcze jej piękność, spotęgowały blask niebieskich oczu i połysk jasnych włosów, tak, że sprawiła na poecie niezatarte wrażenie. Obraz jej towarzyszy mu teraz wszędzie, jego myśl dąży tylko ku niej. Poeta szuka jej spojrzenia, lecz ona odwraca oczy; poeta cierpi, a ból i miłość swą wylewa w pieśni: ale i pieśń nie wzrusza jej serca. Daremnie przedstawia jej, że „pieśń jego rozsławi imię jej w całej Słowiańszczyznie", daremnie zapewnia, że ją kocha, jak o tem wie „noc, która słyszy jego westchnienia, jak wiedzą zorza, poranek, południe i wieczór, które słyszą skargi jego, jak wiedzą ściany jego mieszkania, jak wie róża, każdy przedmiot wie o jego miłości, jedynie ona wierzyć nie chce, że ją kocha". Mijają miesiące, mijają lata, a biedny poeta nie mógł pocieszać się choćby tylko nadzieją. Wprawdzie powiada w „Żeglarzu": „Ręką w rękę mą sięgłaś, Na Boga przysięgłaś, Zawsze moją być", — lecz do małżeństwa nie doszło, bo matka była temu przeciwną i skłoniła córkę do poślubienia współzawodnika poety jeszcze z ław szkolnych, Ant. Scheuchenstucla, szlachcica niemieckiego. Straszny to był cios dla Preszerna. Długo nie mógł się uspokoić, choć wmawia w siebie, że mu jest obojętna: „Serce me było ołtarzem złotym, A bóstwo jego ty—dziś tylko pięknym przedmiotem". Lecz powoli rana zabliźniała się i w „Żeglarzu" już spokojnie ją pożegnał.

Inne jeszcze zawody spotkały w tym czasie poetę. Umarli dwaj serdeczni jego przyjaciele: Maciej Czop, który utonął podczas kąpieli w Sawie, i Andrzej Smole. Obydwom poświęcił rzewne wspomnienie w wierszach: „Wspomin Matija Czopa" i „Wspomin

Andreja Smoleta". I materyalne stosunki jego nie były bardzo świetne, gdyż, choć złożył egzamin adwokacki i cztery razy prosił o adwokaturę, zawsze mu rząd jej odmawiał. Zrozpaczony pisze w liście do przyjaciela: „Patrz! głowa mi siwieje, a ja jeszcze nie jestem adwokatem i nigdy nim nie będę!"

Pomimo tych zawodów siła jego poetyczna nie słabnie, przeciwnie miłość nieszczęśliwa stała się źródłem najlepszych jego lirycznych pieśni. Jej to zawdzięczamy najpierw drobne wiersze, tworzone na wzór włoski, zatytułowane *Gazęle*, dalej znaczną ilość sonetów i innych pieśni erotycznych. Wszystkie są poświęcone ukochanej: „Pieśń moja imieniu twemu poświęcona", woła w pierwszej gazeli, i „Tobie jednej starałem się podobać", mówi w ostatniej. W gazelach wznosi się poeta bardzo wysoko. Przebija się w nich uczucie głębokie i wzniosłe; różne odcienie miłości, uwielbienia i nadziei są oddane z wielką delikatnością i wywołują niekłamane wrażenie.

Najwyżej wzniósł się jednak poeta w sonetach, pomiędzy którymi piętnaście z osobnym napisem: *Sonetni venec* wyjątkowe zajmuje stanowisko. W nich dochodzi liryka Preszerna do szczytu swej doskonałości, w nich święci swój tryumf. Czujemy, że słowa płyną poecie z serca, że dusza jego cierpi, i cierpimy z nim razem. Są one świetnym wieńcem, złożonym ukochanej, a zarazem i literaturze słowieńskiej, wieńcem, który zawsze świeżym zostanie, a poecie coraz większą sławę zjednywać będzie. Widzimy wprawdzie w niektórych sonetach naśladownictwo, a raczej reminiscencye z Petrarki; poeta umiał jednak obcy kwiat przesadzić na grunt ojczysty i wycisnąć wszędzie piętno narodowe.

Forma sonetów erotycznych jest sztuczna: pierwsze litery pierwszych czternastu tworzą nazwisko i imię ukochanej; końcowy wiersz każdego sonetu jest zarazem początkowym następnego, sonet zaś piętnasty składa się z początkowych wierszy poprzednich czternastu; tym sposobem pierwsze litery wierszy tworzą znów to samo imię i nazwisko.

Treścią innych sonetów poczęści jest miłość, a po części są w nich inne motywy. Wyraz tęsknoty za wsią rodzinną znajdujemy w sonecie: „O Wrba, sreczna (szczęśliwa), draga vas (wieś) domacza!" Kilka razy uderza poeta w smutny ton zniechęcenia do życia. Gdy za ciężkie gromy spadają na jego głowę, cicha skarga wydobywa się z jego piersi. Taki jęk zwątpienia słyszymy w sonecie: „Popotnik (podróżny) pride w Afrike puszczawo (pustynię)", który kończy się słowami: „Rozjaśniła się noc życia, ale na to tylko,

aby oświetlić życia brzydotę, jego utrapienie i przepaść głękoką bez wyjścia". W innym znów narzeka: „Z dnia na dzień tli się nędznie lampa żywota, aż pokarmu jej zabraknie i zgaśnie"; w końcu woła: „Dopiero w cichym spokoju zimnego grobu nieszczęśliwemu śmierć pot z czoła zetrze". „Nie mudź więc długo, przyjazna śmierci! Tyś kluczem, tyś bramą, tyś drogą szczęśliwą, która nas wiedzie z miejsca boleści tam, gdzie zgnilizna wszystkie pęta kruszy". Skargi te smutne przejmują nawskroś czytelnika. Mimowoli odczuwa się z poetą jego ból, chciałoby się usuwać ciernie z jego drogi, które mu ranią stopy, chciałoby się odwrócić los, który go prześladuje i podzielić się z jego smutkiem i żalem.

Z tego samego czasu pochodzi większa część „Pieśni". Niejedna z nich, jak np. „Pok oknem" („Luna sije, kladwa bije"=Księżyc świeci, zegar bije) stała się własnością całego narodu. Głównem uczuciem, dźwięczącem w pieśniach, jest znów miłość nieszczęśliwa.

„Gęśli, dźwięczne wygłoś tony!
Pieśni miła, zapłacz z duszy!
Skarga cicha, jęk stłumiony
Serce twarde może wzruszy",

— woła poeta w pieśni „Do strun" — bo: „Dziwną siłą, Z twarzą miłą, Przed oczami widzę cię, Wzdychające i gorące Serce się ku tobie rwie" („Pod oknem"); miłość jego nie ustanie, dopóki jej nie zwycięży większa siła, „ostatnia miłość — biała śmierć". Innym motywem „Pieśni" jest powołanie poety, który pomimo, że siostrą poezyi jest bieda („Glossa"), że sęp od rana do zmroku szarpie jego serce, — hartu duszy tracić nie powinien, i który, choć piekło wre w jego wnętrzu, ludzkość do nieba wieść powinien (Pewcu). Wzniosła jest także myśl w wierszu: „Neiztrohneno srce" („Niespróchniałe serce"): serce poety powinno całe zapłonąć silnem ogniem uczucia i przejąć się nawskroś ideałami, aby wydać z siebie czystą miłość.

Odmienny charakter mają dwa wiersze: „Zapuszczena" („Opuszczona") i „Nezakonska matki" („Nieślubna matka"), w których poeta bardzo dobrze oddał smutek zawiedzionej dziewczyny.

Powyższe utwory dowodzą, że Preszern jest lirykiem; nawet w utworach o zakroju epicznym, jak ballady, bardzo wyraźnie przebija liryzm. Wiedział o tem sam poeta i, choć przyjaciele wymagali od niego, aby próbował swych sił w innych rodzajach poezyi, nie słuchał ich, chcąc być wiernym poezyi uczucia. Tłómaczy się

z tego w wierszu „Orglar" („Organista"). „Nie podobało się pewnemu organiście, że słowik te same ciągle melodye wyśpiewuje; począł go więc uczyć innych tonów; męczył się z nim długo, ale daremnie, aż wreszcie skarcił go Bóg: „Zostaw słowika mego, jak go stworzyłem, bo:

Komum dał wieszczego ducha,
Dałem mu i jego pieśni;
Niech je nuci, niech ich słucha,
Aż ucichnie w grobu cieśni.

I poeta słuchał głosu bożego; to też liryka jego rozbrzmiewa szeroko i bogato, dźwięcznie i pełno. Wiersz płynie mu gładko, język jego jest poetyczny, forma zastosowana do pieśni. Wszędzie uczucie głębokie, szczere, nieudane, delikatne, nieoszpecone pogonią za zbytnią oryginalnością, niezbrudzone nieokiełznaną swawolą myśli i wyrażenia. W dziedzinie poezyi lirycznej nie prześcignął go dotąd żaden z poetów słowieńskich.

Raz jeden jedyny wkroczył Preszern w dziedzinę poezyi epicznej, i to w powieści poetycznej *Krst pri Sawici* („Chrzest nad Sawicą). Zamiarem poety było przedstawić walkę chrześcijaństwa z dawnem pogaństwem słowieńskiem i zwycięstwo krzyża. We wstępie maluje poeta tło obrazu, wiele obiecujące. Książę Karyntyi, Walhun, tępi z zapałem pogańskich Słowieńców. W długoletniej walce maleje garstka walczących za wiarę ojców; liczne trupy wojowników zalegają pola, i tylko Czertomir z garstką rycerzy walczy jeszcze w obronie starych bogów. Silna twierdza jest ostatniem ich schronieniem, lecz cóż zdołają zdziałać wobec przeważającej siły oblegających, którzy coraz ciaśniejszym i czujniejszym pierścieniem odcinają ich od reszty świata, tak, że znika dla nich wszelka nadzieja ratunku. Wtenczas występuje Czertomir przed szeregi towarzyszy i mówi: „Los nienawistny nas ściga; dłużej oblężenia nie wytrzymamy. Kto chce przejść na stronę nieprzyjaciół, wolno mu; czyje jednak ramię nie chce nosić pęt niewoli, niech złączy się ze mną. Dziś nocą, korzystając ze snu nieprzyjaciół, przebijemy się przez ich obóz do poblizkiego lasu i znajdziemy ocalenie. Licznych synów bowiem liczy Sława, i u braci Słowian znajdziemy wolność i życie. A jeżeli nam bogowie przeznaczyli śmierć, wieczna noc w czarnej ziemi milsza jest od blasku słońca w niewoli!" Wszyscy garną się do niego i opuszczają twierdzę. Nieprzyjaciel jednak już czekał na nich; powstaje walka, w której mimo nadludzkiego mę-

stwa giną wszyscy; jedyny Czertomir zdołał się przebić przez wrogów.

Na tem tle kreśli poeta następujący obraz. Wspaniale wschodzi słońce nad jeziorem bochińskiem; wokoło cicho i jasno, tylko cień jakiś porusza się nad brzegiem przezroczystej wody. To Czertomir. Posępnem okiem spogląda w nurty jeziora, w którychby pragnął zakończyć życie. Od tego kroku powstrzymuje go wspomnienie dawnych chwil. Oto tam, na środku jeziora jest wysepka, a na niej obraz bogini Żywy, strzeżony przez starca, kapłana Starosława i córkę jego Bogomiłę, prawie równie piękną, jak sama bogini. Raz zawiózł tam ofiary, spotkał jej wzrok, pokochał ją i pozyskał jej serce. Lecz nie był to czas na miłosne gruchania. Zabrzmiały surmy, kraj stanął w ogniu, świątynie bogów niszczył wróg. Poszedł walczyć za krzywdy narodu; walczył mężnie, ale walczył daremnie. I oto stoi teraz nad brzegiem znanego sobie jeziora, niedaleko od swej lubej; jeszcze raz pragnie ją zobaczyć. Klasnął w dłonie, a stary znajomy rybak zjawia się z łodzią. Nie wiezie go jednak na wysepkę, lecz kryje w zaroślach nadbrzeżnych, a sam z pierścieniem Czertomira jedzie po skarby jego do Starosława. Na drugi dzień wraca rybak, a z nim Bogomiła i jakiś starzec w ubraniu księdza katolickiego. Czertomir śpieszy powitać narzeczoną, ale ona przyjmuje go zimno, oświadczając, że jest chrześcijanką. „Po twym odjeździe, rzecze mu, nie znałam spokoju; bałam się o twe życie i byłam blizko rozpaczy. Raz, chcąc się dowiedzieć, czy wnet będzie koniec wojny, poszłam między ludzi; uczył tam mąż bogobojny, którego tu widzisz; mówił, że syn Boży poświęcił się dla ludzi, że Bóg prawdziwy jest bogiem miłości, że wszyscy ludzie są jego dziećmi, że życie ludzkie jest tylko próbą i że w drugiem życiu połączą się ci, którzy się na tej ziemi szczerze kochają. Wracając do domu spotkałam znów tego męża, a on mi powiedział, że sam był dawniej kapłanem pogańskim, że się nawrócił na nową wiarę i przybył do nas głosić słowo boże. Przekonał i nawrócił ojca i mnie. I byłabym szczęśliwa, gdyby nie myśl, że ty możesz poledz, nie poznawszy prawdziwej wiary. Klękałam więc przed obrazem Matki Boskiej i modliłam się o życie twoje". Za Jej to łaską nie poległeś owej strasznej nocy, kiedy obok ciebie zginęli wszyscy. Porzuć więc błędy pogaństwa, aby miłość bez rozłączenia zakwitła nam w niebieskiem życiu". „Nie chciałbym ci odmówić, ale pomyśl, ile krwi przelanej, ile ran zadanych z ręki chrześcijan; czy więc nie czartem ich Bóg, którego ty Bogiem miłości nazywasz?" Gdy mu jednak ksiądz wytłómaczył, że wszystkie okrucieństwa działy się z woli

Walhuna, a nie Boga, przystaje na chrzest; pyta tylko, czy po chrzcie będzie się mógł połączyć z narzeczoną. Wtenczas odpowiada mu Bogomiła, że ślubowała czystość i żoną jego zostać nie może. Zmartwionemu tą wieścią tłómaczy ksiądz, że nie byłoby wojny i tylu wdów, gdyby się on nie był opierał nowej wierze, że powinien to naprawić i sam pozostać bezżennym. Każe mu się wyświęcić na księdza, aby, jak dawniej gubił swych braci, tak teraz ich ratował. Czertomir przyznaje mu słuszność, przyjmuje chrzest w Sawicy, a po kilku latach wyświęca go biskup na księdza.

Główną wadą tego poematu jest brak należytego pogłębienia psychologicznego: zbyt nagle porzuca bohater wiarę ojców. On, wojak, gorliwy obrońca bogów, dowódca hufców, poległych za wiarę ojców, na jedno słowo Bogomiły zapomina o całej swej przeszłości, o krwi przelanej rodaków swych i zmienia wiarę, jak zmieniał zbroję. Dziwi to tem bardziej, że przez chrzest nie tylko, że nie pozyska Bogomiły, lecz przeciwnie na zawsze uniemożliwia spełnienie swych marzeń, bo, jako chrześcijanin, musi uznać i uszanować ślub czystości, który Bogomiła uczyniła, a którego, jako poganin, uznawać nie potrzebował! Darmo pytamy, jaką walkę wewnętrzną przebył, jak się odbywał przewrót ten wielki i ważny w jego duszy. Jeżeli uwzględnimy nadto, że Czertomir jest dzieckiem natury i nerwów zdrowych, nierozstrojonych, że nie jest to przecie romansowy rycerz-trubadur wieków średnich ani nerwowy człowiek nowoczesny, — w dziwnem przedstawia się świetle to szybkie jego nawrócenie.

Dlaczego Czertomir stał się chrześcijaninem, wyjaśnia sam poeta w liście do Czelakowskiego, w którym mówi, że poematem tym pragnie zjednać sobie niełaskawych na siebie księży. Musiał więc z pogańskiego Czertomira zrobić koniecznie chrześcijanina. Uczynił to, ale niezgrabnie. Lepiej uzasadnione jest nawrócenie Bogomiły. Przygnębiona i dręczona niepokojem o ukochanego, szukająca dla niego ratunku znajduje pociechę w słowach starca-kapłana; a pozostając pod ciągłym jego wpływem, miała czas do rozmyślań i porównań religii starej z nową i mogła naturalnie przyjść do przekonania, że jej kamienni bogowie niewiele warci. Lecz niejasną jest rzeczą, skąd Bogomiła wiedziała o owej strasznej nocy i klęsce Słowieńców, skoro Czertomir, wprost z pola walki przybywający, nic jej o tem nie mówił, a nikt inny prędzej od niego do niej przybyć nie mógł.

Do mniejszych już wad należą pewne anachronizmy. Wspomina np. poeta o strzałach ze strzelb („puszic njegowich strela"), których wówczas przecie nie było; nieodpowiednie jest także porównanie Bogomiły z Herą w Abydos, bo nie odpowiada czasowi, w którym odbywa się akcya. Do zalet poematu należy przedewszystkiem wybór wdzięcznego tematu o idei pięknej, plastyka poszczególnych scen i osób oraz piękny, obrazowy język. Poemat ten znalazł przychylne przyjęcie u czytelników.

Zapytajmy się teraz, czy działalność Preszerna wpłynęła na rozkwit literatury słowieńskiej. Twierdzić, że on jeden go wywołał, byłoby przesadą; nie brakło bowiem wówczas potężnych czynników, sprzyjających rozwojowi piśmiennictwa narodowego; były nimi: założenie katedry języka słowieńskiego w Grazu, świetnie rozwijająca się slawistyka, pielęgnowana przez Dobrowskiego, Kopitara, Szafarzyka, znalezienie rękopisów Królodworskiego i Zielonogórskiego, które wprawdzie później okazały się falsyfikatami, ale w swym czasie niezmierne wywarły wrażenie na świat słowiański; wreszcie sława różnych poetów słowiańskich: Mickiewicza, Puszkina, Kollara, Czelakowskiego. Lecz i twórczość Preszerna była także bardzo potężnym czynnikiem. Ona to zapaliła młodzież do poezyi narodowej i wogóle rozbudziła w niej ducha narodowego,—zwłaszcza młodzież, uczęszczająca na uniwersytet w Grazu, wśród której znajdujemy ruchliwego Stanka Wraza i późniejszego slawistę Mikloszicza. Młodzież ta czuła się tak silną i pełną zapału, że zamierzała na wzór „Czbelicy" założyć drugie pismo literackie; myśl ta jednak nie przyszła do skutku. Świadczy to wszakże, że poezye, umieszczane w „Czbelicy", a głównie poezye Preszerna działały pobudzająco na umysły, a tem samem i na ożywienie literatury.

W tym czasie powstała także idea illiryzmu, która popchnęła ludzi do myślenia i pisania i wywołała żywe dysputy. Wobec rodzącego się poczucia słowiańskości u narodów słowiańskich wogóle, a południowo-słowiańskich w szczególności, powstała myśl połączenia szczepów południowo-słowiańskich w jeden organizm państwowy, któremu chciano dać nazwę Illiryi. Obrano tę starą nazwę, aby nikogo nie drażnić: każdy lud czułby się z pewnością urażonym, gdyby chciano mu narzucić imię drugiego narodu. Językiem wspólnym miał być język illirski, to jest mieszanina języków południowo-słowiańskich na podstawie języka chorwackiego. Poczęto w tym języku wydawać nawet pisma, układać gramatyki i słowniki. Starano się naturalnie jednać dla illiryzmu jak najwięcej stronni-

ków. Wśród Słowieńców znalazła myśl ta, powzięta przez Chorwata, Ludwika Gaja, wielu zwolenników; rej wodził Stanko Wraz, który tej idei poświęcił życie i, choć Słowieniec, pisał później tylko po chorwacku.

Jakże zachował się Preszern wobec illiryzmu? Zajął on stanowisko opozycyjne. Obawiał się, aby illiryzm nie zaszkodził rozwijającemu się życiu literackiemu Słowieńców. Nie szczędził nawet wymówek Wrazowi, jak to widać z odpowiedzi Wraza z dnia 15 grudnia roku 1840 (por. Letopis Matice slov. 1875, str. 171). Posunął się nawet tak daleko, że w jednym z epigramatów nazwał Wraza zbiegiem słowieńskim, zarzucając mu niesłusznie chciwość sławy i majątku. Zdanie to podzielili i inni wybitni mężowie w Krainie, skutkiem czego myśl Gaja nie cieszyła się u Słowieńców wziętością. Jak wiadomo, illiryzm w kilka lat później z różnych przyczyn upadł.

Wróćmy do życia poety. Znajdujemy go ciągle jeszcze na skromnem stanowisku koncypienta adwokackiego, które mu ani odpowiedniego utrzymania, ani zapewnienia bytu na starość dać nie mogło. To też smutek wciąż panuje w jego sercu. Dawniej w chwili zniechęcenia wyrzekł słowa: „Wieczorem z przyjaciółmi wypróżniać będę puhary i winem będę odpędzał chmury troski". Słowa te niestety spełnić się miały; począł w kielichu szukać pociechy.

Zmiana w jego życiu nastąpiła dopiero w roku 1846, w którym został nareszcie adwokatem w Kranju (Krainburg). Zadowolony z osiągniętego celu zwrócił się znów do zarzuconej na pewien czas poezyi; zebrał swoje wiersze i ogłosił w zbiorowem wydaniu w roku 1847. Oprócz tego wydał jeszcze kilka wierszy w r. 1848 w piątym tomiku „Czbelicy". Umieścił tam w smętnym tonie pisaną „Zakonnicę", patryotyczny „Toast", satyryczne wierszyki „Święty Senan" i „Niebieska procesya", dalej na motywach ludowych osnutą i uczuciem religijnem tchnącą pieśń „Szmarna góra" (Grossgallenberg — miejsce cudami sławne) i dwa uszczypliwe epigramaty. Wiersze te są daleko słabsze od sonetów; dowodzą jednak, że poeta nie przestawał tworzyć.

Niestety zdrowie jego psuć się poczęło; nawiedziła go wodna puchlina, która przybrała wnet groźne rozmiary. Od listopada 1849 roku nie mógł opuszczać mieszkania. Pomimo trzykrotnej operacyi zmogła go choroba 8 lutego r. 1849.

Wiadomość o śmierci jego przebiegła lotem błyskawicy prowincye słowieńskie, budząc wszędzie smutek i żal szczery za wiel-

kim poetą, który w życiu swem tak mało miał chwił radosnych, a tak dużo smutku i zawodów. Naród chciał mu to wynagrodzić, urządzając wspaniały pogrzeb i stawiając na grobie jego pomnik, na którym bardzo trafnie położono jego własne słowa: „Jedno się tobie życzenie spełniło, że w ziemi rodzinnej ciało twe spoczywa".

Pośmiertną jego spuściznę (niebogatą zresztą) umieszczono w drugiem wydaniu jego poezyi, sporządzonem przez Joz. Jurczicza i Joz. Stritara w roku 1866. W wydaniu tem, niekoniecznie krytycznem, mieszczą się utwory: „Zardzewiała dziewczyna" („Zarjawela deklica"), uszczypliwy wierszyk na stare panny, tłómaczenie „Trzech życzeń" Anastazego Grüna, ładną balladę „Pieśń o zbudowaniu kościoła na Szmarnej górze", trzy nagrobki, dwie zagadki, cztery epigramaty i tłómaczenie „Paryzyny" Byrona. Ostatniego utworu nie powinni byli wydawcy ogłaszać, gdyż może dać złe wyobrażenie o zdolnościach poety. Jest to bowiem pierwszy szkic tłómaczenia, niepoprawiony i niewykończony, którego poeta nie miał zamiaru drukować.

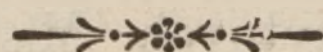
Rzućmy jeszcze raz okiem na twórczość Presznera. Jest to poeta liryczny, bo nawet w „Chrzcie nad Sawicą" jest dużo pierwiastku lirycznego. Niema w poezyi jego gwałtownych uczuć miłosnych, jak w czwartej części „Dziadów" Mickiewicza, choć doznał takiego samego zawodu w miłości; był widocznie innego charakteru i kochał się już w latach późniejszych, dojrzalszych, chłodniejszych; zresztą miał usposobienie zanadto satyryczne, aby swych własnych uczuć nie hamować i nie krytykować. Niema także w jego poezyi tak silnych uczuć patryotycznych, jak u Mickiewicza, co tłómaczy się zapewne brakiem podniety do równie silnych wybuchów. A mimo to nie można mu odmówić głębokiego uczucia. Jego miłość do Primicówny jest prawdziwa i szczera, choć przybiera charakter więcej smętny, niż gwałtowny. Jego miłość ojczyzny i zapał do całej Słowiańszczyzny są równie wielkie i z głębi serca pochodzące, ale poeta marzyć nawet nie mógł o tem, aby ojczyzna jego była zupełnie wolną. Stąd obok oburzania się na istniejący stan rzeczy przebija się u niego pewna rezygnacya i, co najwięcej, słaba tylko nadzieja odmiany stosunków politycznych w dalekiej dopiero przyszłości. Inne uczucia ludzkie, jak poczucie słuszności, krzywdy ludzkiej, osobistego honoru, religijności, są prawe i stałe. Uczciwym był także, jako adwokat: nieczystej sprawy nie przyjmował

nigdy, wolał biedę cierpieć, niż ludzką krzywdą się bogacić. Umarł też biedny; nawet w ostatniej chorobie nie chciał przyjąć wsparcia. I właśnie ta czystość jego w połączeniu z jego działalnością poetycką sprawiły, że naród widział w nim swego przewodnika duchowego, budziciela i krzepiciela dążeń narodowych, wieszcza narodowego, że był mu wdzięczny za wydoskonalenie poezyi i stworzenie języka poetycznego, że otoczył go czcią i uwielbieniem, które nie zmniejszą się nigdy.

Jan Leciejewski.



Z wystawy powszechnej. *)



Lecz wpływ sztuki na przemysł sięga daleko głębiej. Architekci, stawiając nowe zadanie gałęziom przemysłu, związanym z budownictwem, wymagają od niego materyału, którym się posługują dla tworzenia swych dzieł, w innych zaś gałęziach wytwórczości sami artyści stali się wykonawcami, rzemieślnikami i fabrykantami, gdyż istnieją, jak zobaczymy, dzieła sztuki, które mogą być wykonane tylko przy pomocy środków technicznych, jakie daje nowożytny przemysł. Z drugiej znów strony wpływ sztuki dotarł nawet do fabryki, do siedliska wielkiego przemysłu. Jeszcze lat kilkanaście temu mogli poeci używać dla kontrastu przeciwstawienia — przemysł wielki i sztuka; dziś jesteśmy w zaraniu epoki, w której sztuka wywierać zaczyna wpływ na przemysł, staje się jego sojuszniczką, dźwiga go, uszlachetnia. Raczej powiedziećby należało, że sztuka odzyskuje wpływ, który przez czas jakiś utraciła była na różnych polach wytwórczości. Toż wszystkie style mebli np., style w wyrobach złotniczych, w garncarstwie, w odlewach z bronzu i t. p. powstały pod wpływem zmieniających się kierunków w sztuce. Do-

---

*) Ob. „Ateneum", listopad 1900.

piero z zapanowaniem przemysłu maszynowego nastał rozbrat i, zdawałoby się, na zawsze. Fabryka zapanowała nad warsztatem rzemieślniczym, maszyna wyrugowała rzemieślnika, który miewał aspiracye artystyczne; liczono się tylko z produkcyą tanią, bo masową. Dziś rozpoczął się nowy renesans, sztuka nie chce być li tylko czynnikiem odświętnym, wkracza tam, gdzie wyrabiają przedmioty codziennego użycia, chce zdobyć cały świat nowy. Różnica polega na tem, że dawniej wpływ mistrzów był w większości wypadków pośredni, wykwalifikowany rzemieślnik stawał się uczniem artysty, kształcił się na jego wzorach, dziś artysta sam staje przy warsztacie, bierze udział w produkcyi. Wystawa powszechna dała temu wyraz wymowny, i sprawa ta zasługuje na baczną uwagę wszystkich ludzi interesujących się sztuką — z jednej, objawami społeczno-ekonomicznymi — z drugiej strony.

Zacznijmy od mebli. W użyciu dziś są meble najróżnorodniejszych stylów historycznych, przeważają styl Ludwika XIV i XV, styl cesarstwa, restauracyi i t. z. „staro-niemiecki”. Każdy z nich niezawodnie jest piękny, jeżeli zapatrywać się na te wyroby, jak na sprzęty muzeowe, lecz żaden w czystej swej formie nie nadaje się do użytku dla nas, ludzi nowożytnych. Misterne, filigranowe foteliki, stoły i kanapki złocone, z obiciem z białego atłasu, jakie nam pokazywano w Paryżu na wystawie retrospektywnej, są śliczne same przez się. Śliczne były zwłaszcza wtedy, kiedy na tych cackach siadały strojne panie w sukniach bufiastych, o fryzurze misternej, panowie w frakach barwnych, żabotach koronkowych. Ale salon nowożytny, gdzie śród takich mebli obracają się kobiety w sukniach, układanych w zgoła odmiennych, prostych liniach, panowie w czarnych frakach, jest całością nienaturalną, śmieszną, tembardziej, że nikt dziś śród tych sprzętów obracać się nie umie. Gorzej jeszcze, gdy dla zbyt wielkiej niepraktyczności owych złoceń i barw jasnych zastąpiono je barwami ciemnemi, wtedy bowiem w samym sprzęcie kłóci się barwa z formą, z którą niema nic wspólnego. Albo taki „empire”! To było stworzone dla ludzi o gestach szerokich, dla towarzystwa przywykłego do form ceremoniału dziwnego nabożeństwa, im tam snać było dobrze z takimi sprzętami, i nieraz, gdy w starym dworku u nas prababka jakaś opowiada o dawnych „dobrych czasach”, miło widzieć ją w takiem otoczeniu, bo ono z nią, ona z nim harmonizuje, ale nam, ludziom skromnym, nijako w pompatycznem tem otoczeniu. A już szczytem nielogiczności jest zapełnianie mieszkań nowożytnych meblami staro-niemieckimi, które były obliczone na olbrzymie komnaty z niszami i alkierzami i do nich stosowane. A jakże

śmiesznie np. wygląda wielka, masywna, szafa biblioteczna o formach gotyckich, obliczana na to, by w niej stały foliały oprawne w oślą skórę, kiedy umieści w niej człowiek nowożytny swoje ozdobne wydania klasyków w miniaturowej formie i perkalowych oprawach złoconych. Nie mniej też zabawnie wygląda sam właściciel, siedząc w kusej „bonżurce" na fotelu à la Luter przed biurkiem, wyglądającem, jak mała forteca. Gwoli więc stylowi wzięliśmy na siebie komizm i — niewygodę w dodatku, boż niewygodnymi są wszystkie te sprzęty stylowe.

Pierwsi oswobodzili się od tego balastu stylów historycznych ludzie rasy najbardziej rewolucyjnej—anglo-saskiej. W Anglii zaczęto najpierw wyrabiać meble bez stylu. Wpłynęły na to cztery czynniki: wpływ kolonii, gdzie zapoznawano się ze sprzętami zgoła odmiennych form i bez ceremonii wzięto z nich to, co wydawało się praktycznem; powtóre, technika maszynowa, która upraszczała formy przekazane; po trzecie, ogromny gust, jaki posiadają Anglicy, wbrew wszelkim utartym zdaniom, a który pozwolił im zapomocą tej nowej techniki stwarzać sprzęty wytworne; po czwarte, wpływ sztuki japońskiej, która najpierw w Anglii zyskała zwolenników, a swojem zamiłowaniem do linii prostych, a przecież wytwornych nadawała się znakomicie do techniki właśnie maszynowej.

Istniały tedy warunki do stworzenia czegoś nowego: wyrzeczono się starego, dane były czynniki, z których mogło powstać nowe, lecz, aby powstało, trzeba było umysłów twórczych, trzeba było intuicyi artystycznej. Znalazły się! Wielki rewolucyonista w sztuce i w poglądach na sztukę, poeta, marzyciel społeczny i artysta, William Morris, wycisnął piętno swego ducha na nowym kierunku, powstała angielska „sztuka stosowana". Morris, Walter Crane, Rosetti, Brown, Burne Jones poczęli uczyć się zasad stolarstwa, ślusarstwa, garncarstwa, tkactwa, poczęli komponować stoły, krzesła, szafy, łóżka, rysować desenie dla obić i portyer, dla fliz kamiennych, kafli, komponować urny, wazony, talerze, tworzyć kartony do gobelinów, wzory do tkanin. W roku 1863 założyli oni pierwszą „fabrykę artystyczną", a w roku 1878 Morris w epokowem swem dziele *The decorative arts, their relation to moderne life* mógł z dumą donieść o pierwszych zwycięstwach; marzenie stało się faktem. Pierwszych prozelitów zyskali nowatorzy poza oceanem, a dopiero po latach piętnastu zrozumiano ich tendencye na kontynencie Europy, ćwierć wieku zaś minęło, zanim uznano dzieła t. z. „sztuki stosowanej" za godne prezentacyi na wystawach „sztuki prawdziwej". Dziś zaś liczba artystów europejskich, biorących udział w tym no-

wym dziale sztuki, jest już olbrzymią, tak, że możemy wymienić zaledwie matadorów: Gallé, Colonna, Feur, Charpentier we Francyi, Van der Vilde w Belgii, Berlepsch, Eckmann, Erler Pankok, Paul, Obsist w Niemczech, Dijselhof, Cachet, Nieuwenhuis w Holandyi, Hallen w Finlandyi.

A u nas? Rozmawiałem kiedyś w gronie artystów polskich o tej kwestyi, jeden z nich rozstrzygnął ją bezapelacyjnie: „Zachciało się mebli artystycznych? U nas, panie, w salonach mecenasów sztuki wiszą w sutych ramach złoconych oleodruki, o-le-o-dru-ki!... Rozumiesz!" Zrozumiałem.

O „nowym stylu" tych mebli, komponowanych przez artystów, nie może być mowy, tu niema stylu, i nikt też nie dąży do wytworzenia stylu. Ogólne cechy wszakże łatwo dają się uchwycić: 1) Sprzęt, podobnie jak dzieło architektoniczne, powinien działać na oko przeważnie swoją formą, ornament jest tylko dodatkiem i musi nim pozostać, więc wypowiedziano wojnę wszelkim filarkom i kapitelom, gzymsikom, konsolkom, kartuszom. 2) Forma musi stosować się do materyału, formą zasadniczą jest drzewo, należy tedy nie gwałcić tego biednego materyału na tokarni, gdzie wtłaczają go w formy dowolne; robota stolarska, nie tokarska jest podstawą. 3) Ponieważ meble po większej części przedstawiają znaczne płaszczyzny (stół, szafa, etc.), chodzi o ozdobienie samych tych płaszczyzn, i ornamentacya do tego stosować się winna; a zatem obfite stosowanie intarsyi (wykładania różnorodnem drzewem) i snycerstwa wklęsłego, a po zatem okucie metalowe; co zaś do motywów ornamentacyjnych, możliwa prostota i naturalność; fauna i flora swojskie dostarczą ich aż nadto. Przedewszystkiem wszakże sama już linia działa ornamentacyjnie, czego nauczyli nas Japończycy i wielki dziwak Toroop w swoich obrazach. 4) Niewolno fałszować! Gips pozłocony, robiący z drzewa złoto, lakier, nadający sosnowej desce pozory dębowej lub świerkowej pozory orzechowej, różne „furniery" nalepiane są oczywiście wykluczone. Nie stać cię na mahoń masywny, weź sosninę poczciwą, może być również piękną, jeżeli wynajdziesz dla niej odpowiedni ornament lub kształt. 5) Charakter naszych mieszkań i tryb życia, a poczęści upodobania wymagają sprzętów o rozmiarach nie mamutowych, lecz skromnych, sprzętów lekkich, łatwo przenośnych. 6) Ponieważ technika pozwala na nadanie materyałom, obiciom, tkaninom, taflom etc. barw trwałych, a łagodnych, można sobie pozwolić łatwo na dostrojenie całego urządzenia pokoju do pewnej skali barw.

Przyjrzymy się teraz, co w takich meblach nowożytnych dała wystawa.

Dział meblowy francuski jest zatrważająco obszerny, lecz 99% zajęły meble „stylowe”. Przepych rzeczywisty i blichtr łączą się, by wytworzyć całość oślepiającą. Przytem paryska robota stolarska, a bardziej jeszcze tapicerska jest znaną, jako wyborowa, i znanym też gust paryski. Jeżeli więc wszystkie te gotyki, renesansy, Louis XVI, empiry nudzą, to winą już tylko nasze wymagania. Kierunek nowy skromne zajął miejsce. Przedsiębiorstwo. *L'art nouveau*, na którego czele stoi S. Bing, główny propagator tego kierunku, wystawiło cały szereg pokoi, do których pomysłów dostarczyli artyści pierwszorzędni. Jest tam pomiędzy innemi ubieralnia według kompozycyi Feurra: meble z drzewa jesionowego w naturalnym kolorze, o nader wykwintnych prostych formach, z obiciami metalowemi, wprost genialne stosowanemi; obicia sukienne o barwie łagodnie rezedowej, ozdobione wykwintnym a nader dyskretnym taflowanym wzorem o wielkich liniach. Jest jadalnia kompozycyi Gaillarda z meblami o formach wielkolinijnych, liniom zaś tym odpowiada dekoracyjne malowanie ścienne. Korporacya artystów *Union des arts décoratifs* urządziła cały pawilon, wzniesiony ciesielską robotą, pozornie grubą i prostą, lecz całe belkowanie zdobne jest śliczną ornamentyką. W pawilonie tym urządzono kilka pokoi. Wybierzmy np. pokój kąpielowy. Co tam można pokazać nowego? a przecież pokazano! Cały koloryt utrzymany w świeżym, zielonawo-szarym tonie, meble bajecznie proste, a przecież wzorowo zastosowane do celu, jakby zapraszają do użytku. Arcydzieło prawdziwe wystawił Gallé: są tu etażerki, szafki i stoliki o nader wdzięcznych formach, wszystko lekkie, proste, o liniach oryginalnych, często asymetrycznych, lecz uwagę przykuwa przedewszystkiem ornamentyka: Gallé jest naturalistą konsekwentnym, za ornament służą mu kwiaty, liście, łodygi takie, jakie widzimy codzień, całe mistrzowstwo wszakże polega jednakże na tem, jak artysta skomponował z tych motywów ornament, zastosowany do wymagań techniki intarsyjnej; zostało tu użytych conajmniej trzydzieści gatunków drzewa, a całość układa się w niezmiernie harmonijną gamę łagodnych barw. Lecz nasz realista jest zarazem poetą, i ze zdziwieniem spostrzegamy na tafli stołu linie, które, zbiegając się, tworzą litery, a litery układają się w cytatę z wiersza Valmore'a: „Parle moi doucement; sans voix parle à mon âme”.

To są przedmioty zbytku; każdy stolik Gallé'na kosztuje kilkaset franków, gdyż trzeba tu opłacić i pracę artysty, i pracę wyko-

nawcy stolarza nader żmudną. W każdym wszakże razie ceny są tu nizkie w porównaniu z tem, co żądają i otrzymują za owe meble stylowe, gdzie chodzi przedewszystkiem o drogocenny materyał. Widzieliśmy np. umeblowanie pokoju bibliotecznego z mahoniu z wspaniałemi ozdobami ze złoconego bronzu, który miał kosztować 600,000 franków! Lecz jedna z firm francuskich wystawiła też meble nowożytne, komponowane bardzo artystycznie i odrobione bardzo starannie, a przecież kosztujące nie więcej, jak przeciętnie kosztuje pospolity wyrób fabryczny, jeżeli ma być jako tako solidny. Więcej nawet; w Vincennes wystawiono domki dla robotników fabrycznych, w jednym z tych domów umieszczono meble tego rodzaju, nader artystyczną tworzące całość, a przecież w cenie odpowiadające sumie, jaką wydaje dobrze płatny robotnik francuski za swoje umeblowanie.

Angielski dział był bardzo skromnym co do ilości eksponatów, jak wogóle Anglia była reprezentowaną słabo na wystawie. To, co wystawiono, pouczało ponownie, do jakiego stopnia sprzęty, a przedewszystkiem meble drewniane mogą obyć się bez ornamentacyi, jeżeli tylko całość, jest gustowną, przedewszystkiem zaś w dziale tym panowała — logika. Zapamiętaliśmy np. jedną sypialnię: meble jesionowe, całość utrzymana w miłym szarawo-żółtym kolorze tego drzewa; sprzętów bardzo niewiele — łóżko, fotel, krzesła, stolik, szafa, wszystkie o liniach prostych, wszystkie zdumiewająco lekkie, można je przesuwać bez najmniejszego wysiłku; ogólne wrażenie nader miłe Dlaczego artysta nadał taki właśnie charakter całemu intérieur? Bardzo proste: sypialnia nie jest na pokaz, nie chcemy też w niej bawić oka własnego, to miejsce spoczynku, więc trzeba tu sprzętów o formie spokojnej, ogólne wrażenia mają być łagodne. Poza tem należy się liczyć z hygieną, hygiena zaś przedewszystkiem dla sypialni przepisuje *maximum* powietrza, *minimum* kurzu. A więc grzechem śmiertelnym przeciw hygienie są wszelakie kotary, baldachimy, nonsensem są ogromne szafy i wogóle ciężkie sprzęty, które wprost uniemożliwiają zachowanie tej absolutnej czystości, jaka tu panować powinna. Nałożył więc artysta cugle swej pomysłowości w tworzeniu „sutych” okazów i postarał się tylko, by estetyka nie została poszkodowaną na korzyść całości, albo raczej: postarał sie wynaleźć takie formy estetyczne, które są w zgodzie z celem.

Tego umiarkowania, podporządkowania się celowi mniej daleko w dziale mebli niemieckich. Walcząc o prawo bytu, artyści niemieccy chcą przedewszystkiem imponować, pragną też być orygi-

nalni i *coûte que coûte* unikają form podobnych do angielskich i francusko-belgijskich. To też pomysłowości tu ogromnie dużo, lecz całość wychodzi ani zastosowana do celu, ani rzeczywiście piękna, przedewszystkiem zaś cechą tych wyrobów jest brak zachowania miary, wybujałość jakaś, której nigdy nie dopuszczą się wytrawni artyści angielscy i francuscy. Jest np. na wystawie fumoir Pankoka; linie sklepionego z lekka sufitu doskonale harmonizują z liniami taflowania drewnianego, pokrywającego ściany, odrzwia prześliczne, lecz wszystko ciężkie, brak tu powietrza, a przedewszystkiem należałoby wyrzec się w zwykłym pokoju połowy miejsca, chcąc udekorować go w ten sposób. Dlaczego Bruno Paul pokój myśliwski udekorował czarno, niewiadomo; fryz z mozaiki drzewnej jest nieproporcyonalny; meble rozłożyste w śmiałych liniach wcale piękne, ale znów dlaczego tak ogromne, na olbrzymów jakichś obliczone?

Najwięcej zbliżone do wzorów angielskich są meble holenderskie, duńskie i finlandzkie, lecz każde mają swoją odrębność. W Holandyi np. Dijssenhof zastosował po mistrzowsku ornament linijny; znać tu wpływ Toroopa. Duńskie znów pociągają wytwornością szerokich linii w konturach i doborem kolorów. Hallen wystawił w pawilonie finlandzkim nie tylko piękne meble, ale umiał nadać całości niezmiernie charakterystyczną formę.

Odmienny znów charakter mają meble „secesyonistów" wiedeńskich. Nie bez słuszności zachwalają Wiedeńczyków, jako jedynych Niemców, posiadających wytworność; ta wytworność okazuje się też w tej dziedzinie. Tak np. witryny w oddziale austryackim są prawdziwemi pieścidełkami; rama drewniana, w którą wprawiono szyby, układa się w lekko falistą, piękną linię. Meble same, a nadewszystko całe *intérieurs*, jakich urządzono kilka, szafując hojnie miejscem, są nadto — „wiedeńskie", nadto efekciarskie, nadto mieszczańskie; tchną parweniuszem.

W dziale austryackim wystawiło też Zakopane szafy i tafle ścienne, o znanych motywach zakopiańskich, we wklęsłorzeźbie. Byłyby wcale piękne, gdyby nie zgoła zbyteczne złocenie, nadające im jakiś charakter bizantyński, którego z natury rzeczy ten jędrny styl posiadać nie powinien. Wystawiono tam też wcale piękne rzeźby drzewne (szczególnie jeden juhas jest znakomity), które nie tylko wytrzymują śmiało porównanie z wystawionemi rzeźbami szwajcarskiemi (Bern), lecz przewyższają je stanowczo; tam bowiem zapanował już szablon, tu czuć świeżość i żywotność.

Ciekawem jest, że nawet fabryki mebli giętych w Wiedniu, jak wiadomo, cieszące się ogromną renomą i zalewające zarówno

Austryę, jak inne kraje swoim wyrobem, niezawahały się wkroczyć na nowe tory, posługując się wzorami artystycznymi. W rzeczy samej ten rodzaj wyrobu nadaje się doskonale do stosowania śmiałych linii modernistów. Tu już wyrób czysto maszynowy zostaje uszlachetnionym dzięki wysiłkom artystów.

Od mebli przejdźmy do wyrobów ceramicznych i szklannych. A więc najprzód — porcelana. Jak wiadomo, wyrób porcelany w wieku ubiegłym stał się przedmiotem specyalnych zabiegów. Od kiedy alchemik drezdeński, J. F. Böttger odkrył w kaolinie materyał, umożliwiający wyroby, dorównywające chińskim, każde państwo i państewko chciało posiadać „manufaktury" tego rodzaju. Powstały tedy fabryki królewskie w Miśni, w Sèvres, w Kopenhadze i Nymptenburgu i Berlinie, dotąd istniejące. (Jak wiadomo, i u nas powstały w tym czasie: fabryka królewska fajansu w Belwederze i fabryka porcelany Czartoryskich w Korcu, którym wszakże sądzonym był krótki żywot). Artystyczny ruch wówczas był nader żywym, i wyroby te rzeczywiście stanowiły czynnik artystyczny. Lecz już na początku wieku bieżącego zainteresowanie poczyna słabnąć, i do niedawna tylko szczupłe grona miłośników interesowały się porcelaną, a przytem ci amatorzy kierowali się przeważnie względami archeologicznymi lub uganiali się za rzadkościami, zwracając więcej uwagi na „markę", niż piękno okazu; poza tem kupowano porcelanę, ponieważ należało to do dobrego tonu, zastawa porcelanowa świadczyła o zamożności; prawdziwie artystyczne zainteresowanie osłabło zupełnie. Nic w tem zresztą dziwnego: „manufaktury" sławne wkrótce ugrzęzły w szablonie; zakwitłszy w czasie, kiedy styl rokokowy panował niepodzielnie, uprawiały go aż do znudzenia; to też filigranowe figurki z Miśni, „biscuitowe" statuetki z Sèvres lub wielkie wazony pompatyczne mogą być przedmiotem pożądań dla zbieracza, rarytasem, którym popisuje się bogacz, lecz ze sztuką prawdziwą prawie nic już nie mają wspólnego. Na domiar złego malowanie na porcelanie stało się wskutek ogromnego ułatwienia techniki polem popisów dla dyletantyzujących pań, a owe wszelkie manufaktury pod względem malowidła popadły w gorszy jeszcze szablon, niż pod względem form, i doszło do tego, że malowidła porcelanowe u ludzi wymagających stały się niemal synonimem złego smaku.

Kiedy w roku 1860 Francuzi i Anglicy zrabowali pałac cesarski w Pekinie, napłynęło do Europy sporo okazów starożytnych wyrobów chińskich prawdziwie pięknych, lecz nie wpłynęło to na produkcyę europejską, rutyna nie została naruszoną. Zaledwie techni-

czne trudności zainteresowały specyalistów, a owocem tego zainteresowania było wprowadzenie t. z. *pâte sur pâte*, t. j. techniki, polegającej na tem, że ornament zostaje nałożony białą masą na ciemne tło, a przy wypalaniu biały relief stapia się tak, że przezeń prześwieca polewa ciemna. Dopiero kiedy wskutek przewrotów politycznych Japonia stała się dostępną dla Europejczyków i poczęto zwozić stamtąd wzory, świat artystyczny zainteresował się też znów do żywego porcelaną.

Na tegorocznej wystawie tedy przedewszystkiem Japonia dominowała w dziale ceramicznym. I w rzeczy samej trudno wyobrazić sobie rzeczy piękniejsze od tych porcelanowych płyt japońskich. Są one w rysunku i kolorycie tak bajecznie subtelne, tak bawią oko skończoną harmonią, że trudno oderwać się od nich. Przytem są one żywą demonstracyą zasady ogólnej, że tylko technika, stosująca się konsekwentnie do wymagań materyału, może doprowadzić do rezultatów artystycznych. W Europie bowiem uproszczono sobie zadanie: maluje się na porcelanie barwnikami, składającymi się z tlenków metalicznych i topnika; z tych tlenków tylko niektóre wytrzymnją wielką temperaturę i mogą być wypalane wraz z polewą (farby ogniowe, *au grand feu*, *Scharffeuerfarben*), większość może być nakładaną tylko na polewę, po wypaleniu pierwszem, poczem porcelana ulega powtórnemu wypalaniu w muflach (farby muflowe). Pierwszy sposób jest daleko trudniejszy, niż drugi, a przytem ten ostatni pozwala nadawać barwy dowolne, i przeto dyletantyzm wyprawiał tu harce najokropniejsze, maltretując biedny materyał. Artyści japońscy gardzą takim dyletantyzmem, używają tylko farb ogniowych. Za to barwnik stapia się doskonale u nich z materyałem; zielonkawe, sinawe, fioletowe barwy, których używają, harmonizują w sposób niezrównany z białością kaolinu, kontury nabierają niewymownej miękkości. Dodajmy, że artyści japońscy są realistami *par excellence*, lecz nie w znaczeniu banalnem, ale artystycznem. Zapożyczając motywy z natury, tak zżyli się z tą naturą, tak umieli podsłuchać najsubtelniejsze jej szepty, że, malując krajobrazy, rośliny lub zwierzęta, zawsze umieją nadać dziełu swemu to, co nazywamy „nastrojem". To też nastrojowemi są te ich malowidła porcelanowe w ogromnym stopniu, a nastroju nie może być tam, gdzie niema dzieła prawdziwej sztuki.

Wobec tych świetnych wzorów giną wyroby europejskie, wydają się brutalnymi i dyletanckimi. Wyjątek stanowią li tylko porcelany duńskie, zwłaszcza manufaktury królewskiej w Kopenhadze. Tam już oddawna poczęto naśladować wzory japońskie, powrócono

do solidnej techniki, lecz zarazem też zwrócono się—to zawsze powtarza się i powtarzać się musi przy „odrodzeniu" każdej gałęzi sztuki — do wzorów w naturze. Mamy więc w tych wyrobach ową subtelność barw i konturów wzorów japońskich, lecz formy samych naczyń, urn, wazonów i t. p. odpowiadeją naszym gustom, a motywy, zaczerpnięte z naszej fauny i flory, sprawiają, że nastrój przemawia więcej do nas. Malarze, jak Ussing, Martens, Host i rzeźbiarz Liisberg tworzą dziś arcydzieła w manufakturze królewskiej, znany, jako malarz i rzeźbiarz, Willamsen kieruje fabryką prywatną.

W Miśni, Sèvres, Berlinie dotąd panuje szablon i rutyna. Czynią i tam nieśmiałe kroki przystosowania się do nowych wymagań, lecz nie znać tu nigdzie indywidualności artystycznej.

Lecz nie tylko porcelana zainteresowała owych artystów garncarzy. Niebawem zabrali się do „pośledniejszego" materyału, do gliny, gris'u, (czyli „szteingutu"), majoliki; odżyły tradycye Lucca de la Robbia, Pallisy'ego, Wegwood'a. Najpierw pociągnęła rzeźbiarzy pokusa posługiwania się tym materyałem podatnym dla formy, potem zainteresowały ich problematy glazury. Widzieliśmy tedy na wystawie urny szteingutowe i wazony Dalpayrata o wykwintnych formach, o lśniących barwach krwistych i ciemno-błękitnych, niezmiernie efektownych, wazony amerykańskiej fabryki garncarskiej Rookwood Pottery o przepysznych tonach brunatno-złotawych; kafle — zwyczajne kafle do pieca Bigota o niezmiernie dystyngowanych, dyskretnych formach w płaskorzeźbie; a finlandzkie towarzystwo „Iris" wystawiło garnki, zwyczajne garnki, jakie robią garncarze tamtejsi, a podobne widywaliśmy na jarmarkach u nas, tylko te formy zostały nieco uszlachetnione, ornament pogłębiony artystycznie. Trudno byłoby zdecydować, komu oddać pierwszeństwo, wspomnianej firmie amerykańskiej, która swoje wazony sprzedaje po kilka tysięcy franków, czy też tym wyrobom artysty garncarza finlandzkiego.

Pierwszymi dziś szklarzami na świecie są Gallé Francuz i Tiffany Amerykanin. Od dawien dawna szkło było przedmiotem nie tylko użytku, lecz dekoracyi; świadczą o tem fiole rzymskie, kielichy weneckie, szkła czeskie, kryształy angielskie, a z drugiej strony przepiękne malowidła na szybach okien kościołów średniowiecznych. Właśnie, poszukując sposobów technicznych, pozwalających wytapiać szkła kolorowe tak piękne, jak w oknach z trzynastego wieku, Tiffany po mozolnych poszukiwaniach doszedł do nowych metod wytwarzania szkieł niebywałej dotąd piękności, intensywności, świetności barw i blasków, pysznie opalizujących, iryzujących,

przechodzących jeszcze sławne szkła „awenturyńskie", którymi posługiwali się mistrze weneccy w czasach największego rozkwitu szklarstwa, a których sekret zaginiony został w nowszych czasach wykryty przez Pettenkoffera. Z tych szkieł począł on wyrabiać najpierw okna barwne, potem naczynia, wazony, puhary, a zwłaszcza lampy, którym nadawał nader oryginalne, wysoce artystyczne kształty. Inną znów drogą poszedł Gallé, który wyrabia ze szkieł barwnych naczynia rżnięte i potrafił znów nadać im cudne kształty, porzucając wszelkie formy stylizowane, będące dotąd w użyciu w szklarniach weneckich, czeskich, angielskich. Był to znów powrót ku naturze, posługiwanie się ornamentem, wzorowanym na liściu, łodydze, gałązce, i znów zastosowanie się pod względem barw do warunków materyału. W wazonikach jego barwy stapiają się, tworząc łagodną gamę odcieni. I znów ten „realista" ozdabia swoje wazoniki cytatami z ulubionych swoich poetów: „Pas la couleur rien que la nuance" czytamy cytatę z Verlaina na wazonie w kształcie kalli o tonach różowawych; „dans les solitudes profondes" głosi napis z Baudelaira na wazonie o barwie ciemnozielonej, jak toń wodna i formie kolumny; „Wunderglaube! Blaue Blume" czytamy wiersz Heinego na podstawie, z której wyrasta kwiat o cudnych, mistycznych jakichś kształtach, ciemno-szafirowej lśniącej i opalizującej barwie. Köpping jeszcze inaczej sobie poczyna i pokazał, że „cybuch" szklarza nie tylko może służyć do wyrobu owych sztuczek filigranowych znanych z popisów „wydymaczy", lecz również do tworzenia dzieł sztuki. Kielichy jego, mające najczęściej formę tulipanów i lilii stylizowanych, są niesłychanie misterne i delikatne, boisz się poprostu dmuchnąć na to, by się czasem płatki nie pogięły, nie straciły swej formy pięknej.

I otóż na wystawie nie tylko ci mistrze oraz kilku innych, na których wymienienie miejsca nam już zabrakło, wystawili arcydzieła swojej sztuki, lecz zarazem w wystawach przemysłu garncarskiego i szklanego znać wpływ ogromny, jaki tu sztuka wywarła, znać usiłowania wyjścia z dotychczasowej rutyny, nadawania wyrobom nowych form i barw artystycznych. Zwłaszcza fabryki garncarskie Anglii i Ameryki oraz fabryki szkła czeskie i węgierskie mogły się popisać postępem w tym kierunku.

Jednocześnie też z rozwojem sztuki stosowanej, zwłaszcza w wyrobie mebli odżyły tradycye prastarego kunsztu ślusarskiego. Do mebli artystycznych trzeba bowiem było okuć artystycznych, do lamp Tiffaniego trzeba podstaw z żelaza kutego lub mosiądzu i t. d. I tu więc z jednej strony rzeźbiarze-artyści poczęli kompo-

nować wzory, z drugiej warsztaty i fabryki poczęły korzystać z tych wzorów. Na wystawie roboty ślusarskie były reprezentowane wspaniale, lecz na największą uwagę zasługuje, z jaką umiejętnością zastosowano zasady nowej sztuki dekoracyjnej, wyrzekając się dawnych stylów, które i tu panowały do niedawna, do celów, jakie stawia praktyka. Oczywistem jest np., że świecznik, przeznaczony do elektrycznych lamp żarowych, nie może być w żadnym razie wyrabiany według wzorów dawnej sztuki ślusarskiej, posługugującej się liniami splątanemi rokokowemi lub nawet motywami gotyku: byłby to śmieszny archaizm; przy zastosowaniu zaś nowej, szerokolinijnej ornamentyki tego rodzaju świeczniki są pełne powabu i wdzięku.

Odlew z bronzu i wyrób złotniczy pozostawał zawsze w ścisłym związku ze sztuką, lecz z biegiem czasu wyrób fabryczny, obliczony na gusta pospolite, począł zalewać rynki. Statuetki z bronzu, sprzedawane w sklepach galanteryjnych, doszły do okropnej wprost banalności, zapanował jakiś bezmyślny, trywialny realizm, okropne są owe pieski, koniki, jelenie, wykonane w najlepszym razie ze ścisłością zoologiczną, okropni również owi rycerze, lancknechci, górale, chłopi w strojach narodowych, a już bezsmak absolutny zapanował w wyrobie różnych ozdóbek, wazoników, kałamarzy, przycisków, puzderek i t. p. Czem zaś może być bronzowa statueta, jak można ozdobić każdy przedmiot, poczynając od miski lub rękojeści noża, kończąc na kadzielnicy, o tem pouczyli nas — znów Japończycy. W pawilonie cesarskim na Trocadero wystawiono arcydzieła tego rodzaju starożytne, każdy przedmiot tam jest arcydziełem. Lecz i w dziale ogólnym, na esplanadzie Inwalidów, gdzie wystawiono wyroby nowożytne, bronzy japońskie górują nad innymi. Cechuje je realizm, pojęty artystycznie. Czy to będzie statuetka, wyobrażająca człowieka, czy żórawia, kuropatwę, tygrysa, zawsze ma ona ogromnie dużo wyrazu, podchwytuje pozę i wyraz charakterystyczny: nie mówiąc już o tem, że odlew technicznie jest wykonany bez zarzutu. Wzory te zresztą były znane oddawna, tak samo, jak wzory indyjskie, lecz cóż z nich zrobili rutyniści, modelarze naszych fabryk? Naśladowali niewolniczo wzór, wybierając okazy najbardziej rażące — np. statuetki buddy, smoki dziwaczne, pagody—i to uchodziło za „japońszczyznę”, a było nie mniej banalne, jak motywy swojskie, odebrano bowiem wzorom charakter, wygładzono, wylizano. Trzeba dopiero, aby do dzieła zebrali się artyści, którzy nie małpowali wzorów, lecz zgłębili ich zasady artystyczne, a poczęli tworzyć według własnej indywidualności. Taki

Charpentier, Du Bois, Valgren we Francyi, Bayes, Frampton, Swan w Anglii pokazali drogę, tworząc statuetki, plankiety, kałamarze, stosując do ornamentu wzory, czerpane z natury, a przedewszystkiem ornament nad ornamentami: linie ciała ludzkiego, akt.

I oto artyści ci, co uznali, że nie tylko w tworzeniu posągów monumentalnych rzeźbiarz może być wielkim, mogli z dumą skonstatować na obecnej wystawie, że praca ich nie poszła na marne. Przeważa jeszcze śród ogromnej masy nagromadzonych tu okazów stara rutyna, lecz przecież znać już wpływ sztuki, znać rozbudzenie aspiracyi artystycznych, znać wyłom, uczyniony w przesądach, każących dopatrywać się piękna li tylko w wyrobach z czasów ubiegłych i na nich wzorować się.

Rzućmy nareszcie okiem na wystawę tkanin i złączoną z nią wystawę gobelinów, dywanów, koronek i t. p. Utarty pogląd głosi, że nigdy nie dorównano już i nie dorównamy w przyszłości gobelinom szesnastego wieku; stało się to dogmatem, a przecież jest nieprawdą! Oglądaliśmy, co może być najpiękniejszego w starych gobelinach, mianowicie gobeliny flamandzkie, i to kilka arcydzieł. Wystawili bowiem Hiszpanie w swoim pawilonie gobeliny, przechowywawane w Madrycie, w zbiorach królewskich. Jest tam kilka sztuk, które tak lubił Karol I, że w podróżach bezustannych woził je zawsze z sobą i — są piękne, piękniejsze daleko od sławnych kopii z kartonów Rafaela w muzeum berlińskiem, słowem arcydzieła. Lecz przecież te dywany tkane grzeszą wszystkie bez wyjątku przeciw zasadniczemu postulatowi sztuki — są w rozterce z materyałem, z techniką. To są obrazy tkaniny, tkane kopie obrazów malowanych, a żadne krośna nie mogą odtwarzać tego, co zostało wykonane pędzlem; przedewszystkiem zawsze będzie gobelinowi brak plastyczności, jaką obraz mieć musi, a stąd następuje rozdźwięk. Poznali to już przed laty trzydziestu Morris i Burne Jones w Anglii, Machard i Mazerolle we Francyi. Zmienili więc zasadę, i nie tkacz ma silić się na oddanie malowidła, co mu się nie uda, udać nie może, lecz malarz powinien dostarczyć tkaczowi kartonów takich, aby wyzyskać wszystkie zalety techniki; karton zatem powinien posiadać możliwie proste kontury w rysunku, barwy tak dobrane, aby farbiarz prędzej mógł się do nich zastosować, a przedewszystkiem karton musi wyrzec się wypukłości przedmiotów odtwarzanych. Według tych zasad zostały stworzone gobeliny Burne Jones'a, wystawione w pawilonie angielskim, o których wspominaliśmy, przedstawiające podanie o świętym Graalu. Wszystko tu jakieś bezcielesne, rycerze, dziewice, konie — to widma, schemy,

i wszystko w kolorach nikłych, ledwie zaznacza się kontur. Ale to właśnie tak bardzo czyni ponętnemi te dzieła, sprawia, że od nich wieje spokojem, baśnią z czasów zamierzchłych. Dawno przed nami ten sekret gobelinu odkryli — znów Japończycy! Na wystawie jest kilkanaście gobelinów jedwabnych z warsztatów japońskich dziwnie pięknych co do koloru i rysunku; są tam np. krajobrazy, pomimo braku perspektywy i plastyczności piękne harmonią dziwną łagodnych barw i nikłych linii.

Lecz nie zatrzymała się tu sztuka, spostponowała się do tego stopnia, że artyści dziś komponują wzory dla tkanin, nie tylko dla jedwabiów, coby jeszcze uszło, lecz nawet dla pospolitych, marnych „cyców", dla wełnianych i bawełnianych tkanin, służących do obić i mebli. Musieli to uczynić, skoro chcieli tworzyć meble w swoim guście, a już potem fabrykanci skorzystali z nauczki i zamiast rutynistów, kombinujących przestarzałe kwiatki i ornamenciki, poprosili o wzory artystów, którzy rzucili im pełną garścią wykwintne ornamenty, zdumiewające linią, zarówno jak barwą. Dzięki temu na wystawie obecnej np. tkaniny jedwabne Francyi o całe niebo stały wyżej pod względem wzorów od niemieckich i szwajcarskich i dorównywały niemal japońskim. Te ostatnie bowiem znów prym trzymają co do subtelności tonów w farbach i piękności deseniu dla tej prostej przyczyny, że w Japonii od dawien dawna wzory dla tkalni są dziełem artystów.

Szeroką tedy ławą wtargnęła sztuka w dziedzinę wytwarzania, i największą może zasługą wystawy powszechnej w XIX w. jest zadokumentowanie tego faktu. Jeden z publicystów naszych, mówiąc o Ruskinie[1]), powiada, że „tryumfy Anglii kupieckiej, zdobyte na wystawie 1851 roku, budzą w nim wstręt"; gdyby wielki filozof estetyki mógł oglądać to, co dała wystawa 1900 roku, ujrzałby tryumfy, nie „kupieckie", lecz tryumfy swoje własne poniekąd. Lecz na innej drodze, jak ta, która zarysowała się w majaczeniach jego socyologicznych, zostały osiągnięte te tryumfy; nie przez zwrot do dawnej i niepowrotnie pogrzebanej przeszłości ludzkość zdobywa sobie na nowo błogosławieństwa, jakie daje sztuka, lecz idąc naprzód. Owa maszyna, w oczach Ruskina — potwór, jedno ze źródeł zła, staje się czynnikiem sztuki; wielki przemysł, owo „piekło kupieckie", ulega wpływom

---

[1]) S. Posner „John Ruskin" — „Prawda" za rok bieżący № 4.

sztuki! W rzeczy samej: te tryumfy, jakie budownictwo odnosi na ostatniej wystawie, zawdzięcza technice — metalurgii, ceramice, sztuka stosowana posługuje się fabryką chemiczną i maszyną! Tiffany pokonał trudności, zdobył materyał dla swoich szkieł, ponieważ jest chemikiem, Gallé może tworzyć swoje stoliki — poematy, ponieważ maszyna pozwala mu na takie obrobienie deski drewnianej, o jakiem przy narzędziach pierwotnych nie byłoby mowy; meble nowożytne byłyby niemożliwe do wykonania bez pomocy maszyn. Ci, co po stosowanej sztuce spodziewają się odrodzenia rzemiosła, mylą się: „Przeżytej formy żaden cud nie wskrzesi do istnienia'" Sztuka stosowana nowożytna to tryumf sztuki nad maszyną, nad przemysłem wielkim, którym każe ona sobie służyć, a tem samem jest to tryumf ludzkości nad maszyną. Przemysł maszynowy zabił piękno, powiada słusznie Ruskin, a Ruskin socyolog dodaje: ten przemysł maszynowy sprawił również, że dziś wszyscy stali się automatami, kalekami intelektualnymi, z których każdy jest „specyalistą", spełnia ułamkowe jakieś funkcye, nikt albo prawie nikt nie ma możności zostać członkiem, indywidualnością, w pełni rozwijającą zasady intelektualne i fizyczne. A stąd konkluzya: wielkich mas nikt nie uratuje, udziałem ich jest pozostać niewolnikami tej maszyny, skoro ona stała się niezbędną, lecz trzeba szukać przynajmniej środków dla uratowania wybranych, trzeba im przynajmniej dać możność być ludźmi. Inaczej rozumował William Morris i jego zwolennicy: maszyna panuje nad nami, rozwój kapitalistyczny sprawił, że narzędzie zapanowało nad nami dzięki warunkom społecznym, trzeba, abyśmy zapanowali nad maszyną, ujarzmili ją z powrotem przez zmianę form społecznych. Gdy ludzkość stworzy sobie miliony niewolników spiżowych, ujarzmi wszystkie siły przyrody, wtedy nastanie czas, kiedy człowiek każdy bez wyjątku będzie miał prawo być człowiekiem, rozwijać wszystkie swoje zdolności, a wtedy również instynkt piękna, który żyje w każdym z nas, odezwie się w całej pełni; dziś chodzi o to, by ten instynkt nie zamarł do szczętu, chodzi o to, by sztuka przestała być zbytkiem, by stała się udziałem powszechnym, by stała się czynnikiem w naszem życiu codziennem, wtargnęła do wszystkich dziedzin życia prywatnego i społecznego. Człowiek przyszłości, zwycięzca w walce o byt, w walce nie ze swoim bliźnim, lecz z naturą, wszędzie otoczy się pięknem, a piękno to najważniejszy czynnik moralny, ono udoskonala, uszlachetnia, podnosi. I oto dziś świadomi i nieświadomi apostołowie idei Morrisa, cała ta falanga

artystów, co stworzyli nowożytną sztukę stosowaną, zdobyli pierwszą placówkę, dowiedli czynem, że w nowożytnej formie życia społecznego są zadatki do urzeczywistnienia tego, o czem marzył wielki artysta, poeta i myśliciel. Stąd do urzeczywistnienia ideału droga jeszcze daleka, nieprzejrzana, ciernista, uciążliwa... Ale śród mnogich drogowskazów i ten jeden nam miły, a smutno tylko, że go wznosili sami obcy, smutno, że ten nowy ożywczy prąd sztuki nowożytnej pobudził do pracy ludzi gdzieś w Ameryce, w Anglii, Francyi, Skandynawii, w Niemczech, a u nas głucho i ciemno...

... Jednak wierzę,
Że ludy płyną, jak łańcuch żórawi,
W postęp...

J. B. Marchlewski.



Faza teokratyczna w ewolucyi przestępstwa.[1]

Przestępstwo z punktu widzenia socyologicznego jest to działanie lub zaniechanie, dokonane przez członka danej grupy społecznej, a uznane przez innych członków tej samej grupy za tak szkodliwe, że zniewoleni są do reakcyi przeciw sprawcy, reakcyi publicznej, zewnętrznej i wspólnej. Przestępstwo zjawia się w każdej grupie społecznej od najpierwotniejszych aż do wielkich związków państwo-

[1] Źródła. *Waitz*, Anthropologie der Naturvölker. — *Steinmetz*, Strafe. — *Fustel de Coulanges*, La Cité.—*Lippert*, Priesterthum.—*Peshel*, Völkerkunde.—*Tylor*, Einleitung.—*Burton*, Voyage.—*Bastian*, Oceanien.—Zeitschrift für Ethn. — *Brown*, N. Zealand.—*Featherman*, Oceano-Melan.—*Ellis*, Polinesian researches. — *Sarasin*, Die Weddas.—*Schneider*, D. austr. Eingeb.—*Landor*, The Bushman. —*Marillier*, Survivance. — *Bastian*, Geogr. u. ethn. Bilder.— *Woods*, The native tribes. — *Bastian*, Reisen.—*Grey*, Journals.—*Caudelier*, Riokacha.— *Williams*, Fiji.—*Achelis*, Völkerkunde.—*Ratzel*, Völkerkunde.—*Letourneau*, Justice. — *Kubary*, D. soc. Einricht. der Pelauer.—*Mayer*, D. Rechte der Israeliten. — *Martins*, Rechtzustand. — *Bastian*, Hawaii.—*Clavel*, Les Marquisiens.— *Wilda*, D. Strfr. der Germ.—*Radiguet*, Les derniers sauvages. — *Guppy*, Salomon - Islands. — *Mommsen*, Röm. Gesch. — *Mommsen*. Staatsrecht. — *Mathias*, Gr. Lettres. — *Wilkinson*, Manners. — *Prescott*, Peru. — *Zimmer*, Altindisches Leben.—*Marsden*, Hist. de Sumatra.*Jireček*, D. Recht in Böhmen.—*Richthofen*, Lex Sax.—*Bastian*, Allg. Grunzüge.—*Hollub*, Sieben Jahre.—*Bastian*, Rechtsverhältnisse.—*Fuchs*, Societé nouvelle. — *Schroeder*, Linguist. hist. Forschung.—Zeitschrift für Völkerpsych.—*Müller*, Dorier.—*Dareste*, Etudes.—*Leist*, G. I. R. G.—*Kohler*, Studien.—*Guillet Desgrois*, Etude sur le droit hindou.

wych: w miarę kultury i budowy związku samego zmienia też swe cechy zewnętrzne, wszędzie i zawsze jest niejako negatywnem odbiciem współczesnych poglądów na stosunek dobrego i złego.

W ewolucyi przestępstwa spostrzegamy trzy główne fazy: w pierwszej, najpierwotniejszej, przestępstwo jest naruszeniem praw silniejszego; siłę tę przedstawia najczęściej liczba — większość, często wybitna indywidualność, która dzięki swej sile fizycznej lub moralnej rządzi daną grupą społeczną; w drugiej pojęcie czynu społecznie szkodliwego jest identycznem z czynem bezbożnym — przestępstwo jest obrazą bóstwa; w trzeciej wytwarza się świadomość, że istotą przestępstwa jest jego szkodliwość dla grupy społecznej, jako takiej, wpływ wybitnych jednostek znika lub ogranicza się do *minimum*, uznanego przez całą grupę, i pojęcie zbrodni nabiera charakteru świeckiego, grzech i przestępstwo często się pokrywają, lecz również często się rozchodzą.

Zajmiemy się drugą fazą, jako tą, która dla rozwoju społecznego jest najbardziej interesującą.

Religia i mitologia ludów pierwotnych jest dla socyologa i etnologa skarbnicą nieocenionego materyału; w tem, co bogowie dozwalają, co sami czynią, spostrzegamy odbicie pojęć społeczeństwa o tem, co jest moralnem i społecznie użytecznem; w razie czynu społecznie szkodliwego wybucha gniewem bóstwo. Religia każe spędzać płód tam, gdzie grozi przeludnienie, tworzą się w tych warunkach stowarzyszenia religijne pod protektoratem bogów, uważające chronienie życia dzieci za niemoralne... Dlatego też mitologię obok porównawczej lingwistyki można uważać za paleontologię etyki.

Jeżeli jednak mitologia jest tylko dalekiem odbiciem poglądów współczesnych właśnie dlatego, że jej postaci z biegiem czasów mało się zmieniają, religia, jako ogół przepisów zachowania się zgodnego z wolą bóstwa, wiąże się daleko dłużej i ściślej z życiem codziennem, dostraja się do nowych stosunków i dlatego przedstawia interes bardzo aktualny: grzech i zbrodnia przez wieki całe fazy sakralnej kroczą obok siebie identyczne, nieroździelone.

Podstawą wszelkiej religii jest idea bóstwa, t. j. istoty duchowej, której się trzeba bać, choć można ją i kochać, która jednak zawsze pozostaje czemś zagadkowem, potężnem i ma wpływ ogromny na sprawy człowieka. Ta zasadnicza idea rozwinęła się z kultu przodków, a w szczególności przodków naczelnika, względnie wszystkich zmarłych książąt.

Podobną drogę przebyły normy społeczne, które z istoty swej

są owocem długoletniego doświadczenia ludu, z czasem po dodaniu pewnych przepisów naczelników zmieniają się w wyraz ich woli, a po ich śmierci w wyraz woli bogów.

Zemsta jest uczuciem, bardzo dobrze znanem człowiekowi pierwotnemu; dlaczegóżby zmarli, którzy na tamtym świecie prowadzą w dalszym ciągu swój byt ludzki (polują i łowią ryby, według ludów myśliwskich i rybackich), mieli się wyzbyć tego czysto ludzkiego uczucia? czyż w wielkich zjawiskach przyrody nie odbija się dobre lub złe usposobienie bogów, czyż burze, trzęsienie ziemi, pustoszące i dziesiątkujące choroby zakaźne nie są aktem zemsty bogów? a cóż więcej może obrażać ich, niż nieposłuszeństwo w stosunku do przepisów, przez nich z życzliwości dla dalszych generacyi wydanych?

Mieszkańcy Ziemi Ognistej są przekonani, że za marnowanie żywności, bezużyteczne strzelanie dzikich gęsi dla własnej tylko przyjemności spada śnieg i deszcz, u Karenów rozpowszechnioną jest wiara, że cudzołóstwo i zgwałcenie pociągają za sobą nieurodzaj. Niewzięcie udziału w *lustrum* rzymskiem, mającem charakter pokuty publicznej, lub upadek westalki ściągało na całą gminę gniew bogów. Podobnie u Betschuanów, jeżeli środki czarodziejskie zawiodą i deszcz nie pada, szuka się winnego wśród ludności, gdyż widocznie ktoś naruszył obowiązujące przepisy; najczęściej padają ofiarą wdowy i wdowcy, na których pada podejrzenie, że zaniedbali przepisanego oczyszczenia. Te same następstwa pociągała za sobą niewiara dziewicy, poświęconej słońcu w Peru. W Tonga wierzą wyspiarze, że bogowie gniewają się na ludzkie występki, a duchy opiekuńcze dopóty tylko czuwają nad ludźmi, dopóki ci dobrze się sprawiają, opuszczają zaś zepsutych i przestępców.

Z natury rzeczy zemsta bóstwa dotyka tego przedewszystkiem, kto je obraził, zatem winnego. Czerwonoskóry północnoamerykański, który, modląc się do duchów swych przodków o pogodę i szczęście na polowaniu, wpadnie przypadkiem w ogień, wierzy, że wepchnęły go do ognia duchy w celu ukarania go za zaniedbanie ofiary. Według nauk Mobów (lekarzy) u Birria pochodzą siwe włosy z jedzenia zakazanych potraw, z tego samego powodu spadają na winowajcę ciężkie choroby w Afryce wschodniej. W Nowej Zelandyi sądzą tubylcy, że suchot dostaje ten, kto je resztki potraw, pozostawionych przez członka klasy wyższej (świętej, *Ariki*), albo kto je w blizkości miejsca, gdzie zabito lub pochowano krewnych; w Samoa naruszającego cudzą własność zjada bóg wiejski, zabija piorun lub nawiedza choroba. *Manu* wymienia naj-

óżnorodniejsze choroby, jako następstwa zbrodni: kto ukradł złoto braminowi, choruje na paznogcie, kto pije zakazane napoje gorące, ma czarne zęby, zabójca bramina ginie na suchoty i t. d. Kto przeciął nić wełnianą, otaczającą świątynię Pozejdona w Mantynei, tracił za karę wzrok.

Z czasem powstaje u bogów podział pracy, tak, że mści się tylko bóstwo obrażone; tak np. w Nowej Zelandyi karze Rongo za szkody polne, Tangaroa za wykroczenia przeciw przepisom o rybołóstwie. Bogowie, karząc prócz przestępcy całą gminę, czynią to tylko dlatego, że podejrzewają, iż gmina ochrania przestępców, bo, kto pomaga grzesznikowi, jest równie winny, jak on sam; jeden jest tylko środek, aby uniknąć zemsty bogów (i ludzi): oświadczenie, że niema się nic wspólnego z winowajcą. Omaha - Indyanie mawiają: jeżeli będziemy jeść z tym, którego nienawidzi Bóg Wakanda, za jego zbrodnię Wakanda będzie nas nienawidzić.

Jednym z najskuteczniejszych środków przebłagania bogów jest ofiarowanie przestępców zagniewanemu bóstwu, a w szczególności temu bóstwu, którego bezpośrednio dotyka. W Rzymie męża, sprzedającego żonę, ofiarowano bogom podziemnym, polnych szkodników Cererze, naruszającego granice Terminusowi, za obrazę ojczyzny Manom, naruszający obowiązki, wynikające ze stosunku klienteli, stawał się θῦμα καταχθονίου Διός.

Niejednokrotnie wystarcza nagana moralna w postaci kary, aby dać wyraz na tej drodze oburzeniu i wykazać bogom, że gmina nie solidaryzuje się z przestępcą; zamiast zabić lub wypędzić, niszczy się byt materyalny przestępcy, rabując jego dom. Poznać tę wolę bogów - przodków nie jest rzeczą trudną; *żądają oni szanowania tych wszystkich przedmiotów, osób i zwierząt, które zamieszkują.*

Zmarłych pierwotnie nie grzebie się, lecz rzuca się trupy zwierzętom na pożarcie, np. u Veddasów, którzy trupy porzucają w krzakach. Dziś jeszcze jest w Polinezyi zwyczajem zmarłych w łodzi wysuwać na pełne morze; oczywiście trupy te zjadają rekiny, wskutek czego rekin jest przedmiotem czci, gdyż jest tylko inną formą zewnętrzną zmarłego, ukazującego się odtąd w innej postaci (metampsychoza).

Wszystkie azyatyckie zwierzęta święte są zjadaczami trupów: w Azyi południowej — wąż, u Lapończyków niedźwiedź, gdzieindziej wilk, kruk, szakal, kajman. U Kafrów głównym powodem ich religijnej czci dla wilków jest, że zjadają zmarłych, obok nich czczą węża, hyenę, tygrysa, lamparta. Australczycy z tego samego po-

wodu czczą węża, Kolnachowie czczą jastrzębia i wronę, Dogrib-Indyanie psy. Kolusze w swych polowaniach krępowani są wiarą, że dusze zmarłych często zjawiają się, jako zwierzęta wodne lub lądowe (głównie, jako niedźwiedzie), których też zabijać nie należy. Oraoni Bengalscy wierzą, że ludzie, rozdarci przez tygrysy, stają się tygrysami.

Z chwilą rozpoczęcia grzebania zmarłych stają się miejsca pogrzebania świętemi i nietykalnemi, jako miejsca zamieszkania bogów. Dlatego Indyanie opuszczają chatę zmarłego i pozostawiają mu ją albo też budują mu nową; podobnie postępują afrykańscy Maudingo lub tubylcy z Duketown i Tasmańczycy. Wiara we wcielenie się bóstwa w różne przedmioty, czyli t. zw. *fetyszyzm*, wyszedłszy z miejsc pogrzebania lub wogóle miejscowości, gdzie zmarły się znajduje (także żołądek zwierząt drapieżnych), nie zatrzymuje się w swym dalszym rozwoju na tem miejscu; z czasem duch nabiera pewnej ruchliwości, zaczyna się przenosić z miejsca na miejsce, a gdziekolwiek osiędzie, miejsce staje się świętem. Przedewszystkiem zwierzęta (niekoniecznie już drapieżne, pożerające trupy) i rośliny są ulubionemi miejscami zamieszkania bogów. W Samoa był węgorz Aitu (bóg domowy naczelnika), i dlatego w stawie miejskim chowano go w stanie oswojonym i nigdy go nie jadano. Mieszkańcy Australii Zachodniej uważają czerwonego kangura za wcielone bóstwo, Ma - Atabele—hipopotama. Koza w szczepie egejskim, byk na Krecie był fetyszem zwierzęcym, orzeł był wcieleniem (teofania) Jowisza, byk, bóg egipski, miał pewne szczególne znamiona charakterystyczne; znalezienie takiego byka uchodziło za objawienie się Boga. Podobnie w Afryce wiara animistyczna obejmuje cały szereg zwierząt. Dla Kamczadalów jest wilk i niedźwiedź taką świętością, że nawet nazwy ich nie wymieniają, u Ostyaków niedźwiedź jest istotą nadludzką, łączącą siłę z mądrością, u Wogulów wąż jest święty, bo wchodzi w niego bóg. Matka szczepu u całego szeregu plemion czerwonoskórych nazywa się Cihua — Cohualt, co znaczy żona węża. Dieyerie (połud. Australia) mają gaje święte, w których drzewa, zwłaszcza większe, uchodzą za metamorfozę przodków. Tubylcy nigdy ich nie ścinają, a jeżeli osadnicy europejscy pragną je wyciąć, protestują poważnie przeciw temu, twierdząc, że ścinający nie będą mieć szczęścia, a ich także spotka kara za to, że nie chronią swych przodków. W Syamie mają drzewa swych aniołów opiekuńczych, a szczególną czcią cieszy się anioł drzewa żywicznego, zwany matką lub panią, najczęściej też pod konarami tego drzewa znajduje się kapliczka. Zanim Syamczycy

drzewo takie zetną, składają ofiary z pierników i ryżu aniołowi. Szczególnie rozwinął się fetysz drzewny u aryjskich Indów, dziś jeszcze *Ficus indica* i *Ficus religiosa* budzą cześć religijną, każda wieś w Hindostanie ma swą świętość tego rodzaju; u Hebrajczyków napotyka się na święte drzewa i gaje na każdym kroku, podobnie w Mikronezyi i t. d.

Jeżeli zmarli biorą na siebie postać zwierząt i roślin, to niema nic naturalniejszego dla dzikich, jak tę formę teofanii uważać za rzeczywistych swych przodków, ich wizerunków używać, jako talizmanu i herbu. W ten sposób powstają podania o pochodzeniu człowieka od zwierząt. I tak Dieyerie wierzą, że Bóg stworzył ludzi z jaszczurek. Dagrib-indyanie, wierząc w swoje pochodzenie od psów, uważają swe dzieci za psy, dopóki nie wyrosną na ludzi. Osagowie wierzyli, że lud ich powstał z połączenia człowieka z córką bobra. Porwana przez niedźwiedzia wieśniaczka miała porodzić Björna, założyciela dynastyi królów szwedzkich, indyjscy królowie Siuka mają pochodzić od lwów, podobnie założyciele dynastyi cejlońskiej, a ród proroczy Galeotów w Sycylii ma pochodzić od jaszczurek.

Ponieważ każda rodzina, a przynajmniej każdy szczep ma inną postać teofanii swych przodków, ponieważ każde bóstwo szczepowe przyjmuje inną formę wcielenia się, przeto z natury rzeczy szczepy przyjmują nazwy swych specyalnych bóstw opiekuńczych (fetyszów zwierzęcych lub innych), jako nazwę szczepu, a zewnętrzną postać teofanii, jako swój herb (znak szczepowy, Kobong, Totem). Tak np. szczep egejski miał znak totemistyczny kozy. Rzymska wilczyca pozostała herbem Rzymu. Szajnocha identyfikuje myszy, które zjadły króla Popiela, z piratami morskimi, prawdopodobnie Normanami, którzy stanowili stałą plagę krajów północnych w wiekach IX—XII. W Szafarzika „Starożytnościach" spotykamy 30 nazw ludowych z odpowiednią nazwą zwierzęcą: i tak Frank nazwany jest lwem, Alemańczyk orłem, Rusin wydrą, Litwin bykiem itd. Fetyszyzm tłómaczy nam podział szczepów czerwonoskórych według totemów i australskich według kobongów, nazwy zwierzęce szczepów Kassia w Assawie, podobnie nazwy starych szczepów greckich, herby starych polskich rodów (łabędź, lis, stary koń i t. d.) nie mają związku z krucyatami, tłómaczą się więc tylko fetyszyzmem zwierzęcym, Indyanie Goajiro dzielą się na rody, zwane: Uriana (tygrysy), Pusbaina (pekari), Epinaque (jeleń), Epicyne (sęp), Ipuana (jastrząb), Jusaqua (grzechotnik), Jayarin (pies), Huaurin (kuropatwa). Dlatego też części ciała zwierzęcia, skóry, zębów,

włosów, łuski, piór, kości używa się, jako amuletu lub środka leczniczego, najczęściej nawet bez poprzedniogo zabicia zwierzęcia, kupuje się je lub otrzymuje w podarunku od sąsiednich plemion. Ze względu na uznane pochodzenie tatuuje się wizerunek odnośnego fetysza na własnem ciele. Kto nie jest tatuowany, traci prawo do raju. Na wyspach Fidżi panuje wiara, że kobiety nietatuowane rozrywają bogowie w kawałki i pożerają. W Bugotu (wyspa Izabelli) naczelnik miejsca zmarłych Bolajagina ma przeglądać ręce zmarłych i wpuszcza tylko tych, którzy mają na ręce obraz ptaka — fregaty. W Aurorze (Nowe Hybrydy) zmarły nietatuowany nie znajdzie dobrej żywności na tamtym świecie. Dlatego też w bitwie nosi się przed wojownikami sztandar z obrazem fetysza. U Alemanów był Heri lub Cumbol (herb i sztandar szczepu) obrazem zewnętrznym bóstwa, od którego szczep pochodzi. Fetysz Inkasów w Peru stanowił wojenny znak. *Ferarum imagines* odgrywały tę samą rolę u Batawów (Tacyt).

Duchy posiadają, jak wiemy, rzadką zdolność przenoszenia się z miejsca na miejsce, nie ograniczają się do miejsca spoczynku i poświęcone im zwierzęta mogą przenosić się i ożywić inne przedmioty lub istoty żyjące, ponieważ bogowie (duchy przodków) w swoim czasie żyli na świecie, byli członkami ludzkiego społeczeństwa i znają skutkiem tego doskonale jego potrzeby, wiedzą przeto dokładnie, co byłoby najlepiej uczynić świętem, nietykalnem, to też w tem, co wiara pierwotna uważa za usunięte ze świeckiego obrotu, widzimy ideały społeczno-utylitarne, w zakazach i nakazach negatywnych — społeczne normy i ustawy. Jeżeli przedmiot jaki ma być usunięty z pod uszkodzenia, uznaje go religia za święty — nietykalny; i tak, jeżeli skład społeczeństwa jest arystokratyczny, członkowie klasy wyższej są świętymi wobec klas niższych, jak wogóle mężczyźni dla kobiet, a silniejsi (społecznie) dla słabszych; jeżeli chodzi o to, by między dwiema osobami nie przyszło do małżeństwa, uznaje się obie osoby wzajemnie dla siebie za nietykalne; jeżeli chodzi o możliwą ochronę ludności z powodu dziesiątkowania ludności przez zakaźną chorobę, celem zapobieżenia rozszerzaniu się zarazy uznaje się wszystkich mieszkańców wsi za mieszkania bogów wobec siebie — podobnie za nietykalnych podaje się wojowników, mających ruszyć na wojnę, w stosunku do pozostających w domu. Jeżeli w większem zgromadzeniu ludzi ma panować spokój, to oświadczają kapłani, że bóstwo jest na zgroma-

dzeniu obecnem, że unosi się w powietrzu, a wszelka bójka uchodzi za obrazę bezpośrednią obecnego tamże bóstwa, tak samo, jak przelew krwi i nieprzyzwoite zachowanie się w ich zwykłem miejscu zamieszkania: w świątyni. Krótko mówiąc: pierwsza myśl społecznego porządku, społecznej całości, ogólnych norm zjawia się w tej czysto religijnej formie. Nazwa tej instytucyi uświęcającej jest w różnych okolicach różna, podobnie jak wyrazy używane na oznaczenie „święty, nietykalny, zakazany"; i tak nazywają się odnośne przedmioty względnie osoby: na Markizach, wyspach Fidżi, Salomońskich i wogóle Polinezyi *tabu* (tambu). *Ta* znaczy w Nowej Zelandyi „bardzo", a *pu* — oznaczać, tak więc *tapu* = „bardzo oznaczony" [*Waitz* Anthrop. VI, 350, V 2, 148. *Bastian*, Oceanien, 203, tłómaczy inaczej: „ta" „malować", a „pu" „korzeń", ponieważ do oznaczenia zakazanego przedmiotu używa się zwykle palika czerwono pomalowanego]. Tahityanie używają wyrażenia „tabu" w celu określenia czegoś uświęconego, bardzo czcigodnego lub bogom poświęconego (tak ludzi, jak rzeczy); i tak król Owaihi nazywa się bree-tabu, ofiara z ludzi Tangatatabu.

Wyrazowi *Tabu* odpowiada w południowej Nowej Holandyi „*kuinyunda*" i „*adrar*" w północnej Nowej Holandyi, „*fadi*" na Madagaskarze, „*blul*" na wyspach Pelawskich, „*pennant*" na Moriku, *pamali*, *pali*, *padi*, *fosso*, *sassie* u ludów malajskich, *nutar* w starym Egipcie, *cherem* u Żydów. To samo znaczenie ma rzymskie *sacer* z trzema późniejszemi dystynkcyami: *sacer*, *sanctus*, *religiosus*. *Inter sacrum autem et sanctum et religiosum differentias bellissime refert* (*Aulus Gellius*). *Sacrum aedificium*, *consecratum deo*, *sanctum murum*, *qui sit circa oppidum*, *religiosum sepulcrum*, *ubi mortuus sepultus aut humatus sit*, *satis constare ait. Idem religiosum quoque esse quoniam sit aliquid, quod ibi homini facere non liceat*, *quod si faciat*, *adversus deorum voluntatem videatur facere. Similiter de muro et sepulcro debere observari*, *ut eadem et sacra et sancta et religiosa fiant*, *sed quomodo supra expositum est*, *cum de sacro diximus*, *res sacrae* = *quae diis superis consecratae sunt*: *aedes*, *ora*, *signum*, *lucus*, *pecunia*. Bardzo wybitnie nosi cechę sakralną germański *bannus* - *bandvjan* (*Bann*, *gebannt*). Etymologia tego wyrazu podaje jego znaczenie=*das ausgesprochene*, *gebotene und verbotene*, *edictum*, *interdictum*, *der Friede*, *in den Land*, *Wald*. *Leute gesetzt werden* (*Jacob u. Wilh. Grimm* D. Wört. I 1114). Pojęcie związanego z bannem pokoju sakralnego pochodzi od gajenia zgromadzeń ludowych. Najstarsze frankońskie źródła prawne używają wyrazu bannus, jako identycznego z wyrazem verbum,

sermo, odnośnie do pokoju, który zapewnia słowo króla temu, kogo bierze w swą szczególną opiekę. *W adnutiatio Hludovici apud Confluentes* z r. 860 c. 7 znajdujemy formułę: *bannimus ex Dei et nostro verbo, ut nullus hoc... agere praesumat.* Jako znak zewnętrzny, symbol boskiego mieszkania, fetysza, służą nici bawełniane lub jedwabne, jak u pierwotnych mieszkańców Brazylii, w Grecyi, u starych mieszkańców Kumony w zatoce karaibskiej, w Afryce, Skandynawii, na Hawaii, u Germanów, albo paski z liści kokosowych, jak u Pelanczyków i na Markizach, albo białe chorągwie, umieszczane na drzewach, jak na Hawaii, u Germanów, albo rzeźby, jak na Tahiti, u Germanów, w Rzymie, albo bukiety z liści na Markizach, na wyspach Fidżi, albo liście palmowe, jak na Timor, albo mur, jak w Rzymie, drągi ozdobne, jak u Buryatów, albo krzyż z dwu drążków, jak na wyspach Salomońskich, lub kij, jak w Afryce, albo strzała, na czerwono pomalowana, jak w Nowej Zelandyi.

Świętość ma w sobie coś zaraźliwego, przez dotknięcie osoby świętej lub przedmiotu, bóstwu poświęconego, staje się każdy sam świętym i nietykalnym, nie zawsze jednak jest pożądaną rzeczą wyjść ze społeczeństwa świeckiego, gdyż od tej chwili uświęca się dotknięciem pożywienie, które odtąd jest usunięte z pod ogólnego użytku (w Nowej Zelandyi mężczyzna żaden nie może nosić pożywienia na plecach, gdyż w przeciwnym wypadku stanie się pożywienie „tabu" i w konsekwencyi może być użyte tylko przez owego mężczyznę; pól, przez które tego rodzaju „uświęcony" przechodzi, nie można już uprawiać; z tego powodu rola bóstwa poświęconego jest możliwą tylko dla bogatych, którzy mogą dać się nosić i żywić).

Jeżeli mimowolne, dotknięcie sprowadza dla profanów takie nieprzyjemności, jak straszne muszą być skutki dokonanego *dolo malo* naruszenia świętego przedmiotu, obrazy bogu poświęconej osoby, przekroczenia zakazu sakralnego! Forma zewnętrzna skutków tych jest ta sama: sprawca jest wyłączonym od pożycia z innymi, ale tylko pokojowego i przyjaznego stykania się — niewolno ze sprawcą mówić, być mu pomocnym, natomiast wolno, a nawet należy go zniszczyć, życia pozbawić. Kto bogów obraził, stał się ich własnością (*tabu*, *fadi*, *sacer*, *cherem*, *gebannt*), jako taki, może lub powinien być zabity [neque fas est eum immolari, sed qui occidit, parricida non damnatur, — *Festus;* sacer, *Grimm* D. W. I 1114 tłómaczy wyraz *Bann* = *die gegen die Säumigen erkannte Strafe vorzugsweise Verbannung aus dem Gebiete*, *praescriptio und welcher erfunden wird im Bann, den soll man mit Feuer verbrennen*,

mit Allem das er hat, jest wyjętym z pod prawa, jest *vargus* (u Germanów) *parā' vrj* (u wedyjskich Aryjczyków), *vrecca* (u Anglosasów), ἀθέμιστος, ἀνέστιος, ἀφρήτωρ (u Greków), jest nieprzyjacielem bogów i społeczeństwa (*fegangi* u Longobardów, ahd. *fêh*, ags. *fâh*, fryz. *fach* — według dekretu Childeberta II. z r. 596 c. 4 odnośnie do porywającego kobiety: *unusquisque inimicum Dei pe - sequatur*, podobnie w zapisku prawnym z westerlawskiej Fryzyi: *Hya schellet da Godes fynden folgia* — por. Brunner, Abspaltungen str. 93 i 30); po największej części w razie przychwytania ofiarowuje się go, jako ofiarę (*supplicium*) bogom, jako rzecz im należną (krzyże łamie się na kamieniu ofiarnym, topi się w ofiarnem bagnie lub świętym wodospadzie, stryczek jest narzędziem ofiary; u Rzymian topór był narzędziem ofiary i tracenia przestępców, podobnie ofiarowuje się przestępców na Markizach, Tahiti, w Meksyku, u Irokezów, Pelauczyków, a nawet poczęści u Żydów).

Nawet po śmierci czeka kara tego, kto naruszył sakralne normy. Tubylcy w Futuna wierzą, że, kto naruszył *tabu*, nie dostanie się do nieba, w Tahiti kary i nagrody życia przyszłego zależą od zachowywania lub niezachowywania rytualnych praktyk, podobnie na Markizach.

Fetysz, bóstwo wcielone nie ogranicza się do biernej roli teofanii, przy której wstrzymuje swojem zjawieniem się żyjących od naruszenia jakiego przedmiotu, w tej formie są możliwe tylko zakazy, tylko negatywnie może w tej formie wpłynąć na życie ludzi. Na wyższym stopniu rozwoju zaczyna bóstwo mówić: i tak Jahoe przemawia do Żydów z ognia lub z obłoku [I mówił Pan do was z pośród ognia: głos słów słyszeliście, aleście podobieństwa żadnego nie widzieli prócz głosu (Pent. V 4. 12 — 13), zstąpił Pan w słupie obłokowym i stanął we drzwiach namiotu... i rzekł... (Pent. IV. 12 5)], z ognia powierzyło bóstwo także w bóstwo zmienionemu Manu normy, przez się ustanowione. Zoroaster otrzymuje wolę Ormuzda, którego fetyszem był płomień na górze, zdala od wszystkich ludzi, podobnie Toth miał dać ustawy w Egipcie i Bóg Inka w Peru.

Wola bóstwa, udzielona ludowi tak w formie teofanii (fetysz), jako też za pośrednictwem wybranego męża, pozostaje normą wiążącą. Przy tendencyi ogólno-ludzkiej do generalizowania powstała potrzeba pojęcia, któreby mogło objąć wszystkie boskie przepisy. Tak greckie θέρμα (= pokój boży od θρα = ustanawiać) lub indyjskie *Dharmas*, *Dharman* (= ustawa, porządek ustalony na niebie

i ziemi), germańskie Ehe (êwa, êo, êu) lub *adat* na Sumatrze są synonimem ogółu boskich postanowień, porządku prawnego.

Życie przynosi różne konflikty i zagadkowe trudne przypadki, które rozstrzygać niełatwo zwykłemu człowiekowi, a ponieważ z drugiej strony nie wypada w każdej takiej sprawie pytać boga - fetysza, muszą być zatem osoby, które wolę boga dokładnie znają, stoją mu bliżej, niż inni śmiertelni, i dlatego powołani są do rozstrzygania trudniejszych przypadków po myśli wydanych przez bóstwo zakazów i nakazów i do wydawania i ogłaszania nowych norm. Któż ma do tego lepszą kwalifikacyę, jak król – naczelnik, uchodzący za syna boskiego lub który przynajmniej jest kapłanem? Tak też instytucya królestwa kapłańskiego, przy którem król nosi nazwę Mokifie (fetysz, bóg) rozpowszechnioną jest w całej Afryce: królowi przypisuje się władzę nad deszczem i pogodą, moc rozstrzygania o wyniku zbiorów i połowu ryb, jest ustawodawcą i najwyższym sędzią. Tak słowiański kneź jest z jednej strony najwyższym kapłanem, składającym ofiary bogom, reprezentującym szczep lub ród wobec bóstwa, z drugiej strony znów powołanym i uprawnionym interpretatorem ustawy, stróżem prawa, opiekunem bezprawnie uciśnionych, tak samo grecki Ποιμήν Λαῶν jest przedewszystkiem pierwszym kapłanem, składa ofiary bogom, jest sędzią i ustawodawcą (charakter kapłański królów świata klasycznego pozostaje w instytucyi rex sacrificulus i ἄρχων Βασιλεύς, podobnie długo szuka Samuel Saula, jako „odpowiedniego naczynia", i, znalazłszy, maści na fetysza Boga izraelskiego (szczepów Juda - Benjamin i tych wszystkich, które się z nimi połączą), podobnie są północno-germańscy królowie — kapłani *laghens gaeslaeman*, stróżami prawa. „Jest króla obowiązkiem w kraju wyroki wydawać, prawo pełnić i złoczyńców, nie żyjących należycie, karać. Karząc lub zabijając zbrodniarzy, jest Boga sługą i prawa opiekunem" (wstęp do jutyjskiej ustawy na sejmie w Vordingborg 1240, por. Kolderup - Rosenvinge: Grundriss 220 uw. a).

W germańskich centenach jest *furisto* stróżem boskiego porządku (*ewart*) i ma prawo bannu (zakazu). Tę samą rolę odgrywa saski naczelnik okręgu (satrapa), który morderców nietykalnością cieszących się posłów (*legati, quos more solito cum pace suscepimus*) kazał śmiercią ukarać. W państwie frankońskiem przechodzą wszystkie pojedyncze pokoje (Sonder frieden) na króla, którego bannus nosi na sobie cechy sakralne.

Peruański Inka otrzymuje ofiary i boską cześć, sam prezyduje

przy ślubach, jest najwyższym sędzią, a każda zbrodnia jest obrazą samego Inki (Prescott, Peru I. 113 sq., I. 88 sq.) Instytucya egipskich królów opiera się z całą konsekwencyą na myśli, że król jest synem, żywym obrazem, żyjącym fetyszem boga, przez niego rządzącego; na obelisku króla Uzurtenesa I w Anu nazywa się współcześnie panujący król „żyjący bóg" i sprawca życia. Również naczelnicy na Markizach są święci tak, jak całe urządzenie państwowe boskiego pochodzenia. Z tych to powodów może naczelnik szczepu w Nowej Zelandyi wszystko, co tylko uzna za odpowiednie, tabuować, tak, że nikt z klasy niższej nie może przedmiotów odnośnych dotknąć, i wszystko, co do naczelnika należy, jest święte i nietykalne, podobnie u Pelanczyków na Hawaii i t. d.

Podział pracy i społeczne różniczkowanie powoduje powstanie osobnej klasy kapłanów; ich obowiązkiem i zadaniem jest badać wolę bogów, ogłaszać ich zakazy i nakazy. I tak, według Manu (XI. 84), „bramin jest już z urodzenia przedmiotem czci nawet dla bogów, a jego postanowienia są miarodajne dla świata — przywilej ten zawdzięcza księgom świętym". Kapłani stoją blizko władzy politycznej, bo należą najczęściej do tego samego rodu, co królowie lub przynajmniej nie zapominają o wspólnych interesach klas wyższych, rządzących. Między klasą władców politycznych a kapłaństwem istnieje na tym stopniu rozwoju bardzo ścisłe porozumienie; i tak u Amaxosa Hotentotów *Isi-utongu* (kapłan) jest wiernym sługą naczelnika (*Iakosi*), podobny stosunek zachodzi na Markizach, gdzie rozterka między władzą świecką a czynnikiem sakralnym należy do niesłychanych wyjątków, nieinaczej ma się rzecz w Polinezyi, Mikronezyi, u Mongołów niejednokrotnie są kapłani prawdziwymi władcami, a zawsze opierają się o klasę rządzącą, pozostają w ciągłym z nią kontakcie.

Od tej chwili zaczyna się rola tego nowego społecznego czynnika, polegająca na udzielaniu ludowi życzeń bóstwa, oni stwierdzają, co bogom jest miłe, co jest prawem, oni są êosago, asega u Germanów, zwiastują wyroki, przez bogów wydane (*ceterum neque animadvertere, neque vincire, nec verberare quidem nisi sacerdotibus permissum non quasi in poenam nec ducis iussu, sed veluti deo imperante, quem adesse bellantibus credunt*, Tac. Germ. c. 7. *Silentium per sacerdotes, quibus tum et coercendi ius est, imperatur*, ib. c. 11), oni ogłaszają wolę bogów na wyspach Gilbert, wydają wyrocznie pod nazwą Ediomat lub Korong na Karolinach, rozstrzygają o tabu w Mikronezyi i są pośrednikami

między człowiekiem a bóstwem. Wiara w blizkie stosunki kapłanów do bóstwa pociąga za sobą odpowiedzialność ich za klęski, jak nieurodzaj, silna śmiertelność i t. d. Kapłanów pozbawiają życia Patagończycy w razie śmierci naczelnika lub szerzącej się zarazy, nie pomaga im wtedy ich świętość wobec wzburzenia ludu, „widocznie służą źle Bogu i ludowi".

Niższe klasy ludności, *grex audiens et oboediens* uznają prawo klas wyższych (kapłanów, naczelników o charakterze sakralnym) do rozstrzygania o tem, co bogom jest miłem, co świętem (tabu, sacer i t. d.), a co ogólnie dostępnem (noa), krótko prawo tabuowania, zakazywania pod karą.

Sankcyą zakazu nie zawsze jest zupełne zniszczenie przestępcy; z czasem powstaje idea talionu (*ius talionis*), to jest pewnej harmonii między ważnością przestępstwa a karą; bogowie gniewają się w wyższym lub mniejszym stopniu stosownie do wielkości obrazy; są też różne *tabu*, większe i mniejsze; np. najświętsze tabu w Hawaii nosi specyalną nazwę *Po-e-kecke*, złamanie najświętszego bannu u Germanów nosiło nazwę Neidingswerk (Meinthat), za które czekała kara śmierci; nie wszyscy do tabuowania wprawieni mają równe prawo, równy *bannus*, jedni mają w tym względzie większą, inni mniejszą władzę. Różnica ta odbija się nawet w świecie pozagrobowym: w Hawaii Milu, który za życia był człowiekiem z ludu, a po śmierci stał się królem piekieł, ma mniejsze tabu, niż Wakea, były książę. Najmniejsze tabu ma zwykły człowiek z ludu, gdyż może on tabuować tylko swą własność względem obcych i reszty ludności, a nadto może wydawać zakazy i nakazy swojej żonie pod sankcyą tabu. Ponieważ w tej fazie każde naruszenie tabu jest przestępstwem i odwrotnie niema przestępstwa bez wykroczenia przeciw jakiemuś tabu, przeto każdy czyn karygodny jest obrazą bóstwa.

Przestępstwa w tej epoce można podzielić na trzy kategorye: 1) na obrazy bóstwa, dokonane przez bezpośrednie znieważenie, mianowicie przez naruszenie przepisów religijnych; 2) na obrazy bóstwa, dokonane przez szkodzenie społecznym interesom danej grupy; 3) na obrazy bóstwa, dokonane przez znieważenie członków klasy wyższej. Podziałów tych dokonywamy oczywiście z naszego punktu widzenia, gdyż dla współczesnych rozróżnienie to jest niemożliwem: każde przestępstwo

w tej fazie uchodzi zarazem za obrazę bogów, jako nieposłuszeństwo wobec ich woli, należycie objawionej, i za naruszenie społecznych interesów, gdyż sprowadza gniew bóstwa na całą grupę, i za lekceważenie klasy wyższej, która przez swych członków wolę bogów ogłosiła.

A. Naruszenie przepisów religijnych.

Zmarli z natury swej są świętymi i nietykalnymi; samo dotknięcie trupa czyni dotykającego nieczystym; dlatego miejscowości, gdzie zmarli są pogrzebani, lub miejsce ich śmierci usuwają się z pod użytku świeckiego i są dla ludności nieprzystępne, to też Indyanie północnej Ameryki i tubylcy w Afryce opuszczają chatę, w której ktoś zmarł i zarazem znalazł swe pośmiertne mieszkanie, a w Nowej Zelandyi suchoty czekają tego, kto je w pobliżu takiego miejsca. Tem świętszą jest świątynia, w której znajdują się groby przodków - bogów w większej ilości lub mieszkają tam ich duchy fetysze. Dlatego na Markizach wszystkie możliwe mieszkania bogów (groby, świątynie, miejsca ofiar, przedmioty, przedstawiające bogów) są tabu. Lapończycy nie ośmielają się polować w sąsiedztwie kościołów, na Hawaii świątynia jest dla kobiet niedostępną, podobnie należały u Rzymian świątynie do *res sacrae, sanctae, religiosae*, podobnie u Germanów, cokolwiek znajdowało się w świątyni lub w najbliższej okolicy tejże, było dosłownie nietykalne, nie można było nawet dotknąć. *Qui locus a paganis in tanta veneratione habebatur, ut nil in eo vel animalium ibi pascentium vel aliarum quarumlibet rerum gentilium quisquam tangere audebat, nec etiam e fonte, qui ibi ebulliebat aquam haurire nisi tacens praesumebat;* nie wolno było wchodzić do świątyni uzbrojonemu, nikogo stamtąd gwałtem uprowadzać, podobnie na wyspach Fidżi niewolno się bić na cmentarzu; u Greków panował w obrębie świątyni specyalny pokój boży, tam można było spokojnie przechowywać bogactwa, żaden akt gwałtu nie mógł tam nastąpić. W Delfach był osobny trybunał karny, który wszelki czyn karygodny przeciw świątyni karał wyrokiem Pytyjskim strąceniem ze skały. Sami bogowie mścili się bezpośrednio na sprawcy: kto rozciął wełniane nitki, okalające świątynię Pozejdona w Mantynei, ślepł.

N i e t y k a l n o ś ć t y c h f e t y s z ó w (m i e s z k a ń b o s k i c h) p o w o d u j e p o w s t a n i e a z y l ó w. U Amaxosa-Hotentotów są azylami groby naczelników i mieszkania ich stróżów, podobnie u dawnych Arabów, na Hawaii, w Marokko, u Kafrów,

w greckiej starożytności, podobnie świątynie są azylami: tak świątynia Prowe u Obotrytów, dom fetysza w Aszanti i na wybrzeżu złotem, na Hawaii, u Papuasów, w Abisynii, u Germanów; jeszcze w średnich wiekach, kto narusza prawo azylu kościołów, *der hat gotes nit enschonet, während man doch got fürhten unde die Kirchen eren sol* — mówi Schwabenspiegel. Rolę azylu odgrywają także inne fetysze, mianowicie statury, jak *divorum imperatorum* w Rzymie lub egipskich królów.

W tych wszystkich przypadkach jest naruszanie świętości grzechem śmiertelnym, karanym przez bogów, i ciężką zbrodnią wobec ludzkiego społeczeństwa. (*Qui rex nimio furore succensus iniurias suorum deorum cogitabit, Richthofen Lex Sax. 185*).

Ruchliwość, bogom przypisywana, umożliwia, jak wiemy, metampsychozę, zamieszkanie zwierząt i roślin. Dlatego naruszenie świętych zwierząt, kobongów, totemówjest świętokradztwem nie do wybaczenia.

Prócz powyższych są jeszcze inne zbrodnie, obrażające bóstwo bezpośrednio: obmawianie zmarłych, okazane im lekceważenie, polegające na wstrzymaniu się od żałoby, pogarda wobec trupów, tem więcej bluźnierstwo. Niejednokrotnie są już nazwy zmarłych *tabu* podobnie, jak ich fetysze. Ciężkiem przestępstwem jest także praca w dniu świątecznym, dniu przodków lub odwiedziny w tym dniu, lub kradzież w tym dniu, w czasie nabożeństwa opuszczanie świątyni lub brak udziału w pokucie publicznej. Obrażają bogów - przodków u Amoxosa - Hotentotów strażnicy obrzezanych chłopców, jeżeli nie przestrzegają ceremoniału przepisanego, Lamowie, jeżeli występują przeciw przepisom celibatu, Westalki i córki słońca w Peru, sprzeciwiające się obowiązkowi zachowania czystości, podobnie ich kochankowie.

B. Naruszenie interesów społecznych.

Odżywianie się jest zasadniczym warunkiem fizycznego bytu, zdobycie żywności pierwszym celem walki o byt, tak dobrze odnośnie do indywiduów, jakoteż ich połączenia w grupie społecznej. To też niema nic naturalniejszego, jak to, że pierwotne połączenia dzikich zwracają w swych normach prawnych uwagę na kwestyę wytwarzania artykułów żywności, a produkcyę ich uważają za zajęcie święte (zasady produkcyi uchodzą za nadane przez bogów), że jeżeli pewne gatunki zwierząt lub roślin zaczynają ginąć, uznają ich

używanie przez pewien czas za zakazane pod sankcyą obrazy bogów. To też w Nowej Zelandyi przygotowuje kapłan mężczyzn zapomocą postów i kąpieli do uprawy pól: ziemię, dotychczas tabuowaną, otwiera uroczyście łopatą i po zdjęciu tabu zezwala na pracę w polu. Na straży pracujących stawia się bożków kumara, a nikt prócz kapłana nie może się do nich zbliżyć. Przed zbiorami znów ofiarowuje się bogom kilka płodów ziemnych i po ofierze tej dopiero zaczynają się ogólne zbiory. Podobnie w Rzymie sprzedaż nowego wina była zakazaną przed uroczystością religijną otwarcia beczek, niemniej zbiór wina, zanim najwyższy kapłan Jowisza pozwolił nań i sam go rozpoczął. Z podobnych czysto ekonomicznych względów miał król Numa zakazać składanie ofiar z wina, dobywanego z winogron nieobcinanych i zboża niesuszonego (*ex imputata vite libari vina diis nefas statuit*). Podobnie u Amazulusów pod karą śmierci (tabu) jest zakazanem urwanie kłosa, zanim nie upłynęły trzy dni, przeznaczone do uroczystego obchodzenia dojrzałości. Podobne przepisy spotykamy u Żydów co do zbiorów i produkcyi owoców: dopiero w piątym roku od zasadzenia drzewa wolno było jeść jego owoce. (Gdy też wnijdziecie do ziemi a naszczepiecie wszelakiego drzewa, rodzącego owoc, tedy oberżniecie nieobrzezkę jego, owoce jego; przez trzy lata miejcie je za nieobrzezane i jeść ich nie będziecie. Ale roku czwartego wszystek owoc ich poświęcany będzie na ofiarę chwały Panu. A piątego roku jeść będziecie owoc jego, aby się wam rozmnożył urodzaj jego: Jam Pan, Bóg wasz — Pent. III. 19. 23—25). Podobnie w Betschuana, począwszy od pewwnego dnia wiosennego, jest zakazanem odłamywanie młodych gałązek, zwłaszcza u drzewa Wart-en-bichi, które powszechną cieszy się czcią. Dopiero w czasie żniw gromadzi się lud pod przewodnictwem kapłana (Nijaka) — mężczyźni, opatrzeni w noże i siekiery, w celu ścięcia kilku gałązek ze świętej akacyi. Pierwszemi gałązkami naprawia się królewska zagroda, poczem mogą się odbywać naprawy także w innych zagrodach. Przed żniwami obnosić ściętą gałąź akacyi we wsi Beczuańskiej jest największą obrazą całego szczepu. Biorący udział w żniwach i wogóle wszyscy zajęci produktywnie muszą poprzednio do tego uroczystego aktu przygotować się przez post lub nawet przez wstrzymywanie się od stosunku płciowego (jak w Mikronezyi przed połowem ryb), skutkiem tego stają się tak świętymi, że w czasie pracy i po ukończeniu pracy polnej jeszcze muszą pozostać na polu i nie mogą własną ręką brać pożywienia, aby go nie *tabuować*. Świętość ta jest też przyczyną, że się jest nietykalnym w czasie pracy produktywnej.

Samo przejście przed robotnikami, zajętymi sadzeniem kumary, jest (w Nowej Zelandyi) zabronionem, należy ich obejść z daleka, z tego też powodu las w czasie polowania i zbioru owoców, rzeki w czasie łowienia ryb i pola, jak długo zboże na nich się znajduje, są tabu. Świętą i nietykalną jest kobieta, przygotowująca olej z kokosowych orzechów, rybacy i robotnicy rolni w czasie ich roboty, kobiety, uprawiające kumarę; ponieważ u Germanów roboty polne odbywały się na wiosnę i na jesieni, powstał specyalny bannus: wiosenny i jesienny.

Pod ochroną takiego pokoju bożego stali u Germanów także rybacy, zajęci połowem wielorybów. Do największych zbrodni przeciw bóstwu należało w starej Japonii (650 r. przed Chr.) przeszkadzanie w uprawie roli lub tkactwie.

Jeżeli pewne artykuły żywności stają się rzadkimi skutkiem zbytecznego używania ich, zjawia się przezorne tabu, określające odnośne rośliny lub zwierzęta, jako święte i nietykalne. Podobnie określa się zwierzynę za nietykalną w pewnych okresach, przeznaczonych do rozmnażania się. To też tabu są na Markizach ryby (jeżeli widocznem jest, że ryby oddalają się z jakiejś zatoki, zabrania się rybołówstwa przy pochodniach), drzewo chlebowe w pewnych okolicach (gdzie staje się rzadkiem, nie wolno go używać do celów życia powszedniego), na Tonga świnie i drób (po wielkich, uroczystych biesiadach lub w razie, jeżeli grozi głód), w Hawaii nowe gatunki zwierząt domowych, sprowadzone przez Europejczyków, są przez 10 lat tabu, u Pelawczyków są przedmioty, stojące pod ochroną Blul, nieliczne: należą do nich rośliny kabuy, bunk, orzechy kokosowe i świnie, jeżeli przed jakiem świętem zachodzi obawa braku którego z tych artykułów, publikuje się odnośny Blul. Ponieważ pewien gatunek pieprzu jest przedmiotem namiętnego używania, powszechnie go się żuje, a z drugiej strony niezbyt łatwo schodzi i wymaga starannej uprawy, jest najczęściej przedmiotem Blulu. Tabu są dalej świnie i drób w czasie niektórych miesięcy w roku (na Markizach), rośliny, stanowiące artykuł pożywienia przez czas obciążenia nasieniem (w Australii). Ze względów ekonomicznych był tabu w Nowej Zelandyi przywieziony przez Europejczyków kozieł. Często są motywy rzekomo ekonomiczne pretekstem do pewnych zarządzeń o charakterze czysto politycznym np., by przeszkodzić zasiedzeniu.

Nie tylko momenty produkcyi wymagają bezwzględnego spokoju, nie tylko w czasie zasiewów i zbiorów, połowu ryb i polowania jest wszelkie niepokojenie społecznie szkodliwe, także w czasie

większych zgromadzeń ludzi, na których się porusza pewne pytania większej doniosłości dla całej grupy, musi panować zupełny spokój, a mianowicie na zgromadzeniach, gdzie się dysputuje lub głosuje nad kwestyami wewnętrznych lub zewnętrznych stosunków, gdzie się odbywają wspólne modlitwy lub składa ofiary bogom. Tak na Markizach panuje powszechny pokój w czasie narodowego święta (koika), a nawet dwa miesiące przed jego rozpoczęciem, gdyż sami bogowie są na zgromadzeniu obecni. Podobnie u Germanów droga na zgromadzenie (Dingweg) była świętą i nietykalną. Zgromadzenia stoją pod ochroną specyalnego bóstwa, którego obecność zaznaczały specyalne symbole — chorągwie. Zgromadzenie (Gauthing, obóz wojenny, zebranie gminy) zagajali kapłani uroczystą formułą, wzbraniającą wszelkiego niepokoju (*Ich gebiete Lust und verbiete Unlust*. Schröder D. G. 36, podobnie brzmi formuła Zurychskiej ordynacyi karnej z XV w. „*so verbannt mein Herr, der Vogt das Gericht, damit Niemand in das Gericht soll reden. Osenbrüggen, Alam. 48*). Kto złamał pokój na zgromadzeniu, wychodził z pokoju, stawał się friedlos (gebannt), zabicie człowieka na zgromadzeniu jest zbrodnią, karaną śmiercią (*unsühnbare Missethat* por. *Wilda Strafr. der. Germ. 241*).

Sakralnego charakteru gajenia zgromadzeń przez kapłanów dowodzi islandzki wyraz pingbelgi na oznaczenie pokoju na zgromadzeniu (Dingfrieden) i staro-norweski wyraz vêbänd=święte taśmy, okalające miejsce zgromadzenia.

Na wszystkich greckich uroczystościach ogłaszali heroldowie (ἱεροκήρυκες) pokój boży (θέρμα), szczególnie ważny jest w czasie igrzysk olimpijskich, oznacza tam powstrzymywanie się bitki (ἐκεχειρία). Jadącym na igrzyska zastrzeżono ἀσυλία καὶ ἀσφάλεια pod opieką Ζεὺς Πανελλήνιος. Kto łamał pokój, przez heroldów obwieszczony, podpadał karze, wymierzanej przez specyalny sąd elijski według ustawy olimpijskiej.

Niejednokrotnie już samo wejście z bronią na zgromadzenie jest naruszeniem uświęconego pokoju. Podobnie pokój boży był u Rzymian synonimem obecności i życzliwej opieki bogów (*pax deum, pax divum*) niezbędny przy każdej ważniejszej sposobneści (*supplicationes, precationes, vota*). Bardzo ważnemi zgromadzeniami są targi, bo, choć handel sam przez się nie jest produktywnym, to jest w każdym razie silną pomocą i niemal warunkiem produkcyi, ułatwia i dozwala terytoryalny podział pracy, umożliwia postęp techniczny. Dlatego targ, podobnie jak cmentarz (kościół), jest miejscowością świętą, szczególnie chronioną (u Germanów), dlatego też

każde przestępstwo, dokonane na tem świętem terytoryum, jest obrazą bogów. U Kabylów sprawca kradzieży, choćby małego kawałka mięsa, dokonanej na targu, staje się jako świętokradcą, przedmiotem zemsty tłumu, który ofiarowuje go bogom obrażonym.

Tego rodzaju neutralne pod opieką bogów stojące miejsca zgromadzeń kupieckich spotykamy na całej kuli ziemskiej. W Delphion wśród wzgórz między morzem Czarnem a Adryatyckiem znajdowało się bardzo ważne miejsce wymiany towarów, a tak w obrębie pojedyńczych krajów Grecyi, jak i na granicach dwu państewek odbywały się targi święte pod opieką specyalnych bogów i były miejscami spokojnego obrotu. Szczególnie żywy obrót handlowy rozwijał się na świętych miejscach, jak Olimpia, Delos, Delphi i inne, przy których obok nietykalności pokoju targowego występował jeszcze czynnik świętości pokoju świątyni.

Istniejący na zachodno-afrykańskiem wybrzeżu tajny związek sakralny Egboe, zwany także Efik, ma powstanie swe zawdzięczać wielkim targom na olej, które odbywają się wewnątrz Afryki między Calabar a Kamerunem. Ponieważ na targach tych często panowały nieporządki, co odstraszało Europejczyków, wytworzył się ów związek, jako rodzaj Hanzy, między najpoważniejszymi kupcami dla ochrony ich interesów, i związek ten uzyskał z czasem znaczenie polityczne średniowiecznej Femy, pełniącej obowiązki policyi. Charakter członka Egboe nadaje powagę i nietykalność.

Jeżeli w Guruli miały rozpocząć się dni targowe, ogłaszano pokój krajowy (boży), co umożliwiało Negrom zbierać się dla załatwiania interesów. Nie inaczej w wiekach średnich łączyły się targi z uroczystościami religijnemi i pielgrzymkami, klasztory były punktami centralnymi obrotu, lud napływał do siedzib biskupich i klasztorów na targi do kramów, pokój Boży świętego miejsca chronił także handel. Dlatego pierwotnie zajmują kupcy tylko place w pobliżu kościołów celem sprzedaży towarów w dniach targowych lub na wielkich targach rocznych. Włoskie statuta wymieniają jako epoki stojące pod ochroną pokoju Bożego na równi z okresem świątecznym, dni targowe. W razie, jeżeli dopuścił się kto czynu karygodnego w takim okresie, następowało zdwojenie kary. Podobnie w średniowiecznej Francyi lekkie uszkodzenia ciała podpadały pod małą grzywnę, natomiast występowały, jako kwalifikowane, w razie, jeżeli miały miejsce na targu lub w drodze na targ lub z powrotem (*en marcié ou en alant ou en venant du marcié... car tuit cil, qui sunt et conduit le coute et doivent avoir sauf aler et sauf venir* (por. *Warnkönig-Stein* Franz. R. G. III. 182). Sredniowieczny słup Rolanda, symbol

pokoju targowego i prawa targowego pozostaje zatem w ścisłem pokrewieństwie z signa Dei starych Germanów i bukietami ziół, reprezentującymi tabu.

Z czasem wytwarza się świadomość, że życie ludzkie chronić należy nie tylko wtedy, kiedy jego naruszenie łączy się z naruszeniem pokoju jakiegoś zgromadzenia, lecz także samo przez się. Początkowo chroni się tę część ludności, która ma znaczenie dla całej grupy społecznej: i tak przed wyprawą wojenną wojownicy są nietykalni i święci, przygotowują się do tego, podobnie jak rolnicy lub rybacy, postem (N. Zelandya), z tego tytułu też niewolno im miejsca, w którem się znajdują w danej chwili, opuszczać bez zezwolenia dowódcy.

Wyższa kultura lub też szczególnie nieszczęśliwe przypadki wytwarzają wyższą cenę materyału ludzkiego i ogólną ochronę wszystkich członków grupy. Dlatego w wypadku wielkiej śmiertelności całe wsi stają się świętemi (malajskie pomali), a wszelkie naruszenie pokoju pociąga za sobą wysoką karę.

W wypadkach tych wszystkie osoby w obrębie granic wsi lub miasta stają się nawzajem nietykalne. W Niemczech w wiekach średnich *intra fossam* zabicie pociąga za sobą karę śmierci, *extra fossam* opłaca się grzywną — kara śmierci czeka za *intra terminos et pacem occidere*, ogół mieszkańców stanowi jakby jedno zgromadzenie, bez przerwy trwające, a stojące pod opieką bogów. Nie daleką jest już chwila, w której morderca wszędzie i zawsze, gdzie i kiedy może popełnić zbrodnię, staje się ofiarą bogów. I tak jest on *sacer* w bajecznej epoce Numy. *Si quis hominem liberum dolo sciens morti duit, parricida esto. Parricida non utique is, qui parentem occidisset, dicebatur, sed quemcumque hominem indemnatum. Ita fecisse indicat Lex Numae Pompilii his composita verbis: si quis .. Parricida* w tym wypadku jest identyczne z *sacer* (por. Plut. Rom 22). W tej fazie zjawia się też reakcya społeczna na morderstwo w Peru, w Meksyku, w Egipcie. Już sam przelew krwi gniewa bogów — nabierają wstrętu do człowieka, który krew przelewa, musi się oczyścić, by bogom się podobać, by brać udział w religijnych uroczystościach i składać im ofiary. Jeżeli wogóle wszyscy ludzie od czasu do czasu muszą się oczyszczać (rzymskie lustrum), to przelewca krwi szczególnie do tego jest obowiązany. Sam Apollo kazał się oczyścić przez śpiewaka Chrysothemis z krwi Pythona. Ta krew przelana gniewa bogów tem więcej, im silniejszą jest wola odnośnego przestępcy krew tę przelać: przypadek, wina nieumyślna, a wina umyślna przedstawiają fakt w różnem świetle. Rzeczą sądu sakral-

nego (Sühngericht) jest rozstrzygać, na jakiej drodze może przestępca uzyskać przebaczenie i czy wogóle przebaczenie to jest możliwe w wypadku rozmyślnego morderstwa. Nakładanie pokuty i oczyszczanie morderstw należy do administracyi świętego prawa (ἱερὰ i ὅσια por. *Müller* Aeschylos Eumeniden 152). Mord, dokonany *prudenter*, nie może uledz przebaczeniu (expiare non posse), może być zgładzonym tylko przez śmierć z ręki kata lub z ręki własnej.

W starych Indyach do braminów należało rozstrzyganie, czy można bóstwo prosić o przebaczenie ofiarą (prâyaçcitta) i czy prawdopodobnem jest darowanie winy. Dlatego też sądy prâyaçcitta są sądami sakralnymi (Sühngerichte). Nie inaczej przedstawia się rozwój grecki. Delfi (ἑστία κοινὴ τῆς Ἑλλάδος) uchodzi za instytucyę wzorowych urządzeń i praw, tam powstał Delficki sąd sakralny, którego celem i zadaniem był wymiar pokuty i oczyszczania dla morderców (καθαρσία ἐπὶ ἀκουσίῳ φόνῳ). Sąd ten miał rozstrzygnąć, czy śmierć człowieka można odpokutować, względnie czy mściciel krwi winien, jest odmówić przebaczenia. tylko w pierwszym przypadku mogło nastąpić oczyszczenie. Według wzoru Delfickiego powstał cały system sądów krwi w Atenach, Sparcie i znacznej ilości greckich miast: za podstawę tego systemu przyjęto, że w razie rozmyślnego morderstwa musi nastąpić kara śmierci. Ofiara, bogom składana, zastępuje w tym wypadku samego przestępcę; tak jak np. rzymski baran, tak on sam winien być ofiarowany (Janusowi). *In Numae legibus cautum est, ut, si quis imprudens occidisset hominem, pro capite occisi agnatis eius in cautione offerret arietem* (Serv. in Verg. ecl. 4. 43 por. *Brunnenmeister* Tödtungsverbrechen 160 sq.) Wysoka cena życia ludzkiego pociąga za sobą także szanowanie życia dzieci. To też (w Rzymie) w razie śmierci kobiety ciężarnej należało jej wyciąć przed pogrzebaniem płód; kto działał inaczej, miał być ofiarowanym Jowiszowi. *Negat lex Regia (N. P.) mulierem, quae praegnans mortua sit, humari, antequam partus eae excidatur; qui contra facerit, spem animantis peremisse videtur, si quisquam aliuta faxit, ipsos Jovi sacer esto.*

Wysokie cenienie ludzkiego materyału wywołuje zakazy emigracyi: kto opuszcza wieś — podpada wygnaniu, staje się tabu (na wyspach Pageh). Ze względu na dobro publiczne stają się niektóre miejscowości nietykalne i dla nieuprawnionych niedostępne. Tak magazyny dla okrętów wojennych są tabu (na wyspach Salomońskich), mur, otaczający miasto, płot tabu (kto płot taki przełamał w Hawaii, stawał się *Loa* i ponosił śmierć), nie inaczej most (w Peru spalenie mostu było karane śmiercią). Pałac

miejski, główna ulica i place publiczne we Włoszech stały w wiekach średnich pod ochroną pokoju bożego. Przodkowie — bogowie mieszkają nie tylko w swych grobach i świątyniach, odwiedzają także miejscowości, gdzie pędzili życie doczesne, gdzie ich jeszcze wspominają i o nich myślą, gdzie im budują ołtarze lub przechowują maski woskowe. Dlatego d o m m i e s z k a l n y jest świętością; i tak, u Germanów uświęcały mieszkanie obrazy bogów, stojące przy domu, niejednokrotnie zaznaczały świętość nitki, dom otaczające, u Rzymian uświęcały dom maski przodków, ołtarz i ognisko, na Markizach oznaczają obecność bogów bukiety z zielska i białe wstęgi, zatknięte na domu, jako symbol *tapu;* podobnie na wyspach Fidżi, na Timor w miejsce tabu zjawia się pamali, w miejsce bukietów z zielska liście palmowe. U pierwotnych mieszkańców Brazylii używa się w tym samym celu nitek bawełnianych. Podobnie u Kabylów dom jest największą świętością (*Tout ce, qui se trouve dans l'enceinte du village est pour ainsi dire sacré... le foyer domestique est le sanctuaire de la famille et a droit à ce titre à une protection plus efficace encore* (*Hanoteau — Letourneaux* Kobylie III 237 — 239). W Irlandyi były różne perymetrye domowego pokoju, a to według społecznego stanowiska: od powierzchni rzutu lancy aż do 64 i więcej. Dla wysokiego stanowiska domu charakterystycznym jest ceremoniał rewizyi domowej. Według włoskiego zwyczaju przekraczający próg domu winien ofiarować bogom domowym z talerza wysoko wzniesionego libacyę, szukający musi wejść nieprzepasany (*lösgiwidir, lösgiorde* u Germanów), ażeby właściciel domu „nie miał żadnej obawy przed nim" (podobnie według prawa staro-litewskiego). U Greków winien przeszukający dom być ἄζωστος i przekroczyć próg przy wezwaniu bogów (ponieważ domem opiekuje się Ζεὺς ἑρκεῖος, ἑρκαῖος). Jeszcze w średniowiecznych włoskich statutach występuje specyalny pokój domowy, podobnie w niemieckich. Naruszenie tego pokoju domowego jest ciężkiem wykroczeniem przeciw bogom domowym, sprawca staje się tabu, *sacer*, *gebannt* (*friedlos*). Wkroczyć do domu obcego w złym zamiarze stanowi w klasycznej starożytności świętokradztwo. U Germanów jest zbrodnią nie do przebaczenia (*unsühnbare That*—karana śmiercią) zabicie kogoś w obrębie jego pali (domu). Jeszcze w XIII w., według ustaw króla szwedzkiego Birgera Jarla, kto narusza pokój domowy, staje się wyjętym z pod prawa.

Największą zbrodnią jest zburzenie domu, gdyż skutkiem tego traci rodzina swoje *sanctissimum:* zbrodniarz musi być ofiarowany bogom opiekuńczym (*Qui aedes acervumve frumenti juxta domum posi-*

tum combusserit, vinctus, verberatus igni necari (XII tab.) *jubetur* — Gaius l. IV ad XII. tab. D. 47. 9). Jeżeli się porówna zwyczajną formę *Deo necari, Cereri necari* z *igni necari*, blizkiem jest przypuszczenie, że *ignis* w tym wypadku oznacza boga, mianowicie fetysza Westy, bogini ofiar i ogniska domowego, która przez spalenie domu bezpośrednio jest dotkniętą). Do domu należy pole, go otaczające, będące tylko przedłużeniem domu (*Lares, agri custodes. Religio Larum posita in fundi villaeque conspectu*) i skutkiem tego stoi także pod opieką bogów, których obecność zaznaczają znane symbole, jako to: otoczenie wałem (Hawaii) lub szeroki, nieuprawiony pas ziemi z małymi blokami kamiennymi lub pniami drzew (późniejsze posągi Terminusa w Rzymie), dwa patyki, związane na krzyż (wyspy Salomońskie, Samoa), białe chorągwie (Hawaii), nitki jedwabne (Germanowie) i t. d. Niejednokrotnie sakralny charakter tych znaków podnoszą specyalne ceremonie w Rzymie; *pater familias* w pewnych dniach miesiąca i roku obchodził uroczyście swe pole po pasie ziemi, je otaczającym, śpiewając hymny i składając ofiary — także przy sposobności zakładania Terminusa. To też każde naruszenie pokoju pola jest świętokradztwem, którego społeczeństwo nie może tolerować, podobnie kradzież polna, która pociąga za sobą ofiarowanie przestępcy bogini ziemi i jej owoców (*Frugem aratro quaesitam noctu pavisse ac semisse puberi XII tabulis capital erat, suspensumque Cereri necari jubebant — Bruns Fontes. 20.*, podobnie w Atenach — *Letourneau* Justice 330., u Hindusów por. *Dalton* Ethnology of Bengal. 294), jak wogóle bezprawne wtargnięcie np. dla celów polowania (w Australii, w Nowej Zelandyi) lub zabicia właściciela na jego polu (Germanie) lub zmiany granic (w Rzymie pociągało to za sobą ofiarowanie Terminusowi: *Numa Pompilius statuit, eum, qui terminum exarasset, et ipsum et boves sacros esse);* podobnie w Meksyku naruszenie granic było ciężką zbrodnią, nie inaczej w Tahiti, w Peru, lub sprowadzenie wody na własne pole przez zmianę kierunku rzeki, jak w Peru.

G d z i e m a ł ż e ń s t w o u c h o d z i z a b o s k ą i n s t y t u c y ę, gdzie skutkiem tego zawiera się je przy zachowaniu religijnych ceremonii, tam cudzołóstwo jest ciężkiem wykroczeniem przeciw bóstwu. Tak, w Peru prezydował żyjący Inka (o charakterze boskim) przy uroczystym akcie zaślubin, to też cudzołóstwo było ciężkiem przestępstwem; w Munda-Kohl (Calcutta) spotyka się religijne obrzędy przy zaślubinach, tam też cudzołózcę wypędza się ze wsi kijami; z podobnych względów karze się cudzołóstwo w Meksyku kamienowaniem. Nawet u starych Aryjczyków uchodzi cudzo-

łóstwo za równe kazirodztwu i za zbrodnię przeciw porządkowi Varuny i Mitry, bo też małżeństwo uchodzi za nierozerwalne. U Rzymian było cudzołóstwo jedną z największych zbrodni, gdyż sacra miał wykonywać syn po ojcu; jeżeli objął je ktoś obcy, miało to dla Manów znaczenie takie, jak gdyby rodzina wymarła: popadali w zapomnienie i wieczną nędzę; groby familijne, ognisko familijne staje się nieczystem, splamionem przez obecność obcego. (*Car la première règle du culte est que le foyer se transmette du père au fils, or l'adultère trouble l'ordre de la naissance. Fustel de Coul.* Cité 106). To też Romulus pozwolił trybunałom rodzinnym wydawać na żonę wiarołomną wyrok śmierci. Ciężką zbrodnią jest kazirodztwo: rozumie się przez nie małżeństwo z osobą tego samego totemu (kobongu), przyjmuje się mianowicie, że bóstwo (w niem wcielone) kazirodztwo obraża. Poglądy te spotykamy wszędzie: w Australii, w Oceanii, u mieszkańców pierwotnych Ameryki, u tubylców afrykańskich lub indyjskich, u starych Aryjczyków, Żydów. Dlatego też jest zadaniem naczelników, względnie ojców rodziny z obu stron badać, czy między nupturyentami zachodzi pokrewieństwo. Dlatego też surowo jest wzbronionem mówić lub nawet patrzeć na osoby spowinowacone: teściową lub krewne żony.

Społeczny utylitaryzm przybiera także w innych kierunkach formę norm sakralnych. Tak, u starych Aryjczyków zhańbienie bezbronnych dziewic jest wykroczeniem przeciw porządkowi Varuny i Mitry, używanie niektórych zakazanych napojów w Indyach jest obrazą bogów, również nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu, które w Meksyku u młodych ludzi karze się śmiercią, nieinaczej przyjmowanie podarunków i przekupstwo u sędziego, nieuczciwość opiekuna względem pupila, sprzedaż małżonki bez powodu (karą jest ofiarowanie bogom podziemnym w Rzymie, καταχθονίοις θεοῖς), naruszenie obowiązków patrona względem klienta lub perduellio (sacer Deo tutelari urbis por. *Brunnenmeister* 168 sq.). W rozmowie z kobietami są pewne wyrazy zabronione (Mikronezya), podobnie przestępstwem jest ślepego wyprowadzić na manowce, naruszyć prawo obcego, sierot i wdów; bić kogoś pokryjomu lub brać pieniądze w celu zgładzenia niewinnego było cherem u Żydów.

C. Naruszenie interesów klasy silniejszej.

W rozstrzyganiu o tem, co jest społecznie szkodliwem, co jest niemoralnem, względnie przestępstwem, biorą znaczniejszy udział

jednostki lub klasy silniejsze, niż jednostki lub klasy słabsze. Odnosi się to tak do siły fizycznej, a stąd także przewagi płci, jak i siły majątkowej lub wynikającej z pewnych praw, nabytych w drodze dziedziczenia. U ludów dzikich lub nawet pół cywilizowanych rozstrzyga siła fizyczna o stanowisku społecznem, dlatego też kobieta ma stanowisko tem niższe, im dzikszym jest odnośny lud: kobieta jest początkowo bydlęciem jucznem i środkiem do zaspakajania popędów płciowych. Stosunek ten mężczyzny do kobiety uświęca z biegiem czasu religia (tak jak uświęca wogóle dany stosunek sił społecznych), przyjmując, że bóstwo umyślnie zrobiło kobietę słabszą i mniejszą od mężczyzny w tym celu, by mężowi była posłuszną. U pogańskich Munda Kohl (Calcutta) mawiają kobiety: „nas uczynił Singbonga mniejszemi od was, mężczyzn, dlatego was słuchamy... was dał Bóg obu rękami, nas jedną". Mężczyźni zaś mówią: „Jak nas Bóg obu rękami dał, tak uczynił nas też większymi. Wszak myśmy się nie zrobili sami większymi? On ludzi podzielił na wielkich i małe. Jeżeli nie słuchacie rozkazów męża, to występujecie niewątpliwie p r z e c i w r o z k a z o w i B o g a". (*Jellinghaus* Z. f. Ethn. III. 331). Później dopiero powstaje przy społecznem grupowaniu przewaga jednego mężczyzny, silniejszego od innych: przywódcy, naczelnika — z czem łączy się zwykle także powstanie klasy rządzącej —z rodziny najbliższej przywódcy. Skutkiem tego podwójnego różniczkowania jest w regule zjawisko, że w społecznej klasyfikacyi najsłabszym członkiem grupy jest kobieta — z ludu, najsilniejszym mężczyzna — będący przywódcą. W małem połączeniu społecznem, w r o d z i n i e zachowują znów rodzice (przynajmniej do pewnego czasu) przewagę nad dziećmi; od przewagi tej zależą często przywileje starych wobec młodych. Skutkiem siły jest wpływ na tworzenie norm społecznych, świętych, sakralnych nakazów i zakazów. Naczelnicy, pochodzący od bogów i będący sami bogami, mają nieograniczone prawo tabuowania (wydawania rozkazów pod bannem): jeżeli kapłani biorą na siebie czasem publikowanie tych rozkazów, to jednak źródłem ich są naczelnicy. Naczelnicy mają władzę w tym kierunku nieograniczoną, a skutkiem tego jest, że rzecz tabuowana jest wyjętą z obiegu dla klas niższych. T a k n a c z e l n i c y, j a k i c h r o d z i n y i i c h p r z y n a l e ż n i (t. zw. wyższa, silniejsza klasa, od początku są święci (tabuowani). Wykształcony czy nie, bramin jest bóstwem potężnem, podobnie jak ogień, bez względu na to, czy poświęcony, czy nie. To też wtedy nawet, kiedy bramin oddaje się jakiejś brzydkiej namiętności, powinien być stale czczonym, gdyż ma w sobie coś boskiego (ib. IX

319). Nie należy lekceważyć monarchy nawet jeszcze w jego dzieciństwie, nie należy mówić: to zwyczajny człowiek, jak każdy inny, gdyż potężne bóstwo wzięło na siebie ludzką postać, król jest ogniem, wiatrem, słońcem, geniuszem księżyca, królem sprawiedliwości, bogiem bogactw i wód, władzą niebios. W Poe klasy tabuowane (Dwija) z Ariki na czele mają uprzywilejowane stanowisko w stosunku do ludu, jest to ten stosunek, co greckiego ἥρως (od αἴρω), jako wyniosłego (stąd Ἄρης) do δῶμως (od δαμάω). Niejednokrotnie (jak u Żydów) specyalnie namaszcza się naczynie Boga.

P o d o b n i e m ę ż c z y z n a w s t o s u n k u d o s w e j ż o n y j e s t ś w i ę t y m. Dla kobiety niema innego Boga na ziemi, jak jej mąż. Najlepszy uczynek, jakiego może dokonać, jest starać się o to, by mu się podobać, okazując najzupełniejsze posłuszeństwo; to ma być jej jedyne nabożeństwo — jakimkolwiek będzie, kobieta ma mieć przeświadczenie, że jest jej bogiem (Padma—Purana); to też mąż na tej zasadzie ma prawo zakazu i nakazu wobec żony—może jej zakazać używania pewnego przedmiotu, mówiąc: przedmot ten to twoi przodkowie. Stosunki te wytwarzają następujące konsekwencye: kobieta nie może jeść pewnych potraw, mianowicie tych, które uchodzą za łakocie szczególnie smaczne. I tak mięso głowy renifera jest u Lapończyków kobietom wzbronionem, w Masai (w Afryce) jedzą wojownicy (mężczyźni) właściwe mięso, wnętrzności i głowę zwierzęcia oddają kobietom i dzieciom, w Australii ryby i żółwie są dla kobiet tabu, gołębie są dozwolone tylko dla brzemiennych, w Rzymie było wino dla kobiet *sacrum* (εἴ τις οἶνον εὑρεθείη πίουσα γυνή... θανάτῳ ζημιοῦν συνεχώρησεν ὁ Ῥωμύλος. Dion. 2. 25), kobietom nie wolno wchodzić do łodzi (na Markizach) lub do tej części namiotu, gdzie złożono żywność (u Samojedów i Ostjaków), do świątyni (Moraï w Polinezyi), do domu fletowego, w którym mężczyźni radzą, palą, obchodzą uroczystości, przyjmują obcych (w centralnej Brazylii), nie może dotykać wołów (u Beczuanów), nie wolno kobietom często towarzyszyć mężowi przy jedzeniu, jak na wyspach Salomońskich, Markizach, na Hawaii, w Indyach, nie wolno dotykać głowy męża i należących do niego przedmiotów (na Markizach), u Ostyaków wprost nie ma imienia. Nawet po śmierci te nieludzkie istoty są podporządkowane mężczyznom; jeżeli zmarli prowadzą życie zagrobowe w gwiazdach, to mężczyźni mieszkają w wielkich gwiazdach, kobiety i dzieci w małych. P o d o b n e d o s t a n o w i s k a k o b i e t z a j m u j ą d z i e c i, podobnie wstrzymywać się muszą od niektórych potraw (emu, kanguru w Australii, wieprze w Tahiti), rezerwowanych dla starszych. P o d o b n i e j a k k o b i e t y m ę ż c z y z-

nom, młodzi starym, tak podporządkowanym jest lud naczelnikom (klasom wyższym). Człowiek z ludu może być zabity lub wywłaszczony bezkarnie. Kikimos na Markizach są materyałem ofiarnym. Wszystko, co świat zawiera, jest własnością bramina, przez swe pierworodztwo i wysoki ród ma on prawo do wszystkiego, co istnieje. Bramin je własną tylko żywność, ze szlachetności tylko zezwala na to, że inni ludzie korzystają z dóbr tego świata. Bramin, będący w potrzebie, może zupełnie spokojnie przywłaszczyć sobie rzecz, należącą do Sudry, swego niewolnika, i to bezkarnie, gdyż niewolnik nie ma nic na własność. Kara za zabicie członka klasy niższej (jeżeli wogóle wchodzi w zastosowanie) odpowiada karze za zabicie psa, krokodyla, kruka lub sowy, kary istnieją zresztą właściwie tylko dla ludu, gdyż naczelnicy (wogóle klasa wyższa) mogą popełniać zbrodnie prawie bezkarnie. Kara śmierci spotyka tego, kto, z niższego stanu pochodząc, bezcześci córkę lub żonę naczelnika (u dawnych Tagalów), choćby nawet rzucić cień na króla lub jego dom jest ciężką zbrodnią, podobnie iść nad jego głową, dotknąć jego lub przedmiotów do niego należących (Nowa Zelandya, Monbuttu w Afryce środkowej), a tem więcej je uszkodzić, jeść potrawy, zostawione przez niego (Monbuttu, Nowa Zelandya), w pałacu królewskim lub w jego obecności rozpocząć spór i wszcząć hałas (u Longobardów), zbliżyć się do miejsca, gdzie naczelnicy i kapłani jedzą (Markizy), jeść owoce kawowe i kokosowe, dla nich zastrzeżone (Kusaic), tem więcej zabić kogoś z wyższej klasy. Niema w świecie większej zbrodni, jak zabić bramina. Z uprzywilejowanego stanowiska rodziców w stosunku do dzieci wynika, że rodzice są dla nich święci i nietykalni, a ktoby ich obraził, staje się ofiarą bogów. U Żydów przeklętym (cherem) jest, kto rodziców obraża, podobnie w Rzymie: *in regis Romuli et Tatii legibus. Sinurus... sacra divis parentum estod in Servi Tulii hoc est si parentem puer verberit ast ille plorasset paren!... puer divis parentum sacer esto* (*Bruns*. 8. 353).

Juliusz Makarewicz.



W SPRAWIE NAUCZANIA

HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ.

W Nr. 16 „Przeglądu Pedagogicznego" pani J. Moszczeńska wystąpiła z artykułem: „Jakie czytanie indywidualność zabija?", który zawiera tyle poglądów nowych i niezwykłych, że nasunął mi kilka uwag ogólnych, któremi pragnę podzielić się na tem miejscu z czytelnikami.

Punktem wyjścia dla autorki jest dość często spotykany w naszem społeczeństwie objaw, iż w większości wypadków ludzie polegają na przytoczeniu cudzego zdania, nie starając się wyrobić sobie własnego. „Dość ogólną cechą współczesnych ludzi wykształconych jest wielka bierność umysłowa, rozleniwienie i niedołęstwo, objawiające się w tem, że przeciętnemu inteligentnikowi (!) łatwiej przychodzi w każdej kwestyi dziesięć cudzych poglądów przytoczyć, niż jeden własny sformułować". A dalej: „dziś mało kto sam przez się wie, jak się na co zapatrywać, właściwie zaś nikomu się nie chce zapatrywać na nic samodzielnie, o ile to jego samego nie dotycze, i każdy woli kosztem jakich ośmiu do dwunastu rubli rocznie prenumerować sobie cudze poglądy, niż silić się na wyrobienie własnych". Stąd, mówi dalej autorka, bezgraniczne zaufanie, jakiem darzy się

krytyków literatury, których zapatrywania powtarza się w salonach, buduarach, na koncertach i rautach. „Większość czytelników, biorąc do ręki nową powieść, zawczasu dowie się z dziennika lub tygodnika, którego redakcyę zaufaniem darzy, czy jest to rzecz, która mu się ma podobać, czy też taka, którą ganić należy, a bierność umysłu ludzkiego i ślepa wiara w drukowane recenzye dochodzi czasem tak daleko, że ludzie sprzeczają się o wartość książek, których nie czytali sami, lecz które czytał Chmielowski, Chrzanowski, Choiński i t. p.".

Oskarżenie to społeczeństwa, śmiałe i otwarte, zawiera bezsprzecznie pewną dozę prawdy, dobrze podpatrzonej, lecz z drugiej strony jest ono zbyt surowe i bezwzględne: zapał prokuratorski unosi p. Moszczeńską zbyt daleko. Nie napróżno nazywają nas narodem indywidualistów i dodają, iż, gdzie nas dwu, tam dwa zdania, jeśli nie więcej. Objaw, podkreślony przez p. Moszczeńską, chociaż, według jej zdania, zabijający indywidualność, pod pewnym względem byłby nawet bardzo dodatni. Krytyka nasza, o jakąbądź pomawialibyśmy ją stronniczość, na punkcie uwielbienia arcydzieł, zwłaszcza mistrzów nieżyjących, zgadza się bezwątpienia; gdyby więc w samej rzeczy, jak twierdzi autorka, publiczność kierowała się „owczym pędem" przyjmowania na wiarę sądów sprawozdawców i historyków literatury, nie możnaby się uskarżać na brak powodzenia tych arcydzieł. Tymczasem daje się zauważyć objaw wręcz przeciwny: dzieła poważne, owoce mrówczej pracy i życia całego olbrzymów wiedzy i talentu, butwieją na półkach księgarskich, a romansidła, o których się zwykło mówić, że są w sam raz dobre dla kucharek, rozchodzą się pokryjomu w tysiącach egzemplarzy; przedstawienia arcydzieł literatury dramatycznej odbywają się przy temperaturze absolutnego zera i przy kilkunastu widzach, a tymczasem ściany trzęsą się od oklasków i uciechy na „Ciotce Karola", „Papie Pepy" i innych tym podobnych bękarciętach Melpomeny.

I w tem właśnie tkwi przyczyna tej nieskończenie ważnej roli, jaką przedmiotowa i uczciwa krytyka odgrywa w społeczeństwie. Ale nim przejdziemy do tej kwestyi, zobaczmy, jakie p. Moszczeńska upatruje przyczyny owego braku indywidualizmu, o jaki nas posądza.

Źródło tego objawu, zdaniem autorki, „bardzo łatwo odkryć w wychowaniu i jest zadaniem wychowawców źródła te zatamować." Słuszna bardzo uwaga: takim bowiem jest naród, jakim go wychowanie uczyniło, czego dowody niejednokrotnie mieliśmy w hi-

storyi. Ale cóż dalej? Oto p. Moszczeńska stawia tego rodzaju wątpliwej wiarogodności tezę: „Samo wyuczanie się mechaniczne i wydawanie lekcyi z podręczników, choć z innych względów na potępienie zasługuje, jest dla indywidualności uczniów wględnie mniej (!) niebezpieczne, niż nadmiar objaśnień, nieustanne komentowanie komentarzy i ciągłe pokazywanie palcem wszystkiego, co godne uwagi, w obawie, że zniedołężniały (?) wzrok dzieci sam niczego nie zobaczy i niczego nie odszuka." A dalej autorka przechodzi do kwestyi najdrażliwszej. Ta wada nauczania, t. j. ciągłe myślenie nauczyciela za ucznia — powiada — występuje najjaskrawiej przy wykładach literatury; są to bowiem właśnie takie lekcye, przy których „możnaby najwięcej samodzielność umysłową uwzględniać i rozwijać, a które najskuteczniej służą do jej przytępienia." A czemu? Gdyż — mówi p. Moszczeńska w dalszym ciągu — nauczyciel w większości wypadków wysuwa na plan pierwszy swoje własne komentarze, zamiast przemawiać do uczniów słowami poety, inaczej mówiąc, poprzestać na samem cytowaniu utworów; „zbyt często zapomina się o tem, że znajomość literatury nie polega na znajomości tego, co o różnych poetach i autorach pisano, lecz tego, co oni pisali sami, i że podawanie gotowych sądów o dziełach nieznanych (?) rozwija w młodzieży nie rzeczywistą, ale pozorną uczoność, skłonność do pozowania na erudytów i do blagi." I, jeżeli nawet cytuje się urywki utworów, to zupełnie opacznie, przez co chybia się celu; „arcydzieła literackie traktuje się tak, jak gdyby to były okazy do historyi literatury, jak gdyby one były argumentami do poglądów historyków i krytyków, — a nie te właśnie poglądy komentarzami i przypiskami do dzieł. Jakążbyśmy odczuwali rozkosz estetyczną— mówi z ironią p. M. — przy czytaniu „Farysa" lub „Smutno mi, Boże!", gdzieby „każdy wiersz miał jeden lub dwa odnośniki i szereg przypisków na każdej stronicy"; a wreszcie wywody autorki zamykają się następującem oświadczeniem: „wolałabym stanowczo czytanie arcydzieł literackich bez żadnych objaśnień, prócz tych chyba, o które dzieci same poproszą". I więcej: niechaj nauczyciel ze swoich pedantycznych zapatrywań nie robi „zakopconych okularów", niechaj nawet „nie wyręcza uczniów w wybieraniu rzeczy najpiękniejszych, nie reguluje zachwytu wedle ustanowionego termometru i nienarzuca zdań, których uczniowie podzielać nie mogą".

A więc —precz z komentarzami, krytykami, sprawozdawcami!

Natchnienie poety, czarowne słowo piękna i poezyi, instynkt estetyczny młodzieży, młode, gorące serca — same sobie bez „zakopconych okularów" wystarczą. Piękne to hasła, wielkie słowa, lecz — czy im odpowiada rzeczywistość? Komentarze i krytyka istnieją niemal tak dawno, jak literatura sama; jakąż rolę odgrywają one w nauce, pedagogii i społeczeństwie?

Nie wdając się w długie wycieczki historyczno-filologiczne, w kilku słowach skreślimy zadania komentarzy i komentatorów tak ściśle - naukowe, jak i ogólno - narodowe i, o co w danym razie najbardziej chodzi, wychowawcze.

Zadania te są liczne i najróżnorodniejsze. Przedewszystkiem, praca u podstaw, zmudna i niewdzięczna, dla ogółu publiczności nieznana i nie popłacająca w kierunku efemerycznejpopularności dnia dzisiejszego — to krytyka tekstu. Już od czasu Pizystrata, a zwłaszcza uczonych aleksandryjskich, t. j. od chwili, kiedy zaczęto się zastanawiać nad płodami twórczości duchowej, zgodzono się na to, że tego rodzaju praca, aczkolwiek mozolna i drobnostkowa, stanowi niezbędny punkt wyjścia, trwałą podwalinę, dając krytycznie sprawdzony materyał do wywodów estetyczno-literackich. I niechaj nikomu się nie zdaje, że krytyka tekstu istnieje li tylko w zastosowaniu do autorów starożytnych; i u nas pod tym względem jest jeszcze bardzo wiele do zrobienia. Nie mówię tu już o autorach ww. XVI— XVIII, których przedruki, zwłaszcza późniejsze, jeżą się ohydnymi dziwolągami, gwałcącymi już nie tylko gramatykę, ale i niejednokrotnie wprost logikę; lecz nawet popularne wydania poetów-romantyków XIX stulecia w wielu miejscach są tak niepoprawne, że bez sprostowań niepodobna ich dać w rękę młodzieży. Aby się o tem przekonać, dość otworzyć w pierwszem lepszem miejscu chociażby lipskie wydanie Słowackiego czy Krasińskiego, a nawet niewytrawne i nieuzbrojone lupą krytyki filologicznej oko dostrzeże rażące błędy, od których usunięcia rozpocząć należy studyowanie danego autora. Potrzeba wydań filologicznych rośnie wraz z zamiłowaniem do zabytków literatury ojczystej; a wydawnictwa „bibliotek pisarzów polskich", ospałe i sporadyczne, nie mogą zadośćuczynić tej potrzebie—cały szereg pereł pierwszej wody czeka na oczyszczenie z mułu omyłek i błędów drukarskich właśnie *ad usum scholarum.* I tu już więc, na tym pierwszym stopniu umiejętności estetyczno-literackiej, pedantyczny i nudny filolog-komentator przydaje się i bardzo.

Ale nie na tem koniec. O stopień wyżej stoją komentarze językowe. P. Moszczeńska w swoim artykule cytuje Mickiewi-

cza i Słowackiego na dowód, że wielcy poeci trafią do serc bez komentatorów, tak, jakgdyby przed Mickiewiczem i Słowackim nie było piśmiennictwa, albo, jakgdyby wszystko, co było przed nimi, nie było godnem poznania. A jednak mielibyśmy za bajbardzo takiego nauczyciela literatury, któryby nie odczytał swoim uczniom „Bogarodzicy”, urywków „Żywota” Reya, „Odprawy posłów greckich”, „Trenów” Kochanowskiego, „Sielanek” Szymonowicza, „Kazań Sejmowych” Skargi, „Satyr” Opalińskiego, „Wojny Chocimskiej” Potockiego i t. d.! Rzecz prosta, że w każdym z tych urywków napotkamy dziesiątki wyrazów, zwrotów, terminów, których uczeń bez pomocy nauczyciela nie pojmie, chyba, gdyby się chciał uciekać do Lindego, co nie zawsze jest rzeczą łatwą. Wobec tego zapewne wiele piękności w tych zabytkach myśli, uczucia i wyobrażeń ludzi z przed 3—4 wieków obiłoby się o uszy uczni, jako puste dźwięki, co naturalnie na ów pożądany rozwój samodzielności duchowej nie wpłynęłoby najznakomiciej.

To samo można powiedzieć o objaśnieniach rzeczowych z tą jedynie różnicą, że obejmują one zakres o wiele szerszy od poprzednich. Zawierają się tu nie tylko komentarze wprost do tekstu, bezwątpienia, zwłaszcza w zastosowaniu do autorów staropolskich niezbędne. Weźmy bowiem rzecz, która najbardziej może trafić bezpośrednio do serc młodocianych, np. „Treny” Kochanowskiego; jeżeli nas uczeń nie zapyta o znaczenie takich wyrazów, jak Prozerpina, Pluton, Charon, Niobe, łzy heraklitowe, Safo, Orfeusz i t. d., bądźmi pewni, że cała lektura dla jego biernego i leniwego umysłu przeszła bez wrażenia. P. Moszczeńska śmieje się z takich wydań arcydzieł, w których do każdego wiersza byłoby po kilka odnośników, jakby nie wiedząc, że takie wydania w naszej literaturze istnieją, a ich znakomitym przykładem może być wydanie jubileuszowe dzieł Kochanowskiego, a daj Boże! by dla użytku tak szkolnego, jak i wogóle miłośników literatury było ich jak najwięcej.

Do obszernego działu tych komentarzy należą i te, do których dostarczają danych biografie poetów i autorów, boć i same biografie nie są niczem innem, jak pewnego rodzaju obszernymi komentarzami do utworów. Chodzi tu mianowicie o to, wśród jakich warunków, wśród jakiego otoczenia, pod jakimi wpływami powstało to lub inne arcydzieło, np. „Pan Tadeusz”, „Beniowski”, „Nieboska Komedya” lub „Skargi Jeremiego”. Bez tego częstokroć nie potrafilibyśmy ani zrozumieć danego utworu, ani ocenić dostatecznie jego doniosłości, jego znaczenia w życiu społecznem i narodowem. Gdy-

byśmy odrzucili ważność tego rodzaju komentarzy, wszelkie dociekania biografów byłyby jednym wielkim nonsensem; cóż bowiem może nas obchodzić prywatne życie Mickiewicza czy Krasińskiego, jeżeli z arcydziełami ich twórczości nie ma ono żadnego związku i do zrozumienia „Dziadów" czy „Nieboskiej" nie przyda się wcale. Naturalnie wszędzie należy utrzymać miarę; odwiewać plewy od ziarna: byłoby np. rzeczą mocno niepedagogiczną wyliczać wszystkie romantyczne epizody życia Słowackiego, wszystkie perypetye stosunku Krasińskiego do p. Bobrowej lub Delfiny.

Biografie wieszczów mają jedno jeszcze ważne nader znaczenie: uchylają rąbek tej tajemniczej zasłony, za którą w świętym przybytku swego ducha, swej genialnej intuicyi poeta tworzy, dają nam materyał do wyświetlenia tego pełnego uroków procesu składania się w duszy wieszcza obrazów poetyckich i przelewania ich na papier w skrystalizowanej formie piękna. Do tego samego celu służą b a d a n i a p o r ó w n a w c z e, które w naszej nauce literatury od lat kilku zyskały prawo obywatelstwa. Rzecz prosta, nie mówię tu o przesadnych objawach tego kierunku, nie mówię o tych dociekaniach jałowych, które na złudnem podobieństwie kilku zwrotów lub nawet wyrazów budują całe sztucznie napiętrzone gmachy t. zw. genez; jest jednak rzeczą niezmiernie ciekawą, s k ą d genialny poeta brał farb do swoich obrazów i j a k z danego mu przez innych materyału skorzystał, jak go przekształcił i obrobił. Na tem polu praca komentatorów i krytyków jest zaledwie zaczętą, i, dokąd nas ona zaprowadzi, przewidzieć trudno; w zastosowaniu zaś do pedagogii nie chodzi o to, by wtajemniczać uczniów w cały aparat porównawczo-erudycyjny, lecz z ogólnymi i krytycznie stwierdzonymi rezultatami tych studyów nie tylko można, ale nawet należy zapoznawać uczniów, naturalnie w formie przystępnej.

Wreszcie — k o m e n t a r z e e s t e t y c z n o - l i t e r a c k i e, najmocniej przez p. M. zakwestyonowane. Wchodzą one w zakres k r y t y k i literackiej, gałęzi umiejętności, bez której obecnie niepodobna byłoby wystawić sobie ruchu umysłowego Europy! Praktyczne zastosowanie postulatów p. M. doprowadziłoby do zupełnego zaniku sprawozdań, recenzyi, rozbiorów literackich i t. d.; każdy przeczytałby sam najnowsze utwory literatury pięknej, bez niczyjej pomocy wyrobiłby sobie sąd o nich — pośrednictwo kogoś trzeciego między autorem a czytelnikiem byłoby zgoła zbytecznem. Postarajmy się dotrzeć do jądra kwestyi.

Zadaniem k r y t y k i, jak sama nazwa wskazuje (gr. *krino* — s ą d z ę), jest s ą d z i ć, o c e n i a ć, w y r o k o w a ć, krytyki e s t e-

tycznej (*aisthesis* — czucie, wrażenie) — oceniać na podstawie wrażenia, jakie rzecz dana w nas wywołuje. Jak psychologia uczy, dwa są podstawowe elementy tych wrażeń: mogą być one przyjemne lub przykre. To najpierwotniejsze zasady estetyki: pięknem jest to, co jest przyjemnem, co budzi zadowolenie, radość lub zachwyt, brzydkiem to, co dla naszych zmysłów jest przykrem, co wywołuje wstręt, odrazę, bojaźń. Nie wdając się w szczegółowy rozbiór tych pojęć, zaznaczę jedynie, że potrzeby estetyczne istnieją u wszystkich niemal ludów, na najrozliczniejszych szczeblach cywilizacyi, lecz wyraz ich, jak zresztą wszystko w stosunkach ludzkich, jest rzeczą najzupełniej względną: jeden potrzebę rytmu dźwiękowego wyrazi w bezładnym wrzasku i ogłuszającym zgiełku tam - tamów, inny będzie upatrywał niezgłębionych tajników w muzyce Chopina. Upierać się przy tem, że poza tem wszystkiem istnieją jednak jakieś ogólno-ludzkie, powszechne i jedyne w sobie instynkty estetyczne, jakieś niewzruszone kanony form estetycznych, wrodzone każdemu człowiekowi, byłoby przy obecnym stanie etnologii rzeczą co najmniej dziwną.

Więcej jeszcze: ściśle rzeczy biorąc, nawet dla poszczególnego narodu kanony takie nie istnieją, każda bowiem warstwa ludności, każda klasa, każda profesya ma swoje upodobania, gusta, ideały, a wreszcie i powszechnie znane przysłowie *de gustibus non est disputandum* stwierdza, że i w kwestyach estetycznych „co głowa — to rozum".

A jednak pomimo tego zróżniczkowania są pewne ideały, czczone przez cały naród lub nawet całe narody, są arcydzieła, którym miana tego nikt nie odmówi. Czem się to dzieje?

Przedewszystkiem, aby zażegnać wszelkie nieporozumienia, zastrzeżmy się, że tego rodzaju określenie, jak „cały naród", należy pojmować bardzo względnie i rozumieć pod niem li tylko t. zw. inteligencyę, ludzi, dla których i przez których istnieje literatura piękna. Co zaś do owych ogólno-ludzkich arcydzieł trzeba zauważyć, że przedewszystkiem są one wyrazem charakteru, temperamentu, składu uczuć pojedyńczego narodu i tylko dzięki pewnej wspólności cywilizacyjnej narodów Europy mogą przejść i do literatur obcych, nie tracąc mimo to swego pierwotnego narodowego charakteru: Prometeusz będzie zawsze rwącym się ku boskiemu światłu piękna i dobra Grekiem, Manfred — chorującym na spleen Anglikiem, Faust — filozofującym burszem niemieckim. W naszej literaturze nie znajdziemy rodzimo-polskich Faustów, Hamletów, Manfredów, gdyż tego rodzaju typy nie płyną z naszego charakteru naro-

dowego: za to znajdziemy u siebie rubachę-zawadyakę Twardowskiego, potężnego płomiennem uczuciem Konrada. Byronowskie postacie Słowackiego, Garczyńskiego będą zawsze robiły wrażenie intruzów, którzy racyę bytu w naszem społeczeństwie mogą znaleźć chyba w tej cesze naszego charakteru narodowego, którą tenże Słowacki dobitnie skreślił w wyrazach „pawiem narodów jesteś i papugą".

Ostatecznie więc wszystko zaczyna się i kończy na pojedyńczym narodzie. On jest tą komórką, gdzie tworzą się i rozwijają pojęcia estetyczne. Naród, jak osobnik ludzki, nie stoi w miejscu, lecz ulega rozwojowi duchowemu, zmienia się, ma swoje okresy zastoju i chwile podniecenia. Względnie do tego rozwijają się i pojęcia estetyczne; co nas bawiło w dzieciństwie, na to w wieku dojrzałym patrzymy z uśmiechem politowania, co budziło entuzyazm w wieku młodzieńczym, to na starość staje się obojętnem. Olbrzymia przepaść, jaka dzieli oświeconego Europejczyka od Papuasa, została wykopaną przez stopniowy rozwój kultury, wespół z którą wzrastają i wymagania pięknoznawcze. Pewien stan psychologii narodu, przy którym mogą powstać dane wymogi artystyczne, jest rezultatem wielolicznych i skombinowanych warunków: etnograficznych, geograficznych, historycznych, ekonomicznych, społecznych, które możemy objąć jednem ogólnem mianem warunków społeczno-historycznych. Ale jak jedna i ta sama komplikacya sił *caeteris paribus* da w rezultacie jedną i tę samą wypadkową, tak pewien kompleks warunków, w jakich pewien odłam ludzkości o pewnych zasobach sił psychicznych postawimy, musi zrodzić zawsze pewien ideał dobra i piękna, zawsze jeden i ten sam. Ideał dobra krystalizuje się w formie bądź opinii publicznej, bądź ostatniego jej wyrazu—prawodawstwa, ideł piękna znajduje wcielenie w arcydziełach sztuki i literatury, jakie dany naród w danej epoce stwarza, oraz w sposobie, w jaki społeczeństwo na arcydzieła owe reaguje.

To, co mówimy na tem miejscu, nie przeczy bynajmniej temu, co stwierdziliśmy powyżej o upodobaniach klasowych, profesyjnych, indywidualnych; estetyka nie jast nauką opisową, lecz teoretyczną; nie stwierdza tego, co jest, lecz przedstawia to, co być powinno, idealne formy bytu. Jak istnienie ogólnego dla całego narodu kodeksu moralnego nie wyklucza możności dla każdej jednostki sformowania sobie swojej etyki i swojej moralności, tak ogólno-narodowe kanony estetyczne są jedynie dalekim ideałem, od którego potrzeby i dążenia artystyczne klanowe, partyjne lub indywidualne

mogą znacznie odbiegać lub iść nawet w przeciwnym wprost kierunku.

Jednem słowem, kanon estetyczny dla danego narodu jest w danym czasie jeden, zastosowany do warunków, wśród których żyje ów naród, a raczej od nich zależny, na ich podwalinach oparty. I to jest najwspanialszy wykwit ducha narodowego w danej epoce, najbujniejszy kwiat jego cywilizacyi: żadnych zboczeń, żadnych uchyleń od tych najwyższych norm piękna i prawdy. Wszystko, co poza owe normy wychodzi, będzie żywiołem napływowym, sztucznym, brudną czy choćby lśniącą wszystkiemi barwami tęczy pianą na powierzchni narodu, w którego głębinach kryje się spokój i potęga; a jak piana o byle podmuch wiatru się rozpryśnie, tak egzotyczne kwiaty symbolizmów, modernizmów, nietscheanizmów, nie sięgające korzeniami do głębi ducha narodu, więdną i gasną po jednodniowym żywocie.

Zbliżamy się ku końcowi naszych wywodów. Zadanie krytyki estetycznej polega na sądzeniu, ocenianiu dzieł sztuki i literatury, a kodeksem obowiązującym, jedynem kryteryum w tym sądzie i podstawą wyrokowania jest właśnie ów kanon estetyczny, jedyny dla danej epoki i danych warunków. Poza nim, względnie do czasu i miejsca, niema piękna, niema poezyi, i być ich nie może; każdy pisarz, każdy poeta jest przedewszystkiem synem swojego narodu i dla swojego narodu pisze — powodzenie jego u obcych jest rezultatem przyczyn mniej lub więcej przygodnych i wypadkowych; mrzonki o ogólno-ludzkich ideałach estetycznych pozostaną zawsze—mrzonkami

Tutaj kryje się wielkie i trudne posłannictwo krytyki: stać na straży owych ideałów narodowych, tego „narodowego pamiątek kościoła", strzedz ich czystości, baczyć, by nie obniżył się ich poziom, by nie skalały się w brudzie codziennych trosk i zabiegów, by, idąc śladem obcych, na fałszywe nie zeszły tory—ku manowcom. Jeżeli zanik indywidualności w tym kierunku jest rzeczą smutną, to nadmierny jej rozwój, zbytnia wybujałość byłyby wprost zgubne: w ogólnym chaosie, któryby się wtedy wytworzył, zgubiliśmy klucze od owego świętego dla nas wszystkich przybytku, zgubilibyśmy poczucie łączności narodowej. Jeżeli poeci są w tym kościele kapłanami, to urząd ten nie mniej słusznie przystoi i krytykom, którzy, trzymając rękę na pulsie życia duchowego narodu, stanowić mają najwyższy trybunał w sprawach twórczości i piękna. Czy w samej rzeczy ci i owi krytycy umieją lub chcą sprostać temu wielkiemu zadania—to rzecz inna; nam chodzi o ogólną zasadę.

W zastosowaniu do szkoły ten sam obowiązek spada na tych, którym przypadło w udziale zaznajamiać młodzież z tworami literatury ojczystej. Myli się p. Moszczeńska, sądząc, że wszystkie komentarze nie zdadzą się tu najzupełniej. Wprowadzać młodociane umysły w zaczarowany świat poezyi i piękna, budzić zamiłowanie do arcytworów fantazyi i uczucia, wytwarzać ów nastrój duchowy, który pozwala odczuwać piękno artystyczne i przejmować się niem głęboko — oto podniosła i zaszczytna misya uczących. „Najznakomitszy poemat nie może się podobać człowiekowi, który dla niego w duszy niema rezonansu", powiada p. M.; ależ właśnie wytworzenie możności owego rezonansu, odlewanie szlachetnego śpiżu, czułego na każdy dźwięk harmonijny, leży na barkach szkoły i wychowawców. I owszem: niechaj ten śpiż brzmi jak najdonioślej, w przeciwnym razie, jeżeli w młodsze pokolenia nie zaszczepimy miłości ku ideałom narodowym, jeżeli owego śpiżu nie nastroimy na kamerton uczuć i dążności wspólnych, w ogólnem rozprzężeniu zgubimy takt, harmonię, a chór rezonansów zmieni się w piekielną wrzawę głosów rozdźwięcznych, w których każdy, natrętnie, coraz głośniej powtarzając nutę swego indywidualizmu, będzie się starał inne przekrzyczeć.

Nie obawiajmy się, że komentowanie przez nauczyciela autorów zabije indywidualność dzieci, pozbawi zmysłu estetycznego Przeciwnie! Ażeby stanąć na poziomie wymagań estetycznych, dajmy na to, naszego narodu w chwili bieżącej, trzeba wielu studyów, wiele pracy, wiele tresury umysłowej, by zdobyć w krótkim stosunkowo czasie to, co jest rezultatem ewolucyi duchowej narodu w ciągu tysiącolecia; w dzieciństwie tresura ta przychodzi najłatwiej, lecz ku temu niezbędną jest życzliwa ręka doświadczonego przewodnika, którył wśród labiryntu krzyżujących się ścieżek wskazał szlak prosty — ku krainie piękna, wśród tysiąca autorów i dzieł wybrał te, które zbogacić mogą umysł i serce. Nie łudźmy się szumnymi frazesami o wrodzonych instynktach estetycznych i nie pozostawiajmy samym dzieciom wyboru książek ani wyrokowania o nich, bo kto wie, czy system taki nie skrzywdziłby Mickiewiczów i Słowackich na rzecz Mayne-Reid'ów i Verne'ów, jeżeli nie czegoś jeszcze gorszego, zwłaszcza u dorastającej młodzieży. Jeżeli bowiem dorośli przekładają sensacyę lub skandal w romansie czy na scenie nad arcydzieło, to cóż dopiero mówić o dzieciach? i gdyby przeprowadzić wywiady statystyczne poczytności książek, kto wie, czy „Tajemnice dworu madryckiego" nie zajęłyby poczesnego miejsca przed „Iliadą", „Boską Komedyą", „Faustem".

Ażeby zaś tego rodzaju smutnych objawów było jak najmniej, należy już w młodych umysłach wzbudzać entuzyazm ku dziełom wielkim i pięknym, a wtedy rzeczy małe i brzydkie wyginą dla braku czytelników. Jedno tylko zastrzeżenie: niechaj ten, kto interpretuje arcydzieła poezyi wobec młodzieży, nie będzie takim pedantem, o jakim mówi p. M. w swoim artykule; niechaj sam tę poezyę kocha niepodzielnie sercem całem, niechaj posiada zapał i entuzyazm, jeżeli zapał i entuzyazm chce wzbudzać, niechaj czuje ważność swojej misyi i w sobie samym przedewszystkiem odpowiedni nastrój podniesienia duchowego i pewnego rodzaju kapłaństwa wywoła, a wtedy w najpiękniejszym ustępie Słowackiego nie będzie wynajdywał niekonsekwencyi i nonsensów. Bez tego nic się nie da zrobić!

W ustosunkowaniu cytat i komentarzy w wykładach literatury należy trzymać się zasady „złotego środka"; nie można wydawać wobec uczniów sądów o rzeczach „nieznanych", ale i same gołe cytaty bez odpowiedniego rozbioru nic nie pomogą. A ponieważ metoda indukcyjna jest jedynie racyonalną w wychowaniu, więc też uważałbym za rzecz o wiele pożyteczniejszą, aby cytaty poprzedzały wykład, właśnie w celu zaprawiania uczniów do samodzielnego wnioskowania o rzeczach; dlatego też bez odpowiednich wypisów wykłady historyi literatury czy nawet stylistyki oraz teoryi prozy i poezyi jest rzeczą najzupełniej chybioną.

Nie skazujmy na ostracyzm komentatorów wszelkiego rodzaju, krytyków, historyków literatury, nauczycieli, ale bądźmy nielitościwi dla tych, co niegodnie przystępują do tego posłannictwa, ze złą wolą lub bez odpowiedniego przygotowania! Tacy, co sączą jad w duszę dziecka i starca, co, sami wyziębioną mając duszę, warzą w zawiązku najpiękniejsze kwiaty uczucia i wyobraźni, co, sami przywykli do nurzania się w bagnie, innych ściągają w błoto z niebotycznych wyżyn ducha, ci zasługują, by do nich z całą bezwzględnością zastosowano hasło: „Precz z komentatorami!..."

Henryk Galle.



O błędach w hygienie mieszkań

SŁÓW KILKA.

„Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie,
jako smakujesz, aż się zepsujesz“.

Ile wartości, ile życiem stwierdzonej prawdy zawierają te słowa naszego wieszcza z Czarnolasu! Prawdą bowiem wielką, dla której stwierdzenia codzienne niemal mamy dowody, jest, że wartość zdrowia tylko po jego utracie należycie ocenioną być może. Mimo ciągłych i olbrzymich postępów w naukach przyrodzonych, którebyśmy z łatwością dla siebie, dla zdrowia swego uzyskać mogli, w życiu codziennem skorzystać z ich praktycznej doniosłości nie chcemy lub nie umiemy.

Wobec przesadzonych obaw przed jakąś panującą epidemią (cholerą naprzykład) gotowiśmy zamknąć się bodajby w sterylizowanej epruwetce, poddać się kuracyi głodowej, obawiamy się wysunąć nosa za drzwi mieszkania, — jeść, pić, oddychać, a często nawet i... myśleć, gdy tymczasem przy najprzyjaźniejszych warunkach ogólnej zdrowotności, codziennie przez prostą niechęć czy też lenistwo popełniamy błędy hygieniczno-dyetetyczne, które zapewne stokroć więcej od szkodliwości cholerycznych mikrobów na szali zdrowia naszego zaważą.

Dzięki wpływowi cywilizacyi nauka o zachowaniu zdrowia czyli hygiena coraz szersze prawo obywatelstwa zyskuje, ponieważ jednak już w szkołach nauczono nas uczyć się nie dla siebie, lecz dla nauczyciela, więc nic dziwnego, że i tu, jak zwykle, teorya i praktyka toczą się po dwu drogach równoległych, a więc, jak chcą zasady geometryi, nigdy się z tobą w przestrzeni (t. j. i w życiu) niespotykających. A jednak każdemu z nas wiadomo, o ile łatwiej przy dobrych chęciach ustrzedz się choroby, niż się jej pozbyć.

Że mieszkanie, w którem większą część życia swego spędzamy, ważny wywiera wpływ na zdrowie, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Nie od rzeczy też będzie słów kilka poświęcić błędom przeciwko najelementarniejszym zasadom hygieny, jakie w tym kierunku najczęściej popełniamy. Nie mam ani zamiaru, ani możności wyczerpania w krótkim szkicu całego przedmiotu; chciałbym tylko wytknąć błędy kardynalne, większości czytelników może nie obce, ale ustawicznie popełniane, a przeto na przypomnienie zasługujące.

Doświadczenie uczy nas, że niezmiernie ważną pod względem hygienicznym rzeczą jest stosowny podział mieszkania, a raczej wybór pokojów sypialnych, dziecinnych i do pracy służących, podział, którego często wprawdzie jedynie dzięki warunkom lokalnym, a więc np. nieodpowiedniemu rozkładowi mieszkania lub wielkości pokojów, nie można należycie dokonać. Daleko częściej jednak i te braki dałyby się przy dobrych chęciach usunąć; niestety, staje tu na przeszkodzie albo brak chęci, albo jakieś średniowieczne uprzedzenie. Na pokoje sypialne zwykle wybieramy najgorszą część mieszkania. A przecie w sypialniach cały prawie swój czas spędzają dzieci, dla których zdrowia bez porównania więcej trzeba wygód i odpowiednich warunków, aniżeli dla ludzi dorosłych, bardziej już zahartowanych na wszelkie życiowe niedogodności. W naszym klimacie pokoje mieszkalne (*resp.* sypialne) nie powinny być zwrócone ku północy, a więc i mieszkań w domach, tylko na północ frontem zwróconych, należy bezwarunkowo unikać. Na poparcie tego hygienicznego prawidła dość przypomnieć sobie sposób otrzymywania tak zwanych „karłów” czyli roślin karłowatych, coraz więcej rozpowszechniających się w naszych ogrodach przez hodowanie ich w miejscach, zwróconych oknami ku północy. Słusznie twierdzi Réclam, że, wybierając na sypialnie pokoje, na północ zwrócone, skazujemy siebie i dzieci na chorobliwą karłowatość. Najodpowiedniejszemi, według tegoż autora, sypialniami są pokoje, zwrócone na wschód, ze względu na dopływ świeżego powietrza zrana i z powodu chłodu w letnie gorące wieczory. Wszakże i strona zachodnia

oraz południowa nadaje się na pokoje sypialne. Na północ zato mogą być zwrócone: jadalnia, pokój bawialny lub pracownia.

Niema chyba jednak nic bardziej szkodliwego dla zdrowia, jak sypianie w alkowach, które mają raczej wygląd podziemi lub piwnic, niźli pokojów mieszkalnych; zwyczaj zasłaniania kotarami jedynych możliwych środków wentylacyi, t. j. otworu, łączącego alkowę z pokojem, tamując i tak już utrudniony dostęp powietrza, powiększa jeszcze znacznie szkodliwość ich, jako sypialni.

Biorąc przeciętnie, prawie połowę życia swego spędza człowiek w sypialni, to też łatwo zrozumieć, o ile ważnym jest jej wybór. Pomijając nawet kwestyę braku powietrza, a raczej zastąpienie go gazami, częstokroć trującymi, które, jako produkty życiowe utlenienia, nie tyle może, co inne wydzieliny, nieprzyjemnie drażnią nasze powonienie, lecz które nie mniej są szkodliwymi, — przypomnieć należy o braku światła, bez którego życie organizmów wyższych istnieć nie może. Bezbarwne, o długich i ciężkich łodygach, w ciemnościach piwnic wyrosłe kartofle, jako wytwory chorobliwe, niech będą tego dowodem. Hodowane w ciemności kijanki albo zupełnie nie przeistaczają się w żaby, lub też przemiany, jakim zwykle ulegają, są w takich warunkach wstrzymane.

Z drugiej strony, nie mniej ważnym jest wpływ światła słonecznego na drobnoustroje i grzybki chorobotwórcze; dowiedziono bowiem, że wiele z nich od światła słonecznego ginie, a więc zamiast uciekać się do dezynfekcyi dajmy dostęp światłu słonecznemu tam, gdzie dużą część życia swego spędzamy, niech ono raczej spełni obowiązki karbolów, sublimatów i innych mikrobobójczych materyi.

Warto także i na to zwrócić uwagę, że zwykle wybieramy do sypialni obicia ciemne, naprawdę nie wiedzieć dlaczego. Ponieważ pochłaniają one zbyt dużo zbawiennych promieni słonecznych, należy ich przeto stanowczo unikać. Rolety powinny być urządzone tak, by mogły się podnosić ku górze (a nie tak, jak zwykle bywa, opuszczające się na dół), aby można było, ochraniając siebie od rażących wzrok i palących promieni słońca, jednocześnie pewną część ich z góry do pokoju wpuścić.

W imię zdrowia winniśmy raz na zawsze zarzucić przesąd, że „szanująca się” rodzina musi przedewszystkiem posiadać piękny salonik, winniśmy raczej pozbawić się tego zbytku, przeznaczając najlepszy i najwięcej warunkom zdrowotności odpowiadający pokój na sypialnię.

Wszyscy chyba wiemy, jak bardzo szkodzą zdrowiu mieszka-

nia wilgotne; na wilgoć narzekamy ciągle, bo przypomina nam o niej tysiące różnych dolegliwości, a jednak, dziwna rzecz, najwilgotniejsze nawet mieszkanie, byleby tylko „w dobrym punkcie” i jako tako zewnętrznie się przedstawiające, napewno znajdzie lokatora. Nie mówię tu o tych, których konieczność twarda do zamieszkiwania bodajby sutereny zmusza, ale o tych, którzy z pełną świadomością, dla rachunku, na ołtarzu bożka wieku — rubla — zdrowie swe i życie składać gotowi. Że taka ofiara do niczego nie prowadzi, że rachunek taki tylko narazie przedstawia się korzystnie w rubryce dochodów, to rzecz jasna, jak słońce; powszechnie wiadomo, że domy, świeżo pobudowane, zawsze są wilgotne, a jednak, — niech tylko stanie nowy dom „w dobrym punkcie”, a właściciel jego niezbyt wygórowane ma żądania, wszystkie lokale w ciągu krótkiego czasu znajdą amatorów niezawodnie.

Jeżeli już konieczność zmusza nas do najmowania wilgotnych mieszkań, należy przynajmniej wszystko, co można, uczynić, by szkodliwość wilgoci dla zdrowia zmniejszyć. Nie trzeba więc zapominać o możliwie częstem przewietrzaniu ,mieszkania i o jednoczesnem i regularnem przepalaniu w piecach, co na usunięcie, a przynajmniej zmniejszenie wilgoci znakomicie wpłynąć może; warto również pamiętać o odsuwaniu przed spoczynkiem od wilgotnej ściany łóżka (na co także uwagi nie zwracamy), a przecie, jeśli wilgoć wogóle jest szkodliwą, to najszkodliwszem chyba dla zdrowia jest sypianie przy ścianie wilgotnej.

A ileż to razy zmuszeni jesteśmy do stoczenia formalnej walki, kiedy chodzi o przewietrzenie mieszkania przez otworzenie lufcika; z obawy narażenia się na chwilowy bodaj „przeciąg” wolimy truć się ciągle zepsutem powietrzem, niż pozbyć się wiekowych przesądów; a naprawdę, stokroć mniej zaszkodzić mogą „przeciągi” (których zresztą prawie zawsze uniknąć można), niźli stałe i ciągłe oddychanie zabójczą, duszną atmosferą.

Zakres mego artykułu nie pozwala na ocenę różnych sposobów sztucznej wentylacyi; poprzestanę więc tylko na przypomnieniu, byśmy z tych, jakie mamy, skorzystać zechcieli. Chyba otworzenie lufcika, a w razie potrzeby jednoczesne przepalenie w piecu wielkiego z naszej strony poświęcenia nie wymaga. Tak zwane „oberlufty”, chociaż może w teoryi więcej wymaganiom hygieny odpowiadające, w praktyce, zdaniem mojem, w zupełności chybiają celu, techniczne bowiem trudności przy ich otwieraniu i zamykaniu zmuszają nas zwykle do wyrzeczenia się przyjemności przewietrzenia

mieszkania. Natomiast starodawnemu, a coraz rzadszemu już „lufcikowi” należy się słowo uznania.

Zwrócę w dalszym ciągu uwagę na szkodliwy dla zdrowia, a nader na nieszczęście rozpowszechniony zwyczaj nagromadzania mnóstwa drobnych, a zupełnie niepotrzebnych przedmiotów w mieszkaniach, zwłaszcza w sypialniach, — co ze stanowiska hygieny stanowczo potępić należy,—między innemi, zawieszanie na ścianach pokojów mieszkalnych zbyt wielkiej ilości fotografii, obrazów, zasłania-nia drzwi kotarami i t. d. Powierzchnia ścian, pokryta wystającymi przedmiotami, utrudnia wymianę powietrza, same zaś przedmioty, jak nas codzienne doświadczenie naucza, stają się zbiornikami kurzu, który, ulegając gniciu, z konieczności zwiększa ilość produktów utlenienia, nader dla zdrowia szkodliwych; prócz tego tylna powierzchnia wiszących na ścianach obrazów i fotografii służy często za schronienie dla robaków, najczęściej pluskiew. Zostawmy więc wszystkie te ozdoby dla salonów, jeśli już tak zwyczaj każe, unikając ich wszakże w sypialniach.

Zgubnem jest także dla zdrowia przechowywanie w pokojach sypialnych brudnej bielizny, starej odzieży i obuwia, które wonią swoją psują powietrze. Jeżeli więc warunki lokalne tak się składają, że innej cząstki mieszkania na przechowywanie bielizny i odzieży przeznaczyć nie możemy, o to przynajmniej dbać należy, żeby były, o ile można najlepiej, t. j. hermetycznie zamknięte; zalepienie szczelin w szafach i szufladach, choćby nawet grubym papierem już pewną w tym kierunku korzyść przynieść może, zmniejszając ich przenikliwość dla szkodliwych zdrowiu wyziewów.

A teraz słów kilka jeszcze o jednej, bardzo ważnej pod względem hygienicznym kwestyi: pospolicie nie zwracamy najmniejszej uwagi na temperaturę mieszkań. Najodpowiedniejszą dla zdrowia jest temperatura między 14^0 a 15^0 ciepłomierza Réaumur'a. Jaką jednak temperaturą raczą nas nasze służące, najczęściej nie wiemy ściśle, bo posiadanie termometru pokojowego zwykle uważamy za zbytek. Znam domy, które zaczynają palić w piecach dopiero z nadejściem astronomicznej zimy, a odtąd już bez względu na zmiany w otaczającej nas atmosferze posługują się jednakową prawie ilością materyału palnego codziennie. Początek wiosny znów przypomina im, że palić w piecach nie wypada; zwyczaj ten wprawdzie ściśle tylko na kolejach żelaznych bywa przestrzeganym pomimo narzekań pasażerów, ale i w domu własnym nieraz go tolerujemy. A niech, co nie daj Boże, zachoruje kto w domu, to kuracya zaczyna się od napalenia w piecu i podniesienia temperatury do granic tropi-

kalnego ciepła, przy jednoczesnem najściślejszem zamknięciu wszelkich środków wentylacyi. Wiemy przecie, ile to chorób pochodzenie swe zawdzięcza przeziębieniu (bodaj czy nie większości ich, chociaż nie zawsze słusznie, taką przyczynę gotowiśmy przypisywać), a najczęstszem właśnie źródłem przeziębienia jest narażenie się na gwałtowne zmiany temperatury. Trudno wprawdzie nieraz, nawet przy najlepszych chęciach, ściśle zadośćuczynić wymaganiom hygieny w tym kierunku; z tem wszystkiem posiadanie termometru pokojowego i regulowanie ciepła zapomocą palenia w piecu lub jednoczesnej wentylacyi nie przedstawia niepokonanych trudności. W pokoju, w którym przebywa chory, temperatura nigdy granicy 15 — 16 stopni przekraczać nie powinna.

Tak więc wiele popełniamy wykroczeń przeciwko hygienie mieszkań, pomimo, że, jeśli gdzie, to tutaj właściwe przysłowie: „chcieć—to módz" może być najłatwiej zastosowane. Uwolniwszy się od „domowych wrogów", stale i ciągle nurtujących i podkopujących nasze zdrowie, uczyńmy dom swój warownią, mniej dostępną dla pocisków tysiąca mikrobów i bakteryi, a widmo najstraszniejszych chorób w rodzaju cholery lub dżumy mniej strasznem wydawać się nam będzie.

Dr. Bohdan Korybut-Daszkiewicz.



Rozbiory i Sprawozdania.

Adolf Fischer: „Wandlungen im Kuntsleben Japans“, Berlin, 1900.

Niedawno ukazała się w Niemczech książka o sztuce japońskiej podróżnika i estetyka Fischera, który odbył podróż do Japonii i na miejscu, pod opieką rządu japońskiego, zapoznał się z zabytkami sztuki, a wchodząc osobiście w stosunki przyjaźni z artystami, zdołał zdać sobie jasno i dokładnie sprawę z prądów w dziedzinie sztuki. Autor głównie zajmuje się secesyą japońską. Gdyby więc kto chciał z jego dzieła poznać sztukę staro-japońską, spotkałby go zawód, gdyż autor uwzględnia ją wprawdzie, ale dość pobieżnie. Lecz posiadamy w literaturze niemieckiej inne cenne dzieło Seidlitza: „Historya drzeworytnictwa japońskiego“. Otóż, zanim zaczniemy streszczać książkę Fischera, podamy krótką charakterystykę malarstwa japońskiego na podstawie dzieła Seidlitza, aby ułatwić czytelnikowi zrozumienie wywodów Fischera.

Malarstwo japońskie różni się, podobnie jak i chińskie, tem głównie od nowszego malarstwa europejskiego, że obywa się bez środków bezpośredniego złudzenia, nie zna cielesności, poprzestając na sukcesie dekoracyjnym, chociaż dzięki rozwiniętemu darowi spostrzegania u Japończyków może obudzić w widzach w wysokim stopniu pozór żywości. Przestrzeń nie stanowi u nich nieprzerwanego zagłębienia (przynajmniej w czasie rozkwitu ich sztuki), jest tylko zaznaczoną przez szereg kulis. Ludzie i przedmioty nie posiadają na tle tej przestrzeni zaokrąglenia, nie rzucają cieni; odpowiednio do wymagań sztuki chińskiej uchodzi cień za coś przypadkowego. Przedmioty ani nie odbijają promieni słonecznych, ani nie przeglądają się same w poblizkich przedmiotach; najlepiej widać to na wodzie. O jednolitem oświetleniu, zmieniającem barwę w pewnym oznaczonym

kierunku, o światło-cieniach niema naturalnie mowy. Nadto jest symetrya ciał u postaci zwykle dowolna częścią skutkiem nieuwagi, częściej wynikiem świadomego siebie celu.

Nieruchomość oblicza tłómaczy się osobliwą etykietą Japończyków, która zaleca ciągle obojętną powagę, a doprowadza do tego, że kobietom golą brwi, usta malują na kolor niebiesko-czerwony, a twarz pociągają warstwą pudru. Ale i ciała pozostają w spokoju, graniczącym z martwością; lekkie zaokrąglenie, na które pozwalają wolne, swobodne suknie, zaledwie dostrzegalne wygięcia muszą wystarczyć do określenia charakteru przedstawionej osoby. Wymiana uczuć nie ma też tych objawów, co u nas; uścisk ręki jest nieznanym, pocałunek nie należy do dobrego tonu, niema zwyczaju chodzić z kimś pod rękę.

Próbowano tłómaczyć odrębność malarstwa wschodnio-azyatyckiego technicznymi powodami, mającymi swe źródło w lekkiej budowie małych domów, w braku ścian dość silnych, by mogło rozwinąć się malarstwo istotnie monumentalne, w używaniu tak prostych środków, jak farby wodne i tusz, w postawie, zajmowanej odpowiednio do miejscowych zwyczajów przez malarzy przy malowaniu; w Japonii malują bowiem artyści, leżąc na ziemi, skutkiem czego obraz widzą niejako z perspektywy powietrznej, a że nadto jest w zwyczaju zwijanie płótna w wałki, nie mogą ogarnąć wzrokiem całości. Prawdą jest, że z malarstwem olejnem, które zdołałoby łatwo wywołać przewrot, Azyaci nie zaznajomili się. Gdyby nie wybuchy wulkanów, nawiedzające Japonię w regularnych odstępach czasu i nie pozwalające budować silnych ścian murowanych, doczekałoby się z pewnością malarstwo japońskie ogromnego rozwoju. Atoli z równą stanowczością można twierdzić, że jego ogólny charakter i kierunek nie uległy zmianie, o czem łatwo przekonać się z podobieństwa rozwoju dawniejszej sztuki w Europie. Właściwość kraju i tryb życia może wywołać, co prawda; różnicę czysto miejscowej natury, ale nigdy wpływać na istotę sztuki.

Naśladowanie jest u Japończyka tylko środkiem, wiodącym do celu, nie zaś celem. Doskonałość pod tym względem nie budzi jego podziwu, inaczej zaszedłby on wobec niezwykłego talentu do bystrej obserwacyi o wiele dalej, niż jest w istocie. Natura jest dla niego jedynie materyałem, z którego malarz czerpie rzeczy, niezbędne dla uzmysłowienia swych ideałów, swego specyalnego smaku. Malarstwo uchodzi zresztą, za przykładem Chin, nie za technikę, rzemiosło, lecz za zajęcie równe kaligrafii. Jest więc wolną sztuką, rozrywką możnych, bardzo wykształconych ludzi, przyczem idzie tu nie tyle o zręczność i technikę, jak o czystość uczucia, wzniosłość myśli, smak wyboru, słowem, o indywidualną siłą twórczą. To zrównanie malarstwa z kaligrafią tłómaczy nie tylko dekoracyjny charakter sztuki japońskiej, ale i nadzwyczajną swobodę, której zawsze przestrzega sztuka japońska mimo dążności do formalistyki. Istota kaligrafii polega bowiem, według pojęć chińskich, na możliwej doskonałości w wyrażeniu tego, co chcemy wyrazić, i to zapomocą jak najprostszych środków. Japończyk ani myśli mówić tego wszystkiego, co ma do powiedzenia, postacie wykańczać uchwytnie, przestrzeń wypełniać i wzdłuż, i wszerz, masy rozczłonkowywać przez podział i symetryczne powtarzanie: wszystko to oddaliłoby go od celu i tamowało polot fantazyi. Japończyk ogranicza się do rzeczy najistotniejszych dla swego celu, stosuje formy natury z pełną swobodą i równomiernością, tworzy zarys z możliwą prostotą i wyrazistością.

Że w Japonii panuje świadomy siebie cel, świadczą najlepiej zdania dwu

Japończyków. Jeden z nich, Suzan, wyraził się w roku 1777: „W malarstwie istnieje rodzaj, zwany naturalistycznym, który postawił sobie za zasadę malować kwiaty, trawy, ryby, owady, dokładnie według natury. Jest to osobny styl, nie zasługujący zapewne na pogardę, ale, że usiłuje tylko przedstawić kształty rzeczy, nie uwzględniając reguł sztuki, musi razić pospolitością i nie może mieć pretensyi do dobrego smaku. W dawnych czasach ceniono wysoko w obrazie wystudyowanie sztuki malowania zarysu i praw smaku, bez naśladowania natury“. Drugi, Matoori, największy uczony i pisarz współczesnej Japonii, mówi: „Istnieje obecnie mnóstwo stylów, które chcą uchodzić za naśladowanie stylu chińskiego. Uważają one za punkt honoru malować każdy przedmiot w zupełnej zgodzie z przyrodą. Będzie to zapewne, o ile sądzę, t. zw. sztuka realistyczna. Nie przeczę, że zasada jest sama przez się wyborna, a jednak twierdzę, że między przedmiotami rzeczywistości a ich odtworzeniem w malarstwie musi istnieć pewna różnica“. Zastanawiając się następnie nad różnicą między pojęciami japońskiemi a chińskiemi, udawadnia, że Chińczycy są realistami, że ich widoki są bezładne, naszkicowane tam, gdzie powinny być pełne, a przeładowane, gdzie powinien być szkic. Ich ptaki i owady nie latają i nie chodzą, liście i drzewa nie mają zarysów; sądzą bowiem, że, gdy w rzeczywistości niema różnicy między przedmiotem a jego tłem, należy naśladować przyrodę przez opuszczenie tych linii. W końcu oświadcza się Matoori stanowczo za k o n w e n c y o n a l i z m e m japońskim.

Charakterystyczną jednak cechą sztuki japońskiej jest wypełnianie konwencyonalnych form treścią coraz świeżą, czerpaną z natury. Rozwój afiszów europejskich, który powstał pod wpływem Japonii, stanowi pierwszy krok w ożywieniu całej naszej sztuki, przedewszystkiem malarstwa monumentalnego. To, do czego my zmierzamy, było tam od wieków przygotowane. A mimo zupełnie odmiennych warunków jest sztuka Japończyków dla nas o wiele bliższą, niż ta sama sztuka z własnej przeszłości, z którą zatraciliśmy wszelki kontakt mimo całego podziwu, jaki żywimy dla jej tworów. Od sztuki japońskiej o wiele bliżej do greckiej, owego nieśmiertelnego ideału, niż do romantycznej, która ciągle chciałaby u nas wszechwładnie panować.

Oto w jaki sposób charakteryzuje Seidlitz sztukę japońską.

Przejdźmy teraz do książki Fischera. Jej układ jest chaotyczny: autor spisywał wrażenia od ręki, tak, jak mu się cisnęły pod pióro. W sprawozdaniu niniejszem jednak będziemy systematyczni, ujmując treść dzieła w następujące działy: 1) szkoły malarskie w Japonii, 2) malarstwo staro-japońskie, 3) secesya japońska, 4) rzeźba, 5) muzea i zabytki archeologiczne, 6) pisma artystyczne.

Jak wspomnieliśmy, autor usiłuje odmalować przedewszystkiem wpływ sztuki europejskiej na japońską; jest to wpływ świeżej daty, bo dopiero po rewolucyi z roku 1868 nastąpił w Japonii przewrót zupełny pod względem politycznym, i zmieniło się jej stanowisko w świecie. Z konieczności zaszła najpierw reorganizacya armii i marynarki, poczem wkroczyła cywilizacya europejska. Nie wynika z tego, jak to utrzymują szowiniści japońscy, by Japonia stała na wysokości państwa europejskiego, pierwszorzędnego pod względem kulturalnym. Mimo armat, kolei, telegrafów możnaby Japonię porównać z taką Serbią lub Bułgaryą, z tą tylko różnicą, że ma ona za sobą starą, wysoką cywilizacyę. Pierwszy impuls do zaprowadzenia sztuki europejskiej dał rząd japoński przed 21 laty, powołując do życia „Szkołę dla sztuk pięknych“. Uczyli w niej Włosi, malarz Fontanegi i rzeźbiarz Ragusa. Koniec tej jednodniówki był smutny; uczniowie zrobili strejk, i szkołę zamknięto. Urzędownie ustał wpływ sztuki europejskiej na długie lata

Wprawdzie otwarto w roku 1890 nową szkołę sztuk pięknych w Tokio, ale ta pielęgnuje wyłącznie kierunek staro-japoński i liczy stosunkowo niewielu uczniów. Niezamożni adepci sztuki wolą iść „na naukę“ do znanego mistrza, czynić wszelkie posługi, naciągać jedwab, czyścić pędzle, gruntować obrazy. Sposób taki ma tę dobrą stronę, że nauka nic nie kosztuje, bo mistrz utrzymuje swego ucznia, a nadto może on z czasem, o ile ma zdolności, zostać przez niego adoptowanym i utrzymać w spadku sławę i mienie. W braku własnych dzieci czynią to malarze japońscy często, i stąd są w Japonii całe „dynastye“ malarskie. Wspomniana szkoła liczy 4 kursa, a uczniowie jej zajmują się malowaniem wachlarzy, kakemonów (obrazy do zawijania na wałki) i biobusów (parasole). Wpływ europejski dotarł tu o tyle, że uczniowie szkicują też farbami z natury (dawniej notowano barwy i malowano później z pamięci). Dyrektorem szkoły staro-japońskiej był przez pewien czas malarz Okakura, reformator japońskiego malarstwa religijnego, a po nim objął kierownictwo Takamine. Dobry pedagog, ale marny znawca sztuki nie dorósł do swego zadania, a wszelkie naleciałości europejskie usunął ze swego instytutu zupełnie.

Był to gwałtowny przeciwnik kierunku europejskiego; w rozmowie z nim przekonał się autor, jaka zachodzi różnica zapatrywań na sztukę między Europejczykiem a nawet wysoce wykształconym Japończykiem. Ten szuka w obrazie duszy, tamtemu chodzi tylko o sukces dekoracyjny. Nie dziw więc, że na Takaminie czyniły niejakie wrażenie tylko obrazy takiego Alma Tademy lub Bouguereau. Panowanie Takaminy skończyło się po roku, a miejsce jego zajął równie bezbarwny dyrektor Kubota. Największym hamulcem w pozyskaniu sił nauczycielskich jest nędzna pensya, jaką rząd płaci profesorom. Rząd wogóle nie dba o sztukę; dochody pochłania armia, flota i... Formoza.

Wpływom ministra oświaty, markiza *Seionji*, zapalonego wielbiciela sztuki francuskiej, sztuka europejska zawdzięcza, iż otwarły się przed nią w roku 1896 podwoje szkoły sztuk pięknych w Tokio; za jego to wpływem zorganizowano tam oddział dla europejskiego sposobu malowania. Narzędziem ministra był japoński malarz Seiki Kouroda, uczeń profesora Rafaela Collina, apostoł sztuki zachodniej w Japonii. Markiz projektował, by co rok wysyłano na koszt rządu jednego z uczniów akademii na naukę do Europy. Plany te wyszły na dobre tylko jednemu malarzowi, Okada, który bawi obecnie na studyach u Rafaela Collina. Markiz ustąpił bowiem wkrótce ze swego urzędu dla słabego zdrowia.

Publiczność i dyrektorowie szkoły malarskiej w Tokio przyjęli nowego kierownika Kourodę nader ozięble, nie życząc sobie wcale rozkwitu i przekształcenia sztuki japońskiej na wzorach europejskich. Nie śmiano jednak sprzeciwić się rozporządzeniom potężnego ministra i musiano urządzić wbrew własnej woli odpowiedni oddział. Dla ułatwienia pracy wezwał Kouroda do pomocy kilku przyjaciół, szczególnie malarza Koume, również ucznia Rafaela Collina. W rozkładzie godzin, w doborze przedmiotów czuć wprawną rękę entuzyastycznego kierownika. Oddział jest mniej więcej urządzony na modłę europejską. Uczniowie studyują malarstwo olejne, sam Kouroda poprawia dwa razy tygodniowo prace młodych adeptów sztuki. Lecz nowy kierunek nie bardzo się przyjmuje, rozterki i intrygi wewnątrz zakładu osłabiają jego rozwój na każdym kroku.

Największym wrogiem sztuki europejskiej jest w Japonii nie Japończyk, lecz Amerykanin, estetyk Fenollosa. W artykułach, umieszczanych w „Japan Times“ wysławia on pod niebiosa szkołę staro-japońską i przypisuje Japończykom zdolności, o jakich oni sami nie marzą. Ernest Fenollosa przybył do Japonii w ro-

ku 1878 i został profesorem filozofii na uniwersytecie w Tokio. Zajmował się głównie sztuką japońską, którą pierwszy dla Europy odkrył, przynajmniej pod względem historyczno-estetycznym. Mieszkając od tylu lat w Japonii, dzisiaj Fenollosa nie jest już zdolnym pojąć jej nowe kierunki i dążności. Wielkiem dziełem p. t. „Nagość w sztuce“ wystąpił do walki z nowo-francuską szkołą, jako jej zacięty wróg i jako przeciwnik malarskich aktów. Nie bez słuszności twierdzi Fenollosa, że nagość w sztuce bywa używaną nieraz do celów spekulacyjnych, nawet nadużywaną w sposób oburzający. Ale czyż z tego wynika, by ze sztuki usunąć zupełnie malowanie ciał ludzkich? W rozprawie swej przechodzi Fenollosa historyę malarstwa, potępia nagość u starożytnych, Rubensa posądza o obłąkanie, chwali natomiast malarzy XV-go wieku, Filipa Lippi, Boticellego, że malowali osoby w ubraniu. Największe kazanie dostało się Francuzom. Wywody swoje popiera licznymi argumentami, z których ważniejszymi są obraza uczuć moralności ogółu, obyczaje i ostry klimat. Gdyby Fenollosa żył w ogniskach sztuki europejskiej, dowiedziałby się, co w rzeczach artystycznych istotnie przystoi, a co nie, i zarzuciłby swe purytańskie poglądy. Różne pojęcia moralności zmieniają się w różnych czasach, a wieczna prawda, zawarta w słowach Hamleta: „niema rzeczy istotnie dobrych lub złych, tylko myśl je czyni takiemi“,—znajduje uzasadnienie w przemianie poglądów na sztukę.

Nie ulega wątpliwości, że wpływ Fenollosy na zapatrywania Japończyków na sztukę europejską jest znaczny i że działalnością swoją utrudnia pracę japońskich modernistów. Najwybitniejszym reprezentantem malarstwa staro-japońskiego, szczególnie zaś hieratycznego czyli religijnego, jest, obok Gaho, Hasimoto malarz Okakura. Rozumiejąc dobrze, że uparty konserwatyzm, brak polotu i fantazyi, ignorowanie otaczającego życia może zgubić sztukę religijną, a kopiowanie istniejących wzorów sprawi zanik produkcyi, usiłował Okakura tchnąć nowe życie w tę gałąź malarstwa. Czem dla naszej sztuki był Zbawiciel, tem jest dla hieratycznej w Japonii Budda. Budda bywa przedstawiany w pozycyi siedzącej z nogami skrzyżowanemi na kwiecie lotosu: ręce ma bezwładnie opuszczone, a dobrze odżywiona, bezduszna twarz patrzy przed siebie z dziwną obojętnością. Naturalną jest więc rzeczą, że postać, której brak wszelkiej indywidualności, nie może rozbudzić głębszych uczuć. Otóż Okakura pragnął sztukę hieratyczną odrodzić w ten sposób, że zachęcał do odtwarzania nowych motywów z ksiąg świętych i rozszerzenia według wzorów europejskich dziedziny malarstwa europejskiego, alegorycznego. Zdaniem Fischera, dążność do ożywienia religijnego malarstwa japońskiego nie osiągną celu, dopóki nie zmieni się cała metoda pracy. Malarze, zostający pod wpływem Okakury, posiadają tylko większą lub mniejszą zręczność, ale zgoła nie umieją boskości ożywić; malują ciągle lalki w nowych pozycyach i nowem otoczeniu. Jedynie przez zerwanie z tradycyą przeszłości i przez sumienne studyowanie przyrody zdołają japońscy malarze uwolnić się od przestarzałych manier i pchnąć sztukę na nowe tory.

Pomysły Okakury wprowadził w życie Gaho Hasimoto, najznakomitsze może słońce na staro-japońskiem niebie artystycznem, przywódca nowej szkoły „butsuga“ (nazwa ta oznacza malarstwo buddaistyczne). Jego dwa kakemony, malowane w stylu staro-buddaistycznym, odznaczają się żywym, bogatym kolorytem; przedstawiają one Buddę, siedzącego na tronie w otoczeniu ośmiu „rakanów“, czyli świętych. Wiele wrzawy narobił też swego czasu w Japonii religijny obraz Kwanzana p. t. „Spalenie ciała Buddy“. Malowany według nowego kierunku przypomina wspaniałością barw dzieła Fra Angelico. Na płótnie tem widać bogów, ucz-

niów Buddy i inne wielkości doczesne, zgromadzone około sarkofagu, na którym spoczywa Budda. Wszyscy trzymają w ręku naczynia ze świętą oliwą do podsycania płomienia. Kasyapa, jeden z wiernych Buddy, zapala kadzidła pod złocistą trumną; cała atmosfera obrazu jest przesiąknięta wzbijającym się dymem i płomieniami w złotym tonie, a również złotą aureolą opromienia ciało świętego. Ale i w tem dziele szkoły Okakura Hasimoto przebija brak pogłębienia treści, postaciom brak duszy, są one malowane stereotypową manierą, przypominającą utwory wielkiego Chińczyka, Ririumina i Kanaoki z przed tysiąca lat.

Charakterystycznym dla malarstwa japońskiego jest obraz Kabori Fomona, przedstawiający epizod z życia japońskiego poety Sugawary, który żył w IX stuleciu. Szczegóły są w nim wykończone subtelnie i pedantycznie na sposób naszych starych mszałów, natomiast główna rzecz jest traktowana banalnie. Rysy skazanego na śmierć poety są zimne, bez życia. Ale bo też nie chodziło artyście o zgłębienie sytuacyi, on chciał dać widzowi tylko zarys, zostawiający pole do domysłów. Z innych malarzy ze szkoły staro-japońskiej zasługują jeszcze na wzmiankę Takenouchi Seiho, twórca eterycznych parasoli ściennych, symbolista Jamada Keichu i artystka Atomi Gyakuski, umiejąca choć w części oddać nastrój w swych pejzażach.

Nowy kierunek w sztuce japońskiej (s e c e s y a) zawdzięcza swój początek energii Seiki Kourody. Dzielny ten pracownik, liczący obecnie 35 lat, udał się w roku 1884 do Paryża, ukończył tamże liceum, uczęszczał na wykłady prawa, lecz je porzucił, ucząc się z zapałem sztuki malarskiej u Rafała Collina. Rok 1889 spędził w Holandyi, gdzie studyował dzieła starych mistrzów, potem wrócił do Paryża; w roku 1893 jego obraz „le lever“ był dopuszczony na wystawę w Champ de Mars i chwalony przez Puvis de Chavannes. Tegoż roku wrócił Kouroda do ojczyzny i brał udział w kampanii japońsko-chińskiej, jako rysownik. Najgorętszem życzeniem Kourody stało się teraz zużytkowanie tego, co widział i nauczył się w Europie, dla dobra sztuki japońskiej i pchnięcia jej na nowe tory. Nie poprzestając na działalności w szkole sztuk pięknych w Tokio, zgromadził około siebie artystów, którzy równie, jak on, kończyli studya w Paryżu i założył klub Shiro, uma, czyli „Biały koń“. W przeciwieństwie do istniejących już w Japonii arystokratycznych klubów artystycznych oparł swój związek na zasadach demokratycznych, nie pozwalając na wybór przewodniczącego ani na rozdawanie medali lub nagród podczas wystaw. Dzisiaj liczy klub Shiro-uma 17 japońskich malarzy, dwu rzeźbiarzy, dwu krytyków i jednego drzeworytnika. Dla zapoznania ogółu z celami towarzystwa urządził Kouroda pierwszą zbiorową wystawę prac klubowych w październiku roku 1896. Rezultatu oczekiwali członkowie „Białego konia“ z biciem serca, równie biedni w środki, jak bogaci w nieprzyjaciół. Skromne koszta urządzenia ponieśli Kouroda i kilku przyjaciół, zgóry będąc przygotowani na niepowodzenie. Jednak odwaga ich doczekała się nagrody, bo, choć dążności secesyonistów japońskich nie cieszyły się uznaniem ani publiczności ani prasy, zwiedziło ich wystawę wiele osób dla zaspokojenia samej ciekawości. I stała się rzecz niespodziewana, że mianowicie, mimo tanich wstępów po 5 kop, (5 sen) zamknięto budżet nadwyżką, mającą dopomódz „Białemu koniowi“ do śmielszych skoków na przyszłość. Mimo niezliczonych przeszkód napełniło to pierwsze zwycięstwo umysły bojowników odwagą i stało się zachętą do wytrwałości. Materyalny sukces nie był, co prawda, wielki, bo dla prac secesyonistów japońskich niema miejsc zbytu, a w czasie wystawy sprzedano tylko jeden jedyny szkic, tak, że większość ma-

larzy jest zmuszoną zarabiać na chleb dawaniem lekcyi i rysowaniem illustracyi, ale za to znacznem było powodzenie moralne.

Na wystawie przeważały małe obrazy, delikatnie wykończone studya, palmę pierwszeństwa dzierżyły jednak pejzaże. Studya nadmorskie, pola w czasie żniw w pełni żaru słonecznego, miłe wnętrza chat wieśniaczych, przeniknięte falą światła, chmury, zwiastujące burze, mgły nadmorskie, przez które przedzierają się promienie świetlane — oto treść wysiłków secesyonistów. Były to prace, które potrafiłyby zadowolić nawet surowe europejskie *jury*; nie ulega wątpliwości, że Japończycy mają piękną przyszłość przed sobą na polu malarstwa krajobrazowego i rodzajowego, jeśli tylko pozbędą się naleciałości paryskich, cienia zbyt fioletowego, światła zbyt kredowego. Natomiast większe kompozycye przechodzą, jak się zdaje, siły Japończyków skutkiem odwiecznego kopiowania. Było ich też tylko siedem, bo niewielu uczestników wystawy mogło sobie pozwolić na taki zbytek. Największem płótnem jest historyczny obraz Kourody „Stara historya“. Liryczny nastrój samego krajobrazu wypadł bardzo uroczyście, ale zato osobom brak wyrazistości i życia. Znamiennym jest faktem, że oko Japończyków ukształtowało się zupełnie inaczej, jak nasze, skutkiem malarstwa płaskiego, bezcielesnego, zajmującego jedynie przestrzeń; brak mu poprostu poczucia wypukłości u przedmiotów. O właściwości tej przekonał się Kouroda sam u swych uczniów, którzy grzeszyli również brakiem plastyki. Wogóle sztuka, przeszczepiona na grunt japoński, doznaje podobnego losu, jak kwiaty i owoce z naszych ogrodów i pól; i one rozwijają się zewnętrznie, są nawet większymi, niż w glebie rodzinnej, ale brak im zapachu i smaku. Pod względem technicznym będą kiedyś mogli bez wątpienia iść w zawody japońscy malarze z kolegami z Europy, ale rozwiązanie pytania, czy grunt duchowy dorówna naszym „wielkim“, należy do przyszłości.

Z innych obrazów Kourody wyróżnia się wcale korzystnie „Samotność“, dająca, jak na Japończyków, niezwykły wyraz uczucia. Utwór ten, malowany nader prostymi środkami, przedstawia dziewczynę, owiniętą aż po usta płachtą. Siedzi ona nad morzem, smutnie zapatrzona w dal, umarła zupełnie dla świata. Autor wspomina też o kilku dobrze malowanych portretach Kourody, największy jednak nacisk kładzie na jego krajobrazy, pełne świeżości i naturalności.

Zdolnym pejzażystą jest 25-letni Eisaku Wada, syn misyonarza, który dał na wystawę charakterystyczną głowę starego Japończyka, wyborną ulicę po deszczu i jaskrawe studyum, przedstawiające odbijanie się chmur po zachodzie słońca w jeziorze. Wystawił on nadto jeszcze inne studya natury, niezły pomysłem obrazek rodzajowy „Prządka“ i „U przewozu“. Wogóle celuje w pejzażach tego artysty koloryt, razi zaś nienaturalna postawa osób. Malarz Keishiro-Koume, także uczeń Collina, dał kilka studyów, które świadczą wymownie o jego zdolnościach. Najpiękniejszym jest krajobraz „Po zachodzie słońca“. Drożyną polną, nurzającą się w powodzi przepysznych białych kwiatów, kroczy kulis, powracający z roboty. W głębi grupują się drzewa, dochodzące aż do środka obrazu, a całość przenika nastrój, przypominający żywo letnie wieczory u nas na wsi. Najsłabszą stroną jest idący środkiem nieco sztywny kulis. Pominąwszy ten błąd, należy się kompozycyi i wykonaniu uznanie, a Rafael Collin nie potrzebuje się wstydzić swego ucznia. Najmłodszy z secesyonistów, bo zaledwie 23 lat liczący, R. Kita, syn kapłana buddaistycznego, dał obraz, rysowany tylko węglem, „Sierota“. Ma on za treść pogrzeb nędzarza. Po pustem ściernisku posuwa się nędzny orszak pogrzebowy, poprzedzany przez chłopca w łachmanach. Za nim idą dwaj kulisi, niosący na drągu trumnę kształtu skrzyni; kapłan i dwie osoby zamykają pochód. Po-

mysł ten, wykonany równie pięknie w farbach, jak naszkicowany, zyskałby wszędzie powodzenie, ale właśnie podobno technika malarska R. Kity nie idzie w parze z jego zdolnościami do kompozycyi.

Przechodzimy do rzeźby. Rząd japoński obok szkoły sztuk pięknych utworzył specyalny oddział, który kształci adeptów w cyzelowaniu, grawerowaniu, w pracach metalurgicznych i w rzeźbie. Ilość uczniów jest nader niewielka, a kiedy autor wyraził z tego powodu zdziwienie, odpowiedziano mu, że mniej zamożni wolą iść na naukę do dobrych mistrzów. Zdaje się, że szkoła rzeźbiarska nie zdołała również oprzeć się wpływom kultury zachodniej. W roku 1899 nawiązano mianowicie rokowania z japońskim rzeźbiarzem Naganuną, który kształcił się we Włoszech. Można więc mieć nadzieję, że nieudatne próby, które miały na celu tworzenie monumentalnych figur bez dokładnej znajomości ciała ludzkiego, przyśpieszą reformę i tego działu sztuki w Japonii. W Japonii nie znano dawniej mody stawiania publicznych pomników, służących do ozdoby miasta. Tylko wyjątkowo stawiano w świątyniach lub świętych gajach posągi panującym lub mężom zasłużonym. Panuje nadto zwyczaj uwieczniania wydarzeń i osobistości historycznych przez ustawienie nieociosanych głazów z odpowiednim napisem w ogrodach otaczających świątynie. Naturalnym bodźcem do tworzenia coraz nowszych, pomników stała się ostatnia wojna z Chinami. Wszędzie chciano uczcić poległych synów ojczyzny, ale czyniono to w sposób, urągający smakowi i świadczący o braku talentu. Proszę tylko wyobrazić sobie murowany cokół, na nim słup kamienny, uwieńczony bajecznie długim pociskiem torpedowym o kształtach ryby. Pomnik otacza krata żelazna, pomalowana jaskrawo, a dla powiększenia efektu umieszczono w 4-ch jej rogach latarnie o kolorowych szybach. Wogóle Japończyk uważa pociski torpedowe za szczególnie piękny motyw dekoracyjny, skoro ich używa tak chętnie do pomników zwycięstwa. Liczebnie nie brak rzeźbiarzy w Japonii, ale nader niewielu odznacza się nawet średniemi zdolnościami. Wątpić należy, czy rzeźbiarze japońscy przyszłości, idący śladem sztuki europejskiej, stworzą kiedy coś oryginalnego; Japończyk bowiem, ubrany w kostyum europejski, nie nadaje się na model dla rzeźbiarza. Może obiorą oni stronę allegoryczną lub zechcą wcielać mity przeszłości, w czem tak dawniej celowali. Jakże małymi, bezsilnymi wydadzą się teraźniejsi rzeźbiarze Japonii, gdy dzieła ich porównywamy z olbrzymimi, pełnymi siły smokami z bronzu, tryskającymi wodą u studni klasztornej w Kioto, lub figurą z drzewa wysoką na 20 stóp z 11 stulecia, stojącą u bram świątyni w mieście Nara. Od dawnych mistrzów będą rzeźbiarze japońscy zawsze mogli skorzystać niezmiernie wiele. Kierowników, którzy upominają ciągle młodych, by szanowali artystyczny dorobek przodków, w Japonii dziś nie brak. Wychowawcą artystycznym ludu i dorastającej generacyi artystów jest Jamataka, dyrektor muzeów narodowych w Kioto i Narze. Założenie podobnych zakładów okazało się tembardziej na czasie, że najwspanialsze zabytki dawnych czasów zaczęły zanikać w kraju z przerażającą szybkością, tak, że niewiele brakowało, by Japończycy musieli jeździć do Ameryki i Europy dla zapoznania się z arcydziełami sztuki swych przodków. Jamataka kształcił się w muzeach europejskich, poczem urządził w Kioto pierwsze muzeum. Do pomocy dodał mu rząd wspomnianego już Amerykanina, profesora Ernesta Fenollosę, jako „Fine arts Commisioner“, który tę godność piastował od r. 1886—1890.

Ze starych zamków mikada udało się zebraćobfity materyał starożytności, kostyumów, broni i t. p. Pod tym względem muzeum w Tokio jest bogatsze, niż wszystkie inne. Szczególnie kompletnym jest zbiór przedmiotów z laki. Naj-

ważniejsze jednak zabytki, jak wyroby z bronzu, malowidła staro-japońskie, kakemony, znajdują się w Europie, głównie zaś w Ameryce. Gdy muzeum zakładano, nadsyłano z całej Japonii skarby sztuki; pomyślną sposobność wyzyskał Fenollosa, zakupując ogromną ilość obrazów japońskich. Powstał stąd jedyny w swoim rodzaju zbiór, ktory następnie odstąpił pomysłowy „Fine arts Commissioner“ muzeum w Bostonie za wygórowaną cenę.

Założenie muzeum w Tokio było wielkiem dobrodziejstwem dla kraju, ale samo przez się nie wystarczało. Oprócz dworu największe skarby sztuki posiadają klasztory, jeśli więc który z japońskich malarzy chciał kształcić się na starych arcydziełach, musiał opłacać się bonzom, a jeśli nie miał środków, musiał zaniechać studyów. Za sprawą Jamataki otwarto zatem jeszcze dwa muzea w siedlisku staro-japońskiej cywilizacyi, t. j. w Narze i Kioto. Pierwsze jest parterową budową w stylu odrodzenia: portal zdobią słupy korynckie. Zadaniem jego jest konserwacya skarbów sztuki z okolicznych świątyń. Kto chce nabrać wyobrażenia, jak wysoko stała niegdyś w Japonii sztuka rzeźbienia w drzewie, niechaj zwiedzi muzeum w Narze, a przekona się, że w czasach, gdy u nas nie było prawie żadnej kultury, tworzyli artyści koreańscy i japońscy zupełnie wykończone arcydzieła.

Ogniskiem staro-japońskich i staro-chińskich malowideł jest nowe parterowe muzeum w Kioto. W środkowej nawie głównej hali siedzi olbrzymi posąg Buddy na kwiecie lotosu. W oszklonych szafach bocznych naw mieszczą się malowane lub złotym lakierem pociągnięte rzeźby najwybitniejszych mistrzów. Najstarsza, bo 1400 lat licząca statua, dzieło rąk koreańskich, przedstawia boginię miłosierdzia, która, oparłszy prawą rękę na kolanach, dotyka palcami policzków. Statua jest wyrobiona z drzewa, pozłacana i lakierowana. Z innych rzeźb zasługuje na uwagę statua bogini szczęścia, licząca 1200 lat. Te zabytki nie są własnością muzeum, lecz klasztorów. Gdy mianowicie rozpoczęła się rabunkowa gospodarka arcydziełami sztuki w klasztorach, doszli dobrze myślący Japończycy do przekonania. że wkrótce pozbędzie się Japonia wszystkich swych skarbów. Wpływowe osobistości wyjednały ustawę, mocą której wszystkie zabytki w świątyniach pozostaną pod bezpośredniem nadzorem państwa. Dla ułatwienia kontroli objechała fachowa komisya prowincye i spisała wybitne dzieła sztuki, zabraniając jednocześnie najsurowiej ich sprzedaży lub darowizny. Tym sposobem handel, prowadzony przedtem na wielką skalę, ku rozpaczy klasztorów i handlarzy ustał zupełnie. Ceny doszły do bajecznych sum, a dla braku towaru zaczęto sprzedawać doskonałe kopie, jako oryginały. Z tego też powodu najwybitniejszy handlarz starożytności japońskich w Paryżu, Bing, zlikwidował swój interes, nie chcąc podawać ręki oszustwu. Skutkiem ścisłej kontroli jest państwo istotnym posiadaczem zabytków klasztornych, a co najważniejsza, może je zawsze wystawić i uczynić dostępnymi dla szerszej publiczności. Często też spotyka się przed nimi młodych adeptów sztuki, którzy z zapałem kopiują arcydzieła tuszem. Powyższa metoda uczenia się nie zdoła z pewnością, jako zbyt powierzchowna, wywołać stanowczych reform w malarstwie japońskiem.

Każdego Europejczyka, zwiedzającego muzem, musi zdziwić niepomiernie widok kilku liter lub całych zdań, wykonanych tuszem. Początkowo sądził autor, że są to poezye o nader wzniosłej treści, która wywołała zachwyt u czytających; pokazało się jednak później, że patrzącym nie chodziło wcale o banalną zresztą treść, lecz że rozkoszowali się subtelnością wykończenia liter. Przeciętnemu Europejczykowi brak dotychczas zmysłu, któryby kazał mu wpadać w zachwyt na

widok nie wiem jak doskonałego pisma. Jednakowoż co u nas wydałoby się głupiem i niesmacznem, jest u Azyatów cechą kulturalną, tkwiącą głęboko w całem społeczeństwie, Niezliczona ilość znaków chińskich piśmiennych, którymi posługuje się zarówno wykształcony Japończyk, jak i syn państwa niebieskiego, stanowi dla uczonych nmiejętność, nie mającą końca. Litera zatem lub raczej znak pisarski na każde nowe pojęcie jest dowodem wysokiego wykształcenia i zajmuje zupełnie inne miejsce w cywilizacyi azyatyckiej, jak nasze abecadło. Już w X stuleciu cieszył się kaligraf Ono-no-Tofu tą samą sławą, co słynny twórca japońskiego malarstwa religijnego. Malarstwo azyatyckie rozwinęło się z kaligrafii, podziw dla pięknego owalu linii ma więc swe źródło w tradycyi.

Ważny czynnik w ruchu artystycznym Japonii stanowią pisma. Najwybitniejszym miesięcznikiem, poświęconym sztuce, jest pismo „Kokkwa“ t. j. „kwiat kraju“, które daje wspaniałe reprodukcye staroklasycznych dzieł z rożnych dziedzin sztuki; subwencyonują je zamożni Japończycy, bo sporządzanie barwnych drzeworytów jest rzeczą nader kosztowną: na jeden obraz potrzeba nieraz 40—50 płyt. Śmiało można twierdzić, że, choć wiele pism europejskich daje swym czytelnikom wspaniałe illustracye, „Kokkwa“ przewyższa pod tym względem wszystkie.

Oto główne wiadomości, zawarte w interesującej książce Fischera. Streściliśmy ją obszernie ze względu, iż niebawem otwartą będzie w Warszawie wystawa sztuki japońskiej, o której nasza literatura nie posiada ani jednego studyum.

Wiktor Doleżan.

G. Renard. „La Méthode scientifique de l'Histoire littéraire. 1900 r., wydawnictwo „Biblioteki filozofii współczesnej“.

Czytelnikowi polskiemu nie są obce usiłowania niektórych krytyków i historyków literatury (H. Taine, Hennequin, F. Brunetière i t. p.), zmierzające do oparcia studyów nad literaturą na podstawie ścisłej, objektywnej, usuwającej z pola badań dowolność wrażeń, stronniczość sądów, przypadkowość upodobań, słowem pierwiastek subjektywny badacza. Wyżej zatytułowane dzieło („Metoda naukowa historyi literackiej“), z gruntownością profesorską wykonana praca znanego krytyka, publicysty, powieściopisarza francuskiego, G. Renard'a, zbiera w całość to wszystko, czego powinien się trzymać badacz literatury, żeby badania jego jaknajmniej uchybiały ścisłej metodzie naukowej. Prócz rożdziałów, traktujących o samej metodzie naukowego badania danej literatury, dzieło Renard'a jest również zarysem literatury francuskiej, naszkicowanym zgodnie z tą metodą, daje plan pobieżny, podług którego przyszły jej gmach powinien być wzniesiony. Wysiłek godny uwagi każdego zajmującego się historyą literacką, próba niezmiernie ciekawa i pouczająca, wychodzi bowiem ze sfery praw i założeń metodologicznych i wkracza w dziedzinę zjawisk żywych, konkretnych. To wszystko jednak zostawimy na stronie i zajmiemy się głównie częścią ogólną pracy autora. Charakter dzieła swego wyraźnie podkreśla Renard, oddzielając historyę literatury od krytyki właściwej. Podług niego krytyka tak się ma do historyi literatury, jak polityka do socyologii, medycyna do fizyologii i t. p.; pierwsza stosuje to, co druga wykrywa i udawadnia. Krytyka pragnie natychmiast, bezpośrednio oddziaływać na ludzi i na rzeczy, sądzi, wskazuje drogi, współdziała w walce o idee, w wyrabianiu uczuć i poglądów na życie; zajmuje rozmaite stanowiska, jest przedewszystkiem sztuką i dlatego nie może i nie powinna być bezstronną, pozbawioną subjektywizmu, gdyż stałaby się bezbarwną, nic nie znaczącą. Historya

literatury przeciwnie, jak rozumie ją autor, nie ma obowiązku wyrażania subjektywnych sądów, gdyż jej zadaniem jest badać i tłómaczyć przyczyny i racye bytu wszelkich istniejących, poszczególnych poglądów i smaków, wszelkich teoryi, które istnieją wśród ludzi; jej dążeniem jest wykryć prawa życia, rozwoju, wytwarzania się pewnych zjawisk; historya literatury pragnie być przedewszystkiem nauką i dlatego dąży do możliwie największego objektywizmu. Chodzi więc o ustalenie metody, którąby umożliwiła urzeczywistnienie powyższego ideału. Gdybyśmy znali wszelkie czynniki, których wytworem jest dane dzieło literatury, zarówno jak i wszelkie skutki, jakie ono z kolei wywołuje, wówczas dla roztoczenia całej seryi zjawisk zajmujących moglibyśmy się uciec do metody dedukcyjnej. Wyszedłszy z paru założeń zasadniczych, moglibyśmy utworzyć łańcuch przyczyn i skutków, którym objęlibyśmy całą rzeczywistość. Jest to ideał, do którego dążą wszystkie nauki; doskonałość taka może zostanie kiedyś osiągnięta i przez naukę społeczną, której rozgałęzienie stanowi historya literatury, obecnie jednak, podług Renard'a, zastosowanie metody dedukcyjnej do tej dziedziny zjawisk jest przedwczesnem i może prowadzić do ryzykownych, hipotetycznych wyników (dowodem H. Taine). Wiemy np., że wszelkie wpływy, określające działalność ludzką, pochodzą koniecznie albo od samego człowieka, albo od tego, co go otacza. W następstwie tego wiemy, że przyczyny zjawisk literackich dają się umieścić w trzech kategoryach: środowisko psycho-fizyologiczne (dziedziczność, rasa, temperament, etc.): środowisko ziemskie i kosmiczne (klimat, natura otaczająca, etc.); środowisko społeczne (warunki ekonomiczne, polityczne, religijne, etc.). Nie znamy jednak i nieprędko będziemy mogli poznać skutki określone, będące wynikiem każdego z powyższych środowisk; jesteśmy tu na łasce wypadków i hipotez, nie dających się sprawdzić z powodu braku danych ścisłych. Uwzględniając to wszystko, autor przechyla się na stronę metody indukcyjnej, która wychodzi z faktów sprawdzonych, wznosząc się powoli do faktów uogólnionych, które nazywamy prawami. Metoda indukcyjna nie przesądza rzeczy z góry, w konstrukcyach swoich zostawia miejsce dla przypadku, otwiera luki, które przyszłość może wypełnić. Dana literatura, jak wszystko, co żyje, składa się z pewnej ilości pierwiastków, które się zmieniają i przeobrażają. Historyk jej przeto powinien rozważać fakty literackie z trzech punktów widzenia. Z jednej strony, powinien je rozważać w czasie i przestrzeni, w ich istnieniu spółrzędnem i rozwoju kolejnym, z drugiej zaś, w związku z wszelkiego rodzaju, z rozmaitemi i zmiennemi środowiskami, w których fakty te powstają. Zagadnienie więc, które ma przed sobą, ściąga się do trzech następujących kwestyi: 1-o) Jakiemi są w danym momencie cechy znamienne literatury, którą bada? Jaką jest jej formuła? 2-o) Jakiemi są w tymże czasie rozmaite jej związki z innemi zjawiskami, któremi jest otoczona? 3-o) ponieważ powierzchowna bodaj obserwacya stwierdza, że literatura ta nie jest jedną i tą samą, lecz wciąż się zmienia, jak więc i dlaczego zmiany te zachodzą?

Nie można spodziewać się odpowiedzi zupełnej na powyższe pytania, rzeczywistość bowiem zawsze mieścić będzie w sobie coś takiego, czego nie ujmie najbardziej subtelna i drobiazgowa nauka. Zdaniem więc Renard'a trzeba poprzestać na odpowiedzi mniej złożonej od całości faktów, która jednak w zamian przedstawia ich masę chaotyczną w postaci bardziej jasnej, logicznej i zrozumiałej. Z powodu złożoności, solidarności poszczególnych części oraz ruchliwości całokształtu, którego obszar historyk literatury musi ogarnąć, jest on obowiązany: najprzód odróżnić w nieprzerwanym ciągu wieków oddzielne epoki, zamknię-

te pomiędzy datami, możliwie ścisłemi; następnie odszukać formułę ogólną literatury dla każdej z tych epok; dalej wskazać jej związki w danej epoce z wszelkiemi innemi zjawiskami, wśród których się rozwija; w końcu wytłómaczyć, za sprawą jakich przyczyn i podług jakich praw dokonywają się przejścia od jednej jej epoki do drugiej. W dalszym ciągu dzieła rozwija autor szczegółową stronę powyższego planu, wypełniając jego ramy treścią, czerpaną głównie z literatury francuskiej. Nie możemy na tem wszystkiem dłużej się zatrzymywać, zwrócimy więc uwagę na niektóre tylko punkty. Ważnem jest to, co mówi autor o środkach do oznaczenia granic danego okresu literatury. Jest to sprawa, z którą czytelnik polski dość często spotkać się może, wszystkie bowiem opracowania historyi literatury naszej dużo pod tym względem pozostawiają do życzenia. Zwracam tu uwagę na cenne uzupełnienia, jakie porobił G. Bem (w „Prawdzie“ r. b.) do podziału literatury naszej na okresy, wprowadzonego przez Chmielowskiego w jego świeżem dziele („Biblioteka dzieł wyborowych“). Aby określić w sposób naukowy różne okresy danej literatury, trzeba, zdaniem Renard'a, uciec się do postępowania klasyfikacyi naturalnych: zbliżyć do siebie i porównać utwory literackie, zrodzone w różnych momentach czasu; zaznaczyć ich cechy zasadnicze, skonstatować, kiedy pojawiają się jedne, a znikają inne. Będziemy mieli prawo wówczas powiedzieć: obecność pewnych cech stanowi o danej epoce; zniknięcie tychże cech znaczy kres tej epoki i początek znów innej. Co zaś do samych cech, to lada obserwacya stwierdza, że trwanie ich nie jest równe. Jedne odnajdują się we wszelkich czasach, inne trwają parę wieków; jeszcze inne kilkadziesiąt, kilkanaście lub kilka lat. Na tej zasadzie można ułożyć wszystkie dzieła danej literatury najprzód w grupy wielkie, które obejmują mniejsze, którym z kolei podporządkowane są jeszcze mniejsze. Wynika stąd, że ewolucya literacka dzieli się na wielkie okresy, które z kolei mogą być podzielone na coraz mniejsze. Najtrudniejszem jest wyszukać punkty ścisłe, które znaczą koniec jednego a początek drugiego; tu jednak należy wyrzec się ścisłości matematycznej, najgwałtowniejsze bowiem i dla oka widoczne przejścia od jednego okresu do drugiego jeszcze są poprzedzielane okresami pośrednimi, gdzie wszystko jest w stanie chaosu nieuchwytnego.

Nie dość rozgraniczyć okresy, trzeba jeszcze te puste ramy wypełnić. Jak więc postępować, żeby zorać we wszelkich kierunkach te pola otwarte i nic z tego nie opuścić, co winno tu być zbadanem? Jak badać każde dzieło literackie, wzięte oddzielnie? Wobec każdego utworu literackiego można stać na dwu różnych punktach widzenia, można zawsze poruszać dwie kwestye: kwestyę faktów i kwestyę upodobań. Historyk literatury spotyka na drodze swojej te dwie sprawy, częstokroć złączone z sobą, przedewszystkiem jednak powinien zająć się pierwszą. W tym wypadku, gdy przystępujemy do badania jakiegoś dzieła, natrafiamy na fakty, które nie podlegają żadnym wątpliwościom, mogą być poznane w sposób naukowy. Fakty te możemy umieścić w następujących kategoryach: cechy dzieła, przymioty szczególniejsze, któremi się odznacza, przyczyny, które sprawiły, iż jest takiem, a nie innem, niektóre skutki, jakie zostały przez nie wywołane. Ażeby zdać sobie sprawę z powyższych faktów, należy dokonać analizy wewnętrznej dzieła i analizy zewnętrznej. Analiza wewnętrzna dotycze tego, co dane dzieło wyraża, obejmie więc wszelkie jego pierwiastki: czuciowe, uczuciowe, intelektualne, tendencyjne, idealne i t. p.), analiza zewnętrzna zaś obejmie wszelkie środki i sposoby, użyte do wyrażenia tego wszystkiego.

Dla tem lepszego zbadania i poznania dzieła należy poznać jego przyczynę

bezpośrednią, t. j. autora. W tym celu trzeba zdać sobie sprawę ze wszystkich przyczyn, działających na niego, które są w nim i poza nim. Tutaj więc zachodzi petrzeba poznania wszelkich środowisk: fizyologicznych i psychicznych, kosmicznych i społecznych. Czytelnik, któremu wpadł do rąk polski przekład książki Hennequin'a „*La critique scientifique*“, przypomni sobie, jak tam została zakwestyonowana teorya Taine'a, zbyt dedukcyjnie przez niego rozwinięta, o środowisku społecznem. Hennequin (i wielu innych po nim) obalał teoryę tę w ten sposób: znamy autorów, którzy żyli w jednym czasie i w jednem środowisku, należałoby się po nich spodziewać dzieł jednakowych, te same bowiem przyczyny wywołują podobne skutki; okazuje się tymczasem, że dzieła tych autorów są zupełnie do siebie niepodobne, stąd więc pośpieszny wniosek, że wpływ środowiska jest problematyczny, znikomy i nieuchwytny. W takich i t. p. dowodzeniach nie liczono się z tym faktem, że pojęcia środowiska niepodobna brać w znaczeniu zbyt abstrakcyjnem, jednorodne bowiem środowisko nie istnieje, są tylko poszczególne środowiska, odrębne grupy ludzkie, otoczenia i t. p., które należy brać pod uwagę, gdy się mówi o wpływach środowiska społecznego na autora. Nie znamy dwu ludzi, którzyby żyli w jednem i tem samem środowisku społecznem, dla każdego można odszukać jakieś odrębne czynniki społeczne (rodzina, szkoła, koledzy i t. p.), które oddziaływały na każdego w sposób sobie właściwy. W taki sposób rozumiana teorya środowiska traci swoją pozorną fałszywość i nie przestaje być płodną w zastosowaniu do badania przyczyn zewnętrznych, uwarunkowujących powstawanie danych dzieł literackich przez kształtowanie ich przyczyny bezpośredniej, t. j. autora.

Po załatwieniu sprawy faktów przychodzi sprawa upodobań osobistych historyka literatury, skłonność do układania dzieł literatury w hierarchiczne szeregi do wyszukiwania dla nich rozmaitych stopni wartości. Tutaj autor ostrzega wszystkich przed zbyt sztywnemi formułami i kryteryami, będąc zdania, że bezpośrednia zdolność odczuwania życia i piękna więcej znaczy od wszelkich ustalonych przepisów i miar wartości, mimo to jednak uważa, że i tu można wyszukać parę takich formuł najogólniejszych, które dowolność i zmienność sądów osobistych mogą ograniczyć, a przynajmniej sądom tym odjąć charakter bezpodstawności. Zdając sobie sprawę z trudności stosowania podobnych formuł, ściąga Renard swoją, z której pomocą widzi możność utworzenia hierarchii rozumowanej dzieł literatury, do najbardziej ogólnikowego jej wyrazu. Ponieważ czucia, uczucia, idee, aspiracye i t. p. stanowią żywą treść wszelkiego utworu literackiego, każde więc dzieło, będąc w istocie swojej wyrazicielem życia, będzie mniej lub więcej pięknem podług tego, jak wyrazi za pomocą środków mniej lub więcej właściwych własnym celom życie mniej lub więcej intensywne, złożone, oryginalne i wzniosłe. (Tutaj muszę zauważyć, że formuły Taine'a i Ricardou — w „Filozofii sztuki i krytyce literackiej“ w istocie swojej niczem się nie różnią od formuły Renard'a). W tym dziale dzieła swego bardzo ładnie rozwija autor tę myśl, że na pewnej wysokości sztuki różnice stopnia zacierają się, jest więc dość jałowem układanie hierarchicznego porządku arcydzieł, które doszły do swoich doskonałości odrębnych drogami, nieraz różnemi i wręcz przeciwnemi. O tem nie powinno się u nas zwłaszcza zapominać, gdzie ochota do klasyfikowania i zakładania drabiny hierarchicznej dla arcydzieł jest większą, aniżeliby się godziło. Dość jest przejrzeć świeże dzieło St. Tarnowskiego („Historya literatury polskiej“ tomów 5), żeby się o tem przekonać. Tam zawsze po Mickiewiczu idzie Krasiński, po tym dopiero Słowacki, po tym znów ktoś inny i t. d., tam zawsze różne co do istoty swojej i wartości zewnętrznej arcydzieła są układane w sztywne i niezmienne

szeregi, rangi, hierarchie. Znaczną część dzieła swego poświęca autor wykazaniu potrzeby poznania tych wszelkich związków, w jakich pozostawać może dane dzieło literackie albo literatura pewnej epoki z rozmaitemi zjawiskami nie literackiemi, jakiemi jest otoczona. Tu bada autor stosunek literatury francuskiej do wszelkich środowisk kosmicznych, społecznych i t. p., do warunków życia ekonomicznego, politycznego, prawnego, religijnego, atmosfery literackiej i artystycznej, życia światowego, etc. Są to ciekawe studya z zakresu historyi literatury francuskiej. O tem jednak nie mamy potrzeby mówić. Zwracam jeszcze uwagę na końcowe rozdziały książki Renard'a, w których mowa o przyczynach i prawach ewolucyi literackiej, o czynnikach, wywołujących zmianę upodobań literackich. Przyczyny i prawa tych zmian są takie same, jak te, od których zależą wszelkie przekształcenia życia wogóle, wszelkie ewolucye społeczne; psychologia i socyologia daje nam ich wytłómaczenie.

Jeżeli duch, moda, upodobanie, panujące w danej epoce literackiej, przestaje panować w epoce następnej, przyczyną tego jest konieczność zmiany, do które- zmuszone są zarówno społeczeństwa, jak jednostki, już z powodu samej konstytucyi człowieka i wszechświata. Nie można wyobrazić sobie całokształtu społecznego, choćby najbardziej jednorodnego i harmonijnego, któryby pozostawał w niezmiennej równowadze. Jednostki ludzkie, które go składają, wystawiane są na działanie sił niejednakowych i rozmaitych, (zmiany, zachodzące w zaludnieniu, krzyżowanie się ras, różnice obyczajów, zamieszkania i t. p.). Natura ludzka odczuwa potrzebę zmiany, gdyż funkcye jej ustroju nerwowego tego wymagają. Nasza zdolność czucia i odbierania wrażeń jest ograniczoną; ośrodek nerwowy, drażniony wciąż jednym bodźcem, jednym przedmiotem, nuży się, wyczerpuje swoją możność pracy, traci przyjemność, jakiej pierwiastkowo doznawał, a czynność jednostajna staje się dla niego cierpieniem. Wówczas pragnie zmiany, wrażliwość nasza domaga się nowych bodźców, któreby pobudzały ją do działania, w centrach świeżych, niewyczerpanych. Zgodnie z powyższemi prawami odbywają się wszelkie ewolucye indywidualne i zbiorowe. Im też są posłuszne i ewolucye literackie; powszechne prawo rytmu, ruchu przerywanego niemi kieruje. Jedna epoka literacka wypływa z drugiej na mocy praw reakcyi i rozwoju. Każdy może sprawdzić na podstawie wiadomości osobistych, że upodobanie, dążność, panująca w danej epoce, ustępuje miejsca w następnej—wręcz przeciwnej (kolejność kierunków realistycznych i idealistycznych, pesymistycznych i optymistycznych, etc.). Nie należy jednak wyobrażać sobie tego szeregu ruchów, bezpośrednio sobie przeciwstawionych, na wzór wahadła zegarowego, które wciąż zajmuje jedne i też same pozycye. Wówczas bowiem wszystko pozostawałoby bez zmiany i wiecznie powracałoby do jednego miejsca. To prawo reakcyi uzupełnia się w ewolucyi życia jeszcze prawem rozwoju, rozwój zaś — jest to wzrost, zmiana, zmniejszenie lub powiększenie. Dwie epoki, w których np. dominuje upodobanie idealistyczne, nigdy nie będą identyczne, tylko podobne. W szczegóły wywodów autora nie zapuszczamy się. Książka Renard'a posiada charakter prawdziwie naukowy; autor jej unika uogólnień pośpiesznych i powierzchownych, wystrzega się uprzedzeń, ciasnoty jednostronnych poglądów; bada oględnie i sumiennie. Wynik tych badań można uważać za bardzo poważny wysiłek, w celu ustalenia metody naukowej, umożliwiającej wyszukanie słusznych i jasnych odpowiedzi, na te liczne pytania, jakie historykowi nastręcza wciąż literatura. Za wielką zasługę Renard'a można poczytywać to, że nie czyni on z literatury narzędzia do poszukiwań psycho-socyologicznych, że stawia ją na pierwszym planie i stara się

przeciwnie, korzystać ze wszelkich danych psycho- i socyologicznych, by tem lepiej poznać główny przedmiot — literaturę. Książka jego może oddać wielkie usługi badaczom historyi literatury, zarówno jak i krytykom literackim, zbyt pochopnym do wynoszenia jednych kierunków literackich kosztem innych, do zaprzeczenia bezwzględnego, bądź entuzyazmowania się bezkrytycznego jedną jakąś formą twórczości raczej, niż do wnikania w to wszystko, co stanowi o ich rozmaitości, zmianach i kolejnych po sobie następstwach. *Wł. Jabłonowski.*

„Materyały do dziejów piśmiennictwa polskiego i biografii pisarzów polskich". Zebrał Teodor Wierzbowski. Tom I, 1398 — 1600. Z zapomogi Kasy im. Mianowskiego. Warszawa, 1900.

Między darami, ofiarowanymi Szkole Krakowskiej w roku jej jubileuszowym, publikacya prof. Wierzbowskiego zajmie okazalsze miejsce. Oryginalna szata zewnętrzna, wykonanie typograficzne, przynoszące zaszczyt zakładowi p. Szkaradzińskiego, treść różnoraka, w znacznej części uniwersytetu i jego mistrzów dotycząca, a dotąd nieznana, — zasługują na wyróżnienie. Moglibyśmy się spierać o tytuł: na publikacyę bowiem, chociaż nie brak w niej cennych przyczynków do właściwych dziejów piśmiennictwa (listy Erazma i innych humanistów, polskich i obcych, spisy dawnych autorów naszych, odpowiedź na dyalogi Krzyckiego i t. d.), — składają się przeważnie listy, a głównie kwity, nadania lub weksle osób, jakie wymieniano kiedykolwiek w dziejach piśmiennictwa narodowego, zawierające wskazówki, nieraz cenne, ale tylko dla biografii, t. j. dla jednej z nauk pomocniczych dziejów literackich, jakiemi np. dla dziejów powszechnych bywają numizmatyka lub heraldyka. Listy są głównie treści historycznej, niektóre błahe, niektóre bardzo ciekawe, jak np. list St. Reszki o posłuchaniu u papieża względem planów Batorowych z r. 1586, lecz nie odnoszą się w niczem do „literatury". Niezupełnie więc odpowiada tytuł skromnej treści, podobnież kłócą się zbytkowne wykonanie zewnętrzne z błahą zawartością i błędami tekstu i objaśnień. Cały szereg kwitów wydano w faksymiliach i w przedruku, chociaż ani jednego, ani drugiego nie potrzebowaliśmy i wystarczyłoby nam zebranie kilku podpisów, Skargi i t. d., na dodanej osobno tablicy; również wolelibyśmy krótkie regestry zamiast całkowitego tekstu, np. kwitów Zbylitowskiego o odebranem „strawnem" i tylu innych, bez najmniejszego pożytku w całości przedrukowanych. Co do omyłek tekstu i objaśnień, przytoczymy, jako przykład, list Wereszczyńskiego do Żółkiewskiego z roku 1594 o gotowaniu wyprawy kozackiej; do zdania „w których by się mogli u Boroszna sposobić", jako objaśnienie dodano: „Słownik Geograficzny nie zna tej miejscowości"; ależ boroszno to furaż, prowiant", ruskie słowo; tak popłacało w ówczesnej polszczyźnie, że mamy je nawet w przysłowiu: „nie cięży swe boroczno (lub obrok, owies) koniowi"; więc zdanie znaczy: „gdzieby się mogli (Kozacy) w boroszna (prowiant) sposobić"; tamże dla ordy gotują nie „wołokna", lecz tołokna. Z tekstów łacińskich wystarczy przytoczyć jeden z niewielu „literackich" listów Orzechowskiego na str. 87, zeszpecony strasznie błędami: np. „ἐπεὶ δειχνυὸν genus orationis nostri esse gravissimum"— powinno brzmieć poprawnie: ἐπιδειχτιχὸν genus orationis nosti esse gravissimum (wiesz, że rodzaj mowy ozdobny najtrudniejszy).

Niezmordowana, podziwu godna pracowitość prof. Wierzbowskiego, ujawniająca się od tylu lat w gromadzeniu po archiwach i bibliotekach materyałów i w wydawnictwach, zasługuje na najwyższe uznanie. Życzylibyśmy sobie jednak-

aby w tem nowem wydawnictwie, którego pierwszy tom ukazał się w r. b., publikował rzeczy cenniejsze, wydawał je staranniej i błahych narówni z ważnemi nie traktował: dwie trzecie „Materyałów“ w tomie pierwszym wydają nam się (przynajmniej w tej obszerności) całkiem zbędnemi. *Aleksander Brückner.*

Kraków. — „Poezye, nowelle, fragmenta dramatyczne“, 1900, rysunki i układ St. Wyspiańskiego, Warszawa.

Po upadku krakowskiego „Życia“ doraźny zbiór rozmaitych utworów, wychodzących z pod pióra stałych współpracowników tego czasopisma, wygląda, jako zamanifestowanie się zasady, że „żyjemy“, że sztuka dla sztuki jeszcze nie zginęła. Z serdeczną, gorącą życzliwością spotykamy dzielny szwadron, choć do jego chorągwi przypisać się nie mamy prawa.

Dawnych znajomych — jak nasiał, ale więcej w środkowych i tylnych, niż w przednich, szeregach. Szukamy Stanisława Przybyszewskiego... Jest. Szeroko rozwinął swą szkarłatną banderę, na której trupia główka i napis: „requiem aeternam...“ Żarty to są, — strachy na Lachy. Autor „Wigilii“ nigdy wprawdzie zbyt mocnem i czerstwem zdrowiem się nie cieszył, ale przecież — tuszymy to sobie — potrafi jeszcze zachwycać groźbami artystycznych swych samobójstw pierwszy przynajmniej kwartał XX-go stulecia. Zresztą, sam on oświadcza zaraz od wstępnego powitania, że „to wszystko drobnostka, rzecz nic nie znacząca: w mózgu moim pełno przerw i tam, a pomiędzy pojedynczymi świadomymi stanami braknie połączenia p r z y c z y n o w e g o...“ Jak widzimy, jest to określenie majaczeń sennych, nie zaś widzeń przedzgonnych. Majaczenia — zapewne — bywają wszelakie, najzwyklej są one u Przybyszewskiego ani w ząb nie zrozumiałe, nie dające się ująć w karby pytań: skąd powstały, po co się zjawiły, za jakie grzechy nas trapią. Ale z poza tych grubych ciemności wychylają się niekiedy i jakieś jaśniejsze obłoczki czy dymki. „W głowie mej kołował jakiś poplątany węzeł, wirował coraz silniej, zataczał coraz wścieklejsze kręgi w strasznem pragnieniu, by się rozplątać i rozwinąć w długie, delikatne nitki m y ś l i... A potem, naraz fala przypływu — a po przez nią wężykowata linia chorego niepokoju, wijąca się ku górze — coraz gęstsza, czarniejsza, coraz szybsza i niespokojniesza, aż naraz uczułem jakąś dziką gonitwę, szum, jak gdyby tabun złych duchów powietrze przerywał i jakiś nadludzki strach śmierci, w którym mózg pęka, pragnie sam przed sobą uciec i, jak popękany pierścień zapadającego się świata, obtańczać słońce olbrzymimi kręgi w opętanej taranteli. I znowu cisza. Cicha, miękka, lekka błogość. Upojona rozkosz, co się kołysała na ciemno-niebieskiej, zwiewnem złotem obszytej toni. A naraz zgrzyt, piekło, wybuch tysiąca geyzyrów. W głowie rozszalał się obłąkany taniec Wita... Stałem w rogu pokoju z rewolwerem w ręku...“ i t. p.

Obok mistrza celują w tegoż rodzaju rozkoszach lub trwogach apokaliptycznych: Jan August Kisielewski, którego część czwarta kompozycyi dramatycznej „Sonata“ nie daje żadnego wyobrażenia o treści czterech pozostających w tece, pomimo, a może dlatego właśnie, że się rzecz dzieje w domu obłąkanego Tańskiego; Włodzimierz Perzyński, który „na jasnej światła miesięcznego fali“ odgrzebuje w sobie — widzi raczej cienie wspomnień „śmieszne i marne“, a jednakże takie, co „palą i żrą, jak ogień“; Adam Siedlecki, którego „krotochwilną poemę dla teatru kukieł deklamują“ osoby takie, jak „ten co zginie“ i „ten, co zostanie“, a scenę pierwszą kończy „ten, co zostanie i co ostatnim jest“; Jan Sten, który w „Modlitwie Adama“ opisuje, jak to niegdyś przy praojcu naszym „Ewa

spała“, a on — to jest praojciec — „drżącymi palcami wpijał się w jej ciało lub przebiegał po niem, chwytając ślizką jej skórę kurczowo“; wreszcie Jerzy Żuławski, którego „Stary bóg“

jak lew, się na świecie położył,
okrył go piersią, w błękit siwą głowę
podniósł i czekał... a nad nim się srożył
komet wir, w węże splatany ogniowe,
a wyżej straszna ręka przeznaczenia,
pełna piorunu, który niecierpliwy
chwiał się — wisiała...

O wiele dostępniej od tych chińskich malowideł, napowietrznych rzeźb i gmachów metaforyczno-metampsychicznych przedstawiają się zwolennicy odchuchanego na chłodnych szybach naszego piśmiennictwa hellenizmu: Kazimierz Tetmajer w „Tytanie“, Ludwik Szczepański, opiewający w wierszach trzynastu (więc dlatego tylko niefortunnie) „Dyany czystej, białej łuk promienisty“; Lucyan Rydel, parafrazujący po setne razy sparafrazowany przez Gautierów, Banville'ów i Leconte de Liste'ów hymn na cześć Wenery: „i stała w blasku i chwale cudna, przegięta niedbale wśród marmurowych tych ścian, z cichym uśmiechem na twarzy słuchała morza, co gwarzy — zrodzona z perłowych pian“.

St. Wyspiańskiego poemat „Bolesław śmiały“ zajmuje miejce całkiem odrębne, wyosobniające się. Zmodernizowany język kronik i gwar ludowych uderza w wielu miejscach barwnością niezwykłą, ale też częściej jeszcze osnowa opowiadania zaciera się w nim na wzór napisów na numizmatach zardzewiałych, a w obiegu wygładzonych. Bądź co bądź, od czasów rapsodów Bielowskiego nie czytaliśmy nic piękniejszego nad owe oktawy, w których wielki antagonista św. Stanisława kreśli widowisko i wrażenie klątwy:

Pochylały się chorągwie z łomotem
u wrót, nim wstały na izbie przede mną,
a chyląc się, mierzały we mnie grotem
krzyżów, — iż trwogę uczułem tajemną,
gdy się archanioł rozwijał ze złotem,
w perłach, z tą twarzą, malowaną ciemno,
a skrzydła w pąsach i mieczysko kręte —
w nim łyskawice gromowe zaklęte ..

A oni, jakby w obłędzie, skazańce,
za biskupiej ręki skinieniem —
bo drżeli, jak wojenne liche brańce,
śpiewy żałośnem mieszając jęczeniem,
ciskali o podłogi ziem kagańce
i przerażeni sami tem zdarzeniem
obłędne mieli oczy, dech zaparty...
— „Biskupie! więc to Boży sąd otwarty?...“

Rzeczywiście, nie jesteśmy w stanie ani zdążyć za tymi naszymi „młodymi“ krakowskimi, ani wyrozumieć, dokąd naprawdę pragnęliby nas zaprowadzić. Że poza obrębem samolubnego nurzania się w dowolnościach estetyki bezprzepisowej

i w kaprysach pomysłów, to dziwacznie wyszukanych, to znów do obrzydliwości czczych, pustych lub, jak np. u Zygmunta Niedźwieckiego, rażąco trywialnych, noszą się oni z czemś więcej jeszcze, to niewątpliwe. Ale z czem mianowicie?—nawet Przybyszewskiego szatan nie odgadnie. Przypuszczałbym, że to te waryatki, bezbożnie krasnolice, po tatrzańsku wyszamerowane krakowianki tak ich okarmiają blekotem bezinteresowności sztucznej i tak ich durzą, pędzają po wszechodłogach niebywałego u nas kultu: i dla wiedźm po moczarach i dla bóstw po kopcach. Zaprawdę, spójrzmy np. na tego Edwarda Leszczyńskiego, na jego „Twórcę“, na jego „Sfinksa...“ „Jam jest żądza, co dyszy pod mgławic ogromem, świetlanymi palcami tworzę bryły światów...“ — ph, czytało się to już gdzieś, kiedyś po setki razy. „Jest na nieznanym brzegu świątynia daleka, u śpiżowych podwoi sfioks stoi na straży...“ — ouuu, wierszyk dosłownie tak zaczęty posiadam w tece z roku 1861. Ale, nawzajem, daję całe drugie wydanie „Poezyi o świcie XX-o stulecia“ w zastaw temu, kto w tegoczesnej literaturze polskiej i zagranicznej odszuka drugi taki brylant, drugie takie arcydzieło, jak „Wieczorem“ tegoż Leszczyńskiego:

Na pól obszarach kłosy zbóż wiszą
w sennej martwocie,
ukołysane jasnych zórz ciszą,
skąpane w złocie.
rozchwiane w obłok drżący, mdły wstają
opary czyste;
rusałki białe z nocnej mgły tkają
szaty świetliste.
Mistycznym zdrojem w państwie mar biją
fontanny senne,
nektar zapomnień z złotych czar piją
duchy płomienne.

K. Włost.

K a z i m i e r z G l i ń s k i. „Wybór poezyi“, Warszawa, 1900.“ „Ballady i powieści“, Warszawa, 1901.

Kazimierz Gliński należy do starszego pokolenia poetów; choćbyśmy nawet nie wiedzieli, że przyszedł na świat w roku 1850, świeżo wydane jego poezye niezbicie dowodzą, że ten, co je wyśpiewał, wykształcił swój — wcale niepospolity— talent nie na modernistach, lech na romantykach. Gliński—to romantyk, poeta-marzyciel, poeta-idealista, ożywiony w poezyi tą samą szlachetnością i wzniosłością uczuć, co jego wielcy poprzednicy, tą samą miłością ziemi ojczystej i jej mieszkańców, co Lenartowicz np. albo Syrokomla, tą samą wiarą w Boga, w ideały, w tryumf dobrego nad złem, która Asnykowi np. kazała wierzyć, że „będziesz tą samą...“ Kiedy czytamy jego utwory, raz wraz zdaje się nam, że przestajemy ze starym znajomym; kiedy słyszymy jego śpiew: „Skrzypko moja serdeczna, Z tobą dola słoneczna — I nie powiem, że źle mi Na szerokiej tej ziemi, Bo w twych strunach się chowa Taka szczęścia połowa, Że już resztę sam sobie Trudem własnym dorobię“, przypomina nam się ten, co tak rzewnie śpiewał: „Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna snadź ciebie wyrobiono“; a kiedy czytamy „Chatę moją“ („Pod błękitów osłoną, Złotą słońca powieką, Którą rzuca zdrój ciepła, Hen— daleko, daleko — W ciernie krzewów rzucona, Kwieciem kalin różowa, Stoi moja rodzona, Moja chata ojcowa“), mimowolnie wyobrażamy ją sobie stojącą w tym

samym „Małym światku", w którym mieszkało zawsze serce Lenartowicza („Jakto ja sobie Domek ozdobię, Ten modrzewiowy Dworzec ojcowy!"). Tak! Gliński to nie dzisiejszy poeta i nie poeta teraźniejszości; jego uczucie i fantazya wciąż zwracają się ku przeszłości — czy to ku „Annie Firlejówne", „Almanzorowi" lub „Bolesławowi Śmiałemu" („Dwie moce"), czy ku „Pieśni królewskiej", czy ku światu fantastycznemu królewien zaczarowanych, witeziów dumnych, dworców samotnych. On kocha ten świat przeszłości, on „zaparte wrota otwiera ze drżeniem"... jego „pierś oddycha ośmiu wieków tchnieniem"... I może dlatego właśnie jego liryka, choć nieoryginalna, jest miła, szczera, serdeczna, budząca oddźwięk w sercach. Jej forma jest piękna, czasem nawet kunsztowna (wyrobiona na Słowackim), ale nie sztuczna, wyraz uczucia zawsze naturalny, wolny od sztucznych przenośni lub jaskrawych efektów, a uczucie samo, szczere, świeże, gorące, wylewa się z duszy b e z p o ś r e d n i o, nie załamując się zazwyczaj w pryzmacie fantazyi lub refleksyi: oto dlaczego jedną z najulubieńszych form liryki Glińskiego jest pieśń lub piosnka. Szczerość uczucia zdobi choćby zaraz jego pieśni miłosne (O s t a t n i s e n: „Spokój", „Podziękowanie", „Piosnki", „Prośba", „Czar" i t. d.), w których miłość nie przemawia wprawdzie potężnie, lecz tak, że jej szczerość jak na dłoni leży; a kiedy opisuje poeta naturę, „Wschód słońca" np., odrazu widać, że on jej piękność naprawdę odczuwa.

Lecz piękniejszemi od tych utworów są pieśni, w których poeta odtwarza już to marzenia młodego dziewczęcia („U wrzeciona"), już uczucia ludu — w sposób prosty i naturalny („Chata moja", „Do Betleem"), ale przedewszystkiem swoje własne uczucia, z których najsilniej dźwięczą: tęsknota za młodością, miłość kraju i smutek: te trzy uczucia nawskroś przenikają całą lirykę Glińskiego, stanowią jej największy urok, bo też te trzy uczucia on najpiękniej wypowiedzieć potrafi. Bardzo słusznie nazywa Glińskiego prof. Chmielowski „wychowańcem romatyzmu, nie walczącym wprawdzie przeciwko prądom nowym, lecz t ę s k n i e s p o g l ą d a j ą c y m n a n a t c h n i e n i e l a t m ł o d o c i a n y c h, unoszące „do słońc i do słońca". Jednem z natchnień była mu miłość, więc w pieśniach erotycznych on wydobywa ją z przeszłości i tęskni za nią. „P o ś r ó d d n i d ł u g i c h m e g o ż y w o t a, Smutnych, jak niebo jesienne — Oplotła duszę jedna nić złota i serce zbudziła senne".. „B y ł a t o w i o s n a, n a j p i ę k n i e j s z a z w i o s e n. Z d n i j u ż p r z e ż y t y c h n a j p i ę k n i e j s z y c z a s!... „Nie dla mnie, Panie, to lazurów morze, Co we dnie słońcem, nocą lśnią gwiazdami"... „Nad czołem mojem przeleciały burze.., I duchy jakieś, co niosły w purpurze Łzy... I pognały wszystkie w tamtę stronę, Z której już żaden żywy duch nie wraca — A j a z a n i e m i m a m o c z y z w r ó c o n e"... „Wiosna! ja z n a ł e m w i o s n ę... Lato! p r z e s z ł o l a t o — D z i s i a j d ł o n i e w y c i ą g a m d o c i e b i e — J e s i e n i!" Najsilniej jednak wyraża poeta tęsknotę za tem, co minęło, przez usta „Kowala", który „te cudne, choć złudne precz odganiał rojenia", lecz nie mógł się obronić „dawnym wspomnieniom"; już mu się zdawało, że „Serce stwardniało, jak głaz", aż tu nagle „z oddali spływa Kachna ku niemu, Więc ramiona rozsunął, Podbiegł — krzyknął... i runął Sam — w proch!"

Miłość ziemi najpiękniej odzywa się w pieśni „Czy znasz?" rzewnej, miłej, prostej. Piękną jest zwłaszcza trzecia zwrotka, tylko czy zupełnie prawdziwa? „Czy znasz ten kraj, Gdzie zamiast słów powodzi Promienny czyn, Jak słońce jasne, wschodzi?" Czy tak jest naprawdę?... Przywiązanie do natury ojczystej wypowiada poeta w „Najpiękniejszej" nie mniej rzewnie i poetycznie, jak Syrokomla w tej piosence, co „z głosem fletnie poleciała do duszy". Co stanowi niewątpliwy mur

tych wszystkich pieśni, to niedomówienie pewnych rysów, myśli, uczuć (np. „Niobe", a przedewszystkiem „Upiór)", które wszakże z łatwością serce ogdadnie, co właśnie powinno stanowić najistotniejszą cechę każdej prawdziwej „pieśni".

Pieśni, wypowiadających smutek, jest w „Wyborze poezyi" spora wiązanka, a i one, choć tylu nam już poetów smutno śpiewało i śpiewa, posiadają urok, bo płyną wprost z serca, i, kiedy poeta skarży się przed Bogiem, „że mi tak bardzo smutne dałeś życie", ...„choć wezbraną rzeką płynie myśl moja w otchłań lazurową": to nie tylko mu wierzymy, ale i współczujemy, bo wiemy, że z otchłani lazurowej" ściąga go na ziemię ciężka, ponad siły praca na kawałek chleba. A kiedy płacze nad tem, że „choć ta rola czarna, Jak ogród rajski, różami zakwitnie, I źdźbła pszeniczne wzrosną na ugorze I kłosy żytnie — Plon złoty praca przyniesie ofiarna, Ale, że obca dłoń te garnie ziarna, Smutno mi Boże!" — to i nam serce się ściska i wołamy wraz z poetą: „Że nie rozumiem sądów Twoich, Panie— Smutno mi Boże!". Może nie tak bezpośrednio, ale nie mniej pięknie wypowiada poeta swój smutek w dziesięciu sonetach „Za lotem myśli", w dwu pierwszych zwłaszcza, w których opis natury jesiennej z osobistem uczuciem w piękną łączy się harmonię. Czasem smutek odezwie się nawet jękiem zwątpienia („W przestworzu"), czasem graniczy ze zniechęceniem do życia („Dobrze", „Po latach"), ale w beznadziejny pesymizm nie przeradza się nigdy; nie ziębi serca, które umie po dawnemu odczuwać ślepą wiarę prostaczków, biegnących „z bethlejemskiej stajenki" („Noc pasterzy"), i tych, co dają grosz wdowi na wzniesienie świątyni pańskiej („Nic"); nie głuszy refleksyi, która po dawnemu rozumie, że na świecie muszą być „słońce i chmury naprzemian"; nie podcina skrzydeł woli, która po dawnemu dąży do ideałów — „do słońca". A zresztą poeta ma na smutek silną tarczę — w poezyi:

Wracaj, poezyo — wracaj!... Kto ukochał ciebie,
Krwią może, lecz nie błotem skronie swe naznaczy —
Zanim gwiazdy po gwiazdach zagasną na niebie,
Sto złudzeń przeżyć lepiej, niż skonać z rozpaczy.

Kto ma w sobie takie uczucia, ten nie jest zrozpaczonym pesymistą. W „Wyborze poezyi" Glińskiego jest „czasami mgła tęsknoty i smutku rozsnuta, czasem zabrzmi zwątpienia lub boleści nuta, jakiś zgrzyt niedowiarstwa, niepewności męka", lecz nad tem wszystkiem unosi się „jakaś młodość powrotna i zapach róż świeży".

„Ballady" nie posiadają tej wartości, co pieśni liryczne. Zresztą większą ich część znamy z wydania „Poezyi" w r. 1893. Główny zarzut, jaki im postawić należy, jest ten, że pierwiastki składowe nie łączą się w harmonijną całość; tak np. w „Alchemiku" skojarzenie morału z fantazyą jest niekoniecznie udatne. Lecz wdzięku poetycznego odmówić balladom niepodobna, zwłaszcza „Przyjaciołom", „Kniaziowej", a nadewszystko „Witeziowym córom", które, mówiąc nawiasem, niewieleby na tem straciły, gdyby ich przygody opiewał sam poeta, a nie drzewa. Z „powieści", na które składają się drobne opowiadania, obrazki liryczne i t. p., najlepsze są obrazki, osnute na motywach rodzimych, a więc nie takie, jak „Kropla krwi", „Arab" i t. p., lecz takie, jak „Kwiat stepu", „Bartek", „Stach obłąkany", mający zresztą wyraźne pokrewieństwo z tym „Mazurem" Lenartowicza, co to z rozpaczy śpiewa: „oj ta dana, oj dana, dołoż moja kochana"), a zwłaszcza „Gęsiarz" — proste i rzewne opowiadanie o biednym sierocie. Współczucie doli biednych ludzi stanowi wybitną cechę tych obrazków. *Ign. Chrzanowski.*

Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Poezye. IV. Warszawa, 1900.

W drugiej seryi poezyi Tetmajera (z roku 1894) jest jeden wiersz, który najlepiej charakteryzuje przewodnie uczucie jego liryki: „Melancholia, tęsknota, smutek, zniechęcenie są treścią mojej duszy...“ To samo uczucie przenika seryę trzecią (1898), a i w czwartej (1900) przewodniem być nie przestaje: poeta nazywa melancholię „duszą swojej duszy“ („O, melancholio!...“). Ten smutek jest może nawet głębszy, aniżeli poprzednio, a przynajmniej jego wyraz poetyczny jest głębszy, silniejszy, bardziej skupiony w sobie, a przedewszystkiem bardziej filozoficzny, — nie w tem znaczeniu, żeby poeta zdobył się na zupełną rezygnacyę ale w tem, że zagłębia się w swoje uczucie, zdaje sobie sprawę z jego przyczyn i objawów. Cóż jest główną przyczyną smutku? Bardzo silnie rozwinięty indywidualizm i połączona z nim żądza potargania tych pęt, jakie natura i życie na człowieka nałożyły. Taki indywidualizm np. nawskroś przenika utwór, odznaczający się prawdziwą siłą wyrazu, — „Tytan“. Chciałby Tytan pójść między bogów, nie po to, aby czołem przed nimi uderzyć, lecz, żeby zdobyć ich życie, a potem złożyć ich z tronu, „jak psy, Zeusa pioruny powiązać w obroże i władać światem“. O silnym indywidualizmie poety świadczą również „Kolumny Samsona“, utwór, pełny energii, życia, plastyki, przepojony uczuciem rozpaczy na widok ubezwładnionej siły bohatera i pogardą względem tych, co siłę ubezwładniają.

Władza wszakże i potęga, której tak namiętnie pożąda poeta, są nie celem same dla siebie, lecz środkiem do czynu: gdyby je miał, byłoby inaczej na świecie: „O! gdybym z tej góry, sięgnąwszy ręką, schwycić mógł kołowrót świata i bieg mu zmienić, ażby jedna pieśń olbrzymia, jedna pieśń szczęścia w niebo runęła... — O pieśni! pieśni szczęścia! czyż nigdy nie zabrzmisz?“

Kiedy czytamy te słowa, przypominają się nam prometejscy bohaterowie poezyi romantycznej; ta wszakże wielka zachodzi pomiędzy nimi a nowoczesnym poetą różnica, że tamci posiadali silną wolę i energię, ten ma dnszę bezsilną, bo zatrutą jadem zwątpienia. Zobaczmy, jak wygląda w poezyi teraźniejszej, w czwartej seryi poezyi Tetmajera, zbolała i nieszczęśliwa dusza.

Przedewszystkiem nie wierzy, aby szczęście było na ziemi możliwe:

I nigdy dusza ludzka nie będzie, jak słońce,
Promienna i gorąca, jednem tylko czuciem
Przejęta, aby ciepło rozrzucać i świecić?
Nigdy?... I wieczny, wieczny będzie rozdźwięk w świecie
Między tem, co śni człowiek, i tem, co snem nie jest?...
Tak! Tysiące już ludzi zło życia wskazało,
Tysiące już ból ludzki wykrwawiło w słowach,
Nigdy jednak nikt Dobra i Szczęścia nie stworzył!

Filozofia i poezya pokazały nam wprawdzie „całą nędzę ludzkiego żywota“, ale zabić jej nie zdołały; nawet ten jej nie zniszczy, kto ukochał ludzkość, bo miłość ludzkości nic nie sprawi z powodu „niemocy woli ludzkiej, bezsilności wobec Woli Tajemnej i Jej głuchej Siły“. Człowiek rwie się do czynu, bo „żyć to tworzyć“, ale cóż z tego, kiedy „tworzyć to wierzyć“, a on nie wierzy („Na szczycie“). Czasem zdaje się człowiekowi, że wierzy, czasem zapomina o swej bezsilności i roi wzniosłe marzenia o szczęściu, o czynie, — ale to złudzenie trwa krótko; wnet powraca okropna samowiedza w towarzystwie straszliwej „Ironii“:

Na każdem miejscu i każdej dobie
Byłam i będę przy tobie:
Każdą myśl twoją, każdą chęć twą truję.
Każdy twój poryw, każdy czyn twój psuję,
Jestem twą klątwą, twą klęską żywota.
I nic cię nigdy nie wyrwie z mej ręki.

Tak więc ironia ubezwładnia w człowieku uczucia i wolę, jest jego przekleństwem i zmorą duszącą. Oto dlaczego szczęście jest tylko „Legendą“. Ucieczki przed świadomością nieszczęścia, powiada poeta, są tylko dwie: szał zmysłów i wyobraźnia. Tutaj dopiero spostrzegamy ważną różnicę pomiędzy czwartą seryą poezyi Tetmajera a drugą i trzecią: w tych ostatnich szał zmysłów, jako pociecha w nieszczęściu, występował na pierwszy plan („Hymn do miłości“, „Lubię, kiedy kobieta...“, „Wąż“, „Danae Tycyana“ i t. d.); w czwartej seryi tymczasem szał zmysłów niknie zupełnie. W „Drobnych wierszach“, naprzykład, miłość nie ma ani cienia zmysłowości; gwałtowny temperament poety nie szuka ujścia w szale zmysłowym, lecz w idealnych marzeniach. Poezya Tetmajera uduchowiła się, szlachetne pierwiastki, których zresztą nie brakło i w dawniejszej jego pieśni, lecz które nie były jeszcze panującymi, teraz wzięły górę w jego duszy. Najdobitniejszym może wyrazem tego zwrotu jest opowiadanie o „S z a l o n y m F a u n i e“: Faun, niegdyś „ścigacz smukłokształtnych ud“, „ścigacz Nimf nagich, zwykły pić rozkosz z ich ciał, jak wino z czar“, teraz jest zupełnie inny: opadł z niego „wszelki brud i wszelki grzech“, odpędza precz wabiące go nimfy, czcicielki Kiprydy, i zwraca sie ku czystej Psyche: „O jasnoczoła, Pani ros, któremi błyszczy leśni wrzos, pani tych świateł, co się szklą na fali pod poranną mgłą, pani tych barw, któremi lśni morze, wpływając w nocny cień, pani błękitnych, cichych dni, pani błękitnych nieba drgnień, n a j c z y s t s z a z c z y s t y c h, z woni róż, z liliowych blasków, które wzgórz szczyty w zachodu stroją czas, zrodzona; ty, coś przeszła raz przez świat ten, by zostawić mu t ę s k n o t ę n a d z i e m s k i e g o s n u: C i e b i e c h c ę k o c h a ć!...“ Dawny szał zmysłów ustąpił przed tęsknotą nadziemskiego snu, przed wyobraźnią, mocą której przenosi się poeta w rozkoszną krainę Ciszy, Przestrzeni i Światła. W cyklu sonetów „W milczeniu“ dusza poety, „goryczy pełna, pełna krwi“, tęskni „za swoim utraconym domem“, za łąką mistyczną, za krainą niewysłowionego szczęścia, gdzie materya nie krępuje już ducha, gdzie dusza, stając się na nowo częścią wszechduszy świata już nie jest podległą więzom ciała. Pięknym wyrazem tych marzeń o cichej krainie szczęścia jest poemat „W wyobraźni“: serce, zachwycone wizyą, wchodzi w „kraj jakiś, we śnie już pierwej widziany“, w którym ukazują się jakieś dwie nadziemskie istoty, Eliana i Arikarna; ręce do nich wyciąga z błagalną prośbą: „Weźcie mą duszę i kędyś w pustynie wiedźcie, gdzie żadna istność się nie tarza... gdzie niema Boga — ale i ołtarza, gdzie nic nie wstaje —lecz i nic nie ginie, gdzie jest Milczenie Wieczne, Ciche, wielkie, gdzie jest Spokojnie...“ I pod wpływem tej cudownej wizyi odzyskuje wiarę i woła: „Wierzę w byt przyszły! W nieśmiertelność duszy! Zło życia we mnie obudza tę wiarę — — musi być inny byt!..... Jest to wrócenie w niebo tryumfalne...“ A w malowaniu obrazów tej ciszy błogosławionej, w oddawaniu nastrojów marzycielskich, pragnień panteistycznych, rojeń o prabycie ludzkości i marzeń o przyszłem szczęściu— jest Tetmajer artystą („Marzyłem, rwałem się w niebios przestrzenie“, „Na wiosnę“, „W nocy“ i t. p.).

Najpiękniejszym jednak dowodem uduchowienia poezyi Tetmajera jest fan-

tazya liryczna „*Qui amant...*“, która, zanim weszła w skład seryi czwartej, była już znaną z czasopism; pisano o niej nawet, i niektórzy upatrywali w niej echo „Szwajcaryi“ Słowackiego. Całkiem niesłusznie. Podobieństwo — jeżeli już kto koniecznie zechce go szukać — polega chyba tylko na kilku zwrotach stylowych, lecz poza tem wszystko odmienne. W poemacie Słowackiego miłość, choć wyidealizowana, ma, bądź co bądź, nie tylko pozory, ale i cechy rzeczywistości, u Tetmajera — niema nawet pozorów. Sprobujmy np. uprzytomnić sobie jasno i wyraziście krainę, w której żyje „pani jedna, cudna pani“ — daremnie! może czujemy tę krainę, ale jej nie widzimy, a przecie o brak talentu plastycznego Tetmajera pomawiać nie można: nie, ta mglistość, ta eteryczność, te rozwiewające się kształty — są w poemacie dlatego, że poeta chciał, aby tak było, a chciał dlatego, że marzenia w kształty pochwytne często ująć się nie dadzą, te przynajmniej marzenia, które wywołały poemat „*Qui amant...*“ A są to marzenia o tej samej błogosławionej krainie nieziemskiego szczęścia, o której marzy poeta „Na szczycie“, uzupełnione marzeniami o czystej, idealnej istocie, którą widział ... w swojej wyobraźni; jest to istota nadziemska, spokrewniona z Elianą i Arikarną, — „tak piękną duszę Bóg raz tylko stwarza!“ — symbol, idea najidealniejszej czystości, do której dąży przeduchowiony człowiek. Wyrazem tej dążności jest właśnie poemat Tetmajera.

Takie są główne motywy jego liryki. O jej formie mówić nie będziemy: że jest ona piękna, dawno wiadomo; nam chodziło głównie o zaznaczenie różnicy pomiędzy obecną a dawniejsza jego poezyą, różnicy dość istotnej i wyraźnej; czy ten zwrot będzie trwałym, przyszłość okaże; jakkolwiekbądź, zwrot jest, a poezya na nim źle nie wyszła; stwierdzając ten postęp w rozwoju twórczości poety, spełniamy najmilszy z obowiązków krytyka. *Ign. Chrzanowski.*



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

Dr. Eugeniusz Warming. *Zbiorowiska roślinne.* Zarys ekologicznej geografii roślin. Z wyd. niem. Dra Emila Knoblaucha, przełożyli Edward Strumpf i Józef Trzebiński. „Biblioteka przyrodnicza Wszechświata“. Wydanie z zapomogi Kasy im. Mianowskiego. Warszawa, 1900. — „Biblioteka przyrodnicza Wszechświata“ postawiła sobie za cel wypełnić najważniejsze luki naszego piśmiennictwa naukowego w zakresie wiedzy przyrodniczej. Że zadanie to spełnia sumiennie i umiejętnie, dowodzą wyszłe dotąd tomy tego wydawnictwa, stanowiące dość już duży szereg poważnych dzieł, w części napisanych oryginalnie przez przedstawicieli naszej nauki, w części przełożonych z obcych języków, a zawsze stanowiących ważny nabytek dla nauki, który w naszych warunkach inną drogą z trudnością tylko zdobyćbyśmy mogli. Są to przeważnie obszerne podręczniki naukowe, jak np. Franka: „Wykład fizyologii roślin“, Dana: „Podręcznik geologii“, Mohna: „Zasady meteorologii“, a zwłaszcza Nusbauma: „Zasady anatomii porównawczej“, t. I, i Tschermaka: „Kurs mineralogii“, lub przygotowywany obecnie do druku Berndtsena: „Wykład chemii organicznej“. W tem to wydawnictwie pojawiło się i wzmiankowane w nagłówku dzieło duńskiego badacza Warminga: „Zbiorowiska roślinne“, które w ciągu ostatnich lat paru, od czasu pojawienia się w oryginale, doczekało się przekładu na kilka języków europejskich. Przedmiotem tego dzieła jest geografia ekologiczna roślin. „Ekologia“ jest nazwą nową, którą za inicyatywą Haeckla (1896) poczęto w ostatnich czasach zastępować w wielu razaah dawniejszą nazwą „biologii“, zwłaszcza od chwili, gdy pogląd na przedmiot i zadania tej ostatniej począł się wraz z rozwojem nauk biologicznych zmieniać. Pod nazwą tą rozumiemy dziś naukę o stosunku istot żywych do czynników otaczającego świata, naukę o gospodarstwie wewnętrznem naturalnych skupień czy społeczeństw, jakie organizmy, zarówno roślinne, jak zwierzęce tworzą. Dzieło Warminga stanowi pierwszą próbę przedstawienia ekologicznych stosunków roślin, rozklasyfikowania i opisania tych naturalnych skupień, czy też „zbiorowisk“, jak je dość słusznie nazwali tłómacze, zbadania przyczyn łączenia się roślin w takie zbiorowiska, przyczyn przybierania właściwych im postaci, obierania danych stanowisk, rozsiedlania się roślin na ziemi, urządzania swych gospodarstw w zależności od działania ciepła, światła, wpływu wody czy pożywienia i t. p. warunków życia, a także zbadania stosunku ich do innych organizmów, zarówno roślinnych, jak zwierzęcych, zależności od wpływu człowieka i innych czynników świata otaczającego tak martwego, jak i ożywionego. Autor, doskonały znawca świata roślinnego, wywiązał się z podjętego zadania znakomicie,

kładąc podwalinę nowej nauki, mającej przed sobą szeroką drogę dalszego rozwoju, rozwijając przed oczyma czytelnika obrazy nowej dziedziny zjawisk, oświetlając znane zjawiska z nowego punktu widzenia i przytaczając szeregi nowych własnych spostrzeżeń. Z tego powodu dzieło to, stanowiące ważny przyczynek dla nauki, odda poważne usługi zarówno specyalistom, jak i szerszemu ogółowi, interesującemu się światem zjawisk roślinnych. W dziele zasługuje z naukowego punktu widzenia na uwagę głównie klasyfikacya zbiorowisk (które autor dzieli na: 1) roślinność hydrofitową, 2) kserofitową, 3) halofitową i 4) mezofitową) z jej poddziałami, uwagi ogólne o odnośnych grupach, jak i wykazanie znaczenia mniej znanych dotąd czynników ekologicznych. Zarówno tłómaczom, którzy, mając poważne do przezwyciężenia trudności, wzorowo z zadania się wywiązali, jak i wydawcom tego dzieła, należy się szczera podzięka za przyswojenie go naszej literaturze naukowej, a zarazem i gorąca zachęta do dalszej w tym kierunku pracy.

M. Hn.

B. Dyakowski. *Wędrówki zwierząt i roślin.* „Wydawnictwo popularne". Warszawa. 1900. — Pożyteczne wydawnictwo popularnych dziełek z zakresu przyrodoznawstwa, podjęte przez znaną firmę księgarską, zasługuje się naszej literaturze naukowej coraz lepiej; 19-ty tomik tego wydawnictwa zajmie w niem niewątpliwie miejsce poczesne. Prawdziwą wdzięczność czujemy dla autora tego dziełka za przysporzenie piśmiennictwu naszemu, nie obfitującemu wcale w tego rodzaju książki do czytania treści przyrodniczej dla szerszego ogółu, tak doskonałej w tym kierunku rzeczy, która niewątpliwie zainteresuje nie tylko miłośników przyrody, lecz i inteligentny ogół. Autor bowiem nie ogranicza się do faktów i szczegółów naukowych, stanowiących materyał surowej nauki, lecz oświetla je uogólnieniami, przykładami porównawczymi, zaczerpniętymi ze stosunków ludzkich, co stanowić może pewien przyczynek do niektórych zagadnień, wchodzących w zakres nauk socyologicznych. Dziełko opracowano zostało samodzielnie, z obszernem, o ile to było możebne, uwzględnieniem stosunków naszego kraju. Niemałą zasługą autora jest po raz pierwszy dokonane zestawienie zaczerpniętych z różnych źródeł wiadomości o sposobach, drogach i czasie przesiedlenia się i zaaklimatyzowania u nas różnych zwierząt i roślin, zarówno żyjących w stanie dzikim, jak i hodowanych sztucznie, o ile te wiadomości zebrać był w stanie. Dziełko to zaleca nadto przystępna i zajmująca forma wykładu oraz czystość języka.

M. Hn.

Rozprawy Akademii Umiejętności. *Wydział matematyczno-przyrodniczy.* Serya II, tom XV i XVII. — Zaznaczone w nagłówku dwa nowe tomy „Rozpraw Akademii Umiejętności" odznaczają się nie mniej, jak zwykle, obfitą i zajmującą treścią, świadczącą wymownie, jak bardzo pomimo niezbyt przyjaznych warunków poważna praca naszych uczonych i badaczów postępuje i rozwija się pod opiekuńczemi skrzydłami Akademii. Nie mogąc dla zbyt specyalnej treści pojedyńczych prac przedstawić na tem miejscu ich wyników, odsyłamy ciekawych do źródła, zaznaczając tylko ważniejsze tych prac tytuły: Tom XV: 1) J. Marchlewskiego: „Studya nad związkiem O'Neilla i jego pochodnymi", oraz: „O gossypolu, składniku nasion bawełny; 2) A. Becka: „Badania nad unerwieniem gruczołów ślinowych"; 3) S. Niementowskiego: „O azimidach benzimidazoli"; 4) K. Radziewanowskiego i J. Schramma: „O wpływie światła na chemiczne podstawianie"; 5) M. Kowalewskiego: „Studya helmintologiczne"; 6) „J. J. Boguskiego: „O własnościach roztworów azotynu sodowego"; 7) L. Adametza: „Nowy gatunek dyluwialnego rogatego bydła"; 8) E. L. Niezabitowskiego: „O wyrastaniu ostatniego zęba

trzonowego w dolnej szczęce niedźwiedzia „jaskłniowego“; 9) Z. W. Jaworskiego: „O rozkładzie mleka pod wpływem prątka Bacillus butyricus“; 10) W. Natansona: „O wpływie ruchu na zmiany stanu skupienia“ oraz „O termokinetycznych własnościach roztworów“; 11) A. Witkowskiego: „O oziębianiu się powietrza wskutek rozprężenia nieodwracalnego“; 12) R. Mereckiego: „Klimatologia ziem polskich“. T. XVII: 1) L. Świtalskiego: „O pozostałościach ciała i przewodu pranercza u płodów i dzieci płci żeńskiej“; 2) T. Browicza 4 prace: „O zjawiskach krystalizacyi w komórce wątrobnej“; „O śródnaczyniowych komórkach we włoskowatych, krwionośnych naczyniach zrazików wątroby“; „W sprawie pochodzenia melaninu w nowotworach barwikowych“; „Stuczna krystalizacya hematoidyny w komórce mięsaka barwikowego; 3) S. Kępińskiego: „O peryodach całek hypereliptycznych“ oraz: „O całkach rozwiązań równań różniczkowych z sobą sprzężonych, rzędu 2-go, posiadających 3 punkty osobliwe“; 4) J. Nusbauma: „Badania porównawcze nad podjęzykiem, przegrodą językową i lyssą zwierząt ssących“; 5) K. Żorawskiego: „O zbieżności szeregów odwracających“ oraz: „Przyczynek do geometryi nieskończenie małych przekształceń“; 6) M. P. Rudzkiego: „Odkształcanie się ziemi pod ciężarem wielkich lodowców“, oraz: „Teorya fizycznego stanu kuli ziemskiej“. Oba tomy illustrowane są, jak zwykle, rysunkami w tekście i na dołączonych tablicach. *M. Hn.*

Bolesław Błażek. *Znużenie w szkole. Przyczynek do doświadczalnej psychologii*, 1900. — Autor, zachęcony przykładem Niemców, zabrał się do pedagogii doświadczalnej i zapomocą wydoskonalonego przez siebie przyrządu starał się mierzyć znużenie uczniów. Doświadczeń swych dokonywał w filii gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie, a miał na celu: 1) „stworzyć możliwie prawdziwy obraz obecnego stanu rzeczy, a z wysnutych stąd wniosków przyjść do świadomości istniejących błędów w nauczaniu; 2) zainicyować u nas ruch na polu pedagogii doświadczalnej“. W książce swej daje na wstępie dokładny opis, opatrzony pięciu tablicami zbudowanego przez siebie *aisthesiometru* ze sprężyną i zwierciadłem, ułatwiającem badania, a następnie przegląd swych doświadczeń i wysnute z nich wnioski. Przy badaniach autor uwzględniał: indywidualność ucznia, jego zdolności, stan zdrowia, ilość godzin nauki, różnorodność przedmiotów i inne poboczne wpływy, jak sen, pośpiech w przybyciu do szkoły i t. d. Doświadczenia aisthesiometrem wskazywały, że rzadko kiedy znużenie stale rośnie. Wzmaganie się zmęczenia połączone jest z jego spadkiem: uczeń, siedzący pięć godzin w szkole, nie użytkowuje całego czasu trwania nauki, ale zmęczenie wynagradza sobie nieuwagą, i to niejednorazową tylko. I tak: przez 5 godzin pracuje na 100 uczniów 0, przez 4—17, przez 3—55, przez 2—17, przez 1—11. Widzimy więc, że najsystematyczniejsza praca była przy t r z e c h g o d z i n a c h nauki, a stąd wniosek taki, że trzygodzinna praca w szkole powinna stanowić *maximum*, gdyż nadwyżka wypełniona jest nieuwagą. W pierwszej godzinie jeszcze się uczeń nie wprawił do pracy. Praca pierwszej godziny jest daleko większą, niż praca następnych godzin. I tak: na pierwszej godzinie pracuje na 100 uczniów 71, na drugiej — 43, na trzeciej — 61, na czwartej — 48, na piątej — 58. Największa ilość pracujących wykazują godziny: pierwsza, trzecia i piąta; widzimy więc, że po pracy następuje stały odpoczynek i że na ten odpoczynek obrócone są godziny nauki. Aby temu zapobiedz, powinno się wprowadzić d ł u ż s z e p a u z y. Co się tycze ilości zużywanej pracy na każdy przedmiot, to podług odbytych doświadczeń najwięcej pra-

cy uczeń używał przy nauce historyi naturalnej; po niej następuje język grecki, łaciński, matematyka, historya, język niemiecki, religia i język polski. Z powyższych spostrzeżeń autor wyprowadza następujące wnioski: 1) skala siły nużącej przedmiotów powinna być wskazówką przy układaniu planu; 2) trwanie nauki zredukowane być winno do trzech godzin, (cztery przedmioty, każdy po 45 minut); 3) po każdym przedmiocie należałoby urządzać piętnasto-minutową pauzę; 4) należy znieść stopnie, gdyż obawa przed egzaminowaniem wywołuje w uczniu nieproporcyonalny wysiłek energii. W końcu książki autor stawia pytanie, czy przy obecnym systemie nauk istnieje przeciążenie i taką daje odpowiedź. Przeciążenie z powodu zbyt wielkiej ilości godzin w planie nie może istnieć, bo nie pozwoli na to natura ucznia. Może tu tylko być mowa o ekonomicznem użyciu czasu. Przeciążenie jednak w szkołach istnieje, a jest wywołane metodą uczenia. Cały ciężar nauki spada na czas pozaszkolny, a rola nauczyciela ogranicza się często tylko do egzaminowania. Dlatego przedewszystkiem trzeba zmienić metodę nauczania. Oto w krótkim zarysie treść książki p. B., a przedewszystkiem obraz wyników jego pilnych i sumiennych badań, przeprowadzonych w jednej ze szkół galicyjskich. Doświadczenia takie, prowadzone systematycznie w różnych szkołach i na dzieciach różnego typu, dałyby niezawodnie bardzo ciekawe rezultaty, a gdyby ugruntowały nieomylność pomiarów tego rodzaju, mogłyby z czasem popchnąć szkolnictwo na inne tory. W badaniach takich należałoby także zwracać uwagę i na indywidualność nauczyciela, gdyż sposób wykładu w skali znużenia niemniejszą chyba odgrywa rolę, jak zbyt wielka ilość godzin, zły rozkład nauk i brak dłuższych wypoczynków. *W.*

Wacław Gąsiorowski. *Pamiętniki nowonarodzonego*, studyum fantastyczne (z cyklu „Powoje") autora „Szarego życia", Warszawa, 1899.—Wyobraźmy sobie, że *idée fixe* Flammariona o migracyi dusz z planety na planetę jest faktem dowiedzionym; przypuśćmy dalej, że jakaś dusza po sześciu rozlicznych mniej lub więcej szczęśliwych wcieleniach na Oryonie, Marsie i t. d. zawędrowała na „Terrę" (w sferach śródplanetarnych widocznie łacina jest używaną, jako język międzynarodowy); uwierzmy dalej, że dusza owa w pierwszych chwilach swego żywota na planecie, zwanej „Terrą", zachowuje pamięć dawniejszych wcieleń i doświadczenie, w nich zdobyte, i potem dopiero traci je stopniowo pod wpływem obcowania z ludźmi i przewagi ciała nad duchem; przyjmijmy i to na wiarę autora, iż w piątym miesiącu piątego roku życia rozstawszy się z „Terrą", taż dusza nie traci pamięci wrażeń, doznanych na tym nikczemnym globie i spisuje je w formie pamiętnika, przygotowując się do przywdziania ósmej z kolei sukienki cielesnej; i wreszcie dajmy na to, iż p. Gąsiorowskiemu udało się te pamiętniki dla nas pozyskać i wydrukować w Warszawie już w drugiem wydaniu na początku roku bieżącego. Aż tyle wymaga od nas p. Gąsiorowski łatwowierności, tyle przesłanek każe nam przyjąć, jako fakty niezbite, zanim przystąpimy do czytania jego „studyum fantastycznego". Przymiotnik bardziej odpowiada rzeczywistości od rzeczownika, więcej tu bowiem fantazyi od rzetelnego studyowania życia — najwięcej zaś pretensyi do oryginalności we wszystkiem, od treści do illustracyi. Głównym motywem tego „studyum fantastycznego" jest efekt przeciwstawny: doświadczenia i mądrości życiowej duszy, zdobytych w sześciu egzystencyach, i niedołęstwa niemowlęcego ciała. Dusza filozofuje, zastanawia się nad zagadkami bytu, cierpi, szydzi i ironizuje, a ciałko — spożywa dary Boże, trawi, leży bezwładnie, a gdy mu coś dolega, wydaje dźwięki nieartykułowane. Filozofia i mamka, trudno o przeciwstawienie bardziej jaskrawe, i pomimo usiłowań autora — złagodzenia nierówności — mniej drapiące smak estetyczny. A jeszcze kiedy autor oświad-

cza, iż jego bohater w pieluchach „sili się na cierpliwość i hamuje gniew“, gdy ludzie bolesnemi pieszczotami objawiają mu swoją sympatyę, lub że niszczy książkę również w gniewie — na niedołęstwo cywilizacyi ludzkiej (na Oryonie od wieków zapomniano już o druku, wynalazłszy tysiąc razy doskonalsze sposoby utrwalania myśli i wrażeń), nie możemy się oprzeć wrażeniu, że autor żartuje chyba z czytelnika. Wreszcie i styl burszowski, pełen czasem niesmacznych konceptów, utwierdza nas w przekonaniu, że autor dzieła swego na seryo nie bierze i nie zamierza rozwiązać niem tajników prabytu; i my też gotowiśmy traktować rzecz tę, jako żart wesoły i nieszkodliwy. *H. G.*

N. Bardzka. *Utopista*, Warszawa, 1900. — Sprawozdanie z utworów tej miary, co „Utopista“, do zadań literackich właściwie nie należy, ale fakt ukazywania się w handlu księgarskim lichych wyrobów powieściowych jest zbyt znamiennym, aby go milczeniem pominąć, zaczyna bowiem wzrastać do rozmiarów poważnej plagi społecznej. Oprócz arcydzieł pierwszorzędnych, oprócz oryginalnych śmiałych porywów młodych sił, szukających dla myśli dróg nowych, potrzeba nam i utworów średniej miary, które stwarza sumienna, poważna praca w połączeniu z pewnym talentem. Dzieła takie mają pewne zasługi około rozwijania pojęć ogółu, a przez to duże znaczenie społeczne. Dwa wszakże warunki konieczne są do napisania przeciętnej, pożytecznej książki: uczciwa praca umysłowa i umiejętność pisania. Są to wymagania bardzo skromne. Najlepsza intencya niewiele bez nich znaczy i wynagrodzić nie może takiej nieudolności, jaką zdradza powieść p. Bardzkiej. Intryga słaba, styl przewlekły i wadliwy, sytuacye naciągane, słowem nietylko niema w tem żadnego talentu, ale nawet śladu pracy i starania o poprawność i logikę. Osłoną dla tego zlepku jest szlachetna tendencya: bohater powieści dąży do odkupienia wsi rodzinnej i urządzenia patryarchalnego stosunku do chłopów. Na tem tle istotnie napisaćby można rzecz rozumną i pożyteczną, rzecz w rodzaju powieści Orzeszkowej, Rodziewiczówny, Jeleńskiej czy Urbanowskiej. „Utopista“ służyć może za dowód, że z dobrych zamiarów powstać może lichy utwór, jeżeli nic więcej w nim niema prócz owych „dobrych zamiarów“. Dość pospolicie utrzymuje się przekonanie, że pisanie takich elukubracyi jest nieszkodliwem zajęciem, które trzeba tolerować tak, jak się znosi bębnienie dzieci na fortepianie, ponieważ daje to sposobność zarobku osobom, potrzebującym tego koniecznie. Z pewnością, większa część takich utworów zawdzięcza swe istnienie temu faktowi, że się za nie dostaje skromne honoraryum. Trudno się nawet dziwić, trudno potępiać osoby, które „tworzą“ tak, jak umieją, jeżeli w ten sposób mogą coś zarobić, a nawet zyskać stanowisko, mające pewien urok wobec tradycyjnego u nas poszanowania dla każdego druku. Gdyby powieść p. B. była jedynym okazem w swoim rodzaju, możnaby nad nią przejść do porządku dziennego z pobłażliwością, ale wydanie takiej książki przez nakładcę może dodać otuchy całemu zastępowi piszących, co uważam za szkodliwe z dwu względów: po pierwsze jako marnowanie czasu, po drugie jako przyzwyczajanie publiczności do literackiej tandety, przez co psuje się smak. *J. K.*

Kazimierz Daniłowicz-Strzelbicki. „*Blichtr*“. (Sceny z życia), Warszawa, 1900. Zamiarem autora „Blichtru“ było wyrwać szmat z życia Warszawy, odmalować pewną grupę ludzi, z urodzenia zaliczających się do wyższych warstw społeczeństwa, choć utracili podstawę dotychczasowego „panowania“: majątek. Krócej mówiąc, bohaterowie powieści to zbankrutowani właściciele ziemscy, często utytułowani, którzy, uratowawszy okruchy ze swych możnych niegdyś stołów, ukryli

je starannie i szukają ocalenia w mieście. Tu żyją pozorami, blichtrem. Niektórzy, młodzież zwłaszcza, gniją w tych miazmatach życia wielkomiejskiego: pożera ich nieustannie żądza zdobycia pieniędzy, a bywa ona tak silna, że popycha jednostki tego społeczeństwa blichtru i upadku do kradzieży; innym wskazuje karty, jako środek do osiągnięcia celu. Oni sami, choć widzą dokładnie tę nędzę swojego istnienia, łudzą się wzajemnie, okłamują pozorami, a nie mają dość siły, by wejść na drogę pracy. A może brak im po temu zdolności? Opuśćcie corychlej miasto; życie dotychczasowe w dusznych mieszkaniach waszych zamieńcie na zdrowe życie wsi; imajcie się pracy na roli, bo tam dla was pole do działania. Ziemia — to wasze dziedzictwo, ją ukochawszy, pracujcie! woła autor. Niestety, okrzyk ten i zachęta spóźnione: „dziedzice" przemarnowali spuściznę, bo ich nie nauczono pracować. Ideę autora — z pośród całej grupy figur „Blichtru" — można zastosować tylko do osoby Zahorskiego, natury młodej i niezepsutej, prawego dziedzica ziemi, gdyż on ją bezmiernie ukochał. Lecz dla tych, na których on patrzył tu, w mieście, brzydził się nimi, a może tylko litował nad tymi nędzarzami rozumu, serca i zdolności, — dla nich niema ratunku. Powieść bez wątpienia napisana z talentem. Autor posiada dar spostrzegawczy, a rzeczy widziane opowiada łatwo, zajmująco, językiem poprawnym i wolnym od naleciałości; styl nieokazały wprawdzie, ale nie zaniedbany. „Blichtr", nazwany „scenami z życia", nie może rościć praw do powieści jednolitej; luźne połączenie scen obniża wartość utworu i sprawia wrażenie takie, jak gdyby autor nie mógł pokonać materyału, by spożytkować go dla rzeczy skończonej, doskonałej. *L. R.*

Wanda Grot-Bęczkowska. *Marzycielka*, powieść współczesna, Warszawa, 1900 („Bibl. dzieł wyb."). — Marzycielką w opowiadaniu jest Ania, córka pani Starzynieckiej. Zachodzi jednak pewna pod tym ostatnim względem wątpliwość z powodu, że zaraz na pierwszej stronicy książki, tuż za kartą tytułową, czytamy w dedykacyi: „Mojej Ani poświęcam". Czy okoliczność ta nie pozwala przypuszczać, że, jak w kilku poprzednich powieściach, tak i tym razem rzecz osnutą została na autobiograficznym materyale obserwacyjnym, na spostrzeżeniach, zaczerpniętych z bezpośredniego otoczenia autorki? W przyzwoitym, bogatym, przystojnym Leonie Skalskim Ania ma narzeczonego, na którego roziskrzonem i bodaj czy trochę nie zazdrosnem oczkiem spogląda jej siostra Helena... Czy tylko naprawdę Helena?... Zdaje się, że byłoby może właściwiej nazywać ją Kazią... Ale mniejsza o to. Kazia czy Helena — jest to upostaciowane przeciwieństwo Ani. Ona, Kazia, jako realistka, nigdyby na miejscu tej mazgajowatej idealistki Ani nie czekała na trzy lub czterokrotne wezwanie Skalskiego: „pójdź w moje objęcia, aniele!" Poszłaby bez wezwania... Nie posiada też Kazia-Helena najmniejszego wyobrażenia o tem, jak dalece można być zakochaną w muzyce .. to jest w Chopinie... albo raczej, mówiąc ściśle — w f o t o g r a f i i Hugona Bardzkiego, który, jak dwie krople wody, przypomina naszego Paderewskiego. Całymi dniami i tygodniami wpatruje się w tę fotografię Ania. Za to Kazia-Helena nie żałuje sobie mniej więcej ukradkowych spojrzeń w stronę niefortunnego jej narzeczonego. I trwają te kontemplacye, te oględziny w akompaniamencie suto od początku odmierzonych westchnień aż do wyjazdu Ani z matką (naturalnie, panią Starzyniecką) do Reinerz, zaś Heleny — w dalekiem towarzystwie Leona — do majątku starych państwa Skalskich. W Reinerz Ania zabiera znajomość z powszechnie znaną poetką Ludmiłą Mirońską, nic z początku nie wiedząc i nawet się nie domyślając, że Ludka jest dobrą, bardzo dobrą znajomą Bardzkiego — jego samego, nie jego fotografii. Zresztą i sama Ania mniej już trochę zajęta jest oglądaniem

cza, iż jego bohater w pieluchach „sili się na cierpliwość i hamuje gniew“, gdy ludzie bolesnemi pieszczotami objawiają mu swoją sympatyę, lub że niszczy książkę również w gniewie — na niedołęstwo cywilizacyi ludzkiej (na Oryonie od wieków zapomniano już o druku, wynalazłszy tysiąc razy doskonalsze sposoby utrwalania myśli i wrażeń), nie możemy się oprzeć wrażeniu, że autor żartuje chyba z czytelnika. Wreszcie i styl burszowski, pełen czasem niesmacznych konceptów, utwierdza nas w przekonaniu, że autor dzieła swego na seryo nie bierze i nie zamierza rozwiązać niem tajników prabytu; i my też gotowiśmy traktować rzecz tę, jako żart wesoły i nieszkodliwy. *H. G.*

N. Bardzka. *Utopista*, Warszawa, 1900. — Sprawozdanie z utworów tej miary, co „Utopista“, do zadań literackich właściwie nie należy, ale fakt ukazywania się w handlu księgarskim lichych wyrobów powieściowych jest zbyt znamiennym, aby go milczeniem pominąć, zaczyna bowiem wzrastać do rozmiarów poważnej plagi społecznej. Oprócz arcydzieł pierwszorzędnych, oprócz oryginalnych śmiałych porywów młodych sił, szukających dla myśli dróg nowych, potrzeba nam i utworów średniej miary, które stwarza sumienna, poważna praca w połączeniu z pewnym talentem. Dzieła takie mają pewne zasługi około rozwijania pojęć ogółu, a przez to duże znaczenie społeczne. Dwa wszakże warunki konieczne są do napisania przeciętnej, pożytecznej książki: uczciwa praca umysłowa i umiejętność pisania. Są to wymagania bardzo skromne. Najlepsza intencya niewiele bez nich znaczy i wynagrodzić nie może takiej nieudolności, jaką zdradza powieść p. Bardzkiej. Intryga słaba, styl przewlekły i wadliwy, sytuacye naciągane, słowem nietylko niema w tem żadnego talentu, ale nawet śladu pracy i starania o poprawność i logikę. Osłoną dla tego zlepku jest szlachetna tendencya: bohater powieści dąży do odkupienia wsi rodzinnej i urządzenia patryarchalnego stosunku do chłopów. Na tem tle istotnie napisaćby można rzecz rozumną i pożyteczną, rzecz w rodzaju powieści Orzeszkowej, Rodziewiczówny, Jeleńskiej czy Urbanowskiej. „Utopista“ służyć może za dowód, że z dobrych zamiarów powstać może lichy utwór, jeżeli nic więcej w nim niema prócz owych „dobrych zamiarów“. Dość pospolicie utrzymuje się przekonanie, że pisanie takich elukubracyi jest nieszkodliwem zajęciem, które trzeba tolerować tak, jak się znosi bębnienie dzieci na fortepianie, ponieważ daje to sposobność zarobku osobom, potrzebującym tego koniecznie. Z pewnością, większa część takich utworów zawdzięcza swe istnienie temu faktowi, że się za nie dostaje skromne honoraryum. Trudno się nawet dziwić, trudno potępiać osoby, które „tworzą“ tak, jak umieją, jeżeli w ten sposób mogą coś zarobić, a nawet zyskać stanowisko, mające pewien urok wobec tradycyjnego u nas poszanowania dla każdego druku. Gdyby powieść p. B. była jedynym okazem w swoim rodzaju, możnaby nad nią przejść do porządku dziennego z pobłażliwością, ale wydanie takiej książki przez nakładcę może dodać otuchy całemu zastępowi piszących, co uważam za szkodliwe z dwu względów: po pierwsze jako marnowanie czasu, po drugie jako przyzwyczajanie publiczności do literackiej tandety, przez co psuje się smak. *J. K.*

Kazimierz Daniłowicz-Strzelbicki. „*Blichtr*“. (Sceny z życia), Warszawa, 1900. Zamiarem autora „Blichtru“ było wyrwać szmat z życia Warszawy, odmalować pewną grupę ludzi, z urodzenia zaliczających się do wyższych warstw społeczeństwa, choć utracili podstawę dotychczasowego „panowania“: majątek. Krócej mówiąc, bohaterowie powieści to zbankrutowani właściciele ziemscy, często utytułowani, którzy, uratowawszy okruchy ze swych możnych niegdyś stołów, ukryli

je starannie i szukają ocalenia w mieście. Tu żyją pozorami, blichtrem. Niektórzy, młodzież zwłaszcza, gniją w tych miazmatach życia wielkomiejskiego: pożera ich nieustannie żądza zdobycia pieniędzy, a bywa ona tak silna, że popycha jednostki tego społeczeństwa blichtru i upadku do kradzieży; innym wskazuje karty, jako środek do osiągnięcia celu. Oni sami, choć widzą dokładnie tę nędzę swojego istnienia, łudzą się wzajemnie, okłamują pozorami, a nie mają dość siły, by wejść na drogę pracy. A może brak im po temu zdolności? Opuśćcie corychlej miasto; życie dotychczasowe w dusznych mieszkaniach waszych zamieńcie na zdrowe życie wsi; imajcie się pracy na roli, bo tam dla was pole do działania. Ziemia — to wasze dziedzictwo, ją ukochawszy, pracujcie! woła autor. Niestety, okrzyk ten i zachęta spóźnione: „dziedzice“ przemarnowali spuściznę, bo ich nie nauczono pracować. Ideę autora — z pośród całej grupy figur „Blichtru“ — można zastosować tylko do osoby Zahorskiego, natury młodej i niezepsutej, prawego dziedzica ziemi, gdyż on ją bezmiernie ukochał. Lecz dla tych, na których on patrzył tu, w mieście, brzydził się nimi, a może tylko litował nad tymi nędzarzami rozumu, serca i zdolności, — dla nich niema ratunku. Powieść bez wątpienia napisana z talentem. Autor posiada dar spostrzegawczy, a rzeczy widziane opowiada łatwo, zajmująco, językiem poprawnym i wolnym od naleciałości; styl nieokazały wprawdzie, ale nie zaniedbany. „Blichtr“, nazwany „scenami z życia“, nie może rościć praw do powieści jednolitej; luźne połączenie scen obniża wartość utworu i sprawia wrażenie takie, jak gdyby autor nie mógł pokonać materyału, by spożytkować go dla rzeczy skończonej, doskonałej. *L. R.*

Wanda Grot-Bęczkowska. *Marzycielka*, powieść współczesna, Warszawa, 1900 („Bibl. dzieł wyb.“). — Marzycielką w opowiadaniu jest Ania, córka pani Starzynieckiej. Zachodzi jednak pewna pod tym ostatnim względem wątpliwość z powodu, że zaraz na pierwszej stronicy książki, tuż za kartą tytułową, czytamy w dedykacyi: „Mojej Ani poświęcam“. Czy okoliczność ta nie pozwala przypuszczać, że, jak w kilku poprzednich powieściach, tak i tym razem rzecz osnutą została na autobiograficznym materyale obserwacyjnym, na spostrzeżeniach, zaczerpniętych z bezpośredniego otoczenia autorki? W przyzwoitym, bogatym, przystojnym Leonie Skalskim Ania ma narzeczonego, na którego roziskrzonem i bodaj czy trochę nie zazdrosnem oczkiem spogląda jej siostra Helena... Czy tylko naprawdę Helena?... Zdaje się, że byłoby może właściwiej nazywać ją Kazią... Ale mniejsza o to. Kazia czy Helena — jest to upostaciowane przeciwieństwo Ani. Ona, Kazia, jako realistka, nigdyby na miejscu tej mazgajowatej idealistki Ani nie czekała na trzy lub czterokrotne wezwanie Skalskiego: „pójdź w moje objęcia, aniele!“ Poszłaby bez wezwania... Nie posiada też Kazia-Helena najmniejszego wyobrażenia o tem, jak dalece można być zakochaną w muzyce .. to jest w Chopinie... albo raczej, mówiąc ściśle — w f o t o g r a f i i Hugona Bardzkiego, który, jak dwie krople wody, przypomina naszego Paderewskiego. Całymi dniami i tygodniami wpatruje się w tę fotografię Ania. Za to Kazia-Helena nie żałuje sobie mniej więcej ukradkowych spojrzeń w stronę niefortunnego jej narzeczonego. I trwają te kontemplacye, te oględziny w akompaniamencie suto od początku odmierzonych westchnień aż do wyjazdu Ani z matką (naturalnie, panią Starzyniecką) do Reinerz, zaś Heleny — w dalekiem towarzystwie Leona — do majątku starych państwa Skalskich. W Reinerz Ania zabiera znajomość z powszechnie znaną poetką Ludmiłą Mirońską, nic z początku nie wiedząc i nawet się nie domyślając, że Ludka jest dobrą, bardzo dobrą znajomą Bardzkiego — jego samego, nie jego fotografii. Zresztą i sama Ania mniej już trochę zajęta jest oglądaniem

odwzoru mistrza od chwili, jak Bardzkiemu przyjrzała się w oryginale, na jego koncercie w Warszawie. Teraz w Reinerz obie z Ludką jak najchętniej rozmawiają o jego artyzmie, talencie, twórczości... Ale oto, nagle, zjawia się w Reinerz i sam ten Napoleon fortepianu, a zjawia się — jak gdyby wycelowany — na koncert Ani. Więc: znajomość, ożywienie, admiracya... nawet dwa czy trzy całusy, ale to już i wszystko. Ania akurat w porę dowiaduje się, jaki to mianowicie stosunek łączy... czy też łączył Ludkę Mirońską z Bardzkim — i nie chce z geniuszem iść na kobierzec ślubny, pod którem leżałoby zdeptane serce nieszczęśliwej... szczęśliwszej niegdyś kobiety... I tak Ania traci odrazu wszystko. O Leonie Skalskim niema co i wspominać. Znika on zresztą dość wcześnie ze sceny, a czytelnik, nie chcąc psuć Helenie humoru, nie przywołuje go z ukrycia, w którem obojgu im powinno być — i jest rzeczywiście dobrze. „Marzycielka" zakrawa na rozprawkę psychologiczną. Opis rozmaitych stanów duszy i wzruszeń Ani tak góruje nad akcyą i nawet nad dyalogiem, tak je w niektórych miejscach pochłania, że całość wypadłaby cokolwiek za ciężko, za sennie, gdyby tu i owdzie nie przeplatały obrazki rodzajowe, bardzo ładnie — najładniej ze wszystkiego robione. Koncert przejezdnego skrzypka artysty (ostatni w powieści) ujmuje, chwyta za serce szczerością, prawdą, gorącem wyrazu. Za słabsze strony w powieści odpowiada więcej matka — raz jeszcze pozwalamy to sobie zaznaczyć — niżli autorka. Charakterystyka Ani, w gruncie rzeczy rzetelna, nie przesadzona, miałaby ton i koloryt mocniejszy, a końcowe sceny robiłyby wrażenie bez porównania bardziej dramatyczne, gdyby p. Grot-Bęczkowska mogła była oglądać Anię w tem samem bezinteresownem świetle, jakie tak korzystnie, bo chłodno, oblewa Helkę.

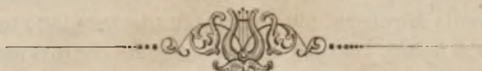
I.

Po kilkuletniej przerwie zeszyt III tomu V **Encyklopedyi Wychowawczej** wyszedł z druku i obejmuje następujące artykuły: „Gramatyka polska" przez Br. Bieńkowskiego (dok.), „Gramatyka francuska" przez J. Amborskiego, „Gramatyka niemiecka" przez M. Rowińskiego, „Grecya" przez S., „Gregorowicz Jan" przez S. Gębarskiego, „Groddeck Ernest" przez W. Hahna, „Groźba" przez W. A., „Gry i zabawy" przez St. Karpowicza, „Grzegorz z Sanoka" przez P. Chmielowskiego, „Grzeczność, niegrzeczność" przez J. Moszczeńską, „Grzepski Stanisław" przez S. Dicksteina, „Guizot Franciszek" p. X., „Guizot Paulina" przez X., „Gustawicz Bronisław" przez F. Bostela, „Guwerner, guwernantka" przez W. Osterloffa (początek).

SPROSTOWANIE.

W zeszycie październikowym na str. 185 w. 21 od dołu wkradła się pomyłka:

Zamiast	Powinno być
a więc młodzieńcom z miną	a więc młodzieńcem, i z miną



Z ŻYCIA,

notatnik rzeczy bieżących.

3-go grudnia.

Minut zaledwie 36,720 oddziela nas od granicy, za którą wiek XIX należeć będzie do historyi, spocznie na zawsze w katakumbach bytu, zwanych przeszłością. Niemcy i Francuzi już się przygotowali do uroczystego pogrzebu... Mam oto pod ręką dwa olbrzymie, kunsztownemi illustracyami przepełnione wydawnictwa, które, złożone razem, stanowią gatunek sześciopiętrowej piramidy nowożytnej... Ciekawy grobowiec!—zawiera on—in effigie—zwłoki nieboszczyka, zabalsamowane w „malowanem i pisanem słowie."

Pomnik ze wszech miar zasługuje na uwagę. Cieszyć się on prawdopodobnie będzie znacznie większem powodzeniem, niżli powszechny, cmentarny jarmark wystawy paryskiej. Rzućmy na monument okiem,—przechodząc. Pacierz po umarłym zmówi sobie każdy później, na osobności.

Dzieło francuskie, „Un siècle" ukazało się pod patronatem papieża Leona XIII. Na pierwszej zaraz kartce znajdujemy podobiznę podpisu papieża i godło: „Regi saeculorum immortali honor et gloria." W uroczej, artystycznej szacie winietek i rycin, odbitych

w części w Londynie, ciągnie się za tą absolucyą „namiestnika Chrystusowego” szereg artykułów sprawozdawczych. Mamy tu monografie mniej więcej znanych publicystów: wstęp, skreślony przez wice-hrabiego Eugeniusza Melchiora de Vogüé, członka Akademii francuskiej; pobieżny zarys działalności Napoleona z wyszczególnieniem zalet konkordatu z d. 15 lipca 1801 przez p. Maryusza Sépet'a; rzecz o narodowościach starych i ludach nowych przez p. Et. Lamy i wice-hrabiego de Meaux; kwestya socyalna w wieku XIX przez hrabiego Alberta de Mun, z Akademii: sprawy szkolnictwa i wychowania przez ks. biskupa Péchenarda; rozwój krytyki w ciągu stulecia przez ks. Lapôtre; filozofia nowożytna przez ks. kanonika Didiot; dziejopisarstwo przez ks. Duchesne, z instytutu; sztuki plastyczne przez p. Andrzeja Pératé; muzyka przez Kamila Bellaigue... Muzykę wszakże poprzedza p. Brunetière („z Akademii”, naturalnie), traktujący o literaturze XIX stulecia.

Szczegół, rzucający się najpierw w oczy. Wspaniała i ważna oprawa dzieła francuskiego jest najwyraźniej, najdobitniej żałobną; oprawa zaś zbiorowego dzieła niemieckiego, poświęconego temuż przedmiotowi, nosi na sobie wszystkie jaskrawe kolory i szychy godów weselnych, cokolwiek za krzykliwie podjętych. Po przerzuceniu paru kartek tekstu spostrzegamy bez trudu, skąd to poszło,— dla czego i dla kogo się to stało. Jak w „Un siècle” religijne życie dogorywającego wieku zajęło cały tom trzeci i spore kawałki tomów pierwszego i drugiego; tak znowu w „Das XIX Jahrhundert” Hansa Kraemera, wydanem w Lipsku, Sztutgardzie i Wiedniu, panowie Geh. Legat.-Rat Dr. Wilhelm Cahn, Reg.-Rat Georg Evert, Geh. Reg.-Rat Profesor Dr. Wilhelm Foerster, Geh. Post-Rat Ferdynand Hennicke, Hoftheater-Intendant a. D. Aloizy Prasch, Geh. Reg. Rat Profesor Dr. Franz. Reuleaux i t. p. skupili swe zdolności przeważnie i niemal wyłącznie ku chwale i pożytkowi oręża i rozumu niemieckiego od daty głównych militarnych sukcesów Prus pod Sadową i Sedanem. W obec tak postawionego zadania, usprawiedliwionego zresztą względami patryotyzmu i poczytności wszechgermańskiej, nie dziw, że umysłowe życie krajów, dotąd jeszcze nie zupełnie niemieckich, zejść musiało na plan dalszy, ograniczyć się do drobnostek, dających się zaledwie odszukać w nawale znakomitości nadsprewskich!

Pomimo to wszakże jest u Kraemera choć parę nazwisk polskich, a nawet, na pokaz, jeden portret w tekście: Mickiewicza (vel Michiewicza, jak stoi w spisie), o którym powiedziano, że żył od r. 1798 do 1855 i jest autorem wielce przez Polaków cenionych poe-

matów: „Konrada Wallenroda” (1828) i „Pana Tadeusza” (1834). Wspomniani są również z krańcowemi życiorysowemi datami urodzin i śmierci Zygmunt Krasiński i Ignacy Kraszewski (II, 360). W relacyi, stwierdzającej działalność kobiet i sprawę ich usamowolnienia, zaznaczono w ośmiu i pół wierszach celniejsze prace Elizy Orzeszkowej (z klamerką „von”), takie, jak „Eli Makower”, „Meir Ezofowicz”, i t. d. (III, 404). W „Un siècle” natomiast p. Ferdynand Brunetière, z Akademii francuskiej, nawet i tyle miejsca dla nas nie znalazł. Prawda i to, że rozprawa (t. II, str. 299—349) trzyma się pewnych wyżyn i szczytów mglistego oderwania, na których nietylko narody, ale i wieki znikają niekiedy, wzajem za siebie zachodząc i wzajem na swe odrębności nastając — w stłoczeniu i gmatwaninie metafizycznej, metafizyczno-religijnej. Powiada np. w jednem miejscu: „Ani Francya Ludwika XIV, ani Anglia za Elżbiety, ani Włochy za Medyceuszów, ani w starożytności Rzym Augusta lub Ateny Peryklesa nie znały poetów większej ręki od Goethych i Schillerów, Byronów i Shelleyów, Lamartinów i Hugów... Wszyscy są z wieku XIX... Lecz jeżeli Schiller i Goethe istotnie należą nie do XVIII, lecz do naszego kończącego się oto stulecia, w takim razie zgoda: Mickiewicz i Słowacki należą już do wieku XX-go, a może i do dalszych. Uczyniwszy to jedno lekkie zastrzeżenie, nie można p. Brunetière'owi tak bardzo brać za złe, iż nie jest np. zupełnie pewny, ażali romanse Waltor-Scotta, Dickensa, Balzaca, Tołstoja, Dostojewskiego dorównywają lub nie dorównywają „niekiedy” największym poematom i epopeom... Idzie tylko o to, jakie mianowicie epopee i poemata p. Brunetièere ma na myśli: „Odysseę” czy „Ramayanę”, „Fausta” czy „Mahabharatę?”—Każdy bowiem z tych utworów, w swoim zakresie i rodzaju, był lub jest „bardzo wielkim”,—przeto wielką też jest na własny swój sposób i powieść nowoczesna. Co pod tym względem zarzucić można np. Sewerowi? Nawzajem, oddajmy p. Brunetière'owi bez żadnych już ogródek tę sprawiedliwość, że w piśmie zachowawczem i katolickiem, łagodnie tu i owdzie zacieniowanem dążnością ultramontańską, ustrzedz się zdołał napaści, wycieczek cierpkich lu ironicznych przeciwko wolnomyślcom lub nawet „ateuszom”,—a do tych ostatnich, jak wiadomo bywają zazwyczaj zaliczani Voltaire z wieku XVIII i Renan z XIX-go... Za to zwrot czy raczej powrót ku religijności, zauważony w ostatniej, epilogowej fazie literackich dążności wieku, nacechowany został w opracowaniu p. Brunetière'a silnie i stanowczo, ale i ta operacya—jeśli już raz zgodzimy się na wyrzucenie Mickiewicza w niedościgłe dla niektórych umysłów kra-

iny przyszłości—odbyła się bez większej dla kogobądź ujmy. Wątpliwą jest wprawdzie rzeczą, czy „sam nawet Zola spostrzegł się dziś nareszcie" (zwłaszcza od czasu procesu Dreyfusa), iż bezwyznaniowość do niczego nie prowadzi lub prowadzi na bezdroża umysłowe; w każdym razie z przyjemnością, jak mniemam, spostrzegą rzadcy u nas zapewne nabywcy „Un Siècle'a," iż p. Brunetière, powołując się na białego, czystego ducha z romansów Feuilleta, Tołstoja, Dostojewskiego, z teatru Aleksandra Dumasa syna, z filozoficznych dociekań Józefa de Maistre'a i Chateaubrianda, nie egzorcyzmował, nie wykurzał czarnego i brudnego ducha Comte'ów, Michelet'ów, Quinet'ów, Taine'ów do tego stopnia, iżby żadnego po nich śladu w książce nie zostało.

Niemieckie kompendyum Kraemera nie kusiło się o systematykę tak wygórowaną, a nawet, w gruncie rzeczy—o żadną. Widocznie nie starczyło nie tyle może czasu, ile atłasu. Zmieścić w obrębie trzech, choćby najgrubszych tomów stokilkadziesiąt foliałów wielkiej Encyklopedyi illustrowanej—któżby sztuki tej dokazał? weszło, co się zmieścić doraźnie mogło. Zresztą, nie sposób ręczyć, czy recenzent polski nie prześlepił jakiego tuzina wielkości—w obcym, dalekim, nieznanym tłumie nazwisk, przebranych po gotycku w szatę pisowni rogatej, niesłychanie dla wzroku uciążliwej i niebezpiecznej. Bardzo być może, że w ciemniejszych zakątkach siedemdziesięciu dwu nierównomiernych przedziałek okresowych, należących do dwudziestu trzech całokształtów przedmiotowych (politycznych, fotograficznych, historycznych, leczniczych, garniturowych, astronomicznych, stenograficznych, chemicznych, scenicznych, emancypacyjnych, ludoznawczych i t. d.), —bardzo być może, powiadam, że w jakiejś tam komórce lub framudze ciemniejsze, bystrzejsze bibliograficzne oko, w mikroskop uzbrojone, odkryje nie dziś, to jutro, nieobecnych: Bancrofta, Beusta, Burnoufa, Barante'a, Bastiata, Boppa, S-to Beuve'a, Cantu, Comte'a, Gervinusa, Garnier-Pagès'a (historyka „Roku 1848" w kilkunastu tomach), Grote'a, Leopardiego, Lammenais'go, Manzoniego, Miquet'a, Michelet'a, Piotra Leroux, Edgarda Poe, Renana, Sismondiego, Schleiermachera Schlotzera, Taine'a, Thierry'ego, Tylora... Co do mnie, wyznaję otwarcie, że nie uniknąłem okrutnego bólu i zawrotu głowy, wypatrując jakiegokolwiek znaczka marginesowego lub italikowego, któryby mi pozwolił zdaleka lub zblizka powitać sędziwe już w mojej pamięci imiona Macaulay'a, Max-Müllera, Malthusa, Marxa, Mommsena, Milla Jamesa i Milla Johna, Ricarda, Rankego, Say'a, S-t. Simona... Ba! nie udało mi się nawet spotkać Buckle'a.... nawet Herberta Spencera.... nawet Tocqueville'a!... O Karamzinie, Lele-

welu, Palackim lub Szafarzyku... o Asnyku, Kollarze, Szenoi lub Szewczence — niema co i mówić. Dobrze i to jeszcze, że się pochwyciło dwa wiersze o Puszkinie i półtora o Gogolu... Nikogo nie dziwiłyby opuszczenia niezbędne, luki nieuniknione, zabaczenia mimowolne, gdyby w zbiorniku o tak szeroko rozsuniętych ramach nie było widać intencyi oczarowania czytelnika, olśnienia go — wyczerpującą niby to wszechstronnością i drobiazgowością przedstawienia wszechświatowej działalności i pracy ludzkiej. Ale nie przesypiesz Sahary w popielniczkę, nie wysuszysz morza naparstkiem. To każdy wie i pojmuje; skoro wszakże w poważniejszym celu kreśli ktoś ołówkiem i piórem fizyognomie i kostyumy listonoszów z r. 1830 i 1868, a zarazem nie może się zdobyć na sylwetkę Comte'a, na charakterystykę Wiliama James'a, na parę choć słów o filozofii Renouvier'a, wówczas daremne zabiegi: zarzut dyletantyzmu narzuca się natrętnie, puka do drzwi, zagląda przez wszystkie otwory, szpary i wywalone ściany. Atoli gorsze jeszcze przypuszczenie nasunąć się może. Jeżeli w historyi, w obrazie czy też tylko we wspomnieniu dogasającego stulecia wcale miejsca niema dla Claude-Bernarda lub Quetelet'a, jakże się opędzić myśli, że pysznie roztasowany konterfekt pierwszej gładszej aktorki berlińskiej dlatego właśnie ogląda światło publikacyi europejskiej, że się znajduje w zbyt blizkiem „powinowactwie" z wizerunkiem... Bismarcka, dajmy na to. Laplace i Littré ostoją się niewątpliwie bez chromolitografii p. Hans-Kraemera; ale gdyby wspaniałe portrety Eleonory Dusé i Ivetki Guilbert spostrzedz się umiały na nieprzyzwoitości owej próżni — zarumieniłyby się z pewnością.

Niemcy górują nad Francuzami pewną praktycznością zamierzeń i trzeźwością poglądów. Odbiło się to w „Jahrhundert" Kraemera dokładniejszem obrobieniem takich konkretnych działów wiedzy lub umiejętności, jak „wytwórczość przemysłowa", „sztuka drukarska", głównie zaś „podróżnictwo", aczkolwiek, w zestawieniu ogólnem trudno odgadnąć, komu właściwie potrzebną jest np. ta mikstura słownikarsko-techniczna, której za wiele dla pierwszoklasisty ze szkoły realnej, a już za mało dla trzecioklasisty. Przytem niepodobna oprzeć się popędowi do mimowolnego, lecz gruntownego ziewnięcia, gdy po wspaniałym odwzorze zdobycia Bastylii przechodzimy naraz do opisu tkackiego warsztatu Arkwight'a. Ani w odosobnieniu, ani w połączeniu nie pasuje to jakoś jedno do drugiego. Widz nie prędko się oswaja z równouprawnieniem i koleżeńską zażyłością takich całokształtów, jak głowa Napoleona na str. 17 i głowa cukru na str. 170. Należałoby dojść z tem do jakiegokolwiek pod-

porządkowania rzeczy mniejszych — rzeczom większym. Prawno-społeczne warunki istnienia i rozwoju zbiorowości ludzkiej zawsze były i prawdopodobnie na długo, jeśli nie na zawsze, pozostaną głównemi dźwigniami i osiami obrotu przeznaczeń dziejowych — do nich przeto należałoby przystosować i według nich poukładać resztę wszelkich naszych materyałów i planów konstrukcyjno-socyologicznych i szkiców z dziedziny sportu i mody ..

Francuzi poradzili z tem sobie nieco inaczej. Powiedzieli sobie: czego nie sposób wypić do dna i duszkiem, to można dać zakosztować brzegiem puharu, — a zato puhar wyrzeźbić wytworniej. Ulotne zarysy w „Un siècle" nie ubiegają się ani o zaszczyt surowej powagi pragmatyczno-pedagogicznej, ani o chwałę zasadniczo-filozoficznego wymotywowania, ani nawet o urok malowniczo-historycznych uwydatnień. Wystąpili z tematami, dali „poglądy". Wolno się gniewać na ich tendencyę, wolno do upadłego spierać się o ich wartość niektórych sytwetek (Veuillota np.), wolno nawet żartować z ich pobieżności i płytkości, — ale do drwin i naigrawania się nie dają oni powodu. Żadnych uroszczeń do pomiarów i podziałów wszechgłębokich, wszechogarniających. Często się zdaje, że Francuz nie zagląda do książek, gdy pisze; opowiada tylko to, o czem wie — i o czem wszyscy wiedzą. Taine zawnioskował z tego o nieuleczalnie napowietrznej klasyczności umysłu swych współziomków. Ale Taine był pedantem. Gdyby uogólnienia nasze „życiowe", przeznaczone do obiegu, porozumienia się i doraźnej pomiędzy ludźmi wymiany usług koniecznie tworzyć się miały w ten sam sposób, co i uogólnienia ściśle naukowe, a więc nie wpierw, aż dopiero po dokładnem rozważeniu każdego atomu, składającego się na całość pojęc a X, — najroztropniejszą wtedy dla ludzi rzeczą byłoby oniemieć od kolebki i na zawsze. Krytycy, oceniający książki z okładek, roznosiciele gazet, okrzykujący najważniejsze nowiny według przykazania redaktorów, kupcy, kaznodzieje, lekarze pójśćby musieli na szubienicę lub do wody... Każdy mózg bez wyjątku, zatem nie tylko francuski, zniewolonym jest trafiać na oślep, jak znachor, lub niedoważać, jak uboga straganiarka — ilekroć wypadnie — z pobudek jakichkolwiek — ująć na szesnastu stronicach to, nad czem ludzkość rozmyślała i rozprawiała w ciągu całych lat stu. Czasem malwersacya jest w takich razach więcej widoczną, niż niebezpieczną, czasem znów naodwrót, ale zawsze fatalnie niezbędną. Biorę przykład drobny. P. L. Duchesne zaczyna swe studyum w „Un siècle" o powołaniu historyków i historyi od tych słów oto: „W wieku XIX historya zrobiła postępy niezmierne (immenses): jest to bezwzględnie widoczne.

Wszelakoż nie mniemajmy, ażeby trzeba było aż do ostatnich pokoleń czekać na dojrzenie jej celów i sformułowania metod. Starożytni, szczególniej Grecy, przekazali nam dzieła cudowne, które pomimo zdobyczy naszych, pozostaną na zawsze prawdziwymi wzorami"... Każda cegiełka w tem założeniu opatrzoną została uogólnieniem nieskończenie dowolnem; budowa jednak trzyma się prosto i mocno. Dlaczego? — dlatego, że naddatki dowolne są z sobą sprzeczne i znoszą się nawzajem. A więc — i retoryka coś tu zyskała, i prawda niewiele straciła.

W kompozycyach wszakże rozleglejszych sprawa owej retoryki tak się nieraz gmatwa, że długo i dużo trzeba się namęczyć, chcąc sobie uzmysłowić, o co się rzecz zahaczyła i gdzie się walić zaczyna. W wieku XIX nie było pytania ważniejszego nad poruszone przez Taine'a. Pozwólmyż sobie na zbytek drugiego, bardziej złożonego przykładu.

Wspomnieliśmy sumarycznie o pracy p. Sepet'a. Dotycze ona stosunku kościoła do państwa — kwestyi, roztoczonej przez autora na tle historyozoficznego problematu o wpływie na nasze czasy działalności Napoleona I. Autor utrzymuje, że właściwe określenie stanowiska i roli wielkiego spadkobiercy i poskromiciela rewolucyi XVIII w. spoczywa nie w tem, co wiek XIX zyskał lub stracił w następstwie orężnych klęsk lub podbojów zwycięzcy z pod Marengo, lecz głównie w pokojowej działalności twórcy Konkordatu i kodeksu cywilnego. Zdaniu temu nie można odmówić słuszności... z dzisiejszego punktu widzenia. Nic się nie ostało ze strategicznych pomysłów i terytoryalnych przebudowań potężnego mandataryusza rewolucyi, nieubłaganego „oracza ludów". Bo też pytamy: jaką naukę, jaki pożytek odniosła potomność z traktatów Napoleona z Austryą i z Anglią, podpisanych w Luneville 9 lutego 1801 i w Amiens 27 marca 1802? — i na jakich mapach szukać dziś mamy rozmiedzowań, które na „wieczne czasy" złączyć miały Wenecyę z monarchią Habsburgów, Belgię z Rzeczpospolitą francuską i zarazem zwrócić poprzednim posiadaczom zamorskie dzierżawy Francyi, Hiszpanii i Hollandyi, zdobyte przed laty przez Wielką Brytanię? Oprócz zniszczonej w d. 2 kwietnia 1801 r. pod Kopenhagą floty duńskiej, jakie dla potomności skarby zapewniły genialne zabiegi Napoleona nad sklejeniem przeciw Anglii trzymiesięcznej „ligi północnej" z Rosyi, Prus, Szwecyi i Danii? Do jakich świąt zaliczy przyszłość wspaniałą bitwę pod Piramidami z r. 1798, która się w dniach 27 czerwca i 30 sierpnia 1801 r. uwieńczyła kapitulacyą resztek armii francuskiej w Kairze i Aleksandryi?

Boje te, bezwątpienia, chwałą okryły imię Francyi — i Bonapartego, którego współziomkowie i najbliżsi podwładni obwołali w d. 2 sierpnia 1802 r. konsulem dożywotnim, a w d. 18 maja 1804 r. imperatorem. Lecz chwała mocno dała się we znaki — przedewszystkiem najbliższym przyjaciołom Francuzów — Irlandyi między innymi. Opłakana zaiste historya! W chwili, dla Anglii najcięższej, kiedy po umknięciu Bonapartego z Egiptu druga koalicya zaczęła się rozsprzęgać i kiedy po odwołaniu Suworowa ze Szwajcaryi Cesarz Paweł I morskie swe siły wyprawiał przeciw Anglii na zachodni Baltyk, lądowe zaś pod wodzą Płatowa do Indyi, wówczas William Pitt, zamierzywszy zażegnać jedno przynajmniej niebezpieczeństwo, najbliższe, wewnętrzne, zawezwał umiarkowane stronnictwa Zielonej wyspy, znurtowanej prądami powstańczymi, do „unii parlamentarnej.” Przyrzekał wzamian za te ustępstwa od odrębności sejmowej równouprawnienie katolików irlandzkich. Ugoda stanęła, i właśnie w samych początkach 1801 roku zwołano do Londynu pierwszy parlament wspólny, irlandzko-angielski. Tymczasem we dwa miesiące później (23 marca) zmarł Paweł I, zaś jego następca, Cesarz Aleksander I, za poradą prywatnych swych ministrów (Czartoryskiego, Nowosilcowa itd.), wojnę, zaczętą z Anglią, uciął i w ścisłej neutralności zamknąć się postanowił. Interesy Wielkiej Brytanii nieco się przez to poprawiły. Niezupełnie jednak: Austryacy bowiem, pobici pod Marengo i Hohenlinden, zawarli pokój lunewilski; ponieważ zaś Pitt do rokowań wzdragał się przystąpić i z gabinetu ustąpił, — Irlandczycy zatem osiedli na koszu: mieli parlament wspólny, ale nie było w nim ministra, który katolikom równouprawnienie przyrzekł. Wprawdzie Pitt do władzy niebawem powrócił, ale powrócił w okolicznościach całkiem już innych, a tak gorących, że katoliccy przedstawiciele Zielonej wyspy zaledwie się ważyli wspomnieć w pałacu westminsterskim o swoich pogwałconych i sponiewieranych prawach; a tu właśnie zbrojna pomoc Francyi, na którą najpewniej liczyli, znowuż ich tylko na okrutny zawód wystawiła. W następstwie traktatu amieńskiego między Francyą a Anglią Malta powinna była wrócić do Francyi; Piemont zaś, zdobyty jeszcze w r. 1796 przez Bonapartego, przeciwnie oddany być miał prawowitemu tego kraju władcy. Napoleon zatrzymał Piemont, ale o Maltę dobijał się uparcie. Stało się to zarodkiem trzeciej z rzędu koalicyi mocarstw europejskich, która pod natchnieniem Pitta z niezwykłą energią zabrała się do uzbrojeń w tej samej właśnie chwili, gdy po świecie rozległa się wieść hiobowa o „zamordowaniu” w nocy z 20 na 21 marca 1804 r. księcia d' Enghien, jednego z członków francuskiej odnogi Burbo-

nów, pochwyconego z rozkazu Napoleona na ziemi niemieckiej. Wszechwładny konsul, okryty dopiero we dwa miesiące po dokonanej zbrodni purpurą cesarską, poradził sobie, jak zwykle, z koalicyą. Zgromadziwszy w Boulogne ogromną armię, zamierzył był wtargnąć do Anglii: nadzieje Irlandczyków buchnęły płomieniem. Ale do zatargu wmieszała się Austrya, poparta przez Rosyę. Napoleon błyskawicznie przerzucił bulońskie swe wojsko nad Dunaj, zmusił w d. 17 października 1805 r. trzydziestotysięczny korpus austryackiego jenerała Macka, zaskoczony w Ulmie, do poddania się bez wystrzału, wszedł do Wiednia w d. 13 listopada, a w dniu 2 grudnia na polach austerlitzkich stanowczy cios zadał siłom państw sprzymierzonych. Pomimo, że w cztery dni po kapitulacyi Macka (21 paźdz.) Nelson w bitwie trafalgarskiej doszczętnie zniszczył połączone floty francuską i hiszpańską, Anglicy byli niepocieszeni; trapiony widmami skutków porażki austerlitzkiej Pitt zapadł w melancholię czarną i w sześć tygodni później (23 stycznia 1806 r.) zeszedł do grobu. Napoleon zostaje nieograniczonym panem sytuacyi... Dla Irlandczyków mała stąd pociecha: teatr wojny coraz dalej usuwać się odtąd będzie od brzegów Zielonej wyspy. Wypadki całkiem innem korytem popłyną... Cesarz Franciszek II, zmuszony ugodą presburską (27 grudnia 1805) do zrzeczenia się tytułu cesarza rzymskiego (akt z d. 6-go sierpnia 1806), traci do 30,000 mil kwadratowych ziem koronnych lub dziedzicznych, przystaje na utworzenie Związku nadreńskiego pod protektoratem Francyi, umywa od wszystkiego ręce; tworzy się królestwo włoskie, Neapol oddany zostaje Józefowi Bonapartemu; Prusy, skuszone ofertą Hanoweru, należącego do króla angielskiego, wypowiadają w marcu 1806 r. wojnę Wielkiej Brytanii — i tym sposobem zawiązuje się owo dziwne imbroglio polityczno-militarne, które ukoronowanego w d. 4-m grudnia 1804 r. w paryskiej katedrze Notre-Dame Napoleona popychać odtąd będzie z krańca na kraniec Europy: dziś do Berlina, nazajutrz do Madrytu, później raz jeszcze do Wiednia, wreszcie do Moskwy... i aż na wyspę Ś-ej Heleny.

Wśród nas, przeżytków wieku XIX, któżby wobec tych faktów śmiał odmówić trafności tezie p. Sépet'a w „Un siècle"? — Nie ulega zaprzeczeniu, że w cmentarnianym wieńcu ostatnich połysków genialności napoleońskiej z pod Lipska i Waterloo racyonalnie i przekonywająco przemawiają dziś do nas jedynie pozytywne wyniki spokojnej, mądrej, wyrozumowanej, zrównoważonej, oględnej — zgoła pokojowo-cywilizacyjnej inicyatywy nieśmiertelnego spadkobiercy wielkiej Rewolucyi: jego konstytucye centralizacyjne, narzucone roz-

maitym efemerycznym republikom zaalpejskim i nadreńskim, jego uchwały i ustawy, wysnute lub żywcem wzięte z memoryałów, nagromadzonych w archiwach Konwencyi od r. 1792 do 1795, jego wreszcie tranzakcye z Kuryą rzymską, zawiązane po bitwie pod Marengo i streszczone w akcie ugodowym z d. 15 lipca 1801 — tranzakcye tem ciekawsze zaiste dla historyka, że, jak sądzi p. Sépet, Napoleon, „godząc Francyę z Kościołem katolickim (a nie odwrotnie?) i przywracając w niej ortodoksyę narodową (?), zdeptał pod swojemi stopami przesądy rewolucyjne swego otoczenia i precz odepchnął pokusę ogłoszenia siebie samego za zwierzchnika nowej religii, wyprowadzonej ze schyzmy konstytucyjnej" (I, 9). W rozumowaniu, uogólnionem z najgrubszych przesłanek całego stulecia, wygląda to — bezspornie — całkiem niemal logicznie. W koronie nowożytnego Cezara konkordat rzeczywiście goreje ogniem brylantowo czystym — już choćby dlatego, że inne drogie kamienie zgasły. Ale czy blask rezultatów, rzucony wstecz na okoliczności, towarzyszące powodom, nie robi takiego wrażenia, jak, gdybyśmy, zaprosiwszy na koronacyjną uroczystość napoleońską powolnego i ustępczego Piusa VII, oblali dla niego katedrę N. Panny paryskiej potokami świateł elektrycznych... z pracowni ś. p. Brunona Abakanowicza?

Bezpośredni świadkowie festynów napoleońskich, nasi praojcowie — oni nie mieli jeszcze tak przytępionych oczu, jak my, ich potomkowie. Dla nich podpis kardynała Consalviego na dokumencie, stwierdzającym pogodzenie się z Rzecząpospolitą Namiestnika Chrystusowego, wybranego niedawno, pod okiem Pierwszego Konsula — w Wenecyi, znacznie czytelniej wyglądał przy słabym nawet płomyku łojówki — i trudno przypuścić, aby większe w ich rozumieniu posiadał znaczenie, niźli dziś dla nas posiadają kontrasygnacye ministrów trzeciej Rzeczypospolitej na regulaminach, zaprowadzających wykład katechizmu po szkółkach bretońskich w języku francuskim... Co tu gadać po próżnicy! — alboż ludzie ówcześni dbali cokolwiek o to, jakie tam kiedyś, w przyszłości, krępować ich mają więzy, traktatowe czy konkordatowe, świeckie czy duchowne? — Im chodziło jedynie o to, by czem rychlej rozcięto postronki, które się do krwi już oto wgryzały w ciało przeszłości. Witano w Napoleonie — z niepokojem i trwogą w jednych miejscach, z uniesieniem i zapałem w innych — nie Mojżesza, nie zakonodawcę przeznaczeń dalszych, dalekich, lecz Mesyasza apokaliptycznego, burzyciela wyroków zapadłych, spełnionych. W tem tkwiło jego posłannictwo, w tem tkwi jego sława — i niesława. Żadnej innej misyi Napoleon nie miał do ziszczenia i z żadnego innego stanowiska oceniać go...

nie warto, jeśli w labiryncie spraw ludzkich nie chcemy brać za przewodnika — fikcyi, chimery, „pięknej mar sennej...“

* * *

„Czas do domu czas — zabawili nas...“ Tyle słów z powodu jakichś wszechświatowych jubileuszów, tyle bałamuctw dla uczczenia jubileuszu urodzin dziewiętnastego stulecia, a oto u siebie, w ciasnem kółku przyjaciół i dobrych znajomych, czekają na nas aż dwa naraz obchody własne... I nie lada jakie: dwudziestopięciolecie przyjścia na świat *autora* „Szkiców węglem" i „Krzyżaków" — oraz dwudziestopięciolecie ukazania się na niebie piśmiennictwa polskiego jednej ze skromniejszych planet stałych — noszących po dziś dzień zagadkową dla wielu nazwę „Ateneum..."

Szlaki, którymi w ciągu ćwierćwiekowego okresu przebiegała twórczość Sienkiewicza, i drogi, po których w tymże czasie kroczyła pracowita działalność naszego czasopisma, oprócz wspólności dat, gruntu i otoczenia społecznego, najogólniej pojętego, nie zbiegały się z sobą i nie zbiegają nigdzie. Nawet równoległość przejść gatunkowo różnych nie dałaby się ustalić bez zbliżeń forsownych, naciąganych. Talent, zapewniający powodzenie, lubo z natury swojej nie unika zbiorowisk, nie ucieka od nich, owszem, rad szuka ich poparcia i oklasku, rzadko jednak kiedy wśród nich gości i nigdy na dłużej nie osiada. Jednostka ma pod tym względem przywilej, któremu gromada nie sprosta ani nauką, ani trudem wytrwałym, ani niezłomnem staniem przy chorągwi, uznanej za zbawienną przez rozum i doświadczenie... Spiritus flat, ubi vult...

Dobro powszechne, pożytek ogólny —ostatnia i najwyższa meta wszelkich usiłowań cząstkowych, leży nazewnątrz tych różnic istotnych i tych paraleli chybkich. Wielka popularność i tryumfy Sienkiewicza u swoich i obcych raz jeszcze stwierdziły prawdę, dawno znaną, że szerokie tory samodzielności rzetelnej wymykają się rachubom, najprawidłowiej uzasadnionym, najmocniej ugruntowanym. Tęsknotom serca, polotom wyobraźni, dążeniu duszy ludzkiej do ideału – rzeczywistość realna chętniej zawsze daje posłuchanie, niż najprościej wytkniętym obowiązkom i najdokładniej określonym wymaganiom potrzeby. Sama ta nawet potrzeba ugina się i pod pewnym względem ulega w końcu natarciu indywidualności silnej, czerpiącej w intuicyi własnej normy postępowania, przyjęte dla siebie i powoli udzielające się ogółowi. Tak przynajmniej ze strony formalnej, zewnętrznej przedstawia się przewód powszechnego uzna-

nia i poczytności autora „Rodziny Połanieckich” i „Quo vadis”. Bo co do istoty swojej, uwzajemnienie dokonać się mogło i dokonało się niezawodnie sposobem poniekąd odwrotnym: nie pisarz wybrany i ukochany ukazał swej społeczności nowe, nieznane i piękne krainy przeznaczeń jej przyszłych, lecz ona, sama społeczność, głębiej odsłoniła przed pisarzem tajniki swych pragnień, nadziei i upodobań— w pełnem odźwierciedleniu i przeczuciu tego, czem być chce i czem ostatecznie będzie. Wytłómaczona czy też raczej objaśniona w ten sposób geneza prawowitej i zasłużonej sławy twórcy „Potopu” jednoczy, zlewa, wygładza nieco przyrodzone chropowatości rozwoju, z których tak świetnie i wspaniale trysnęły na świat ożywcze kaskady poetyckich natchnień Sienkiewicza, a na które „Ateneum” od lat tylu rzucało i rzuca skromne ziarnka swej siejby publicystycznej i naukowej...

Szczęśliwe to zbliżenie i skojarzenie nic jeszcze, oczywiście, nie stanowi o mniej więcej ścisłej zbieżności lub rozbieżności trybów uprawy — i trybów tych nie przesądza. Serdecznie, gorąco, najżyczliwiej łącząc się myślą, współczuciem, duchem z tymi naszymi współbraćmi i rodakami, co jednozgodnemu, powszechnemu hołdowi wielbicieli Sienkiewicza nadać postanowili widomy, dla wszystkich dostępny i zrozumiały kształt podzięki i upominku, nie wahamy się jednak zaznaczyć z tego powodu, pod postacią nieodbicie nasuwającej się przestrogi dla siebie samych — współpracowników „Ateneum”, — że nie bez winy snadź pomienionych trybów kulturalnych postawiliśmy rozgłos czasopisma naszego akurat na krańcu przeciwległym z tym, jaki zajęła przygodna, latami tylko wytrwania z nami wyrównana wielkość ta niewspółmierna. „Poprawmy się więc, postawmy się i nie dajmy się!” — nikomu nie dajmy się wyprzedzić, obrawszy sobie Sienkiewicza za gwiazdę przewodnią! Wezwanie to, wydobyte z najgłębszych głębin serca, kronikarz przesyła — w imieniu Sienkiewicza i w kopercie słów jego własnych z przed lat dwudziestu i dwu, — jako pozdrowienie noworoczne wydawcom, drukarzom, redakcyi i towarzyszom broni w ciężkim a znojnym, niemiłosiernie niekiedy nękającym pochodzie ku obiecanej i w wieku XX-ym niedoścignionej chyba jeszcze ziemi wszechludzkiego szczęścia.....

* * *

Ze spraw potocznych jedną tylko otrzymałem do referatu, ale tak ważną i doniosłą zarówno z ewangelicznego, jak i pogańsko-filo-

zoficznngo stanowiska, że, mówiąc o niej, dobierać muszę wyrażeń jak najprostszych, najprościej trafiających do przekonania ludzi dobrej woli.

W d. 19 (6) marca r. b. zatwierdzoną została przez p. wice-ministra spraw wewnętrznych, księcia A. Oboleńskiego, ustawa Towarzystwa przytułków św. Małgorzaty dla zostających bez opieki dziewcząt. Towarzystwo funkcyonowało dotąd przy warszawskiem Tow. Dobroczynności, jako jeden z jej oddziałów. Ustawa obok przepisów, powtarzających treść ogólnych wymagań i zastrzeżeń prawa pospolitego, dotyczących kontroli państwa, zachowania porządku społecznego, przestrzegania obyczajności publicznej i t. d., opisuje warunki przyjęcia dziewcząt podupadłych, źródła utrzymania, program zajęć, wypadki wydalenia, okoliczności niezbędnego po latach pięciu opuszczenie zakładu, majątek, zarząd, sposoby powiększenia dochodów, do których obok stałych należą wszelkiego rodzaju ofiary w gotowiźnie, produktach, odzieży, narzędziach, przesyłanych bądź do zarządu (Warszawa, Chmielna 21, tymczasowo na imię jednej z założycielek, pani Józefy Rembielińskiej), bądź do samego zakładu w Piasecznie (gub. i pow. warszawski).

Parę szczegółów dodatkowych, otrzymanych z ust najzupełniej wiarogodnych, bo od osoby, która dziełu dobroczynności i miłosierdzia, oświaty i umoralnienia poświęciła i poświęca swą pracę, starania, wpływy i znaczną część stosunkowo skromnych dochodów. W roku 1894, spotkawszy opuszczoną i bez opieki zostającą dziewczynkę, która już prawie była na złej drodze, ktoś... mamże wymienić nazwisko?... wystąpił do Tow. Dobroczynności z podaniem o pozwolenie założenia przytułku, w którymby dziewczynki, rzucone na niełaskę losu, żyjące prawie na ulicy, mogły znaleźć opiekę moralną i pomoc w przygotowaniu się do pracy zawodowej, pozwalającej pracować uczciwie, bez ujmy dla ich godności osobistej, bez zakały i ciężaru dla społeczeństwa. Pozwolenie udzielone zostało w roku 1895. Wówczas pani Mineykowa, z hr. Moriconich, ofiarowała na cel powyżej sformułowany w domu swoim przy ulicy Krochmalnej bezpłatne mieszkanie. Gdy jednak liczba kandydatek powiększała się stale, a przytem zauważono, że wśród gwaru miejskiego ciężko było skutecznie się zajmować drobiazgami patronatu i czuwać nad rojącą się gromadką dziewcząt, postanowiono: kupić w pobliżu Warszawy kawałek ziemi, co też i uskuteczniono w roku 1897. W Piasecznie nabyty został domek, złożony z sześciu izb, z ogrodem i trzema morgami gruntu...

— Z jakich funduszów, jeśli wolno wiedzieć?

— Hm, mój Boże! — z funduszów zakładu... Do tego pani Mineykowa dołożyła jeszcze 5,000 rubli. Tegoż roku przybudowano drewniany domek o siedmiu pokojach, z kapliczką; oparkaniono też całą posiadłość. Tymczasem pensyonarek przybywało ciągle i w roku 1899 było ich 40. Rozszerzenie zakładu stawało się nieodzownem. Nie namyślając się długo, opieka przytułku...

— Z kogo się składa opieka?

— To szczegół narazie zbyteczny. Postanowiła tedy opieka zabrać się w imie Boże z ufnością w odsiecz ludzi zacnych, wspaniałomyślnych do wzniesienia domu murowanego, piętrowego, na osób 80, z zachowaniem wszelkich tegoczesnych wymagań hygieny. Dom nie bez trosk i trudów wyprowadzony został kosztem 20,000 rubli, pod dach... Wewnętrzne wykończenie zależeć będzie od funduszów z ofiarności prywatnej i publicznej w mierze, dozwolonej przez ustawę...

— Szczególnych ścieśnień ustawa, o ile się zdaje, nie zawiera.

— Nie. Ale czasy są ciężkie, nielitościwie ciężkie...

— Czy można dowiedzieć się cokolwiek o dotychczasowem wewnętrznem urządzeniu zakładu?

— I owszem. Według reguły, przyjętej poprzednio, uczennice po przebyciu w zakładzie lat dwu najmniej umieszczane bywają na służbę, nie wychodząc jednakże z pod ogólnej opieki. W ciągu lat sześciu z liczby przygarniętych wychowanek wyszło za mąż 12, — i te pracą swą, zachowywaniem się przynoszą zaszczyt... stanowią wielką pociechę opiekunek, są dla nich zachętą i nagrodą. Nauka w przytułku skromna, naturalnie: pranie, szycie, tkactwo, polerowanie srebra z fabryk warszawskich, wyplatanie kapeluszy ze słomy, uprawa ogrodowizn, zajęcia przy kuchni... Dziewczęta ogród uprawiają same — sieją, sadzą, okopują, zbierają... Rezultaty poprawy, pojęcia obowiązków życia, poglądy na przeszłość, zamiary na przyszłość są, bez wyjątku prawie, dodatnie; zmiana, często bardzo szybka, jak prawie zawsze, stanowcza, rzecby niemal można, nieodwołalna na pierwszy już zaraz rzut oka. Nastręczające się stąd wnioski humanitarne są do głębi wzruszające... Ach, gdyby się znalazły usta dość wymowne...

— Są przecież — Chrystusowe...

— Prawda, — dziękuję panu. Zgodnie ze wskazaniem władz zawiadywanie zwierzchnie ogólnemi sprawami przytułku należy do odpowiedniego wydziału Rady miejskiej... Niebawem w moc usta-

wy ma być utworzony zarząd z zatwierdzeniem p. Generał-Gubernatora. Do tej pory interesami i sprawami zajmowały się jedynie dwie założycielki i zarazem opiekunki zakładu... Wymienione one zostały...

— W § 13 Ustawy.

— Tak jest, w 13... I to już wszystko. Polecamy zapoczątkowane dzieło łasce Bożej, uczciwości ludzkiej, sumieniu publicznemu, honorowi prasy i szlachetnym instynktom natur wybranych, umysłów światłych.

Karol d'Assez.



Bibliografia.

I. A. Czasopisma. **Biblioteka Warszawska** (październik — listopad): Henryka Radziszewskiego „Ekonomia społeczna na wystawie paryskiej“, A. Drogoszewskiego „Eliza Orzeszkowa“, d-ra Bronisława Łozińskiego „Agenor hr. Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich“, Wiktora Gomulickiego „Kamienice w rynku staromiejskim w Warszawie (wyjątek z większej całości)“, A. Brücknera „Powieści ludowe (szkice literackie i obyczajowe)“, Władysława Grabskiego „Z dziedziny życia rolniczego we Francyi“, Ksawerego Chamca „Wśród stepów i jarów (kultura przeddziejowa) Maryi Konopnickiej „Pan Balcer w Brazylii. III. Powrót“.

= **Encyklopedya wychowawcza,** tom V, zeszyt III, Warszawa, 1900.

= Z początkiem roku 1901 zacznie wychodzić w Warszawie nowy miesięcznik p. t. **Książka,** wydawany przez firmę księgarską E. Wende i S-ka (Krakowskie-Przedmieście № 5), a poświęcony bibliografii krytycznej. Zeszyty miesięczne w objętości półtora arkusza druku zawierać będą: 1) oceny krytyczne treściwe, fachowe i przedmiotowe wszystkich książek, które w języku naszym na widok publiczny wychodzą, 2) kompletną polską bibliografię miesięczną czyli wykaz zupełny polskich wydawnictw książkowych z ubiegłego miesiąca, 3) kronikę ważniejszych wypadków życia literackiego i księgarskiego u nas i w innych krajach cywilizowanych. Redakcya zastrzega się, że, dążąc ku osiągnięciu zupełności, fachowości, treściwości, przedmiotowości w krytykach, nie będzie wyrazicielką żadnego stronnictwa ani kierunku literackiego. Kierownictwo nowego pisma objął p. Maryan Massonius; cena prenumeracyjna w Warszawie rb. 2, na prowincyi rb. 2 kop. 60 rocznie.

= **Kwartalnika Historycznego** zeszyt III r. 1900: M. Perlbacha „Przyczynki do krytyki najdawniejszych żywotów św. Wojciecha“. Zb. Pazdry „Sądy konfederacyjne z roku 1672—1673“.

= **Ludu** rocznik VI, zeszyt 4 zawiera: Jana Witorta „Filozofia pierwotna“, Bron. Gustawicza „O ludzie Podduklańskim w ogólności, a Iwoniczanach w szczególności“, Józefa Schnaidra „Z kraju Hucułów“, Maksymiliana Gumplowicza „Polacy na Węgrzech“, Dr. A. Kaliny „Ludoznawstwo na III zjeździe historyków polskich w Krakowie“, Wł, Semkowicza „Dwa przyczynki do historyi wierzeń ludowych“.

= **Pamiętnik Fizyograficzny**, tom XVI, Warszawa, 1900.

= **Prace matematyczno-fizyczne**, tom XI. Warszawa, 1900.

= **Przegląd Filozoficzny**, rok III zeszyt IV: Dr. W. M. Kozłowski „Połączenie chemiczne ze stanowiska teoryi poznania“, Dr. W. Biegański „Geneza pojęć“, W. Witwicki „Psychologiczna analiza ambicyi“.

= **Przegląd Polski** (listopad): dr. Tadeusz Grabowski „Michał Grabowski, jego pisma krytyczne i pojęcia polityczne“, dr. Józef Tretiak „Nowe publikacye z powodu 500-ej rocznicy odnowienia fundacyi Uniwersytetu Jagiellońskiego, II. Stanisław Tarnowski: Historya literatury polskiej, tomów 5“.

= **Przegląd Powszechny** (listopad — grudzień): ks. Józef Tuszowski „Myśl średniowiecznej sztuki“, ks. Wiktor Wiecki „Poeta pesymizmu w sąsiednim kraju“, ks. Jan Pawelski „Krytyka literacka a nauka“. K. J. Heck „Prof. Brückner o Wacławie Potockim“. dr. Stanisław Dobrzycki „Polska poezya średniowieczna“, dr. Feliks Koneczny „Jan III Waza i misya Possewina“.

= **Przewodnik Naukowy i Literacki** (wrzesień — październik, 1900): dr. Bronisław Łoziński „Agenor hr. Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich“, Michał Eustachy Brensztein „Szkoła OO. Bernardynów w Telszach (1797 — 1868), szkic historyczny“.

= **Rocznik Akademii Umiejętności** w Krakowie, rok 1899 — 1900. Kraków, 1900.

= **Rozprawy Akademii Umiejętności**, wydział historyczno-filozoficzny, serya II tom XIV (ogólnego zbioru t. 39), Kraków, 1900,

= **Rozprawy Akademii Umiejętności**, wydział filologiczny, serya II tom XV (ogólnego zbioru tom XXX): L. Sternbach „De Georgii Pisidae apud Theophanem aliosque historicos reliquiis“. „De Pisidae fragmentis a Suida servatis“, „Observationesin Pisidae carmina historica“, „Analecta Avarica“.

= **Rozprawy Akademii Umiejętności**, wydział filologiczny. serya II, tom XVI (ogoln. zbioru t. XXXI): J. Tretiak „Miedziany jeździec Puszkina. studyum polemiczne“, M. Kawczyński „O pismach oratorskich i filozoficznych Apulejusza Platończyka z Madaury“, M. Kawczyński „Apulejusza Metamorfozy czyli powieść o złotym ośle“, A. Brückner „Język Wacława Potockiego, przyczynek do historyi języka polskiego“.

= **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, tom XV, zeszyt 170. Warszawa, 1900.

= **Słownika języka polskiego**, wydawanego pod redakcyą J. Karłowicza, A. Kryńskiego i W. Niedźwiedzkiego, wyszedł zeszyt VIII, obejmujący wyrazy od J e d n o k o ś n y do K i e c z y s k o, na 160 stronach ósemki większej.

= **Wisła**, tom XIV, zeszyt 5 (wrzesień-październik): Dr Wład. Matlakowski „Z letniej wycieczki do Bieniszewa“, St. Ciechanowski „Pieśni śląskie“, E. Majewski „Bez i hebd“. H. Łopaciński „Dwa podania ukraińskie o syrenach“, Z. A. Kowerska „O chłopakach zaklętych w ptaki“. R. Oczykowski „Opis ubrań włościanek z Księstwa Łowickiego“, B. Kocent „Mowa drużbów na Kujawach“. W. Nałkowski „Sfinks tatrzański...“. R. Lilientalowa „Przesądy żydowskie“.

= B. F i l o z o f i a. **F. S.** Szkice z dziejów filozofii, Warszawa, 1900.

= **Gomperz Henryk dr.** Krytyka hedonizmu, przeł. z upoważnienia autora Antoni Krasnowolski. Warszawa, 1900.

= **Lemcke Karol dr.** Estetyka, podług wydania oryginału niemieckiego z upoważnienia autora przełożył Bronisław Zawadzki, wyd. trzecie pomnożone, Lwów, 1901.

C. N a u k i s p o ł e c z n e. **Balicki Zygmunt dr.** Parlamentaryzm. zarys socyologiczny, tom II, Lwów-Warszawa, 1900.

= **Bloch Jan.** Przyszła wojna pod względem technicznym. ekonomicznym i politycznym, tom I, Warszawa, 1900.

= **Koszutski Stanisław.** Rozwój przemysłu wielkiego w Królestwie Polskiem, Warszawa, 1900.

= **L. Z. W.** Stronnictwa polityczne w Galicyi w przededniu wyborów, Kraków, 1900.

= **Mogilnicki Aleksander.** Indywidualizacya kary. Warszawa, 1900.

= **Potęga** wojenna Rosyi w świetle najnowszych danych urzędowych, Lwów—Warszawa. 1900.

= D. Historya. **Askenazy Szymon.** Dwa stulecia XVIII i XIX. Badania i przyczynki. I. Warszawa, 1901.

= **Badeni Stanisław Henryk dr.** Stanisław Ciołek, biskup poznański, szkic historyczny z XV wieku, Kraków, 1900.

= **Balzer Oswald.** Historya porównawcza praw słowiańskich, główne kierunki rozwoju nauki i jej istotne znaczenie. Lwów, 1900.

= **Balzer Oswald.** W sprawie sankcyi statutu mazowieckiego pierwszego z roku 1533, Kraków, 1900.

= **Birkenmajer Ludwik Antoni.** Mikołaj Kopernik, część pierwsza: studya nad pracami Kopernika oraz materyały biograficzne, Kraków, 1900.

= **Bogusławski Wilhelm.** Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej aż do wynarodowienia Słowian zaodrzańskich, tom IV, Poznań, 1900.

= **Celichowski Zygmunt dr.** Reces graniczny między Wielkopolską a księstwem Głogowskiem z roku 1528—1531, Poznań, 1901.

= **Finkel Ludwik dr.** Bibliografia historyi polskiej, część II zeszyt III, Kraków, 1900.

= **Gawroński-Rawita Fr.** Historya ruchów hajdamackich, Lwów, 1901.

= **Gomulicki Wiktor.** Opowiadania o starej Warszawie (Bibl. dzieł wyb. № 153), Warszawa, 1900.

= **Kordecki Augustyn ks.** Pamiętnik oblężenia Częstochowy 1655 roku, (Bibl. dzieł wyb. № 160), Warszawa, 1900.

= **Kozłowski Wł. M.** Rozalia Lubomirska, jako ofiara terroryzmu w 1794 roku, Warszawa, 1900.

= **Krasiński Adam Stanisław biskup.** Wspomnienia, Kraków, 1900.

= **Łuniński Ernest.** Na stos, karta historyczna z czasów Jana III, Petersburg, 1901.

= **Małcużyński Witold.** Rozwój terytoryalny miasta Warszawy, Warszawa, 1900.

= **Mierzyński Antoni.** Romowe, rozprawa archeologiczna, Poznań, 1900.

= **Mycielski Józef.** Pierwotne słowiańskie nazwiska miejscowości na Szląsku pruskim, Poznań, 1900.

= **Rostworowski Jan Nałęcz.** Wspomnienia z r. 1863 i 1864, Kraków, 1900.

= **Smoleński Władysław.** Pisma historyczne, tom I, Kraków, 1901.

= **Załęski St. ks. T. J.** Jezuici w Polsce, tom I, walka z różnowierstwem 1555—1606, część I: 1555—1686, Lwów, 1900.

= E. Literatura. **Biblioteka Pisarzów Polskich.** Stanisława ze Szczodrkowic Rozmowa pielgrzyma z gospodarzem o niektórych ceremoniach kościelnych, wydał dr. Zygmunt Celichowski (№ 57), Kraków, 1900.

= **Biegański Stanisław ks. S. P.** Poczet autorów, którzy o St. Konarskim pisali, Kraków, 1900.

= **Bujak Franciszek.** Kalimach i znajomość państwa tureckiego w Polsce około początku XVI w., Kraków, 1900.

= **Czubek Jan.** Wespazyan z Kochowa Kochowski, studyum biograficzne, Kraków, 1900.

= **Demby Stefan.** Album pisarzy polskich (współczesnych), Warszawa, 1901.

= **Estrejcher.** Bibliografia polska, tom XVIII, lit. H., zeszyt 1, 2, 3, Kraków, 1900.

= **Fijałek Jan ks.** Mistrz Jakób z Paradyża i uniwersytet krakowski w okresie soboru bazylejskiego, tom I i II, Kraków, 1900.

= **Gloger Zygmunt.** Rok polski w życiu, tradycyi i pieśni, Warszawa, 1900.

= **Grabowski Bronisław.** Teorya literatury (stylu, prozy i poezyi) do użytku szkolnego i nauki domowej, Warszawa, 1901.

= **Karłowicz Jan.** Słownik gwar polskich, tom I (od A do E), Kraków, 1900.

= **Koppens Rom T. J.** Anecdota Sarbeiviana, zawartość rękopisu № 1446 biblioteki XX. Czartoryskich w Krakowie (Sprawozdanie VII zakładu naukowo-wychowawczego OO. Jezuitów w Bąkawicach pod Chyrowem za rok szkol. 1900), Przemysl, 1900.

= **Kryński Adam Antoni.** Gramatyka języka polskiego, wydanie drugie, powiększone i poprawione, Kraków-Warszawa, 1900.

= **Mickiewicz Adam.** Wykłady o literaturach słowiańskich, wygłoszone

w Kollegium francuskiem w Paryżu w latach 1840—1841, przekład Feliksa Wrotnowskiego, uzupełniony i poprawiony uwagami autora, tom I, zeszyt 1—2, Lwów, 1900.

= **Orzechowski Stanisław.** Fidelis subditus w redakcyi I z roku 1543, wydał Teodor Wierzbowski (Biblioteka zapomnianych poetów i prozaików polskich, XVI—XVIII w., zeszyt XIV), Warszawa, 1900.

= **Pelczar Jan prof.** Mikołaj Hussowski, jego życie i pisma, ustęp z dziejów humanizmu w Polsce, Kraków, 1900.

= **Royzius Petrus Maureus Alcagnicensis.** Carmina, ex libris et typis excusis et manuscriptis edidit, commentariuis indiceque rerum memorabilium instruxit dr. Bronislaus Kruczkiewicz, pars I: carmina maiora continens; pars II: carmina minora continens, Kraków, 1900.

= **Szydłowski Michał.** Stosunek „Liryków" W. Kochowskiego do „Ód" Horacego, Kraków, 1900.

= **Wierzbowski Teodor.** Smutnoje wremia w sowremiennoj jemu polskoj literaturie, cz. I: 1605—1607, Warszawa, 1900.

= **Wierzbowski Teodor.** Zdanie wolnego szlachcica na sejmiki w r. 1608 na dwa punkty potrzebne (Biblioteka zapomnianych poetów i prozaików polskich XVI—XVIII w., zeszyt XIII), Warszawa, 1900.

= F. Beletrystyka. **Andersen.** Czarodziejskie powieści, spolszczyła Marya Glotz, tom II, Warszawa, 1900.

= **Gliński Mieczysław.** Poezye, Warszawa. 1901.

= **Hugo Wiktor.** Kościół Panny Maryi w Paryżu (Notre Dame de Paris), tom I—IV, Warszawa, 1900.

= **Hugo Wiktor.** Pracownicy morza, tom I—IV, Warszawa, 1900.

= **Kasprowicz Jan.** Baśń nocy Świętojańskiej, prolog na otwarcie teatru miejskiego we Lwowie, Lwów 1900.

= **Kipling Rudyard.** Księga dżungli, przekład z oryginału angielskiego, Warszawa, 1900.

= **Krechowiecki Adam.** O tron, powieść historyczna z XVII wieku, część III: Sława, Petersburg, 1901.

= **Krzywoszewski Stefan.** Zmierzch, powieść współczesna, Petersburg, 1901.

= **Laskowski Kazimierz.** Surdutowiec, powiastka, Warszawa, 1900.

= **Laskowski Kazimierz.** Wieś. W ojców ślady, powieść, Warszawa, 1901.

= **Mieroszewicz Jan.** Zginęła głupota! powieść z niedalekiej przyszłości, Warszawa, 1901.

= **Przyborowski Walery.** Sokół królewski, powieść historyczna z czasów Zygmunta Augusta, wydanie drugie, Warszawa, 1900.

= **Rais Karol.** Patryoci z zakątka, powieść czeska, w przekładzie J. Kietlińskiej-Rudzkiej (Bibl. dzieł wyb. № 154 i nast.), Warszawa, 1900.

= **Rodziewiczówna Marya.** Na wyżynach, powieść (Bibl. dzieł wyb. № 158 i nast.), Warszawa, 1900.

= **Rodziewiczówna Marya.** Nieoswojone ptaki, powieść, Petersburg, 1901

= **Rostkowski Zygmunt.** Stargane struny, Warszawa, 1900.

= **Sewer.** Legenda — Kto ona? — Euthanazya, Warszawa-Kraków, 1901.

= **Sienkiewicz Henryk.** Krzyżacy, powieść w czterech tomach, wydanie jubileuszowe, Warszawa-Kraków, 1900.

= **Sienkiewicz Henryk.** Pisma, tom XXIII: Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela. — Za chlebem (dod. do „Tyg. illustr."), Warszawa, 1900.

= **Szczawińska-Dawid Jadwiga.** Wojciech Kłos, historya pożytecznego człowieka, Wilno, 1900.

= **Szukiewicz Wojciech.** Z wędrówek po Słowiańszczyźnie (dod. do „Gaz. Polsk."), Warszawa, 1900.

= **Tetmajer-Przerwa Kazimierz.** Poezye, I, wydanie drugie, Warszawa-Kraków, 1900.

= **Trzyrzecki St.** Dlaczego?, Kraków, 1900.

= **Weryho Marya.** Nieproszeni goście, dla małych dzieci, Warszawa, 1900.

= **Zakrzewski Jan.** Ananke, dramat liryczny, Warszawa, 1901.

= G. Przyrodoznawstwo. **Munro John.** Opowiadanie o elektryczności, tłóm. z ang. Feliks Wermiński, Warszawa, 1900.

= **Pettenkofer Maks Dr.** Powietrze i zdrowie, wykłady popularne, w przekładzie Maryana Stępowskiego z przedmową Juliana Ochorowicza (Bibl. dzieł wyb. № 157), Warsza-wa, 1900.

= **Sikorski Jan Feliks.** Uprawa łąk i pastwisk, Lwów, 1900.

= **Silberstein L. Dr.** Zjawiska elektro-magnetyczne, z 61 drzeworytami, Warszawa, 1900.

= **Sonnenberg E. Dr.** Granice władzy zawodowej lekarza ze stanowiska prawa i etyki, Łódź, 1901.

= **Teisseyre Wawrzyniec Dr.** Atlas geologiczny Galicyi, zeszyt 9 (mapy i tekst), Kraków, 1900.

= **Tschermak G. prof. Dr.** Podręcznik mineralogii, z piątego wydania niemieckiego przełożył, uzupełnił i przedmową historyczną opatrzył Józef Morozewicz, Warszawa, 1900.

= **Umiński Władysław.** Jak powstała nasza ziemia i jaki ją czeka koniec, Warszawa, 1901.

= H. Sztuki piękne. **Album sztuki polskiej,** serya I, zeszyt XI—XII. Warszawa, 1900.

= **Cerchowie—Kopera.** Pomniki Krakowa, zeszyt VIII—IX, Kraków-Warsza, wa, 1900.

= **Marrené-Morzkowska Walerya.** Historya sztuki na podstawie dzieła Rogera Peyer, Warszawa, 1900.

= **Ruskin John.** Sezam i lilie, trzy odczyty. Warszawa, 1900.

= I. Różne. **Kalendarz illustrowany** Józefa Ungra na rok zwyczajny 1901, Warszawa, 1900.

= **Kalendarz** informacyjno-encyklopedyczny na Pogotowie ratunkowe, wydawnictwa rok I (na 1901 rok), Warszawa, 1901.

= **Kalendarz lubelski** na rok zwyczajny 1901 (rok 33). Lublin, 1900.

= **Kalendarz Powszechny** na rok 1901, rok XXIII, Warszawa, 1900.

= **Ognisko domowe**, kalendarz popularny illustrowany na rok 1901, Warszawa, 1900.

= **Rościszewski Mieczysław.** Rozmowa i sposób jej prowadzenia, jedyny skuteczny poradnik dla chcących się podobać, Warszawa. 1900.

= 2. A. Filozofia. **Kalthoff A.** Friedrich Nietzsche und die Kulturprobleme unserer Zeit, Vorträge, Berlin, 1900.

= **Lacouture.** Esthétique fondamentale, 1 vol., Paris, 1900.

= **Münsterberg Hugo.** Grundzüge der Psychologie. Band I. Allgemeiner Teil. Die Prinzipien der Psychologie, Leipzig, 1900.

= B. Nauki społeczne. **Lehmann C. u. Parvus.** Das hungernde Russland, Reiseeindrücke, Beobachtungen und Untersuchungen, Stuttgart, 1900.

= **Skorow A.** Sbornik uzakonienij i rasporjażenij Prawitjelstwa, otnosiaszczichsia k krestjanskomu obszczestwjennomu uprawlenju— obszczeje położenie, t. I cz. I, wyd. 5, Moskwa, 1901.

= **Wiesznlakow W. I.** Sbornik zakonow i postanowlenij dla ziemlewładjelcew i sielskich chozjajew, cz. II, wyd. II, Petersburg, 1900.

= **Wsia Rossija,** Russkaja kniga promyszlennosti, adres-kalendar' Rossijskoj Impierji, t. I, Petersburg, 1900.

= C. Historya. **Scholtz A.** Die Juden in Russland. Urkunden und Zeugnisse russischer Behörden und Autoritäten, aus dem Russischen übersetzt, Berlin, 1900.

= **Skalkowskij K.** Wnieszniaja politika Rossii i położenje inostrannych djerżaw, izd. II, Petersburg, 1901.

= D. Literatura. **Avenel H.** Histoire de la presse française depuis 1789 jusqu'à nos jours, Paris, 1900.

= E. Przyrodoznawstwo. **Bölsche W.** Das Liebesleben in der Natur, eine Entwicklungsgeschichte der Liebe, 1 u. 2 Folge, Leipzig, 1900.

---

h.

Z żałobnej karty.

† Stanisław Schnür-Pepłowski,

zmarł we Lwowie dnia 13 listopada, przeżywszy lat 41. Urodzony we Lwowie dn. 21 października r. 1859, nauki gimnazyalne pobierał w mieście rodzinnem. Po ukończeniu studyów uniwersyteckich poświęcił się zrazu zawodowi prawniczemu. Wkrótce jednak porzucił pracę zawodową i oddał się dziennikarstwu; pracował w „Gazecie Lwowskiej" i „Przewodniku Naukowym i Literackim", wydawał dwutygodnik „Iris". Ze szczególnem zamiłowaniem badał przeszłość swego rodzinnego kraju — Galicyi. Owocem tych studyów są liczne prace historyczne i przyczynki, z których niektóre mają charakter samodzielnych opracowań, inne — zawierają cenne, a nieznane dotąd materyały dziejowe.

Śmierć przewczesna uczonego badacza i dzielnego pracownika na niwie społecznej budzi żal powszechny; pozostanie po nim luka i w piśmiennictwie naszem i w tych instytucyach społecznych, których zmarły był duszą i dźwignią. *h.*



Wydawca: ***Wł. Spasowicz.***
Redaktor: ***Ignacy Chrzanowski.***

